

H A N N A
GREŃ

PIĄTE PRZYKAZANIE

KTO ZA GRZECH NIE ŻAŁUJE, MOŻE GO POWTÓRZYĆ



PIĄTE PRZYKAZANIE

H A N N A

GRĘŃ

PIĄTE PRZYKAZANIE

Copyright © Hanna Greń, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Joanna Pawłowska, Anna Nowak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie

Fotografie na okładce:

Karsten Würth, Dushyant Chaturvedi, Jamie Street / Unsplash

Orthodox Chapel, Ivy Circle / Envato Elements

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66570-14-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-25-19

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Prolog

23 czerwca 2019

Nieduża sala mieszcząca się na piętrze budynku OSP w Osinach pękała w szwach. Zeszła się tu niemal cała osada, brakowało jedynie dzieci, ale też ich obecność była zdecydowanie niepożądana. Dla starszych ustawiono krzesła, młodszy tłoczyli się pod ścianą, utyskując na ścisk i duchotę. Jedno i drugie rzeczywiście mogło doskwierać. Panujący od kilku dni upał nagrzał mury do tego stopnia, że we wnętrzu budynku było niewiele chłodniej niż na zewnątrz, a wypełnione ludzką ciżbą małe pomieszczenie po kilku minutach zaczęło przypominać saunę.

– Nie można było zrobić tego zebrania na dużej sali? – spytał z irytacją ktoś stojący w tylnym rzędzie. – Przecież tu, kurwa, nie ma czym dychać. Po chuj to całe zebranie? Nie macie nic do roboty?

Jan Kukuczka, samowwający przewodniczący zgromadzenia, przebiegł wzrokiem po obecnych, lecz nie wypatrzył buntownika. Rozpoznał jednak jego głos.

– Cisza! – wrzasnął, by zagłuszyć gwar, jaki zapanował po słowach Kazimierza Pawlusa. Wrzawa ucichła. – Ty, Kazek, możesz sobie pójść, jak ci duszno. W knajpie będzie ci chłodniej, a nam wystarczy obecność twojej żony. Wszyscy wiedzą, że w waszej rodzinie to ona ma jaja.

Pawlus zaklął, ale nie ruszył się z miejsca; ciekawość okazała się silniejsza od urazy i poczucia krzywdy. Nie jego wina, że żona zagarnęła wszystkie obowiązki, a dla niego zostawiła tylko dbanie o konia. A i to nie do końca, bo nieraz, gdy przytrzymując się muru,

docierał wreszcie do stajni, zastawał zwierzę w wysprzątanym boksie, nad pełnym żłobem. Pił, bo nie miał nic do roboty, a co to za życie dla chłopca, jak nie ma zajęcia.

– Duża sala – przypomniał sobie nagle zadane wcześniej pytanie. – Czemu nie tam?

– Bo jest już udekorowana na wesele – odparł Kukuczka z powagą, której przeczył kpiący uśmiech. – Zapomniałeś?

– Co bych miał zapomnieć – zachnął się Pawlus, zaraz jednak zaprzeczył sam sobie. – Kto się żeni?

– Ja! – zawołał młody człowiek z rogu sali. – Z twoją córką!

Gruchnął śmiech; większość obecnych zwróciła głowy w stronę mężczyzny, który do tego stopnia oddał się we władanie butelce, że zapomniał o ślubie własnego dziecka. Kukuczka dał im czas na wyśmianie się i wyrażenie swoich opinii, wreszcie znowu ryknął, by zapanować nad rozbawionymi mieszkańcami osady:

– Spokój! Zwołałem was tutaj, bo musimy się naradzić w sprawie młodego Pisarka.

– Amerykę odkrył! Wiadomo, że młodego. Stary od dawna nie żyje, a inszego Pisarka tu nie ma.

Zaskakująco jak na mózg przeżarty alkoholem wywód logiczny nie przysporzył Pawlusowi uznania. Przeciwnie, mężczyzna został natychmiast uciszony zniecierpliwionymi syknięciami mieszkańców Osin, jednocześnie zaintrygowanych i zaniepokojonych wstępem. Nie sądzili, że temat Pisarka będzie jeszcze kiedyś poruszany.

Starowinka siedząca z przodu pierwsza zadała nękające obecnych pytanie:

– Po co mamy radzić o Pisarku?

Zamiast odpowiedzieć, Kukuczka skinął na młodą, energiczną kobietę, która rok temu przejęła po schorowanej ciotce prowadzenie sklepu. Jedyne w Osinach obiekty handlowe nie przedstawiały się zbyt imponująco. Niezbyt okazały, z dobudowanym z tyłu mieszkaniem składającym się z jednego niedużego pokoju, małej kuchni i jeszcze mniejszej łazienki, stanowił typowy relikwiarz minionych czasów i jeszcze teraz starsi mieszkańcy nazywali go geesiokiem. Zaspokajał jednak podstawowe potrzeby mieszkańców małej osady, przez co cieszył się

u nich sporym powodzeniem. Zwłaszcza od czasu nastania rządów nowej właścicielki, która przyjmowała zamówienia na towary niestanowiące typowego asortymentu sklepu i dowoziła je następnego dnia.

Marianna Zawodna przedarła się do przodu i stanęła obok Kukuczki. Nie czuła tremy, chociaż wszystkie oczy skierowane były na jej drobną postać.

– Wczoraj rano do sklepu przyszła Pisarkowa – oznajmiła dźwięcznym, melodyjnym głosem. – Akurat nikogo innego nie było, więc się rozgadała. Mówiła głównie o Pawle. – Uśmiechnęła się krzywo i niecierpliwym gestem odgarnęła opadający na oko pukiel rudych włosów. – Że taki zdolny, taki przystojny... Stara śpiewka, jakby kto nie znał, toby kupił. Nie wytrzymałam, kiedy zaczęła opowiadać, jaki to z niego dobry człowiek, i powiedziałam, że chyba w marzeniach. Wtedy się wściekła i zaczęła na mnie wrzeszczeć, potem złapała słoik z lizakami dla dzieci i walnęła nim o podłogę.

– A nam co do tego? – znów wtrącił się Pawlus. – Samaś se, Mańka, narobiła dziadostwa. Trza było jej nie wkurwiać.

Zawodna zignorowała pijaka. Nawet na niego nie spojrzała, tylko spokojnie kontynuowała relację:

– Zagroziłam, że jak się nie uspokoi, to zadzwonię na policję, a ona na to, że policja i tak wkrótce znowu tu przyjedzie, bo ona wreszcie znalazła kogoś, kto zajmie się sprawą Pawła na poważnie. Powiedziała, że już niedługo ten ktoś przetrzepie nas tak, że wióry polecą. Że zapłacimy za jej krzywdę.

– Chce sobie nająć Rutkowskiego?

W sali znów gruchnął śmiech. Nie śmiały się tylko trzy osoby – Kukuczka, Zawodna i Pawlus. Ten ostatni odezwał się pierwszy.

– Jak psiarnia przyjedzie i zacznie nas maglować, to będzie twoja wina. Mogłaś nie grozić Pisarkowej, to mielibyśmy spokój.

Wystawił wskazujący palec, kierując go prosto w Mariannę, która nie straciła rezonu i odpowiedziała mu wystawieniem środkowego.

– Gównu byśmy mieli, nie spokój. Nie wymyśliła sobie tego w sklepie, musiała już wcześniej mieć plan, żeby kogoś na nas nasłać.

Kukuczka z aprobatą kiwnął głową.

– Zawodna ma rację, ona musiała zaplanować to wcześniej. A my teraz musimy uradzić, jak się obronić. Ja jestem za tym, żeby milczeć. Jeżeli nikt się nie wyłamie, ten, co tu przyjedzie węszyć, dowie się tyle, co policja. Czyli nic.

– A ja jestem za tym, żeby powiedzieć prawdę – sprzeciwiła się Zawodna. – Niech to się wreszcie skończy.

– Dobrze ci mówić – wytknął Kukuczka z ponurą miną. – Tobie nic nie grozi, jesteś czysta. W miarę czysta – poprawił się na widok jej miny.

– Nikt tu nie jest do końca czysty. – Marianna powiodła wzrokiem po zgromadzonych. – Nie o to chodzi, że tęskno mi do więzienia, ale moim zdaniem to się nie uda. Za dużo osób w tym siedzi, żeby na dłuższą metę dało się zachować wszystko w tajemnicy. Prędzej czy później ktoś wymięknie i zacznie gadać, a wtedy sprawa się rypnie.

Starowinka z pierwszego rzędu poruszyła się niespokojnie.

– Jak wszyscy będą się pilnować, to nic się nie wyda. Tak było w Strzygomiu z Diabelskim Śpiewakiem. Ile to roków minęło od czasu, kiedy zniknął? – Bezgłośnie poruszyła bezzębną szczęką, rachując w myślach. – W maju minęło osiemdziesiąt. I do dziś nikt nie wie, co się z nim stało.

Nie dodała nic więcej, lecz wyraz triumfu na pooranej zmarszczkami twarzy wyraźnie świadczył, że ona doskonale wie, co spotkało osobę o oryginalnym przezwisku. Jak zwykle pierwszy nie wytrzymał Pawlus. Wyszedł przed stojące w trzech rzędach krzesła i popatrzył z pogardą na starą kobietę.

– Chcecie nam wmówić, że wy wiecie, co się z nim stało? Siedzicie se, Drzyzgowa, na tej swojej grapie i gównu wiecie, co się we wsi dzieje. O Strzygomiu chcecie nam opowiadać, a nawet w Kaletach żeście nie byli!

– Zawrzyj jadaczkę, śpiku obeiszczany! – Kobieta pogroziła mu laską. – Widzicie go! Taki mądry, a do haźła trafić nie umie. Brat mój Kuba przyzenił się w Strzygomiu i ja tam u nich byłam, jak Diabelskiego Śpiewaka ubili. Za grzybami akurat chodziłam i widziałam, co się stało w lesie. Nie powiem wam, kto go ubił, bom

przed Bogiem przysięgła. Ale jak nie wierzycie, to poszukajcie tam za stawem, gdzie taki wielki buk rośnie. Pod nim go pogrzebali. Bez księdza, bez krzyża. Jak psa. Ale po prawdzie to mu się należało.

Przymknęła oczy, zmęczona długą przemową, lecz gdy wnuk ujął ją za ramię, chcąc wyprowadzić z sali, odtrąciła go gniewnym ruchem.

– Babciu, czas wam odpocząć. Odprowadzę was do domu – tłumaczył cierpliwie jak dziecku.

– Za chwilę, Oluś, jeszcze nie skończyłam. – Wzięła głęboki wdech.

– Trza tylko trzymać się razem i nie dać się złamać. Osiniacy nie są gorsi od strzygomian, no i my mamy Osę. Ona nam pomoże.

Głębokie przekonanie w głosie starej kobiety wywołało u obecnych różne reakcje, od pełnych aprobaty okrzyków po uśmiechy politowania. Te ostatnie pojawiły się głównie na twarzach przedstawicieli młodszego pokolenia, którzy uważali opowieści o Osie za zwykłe bajdurzenie i tylko przez wzgląd na podeszły wiek Drzyzgowej zrezygnowali z postukania się palcem w czoło.

Zdecydowanie największą grupę stanowili należący do średniego pokolenia, niemający wyrobionego zdania. Z jednej strony rozum nakazywał im odrzucać istnienie legendarnej opiekunki osady, z drugiej zaś nieraz doświadczyli czegoś, co można było uznać za interwencję sił wyższych. A że nie wierzyli, by tak ważna persona jak sam Pan Bóg zstąpiła nagle na ziemię i nawiedziła zagubioną wśród lasów maleńką osadę, pomoc mogła pochodzić wyłącznie od Osy.

Jedynie starzy święcie wierzyli w prawdziwość opowieści przekazywanej w Osinach z pokolenia na pokolenie, dzięki czemu przetrwała do dzisiejszych czasów w niezmienionej formie. Osa, od której osada wzięła imię, nadal opiekowała się swoją dziedziną i żadne gadanie tego nie zmieni.

Stojący pod ścianą przystojny mężczyzna wysforował się z tłumu. Mógł mieć nieco ponad czterdzieści lat, a jego nietknięte siwizną, intensywnie rude włosy oraz zielone oczy mówiły wyraźnie o bliskim pokrewieństwie z Marianną.

– Moja córka dobrze powiedziała. Prędzej czy później wszystko się wyda, a wtedy będzie za późno na targowanie się z policją. Trzeba było przyznać się od razu, kiedy tu przyjechali. Ale nawet teraz...

– Co teraz?! – oburzył się inny, stojący do tej pory z tak obojętną miną, jakby problem w ogóle go nie dotyczył. Przecisnął się przez tłum i stanął obok Kukuczki. – Słyszycie, co Damian gada? Chce nas sprzedać gliniarzom!

Wśród zebranych rozległy się głosy oburzenia, lecz Damian Zawodny się nimi nie przejął. Stał z obojętną miną, jakby cała ta wrzawa go nie dotyczyła, i odezwał się dopiero wtedy, gdy zaczęła przycichać.

– Nie mam zamiaru nikogo sprzedawać, tylko mówię, że powinniśmy powiedzieć prawdę. Niczego strasznego nie mam na sumieniu i tak sobie myślę, że wy też nie. No, chyba że Olek Myszka, bo coś za bardzo protestuje.

Jego adwersarz spiął się, jakby szykował się do ataku.

– Ty skurwysynu – wysyczał przez zęby. – Niewinny się znalazł! A Pisarek? Uważasz, że to nic takiego?

Zawodny lekceważąco machnął ręką.

– Nie mam nic wspólnego z jego zniknięciem i ani myślę odpowiadać za kogoś. Jeżeli ktoś z nas go zabił, powinien ponieść karę. – Uśmiechnął się ironicznie do Aleksandra. – Powiedz, Myszka, czy to aby nie byłś ty?

– Nie pieprz głupot i zostaw Olka w spokoju – ofuknął go Kukuczka. – Dość ma chłop kłopotów ze swoją babą. – Odczekał, aż ucichnie śmiech wywołany ostatnimi słowami. – Damian, ty się lepiej zastanów. Chcesz stanąć przeciwko całej osadzie? Nie radzę. Byli już tacy i dobrze na tym nie wyszli.

Marianna zrozumiała ostrzeżenie. Czym prędzej podeszła do ojca i szepnęła coś, czego inni nie mieli szans dosłyszeć, choć w skupieniu nadstawiali ucha. Damian Zawodny najwyraźniej nie zgadzał się z córką, gdyż kręcił z uporem głową i marszczył gniewnie brwi. W końcu stracił cierpliwość i niezbyt delikatnie odsunął dziewczynę.

– Wcale nie chcę być przeciw wam, tylko uważam, że to nie ma sensu. Mańka dobrze powiedziała, że nie ma szans na utrzymanie tego w tajemnicy.

– Nie masz racji – sprzeciwiła się stara Drzyzgowa. – I przestańcie się kłócić. Trzymali my się w kupie przez wojnę i potem też, kiedy przyszli ruscy. Nie dali my się różnym „Bartkom”[1] ani „Sztubakom”[2], to i teraz damy radę. Tylko nikomu nie wolno się wyłamać, a będzie dobrze. Uwidzicie, że się nam uda.

Wokół rozległy się pomruki poparcia. Kukuczka wykorzystał stosowny moment i zarządził głosowanie za utrzymaniem sprawy w całkowitej tajemnicy. Nikt się nie wyłamał. Nawet Pawlus, uwielbiający stawać okoniem, tym razem bez wahania podniósł rękę w górę, a gdy Marianna Zawodna się zawahała, nieznaczny gest ojca sprawił, że również poparła wniosek. Decyzja zapadła.

[1] Henryk Flame ps. „Bartek” – dowódca partyzanckiego oddziału NSZ działającego w beskidzkich lasach i na Śląsku Cieszyńskim.

[2] Antoni Biegun ps. „Sztubak” – podkomendny „Bartka”, dowódca pododdziału. W wyniku konfliktu wraz ze swoimi ludźmi opuścił oddział i działał odtąd na własną rękę.

Rozdział 1

Pierwsza poważna klientka

2–3 lipca 2019

Znowu nie mógł zasnąć. Ciężkie, nabrzmiałe burzą powietrze zdawało się nie mieć w sobie dość tlenu, by można było swobodnie oddychać, a wzdłuż kręgosłupa spłynął strumyczek potu. Mężczyzna skrzywił się, usiłując odkleić od ciała wilgotną koszulkę.

Podobno wielu ludzi ma problemy z zasypianiem w trakcie pełni, lecz nigdy nie słyszał, by ktoś jeszcze cierpiał na bezsenność w innych kwadrach. Tymczasem on od lat miał problemy z zasypianiem, gdy tylko księżyc zbliżał się do nowiu. Widocznie w zakresie nocnego wypoczynku był jakąś anomalią.

Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że oszukuje sam siebie – dobrze wiedział, co wywołuje ten stan. Tamto stało się właśnie podczas lipcowego nowiu, dlatego co roku o tej porze snuł się w ciemnościach niczym dusza pokutująca, bezskutecznie szukając ucieczki przed wspomnieniami.

Stapał cicho, przemykając przez korytarz do wspólnego salonu, i równie cicho wyszedł na taras. Wyminął majaczące w mroku krzesło i przytrzymując się barierki, wolno posuwał się do przodu, wyszukując stopami kolejne schodki. Kilka razy potknął się na nierównościach terenu, nim dotarł do stołu ustawionego pod rozłożystą jabłonią, gdzie przez gęste listowie nie przedzierał się nawet najśłabszy poblask światła. Namacał oparcie ławy, zrobił dwa małe kroki i usiadł z cichym stęknieniem. Był zmęczony. Trzy noce

bez snu odbiły się mocno na kondycji nie tylko psychicznej, ale i fizycznej, i jedyne pocieszenie stanowił fakt, że księżyc zbliżał się powoli do pierwszej kwadry. Jeszcze dzień lub dwa, a pojawi się cieniutki sierp, niosący nadzieję, że męczarnia dobiegnie końca.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział bez ruchu, tępo wpatrzony w ciemność. Naraz jakiś dźwięk wyrwał go z zamyślenia. Mężczyzna bezwiednie skulił się w oczekiwaniu na uderzenie i musiało minąć dobrych kilka minut, zanim zrozumiał, że nic mu nie grozi, a cichy szloch nie wydobył się z jego gardła. Wyprostował się i nadstawił uszu, jednocześnie zaciekawiony i przerażony rodzącym się podejrzeniem.

Szloch rozległ się znowu, przypląnął od strony tarasu, który nie był już całkowicie pograżony w mroku. Teraz pojawiła się na nim lekka poświata płynąca z salonu, dzięki czemu mógł dojrzeć zarys dwóch postaci, jednej wysokiej i masywnej, drugiej niższej i drobniejszej. Początkowe podejrzenie zamieniło się w pewność, gdy zaraz potem usłyszał burkliwy głos, niosący się wyraźnie po otulonym ciszą ogrodzie:

– Przystań histeryzować. Przecież ci się podobało. – Krótki rechot i znów ten sam głos: – Masz tu na czekoladę.

– Nie chcę... – zabrzmiały nieco zniekształcone płaczem słowa.

– Bierz, przecież wiem, że u was w domu bieda. Teraz już idź, tylko ostrożnie, żeby nikt cię nie widział. Ale najpierw daj mi buzi na do widzenia.

– Nie chcę. Nie...

– Zamknij się i przestań się wyrywać. No już...

Odgłosy szamotania, czyjś stłumiony jęk, potem cisza. Siedzący pod jabłonią mężczyzna drżał ze zgrozy i obrzydzenia, lecz nie zdobył się na najmniejszy nawet ruch. Sparaliżowany własną fobią nie potrafił rzucić się na pomoc temu, kto znowu szlochał rozdzierająco. Tamten głos, teraz zdyszany i wibrujący podnieceniem, jeszcze raz rozerwał kokon ciszy spowijającej ogród.

– Masz cudowne usta. I to młode, słodkie ciało. Mógłbym cię pieścić całą noc i ciągle byłoby mi mało. Dotknij mnie. Szybko, pośpiesz się...

Znów szamotanie i rozpaczliwy płacz, potem rytmiczne sapanie i jęki. Słuchanie tych odgłosów stało się nie do zniesienia i mężczyzna pod jabłonią wetknął palce do uszu, a gdzieś w najgłębszych zakamarkach jego duszy coś rosło. Stawało się coraz większe, aż całkiem go pochłonęło, wydobywając z jego ust dziki ryk.

Mężczyzna zerwał się z ławki i ruszył w stronę domu, napędzany tym czymś, co zastąpiło jego wolę, a czego nie potrafił nawet nazwać. W ciemnościach potknął się na kępie trawy i zatoczył, wpadając na wiaderko do zbierania deszczówki, które przewróciło się z głośnym brzękiem. Zimna woda oblała mu stopy, lecz nie zwrócił na to uwagi, z żelazną konsekwencją zmierzając do celu.

Tymczasem podzwanianie wiaderka doszło widocznie do uszu ludzi na tarasie, zauważył bowiem w nikłym świetle dobiegającym z wnętrza domu, że wyższy z nich, zapamiętałe pracujący biodrami, zastygł na moment i zwrócił twarz w stronę ogrodu, jakby chciał wzrokiem przebić mrok. Niższa z postaci natychmiast wykorzystała moment nieuwagi. Rozpaczliwym skrętem ciała wyrwała się z uścisku, zeskoczyła z tarasu i popędziła w bok budynku, w biegu podciągając spodnie. Nadchodzący mężczyzna nie próbował jej gonić. To nie ona była celem.

Stojący na tarasie człowiek dojrzał go wreszcie i bezskutecznie usiłował zasłonić swoją nagość. Dresowe spodnie okręciły mu się wokół kostek, nie pozwalając na szybkie podciągnięcie, toteż mężczyzna spod jabłoni zastał go z obnażonym, nadal wzwiedzionym członkiem. Na ten widok splunął z odrazą i zamachnął się trzymaną w ręce witką. Człowiek z tarasu wrzasnął dziko i osunął się na kolana, przyciskając ręce do podbrzusza pulsującego niewyobrażalnym bólem.

– Ostrzegałem cię. – Człowiek z witką pochylił się i splunął raz jeszcze, tym razem prosto w twarz, na której łyzy bólu wyznaczyły lśniące ścieżki. Mówił cicho, beznamiętnie, jak automat. – Powiedziałem, co się stanie, jeśli to zrobisz.

Tamten usiłował wstać, lecz fala bólu znów rzuciła go na kolana. Jęcząc głośno, poniechał prób dźwignięcia się do pionu, mimo to nie

zamierzał pozwolić, by ktoś mu groził i go poniżał. Tym bardziej że tamten nie miał już żadnych dowodów.

– Gównu się stanie! – wycharczał, tłumiąc jęk. – Skasowałeś te parszywe zdjęcia i nie możesz mi nimi zagrozić, ty tępą bucu.

Mężczyzna spod jabłoni dopiero teraz zrozumiał, jak wielki popełnił błąd. Kiedy zobaczył w swojej skrzynce e-mail te odrażające fotografie, najpierw spędził długie minuty w toalecie, targany gwałtownymi torsjami. Gdy wreszcie zdołał zapanować nad własnym organizmem, złapał laptop, pobiegł do człowieka uwiecznionego na nich i drżąc z gniewu i obrzydzenia, zażądał wyjaśnień.

Tamten w pierwszej chwili zbladł i wyglądał na przerażonego, ale zaraz odzyskał rezon. Nawet się uśmiechał, gdy wolno wyciągnął przed siebie lewą rękę i rozcapierzył palce, demonstrując zdeformowany kciuk. „To fotomontaż. Bardzo dobry, ale chyba sam widzisz, że to nie ja jestem na tych zdjęciach” – tłumaczył zmieszanemu oskarżycielowi. „Ktoś chciał mi zaszkodzić, tylko nie pomyślał o tym”. – Dźgnął palcem w ekran laptopa, wskazując lewą rękę jednego z uczestników uwiecznionego na fotografii aktu seksualnego. Wszystkie palce były idealnie proste. Na pytanie, co należałoby zrobić z fotografiami przesłanymi w załączniku, bez wahania przysunął sobie laptop i jednym ruchem skasował wiadomość, po czym usunął ją z kosza.

Mężczyzna spod jabłoni pamiętał doskonale słowa, które wtedy wypowiedział, nie bacząc na konsekwencje. „Wierzę ci, ale będę cię obserwować. A jeśli kiedyś się dowiem, że mnie okłamałeś, albo przyłapię cię na czymś takim, zatłukę jak psa!” Tamten tylko się uśmiechnął i stwierdził, że w takim razie może spać spokojnie, gdyż tego typu uciechy nigdy go nie pociągały. Ktoś zrobił głupi kawał, i tyle.

Teraz został mu już tylko jeden argument.

– Znajdę tego, co tu był, i obiecuję ci pomoc, jeśli cię oskarży.

W odpowiedzi przeciwnik pogardliwie wydał wargi.

– Nie piśnie ani słówka. Dobrze wie, że byłby tu skończony, gdyby się wydało, że łykał spermę jak inni chłopcy coca-colę. – Zarechotał uraglowo, potem spojrzał ostro. – Dostyc już tego pierdolenia. Pomóż

mi wstać. Tym razem ci daruję, ale na przyszłość radzę się nie wtrącać, bo cię zniszczę.

TO znowu zaatakowało, zasnuło wzrok czerwoną mgłą, kazało dłoni zacisnąć się w pięść i uderzyć powstającego z kolan człowieka w sam środek twarzy. Coś chrupnęło nieprzyjemnie, na ręce osiadły drobinki krwi. Kolejne uderzenie, tym razem tuż pod oko, potem jeszcze jedno w krwawiący, złamany nos. I następne, następne, następne...

Nagle TO odeszło tak samo niespodziewanie, jak się pojawiło, i człowiek spod jabłoni omal nie upadł na zakrwawione ciało, gdy brak napędzającej mocy wytrącił go z rytmu. Z trudem opanował mdłości. Usiadł ciężko na krześle i zapatrzył się w mrok. Czuł tak obezwładniające znużenie, że nie miał siły nawet myśleć.

Z apatii wyrwał go odgłos przejeżdżającego samochodu. Powiódł zdumionym wzrokiem po zbryzganym krwią tarasie, wzdrygnął się na widok zmasakrowanej twarzy i nagle zrozumiał, jak niszczącą siłą potrafi być nienawiść. Nie mógł dopuścić, by jeszcze kiedyś wzięła go w swe władanie. Nie chciał tak żyć.

Błysnęło. Rozległ się pierwszy grzmot.

*

Diona pieszczotliwym gestem pogładziła błyszczącą politurę popielatego biurka, usiadła i rozejrzała się po pomieszczeniu. To, co widziała, sprawiało jej niewymowną radość, choć prawdę rzekłszy, nie bardzo było się czym zachwycać. Na stanowiącym komplet z biurkiem regale stał przeraźliwie samotny segregator, a puste półki zdążyły już pokryć się cienką warstwą kurzu. Ów regał, biurko, dwa krzesła i komoda, na której ustawiono czajnik, maleńki ekspres do kawy i tacę z filiżankami, stanowiły jedyne umeblowanie dość dużego pokoju, który dzięki skromnemu wyposażeniu sprawiał wrażenie opuszczonego.

Nie wpływało to jednak w żaden sposób na dobry humor właścicielki. Po raz pierwszy w swoim dwudziestodziwioletnim życiu Diona miała coś należącego wyłącznie do niej i nie zamierzała przejmować się brakiem pieniędzy na urządzenie biura. Wystarczało jej, że w ogóle je ma, zwłaszcza że jeszcze kilka miesięcy temu nie ośmieliłaby się nawet marzyć o własnej firmie i własnym domu.

Zmiany zapoczątkowała chęć poznania prawdy o śmierci biologicznego ojca. To w tym celu przyjechała tutaj, do małej wioski w Beskidzie Żywieckim, i właśnie tutaj odmienił się jej los. W myśl postanowień testamentu odziedziczyła piękne mieszkanie w nowym bloku w Jodłowcu, a także terenowy samochód i dość dużą kwotę pieniędzy, ulokowaną na rachunku bankowym.

Gdy wkrótce potem nadarzyła się okazja kupna niewielkiego domu w Strzygomiu, nie zastanawiała się ani chwili. Sprzedała mieszkanie i prawie nowe renault captur, pozbyła się też wszystkich pieniędzy, lecz dzięki temu stała się właścicielką posesji położonej w centrum wsi, opodal jadłodajni „U Mirabelki”. Lokalizacja była idealna. Z właścicielką lokalu, Mirosławą Belką, oraz z jej rodziną łączyły dziewczynę przyjazne stosunki, toteż nie zachodziła obawa, że na nowym miejscu czuje się samotna.

Na meble nie wystarczyło już pieniędzy i nowa właścicielka musiała zadowolić się tym, co pozostawił sprzedający. Nie zamierzała nad tym ubolewać, tym bardziej że ojczym obiecał wyposażyć biuro na swój koszt, traktując to jako wkład do spółki. Powtarzał tę obietnicę już przez dwa miesiące, co Diona przyjmowała ze stoickim spokojem. Grzegorz Imielski był chodzącym dowodem na to, że krążący po Internecie mem nie jest li tylko złośliwą oceną mężczyzn.

– Powiedziałem, że w przyszłym tygodniu kupię, i nie musisz mi o tym przypominać co miesiąc – mruknęła, dopasowując treść memu do sytuacji, po czym roześmiała się serdecznie. Kochała swojego przybranego ojca razem z jego wadami i słabostkami.

Podeszła do ekspresu z zamiarem zaparzenia kolejnej tego dnia kawy, gdy nad głową rozległ się brzęczyk oznajmiający, że ktoś otworzył furtkę, a zaskoczony dziewczynie drgnęła ręka i porcja kawy wylądowała nie w zasobniku, ale na komodzie. Diona zaklęła

szpetnie, lecz zamiast zlikwidować skutki wypadku, podskoczyła ku oknu, by zobaczyć, kto nadchodzi. Logika i rozsądek podpowiadały, że to zapewne jakiś akwizytor czy przedstawiciel handlowy zaintrygowany nowym szyldem. Do głosu doszedł jednak organ odpowiedzialny za produkcję optymizmu i dziewczyna z bijącym sercem czekała chwili, gdy nadchodząca postać wyłoni się zza rozrośniętej forsycji.

Idąca w stronę drzwi kobieta nie wyglądała na potencjalną klientkę agencji detektywistycznej. Czarna spódnica do pół łydki, ozdobiona dżetami kremowa bluzka i czółenka na niezbyt wysokim obcasie skojarzyły się dziewczynie z „niedzielnym” strojem, wkładanym na wyjście do kościoła, do lekarza lub na inną równie ważną okazję. Osoby preferujące ten styl ubierania wiekowo bardziej pasowały do pokolenia babci Diony, nie spodziewała się więc, że kobieta poszukuje detektywa.

Rozległo się krótkie, nieśmiałe pukanie. Dziewczyna już otworzyła usta, by zawołać, lecz naraz jakiś impuls kazał jej postąpić inaczej. Nacisnęła klamkę, otwierając drzwi przed gościem.

Kobieta była dużo młodsza, niż dziewczyna myślała, opierając swój osąd na krótkiej obserwacji zza na wpół zasuniętych żaluzji, choć i teraz określenie jej wieku z dokładnością większą niż dziesięć lat nastęrczyło pewnych trudności. We włosach w wyglądającym na naturalny kolorze gorzkiej czekolady nie srebrzyła się żadna siwa nitka, twarz o zdrowej, nietkniętej pudrem cerze wydawała się twarzą najwyżej czterdziestolatki. Ale zmarszczenie brwi i bruzdy wokół ust dodawały kobiecie lat, podobnie jak wargi, wygięte w dół w grymasie znamionującym gorycz i niezadowolenie.

Nieznajoma przystanęła w progu, spojrzała niepewnie na witającą ją młodą kobietę i zerknęła na trzymany w dłoni, mocno wymięty karteluszek.

– Dzień dobry. Czy zastałam panią Dionizę Remańską?

Mówiła cichym, wyważonym głosem, lecz niespokojne spojrzenie i nerwowe zaciskanie dłoni świadczyły, iż jest to opanowanie pozorne.

Diona uśmiechnęła się do nowo przybyłej i gestem zaprosiła ją do środka.

– To ja. Napije się pani kawy lub herbaty? A może woli pani coś chłodnego?

Kobieta sprawiała wrażenie oszołomionej. Dłuższy czas spoglądała podejrzliwie, jakby w obawie, że te proste pytania kryją w sobie jakiś podstęp, potem wolno podeszła do krzesła i usiadła sztywno na samym brzeżku.

– Poproszę kawę, jeśli to nie kłopot.

Remańska powściągnęła zniecierpliwienie wywołane ostatnią uwagą. Nie znosiła takich odpowiedzi, uważając je za kompletnie pozbawione logiki. Gdyby zrobienie kawy czy herbaty było kłopotem, to nie proponowałaby poczęstunku. Przywołała na usta przyjazny uśmiech, przeniosła filiżanki na biurko i usiadła, obserwując spod oka podenerwowanego gościa. W takich chwilach wolałaby wyręczyć się ojczymem, gdyż sama nie przejawiała zbyt wielkich zdolności dyplomatycznych. Niestety nie mogła tego zrobić, i stało się tak na jej własne życzenie.

Po zakupie domu wpadła na pomysł, by część parteru przeznaczyć na pomieszczenia biurowe, coś na kształt filii raczkującej agencji, dzięki czemu nie musiałaby codziennie pokonywać trasy pomiędzy Strzygomiem a Bielskiem. Dopóki jeździła tam do pracy, nie wydawało się to uciążliwe, ale prawie równocześnie z kupnem domu na gruncie zawodowym także nastąpiła zmiana. Diona uśmiechnęła się krzywo na wspomnienie faktu, że sama tę zmianę sprowokowała, namawiając pracodawcę na odkupienie od gminy ośrodka wypoczynkowego w Jodłowcu i wybudowania na jego terenie strzelnicy.

Nie spodziewała się wtedy, że Patryk Gartowski jest taki szybki w działaniu. Nie tracąc czasu na zbędne namysły, porozumiał się z władzami gminnymi, po czym natychmiast przystąpił do budowy modułowej strzelnicy oraz remontu starych i dosyć siermiężnych domków letniskowych, przekształcając je w wygodne, nowoczesnie wyposażone budynki. Zatroszczył się również o centralne ogrzewanie, aby można było z nich korzystać nie tylko w sezonie

letnim, na co wcześniej namawiała go Diona. Dzięki temu niemal natychmiast pojawili się klienci, zachęteni różnorodnością oferty, gdyż oprócz strzelnicy ośrodek dysponował też siłownią i proponował zajęcia fitness.

Zanim jeszcze nowy obiekt został oddany do użytkowania, Gartowski oddelegował Remańską do nadzoru nad inwestycją, a później powierzył jej obowiązki głównego instruktora strzelectwa. Dziewczyna nie miała więc potrzeby częstego odwiedzania Bielska-Białej, zwłaszcza że w niedawno otwartej agencji detektywistycznej nie pojawiło się jak na razie zbyt wielu klientów. Śledzenie żony podejrzewanej o zdradę, sprawdzenie, z kim zadaje się małaletnia córka, czy prześwietlenie przeszłości przyszłego męża – wszystko to z powodzeniem mógł załatwić Grzegorz Imielski, bez konieczności angażowania pasierbicy. Zajął się więc urządzaniem biura, lecz teraz wszystko było już gotowe i Diona zaczynała się nudzić. Lubiła nowe wyzwania w takim samym stopniu, jak nienawidziła bezczynności, toteż wizytę potencjalnej klientki potraktowała jako dar losu.

– Co panią do mnie sprowadza? – spytała, gdy milczenie trwało już zbyt długo. Najwyraźniej siedząca na brzeżku krzesła kobieta miała opory przed zdradzeniem powodów swojej wizyty.

– Ja... ja przyszłam... – zaczęła nieporadnie, lecz zachęcona przyjaznym spojrzeniem Diony wzięła głęboki wdech i wyrzuciła z siebie, prawie nie robiąc przerw między wypowiedzianymi słowami: – Chciałabym skorzystać z usług detektywa. Bo mam taki straszny problem. To znaczy mój syn ma problem. Zniknął bez śladu i jestem pewna, że nie żyje. Zgłosiłam się na policję, ale oni mają to gdzieś, a ja dobrze wiem, że go nienawidzili i na pewno to oni go zabili...

Urwała i zaniósł się płaczem, a Diona przygryzła wargi. Jak zwykle w takich sytuacjach nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić. Nie nadawała się na pocieszycielkę strapionych, jej domeną było działanie, nie słowa czy gesty, które zawsze uważała za bezsensowne, ponieważ w żaden sposób nie wpływały na rozwiązanie problemu. Najchętniej potrząsnęłaby solidnie szlochającą kobietą, by wydusić z niej w miarę spójną wypowiedź, gdyż z tego, co usłyszała, pojęła

niewiele. Nie podejrzewała, że nieznajoma rzeczywiście tkwi w przeświadczeniu, iż to policjanci nienawidzili jej syna i go zabili. To raczej chaos wypowiedzi nadał słowom takie znaczenie.

Odczekała jeszcze chwilę, dając kobiecie czas na opanowanie emocji, po czym oświadczyła, starając się zabrzmieć kojąco:

– Myślę, że musimy to jakoś uporządkować. – Przysunęła sobie kartkę i sięgnęła po długopis. – Zacznijmy od podstawowych informacji, czyli pani nazwiska i adresu. Jak się pani nazywa?

– Maria Pisarek. Mieszkam w Osinach. – Remańska zmarszczyła brwi, przywołując w pamięci mapę i usiłując zlokalizować wymienioną miejscowość. Pisarek zauważyła jej konsternację i uzupełniła wypowiedź: – Właściwie to mieszkam w Kaletach. Osiny to tylko osada. Ale kiedyś była odrębną wsią i jakoś trudno nam się przestawić.

Diona podziękowała za wyjaśnienie i zanotowała podane informacje, postanawiając, że później wypyta dokładnie Mirabelkę o dawny i obecny podział administracyjny regionu. Nie lubiła być niezorientowana.

– Powiedziała pani, że jej syn zniknął. Czy chce nam pani zlecić jego odszukanie?

Maria Pisarek zaprzeczyła ruchem głowy, jej oczy ponownie wypełniły się łzami.

– Za późno – jęknęła żałośnie. – On już nie żyje.

Remańska nie potrafiła ukryć powątpiewania.

– Skąd ta pewność? Równie dobrze mógł gdzieś wyjechać.

– Czuję to w sercu – odparła Pisarek z emfazą. – Niech mi pani wierzy, matki czują takie rzeczy.

Dla odmiany pokiwała głową z takim zapałem, że kilka kosmyków włosów wy dostało się z gumki i opadło na twarz. Odgarnęła je niecierpliwym gestem i spojrzała z nadzieją na Dionę, która z trudem powstrzymała się od przewrócenia oczami. Owszem, wierzyła w intuicję, ale w matczyne przeczucia już nie bardzo.

– Rozumiem – odrzekła ugodowo. – Czego w takim razie oczekuje pani ode mnie?

– Chcę, żeby pani udowodniła, że to mieszkańcy Osin zmówili się i wspólnie zabili Pawła – odpowiedziała Pisarek bez zastanowienia. – Od dawna go obmawiali, szykanowali i robili mu na złość, i w końcu go zabili.

Diona nie potrafiła ukryć powątpiewania.

– Pani Mario – zaczęła ostrożnie, nie chcąc szczerą opinią zrazić potencjalnej klientki. – Rozumiem, że czuje pani do nich żal i stąd te oskarżenia. Ale sama musi pani przyznać, że zmowa wszystkich mieszkańców dla zabicia jednego człowieka jest niezbyt prawdopodobna. Gdyby skutkiem niechęci zawsze było morderstwo nielubianej osoby, raz-dwa doszłoby do wyludnienia.

Maria Pisarek potrząsnęła głową z ubolewaniem, a jej wzrok mówił wyraźnie, że właśnie straciła złudzenia co do inteligencji Remańskiej.

– Jest pani jeszcze młoda i mało wie o życiu. Ale musiała pani czytać w gazetach albo przynajmniej słyszeć w telewizji o takiej wiosce, gdzie też mieszkańcy się zmówili. Tylko że tam, zdaje się, zabito całą rodzinę.

– Słyszałam – przyznała Diona z lekkim uśmiechem. – Ale to nie do końca prawda z tą zmovą. Tam zabójcami nie byli wszyscy mieszkańcy wioski, oni jedynie nie chcieli zdradzić organom ścigania, co wiedzą o sprawie, choć wiedzieli sporo i z całą pewnością znali nazwiska zabójców. W dodatku milczeli nie dlatego, żeby ich chronić, ale ze strachu przed zemstą. Sama pani widzi, że różnice są istotne.

Kobieta przyznała jej rację, lecz zrobiła to z namacalną wręcz niechęcią. Później, najwyraźniej zniecierpliwiona prowadzącymi donikąd rozważaniami, pochyliła się do przodu i wbiła w dziewczynę przenikliwy wzrok.

– To jak będzie, pani detektyw? Odszuka pani morderców mojego syna?

Diona skinęła wolno głową, nadal nie całkiem przekonana, czy postępuje słusznie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Paweł Pisarek nadal był wśród żywych i nie zamierzał wybierać się do lepszego ze światów. Zapewne to jeden z licznych przypadków, gdy

potomek, nie mogąc dłużej znieść apodyktyczności rodziców, postanawia zniknąć, zacierając za sobą ślady. Ale z drugiej strony samo odnalezienie osoby, która zrobiła wszystko, by nie zostać odnalezioną, może być niezłym wyzwaniem.

– Przyjmę to zlecenie, muszę jednak uprzedzić, że nie wygląda to zbyt różowo – zaczęła, chcąc uświadomić kobiecie, że powinna liczyć się z niepowodzeniem. Pisarek odebrała jej słowa inaczej i zachnęła się z oburzeniem.

– Może na to nie wyglądam, ale mam pieniądze. Nie musi się pani obawiać, że nie będę miała z czego zapłacić.

– Ale ja wcale...

Klientka przerwała jej niecierpliwym gestem, sięgnęła po portmonetkę i wyjęła z niej zwitek banknotów. Położyła je na biurku i przesunęła w stronę Diony.

– To zaliczka – odpowiedziała na pełne zdumienia spojrzenie Remańskiej. – Czy tyle wystarczy?

– Wystarczy – odparła Diona słabym głosem, zaskoczona ilością pieniędzy. – Zaraz wypiszę pokwitowanie.

Po załatwieniu formalności poprosiła Pisarek o wszelkie informacje o synu, włącznie z upodobaniami żywieniowymi czy nazwą ulubionego zespołu muzycznego. Nigdy nie można przewidzieć, czy kiedyś się nie przydadzą.

Według słów matki dwudziestodwuletni Paweł Pisarek zaginął w połowie lutego 2019 roku, a więc blisko pięć miesięcy temu. Poprzedniego dnia nic nie wskazywało na to, by miał zamiar gdzieś wyjechać, zachowywał się bowiem całkiem zwyczajnie i nawet dobrowolnie pomógł matce w domowych pracach, co nie zdarzało się zbyt często. Trzynastego lutego wstał rano w doskonałym humorze, zjadł przygotowane przez matkę śniadanie i bez ponaglenia uruchomił odkurzacz. Po skończonej pracy oświadczył, że wychodzi do kolegi. Trochę ją to zdziwiło, gdyż już od dawna nie utrzymywał z nikim bliższych kontaktów, nie dopytywała jednak o szczegóły, wiedząc, że Paweł tego nie lubi.

To był ostatni raz, kiedy go widziała. Syn do domu nie wrócił, a ona początkowo wcale się tym nie przejęła. Był dorosły, miał prawo

do swojego życia. Potem niepokój zaczął narastać, a po trzech dniach nabrała pewności, że musiało stać się coś złego, pojechała więc do Jodłowca, by w tamtejszym komisariacie zgłosić zaginięcie.

Tu Pisarek przerwała opowieść i zerknęła na Dionę nieco niepewnie.

– Dlaczego pani tak mi się przygląda? Nie robi pani notatek?

Remańska skrzywiła się lekko.

– Nie lubię pisać skrótami, a inaczej nie nadażyłabym notować. Nagrywam naszą rozmowę i potem zrobię z tego zapis na papierze. Proszę mówić dalej. Interesuje mnie przede wszystkim, jakie czynności podjęto w związku ze zgłoszeniem.

Teraz to Pisarek się skrzywiła, przybierając minę, jakby zjadła coś kwaśnego. Z jej słów wynikało, że policjant wprawdzie przyjął zgłoszenie, ale nie wydawał się przekonany, że Paweł Pisarek rzeczywiście zaginął, i dość jednoznacznie dawał zrozpaczonej matce do zrozumienia, iż chłopak z pewnością wyrwał się na dłużej spod zbyt restrykcyjnego rodzicielskiego nadzoru, zatem nie ma powodów do paniki.

– A ja wcale nie panikowałam – opowiadała oburzona klientka. – Byłam zaniepokojona, to oczywiste, ale myślałam, że może syn uległ jakiemuś wypadkowi i leży w szpitalu. Zdenerwowałam się i trochę nagadałam temu aspirantowi, i teraz tak sobie myślę, że on dlatego nie zajął się sprawą, jak należy.

– Czy jest możliwe, że policjant miał rację? – spytała Diona, a widząc minę kobiety, natychmiast dorzuciła: – Absolutnie nie zamierzam kwestionować pani słów. Po prostu chcę dowiedzieć się o Pawle jak najwięcej.

– Mówiłam już, że nie wyjechałby bez uprzedzenia. A gdyby nawet, to na pewno już dawno by wrócił. Ale w ogóle w to nie wierzę. Przecież zostawił wszystkie swoje rzeczy oprócz laptopa, nawet bielizny nie wziął na zmianę. To po prostu niemożliwe.

Remańska musiała się z nią zgodzić. Właśnie zaczął się lipiec, zatem nie mogło być mowy o chwilowej nieobecności i w grę wchodziły tylko dwie opcje – albo zniknął celowo, a wtedy niełatwo będzie go odnaleźć, albo rzeczywiście coś mu się stało.

- Z pani słów wynika, że mieszkacie tylko we dwoje. Proszę nie brać tego za wścibstwo. Muszę pytać o prywatne sprawy, żeby poznać zwyczaje syna. Nawet drobiazgi mogą okazać się ważne. Czy jego ojciec mieszka gdzieś w pobliżu was?

Pisarek uśmiechnęła się smutno.

- Można tak powiedzieć. Od lat spoczywa na cmentarzu w Osinach. Zmarł, kiedy Pawełek miał dziesięć lat.

Diona odnotowała tę informację i zadała następne pytanie:

- A co z dalszą rodziną? Dziadkowie, ciocie, kuzyni. Może któreś z nich coś wie?

Kobieta oświadczyła, że nikt taki nie istnieje, a widząc niedowierzanie detektywki, udzieliła obszerniejszych wyjaśnień:

- Mąż był jedynakiem; jego rodzice zmarli wkrótce po naszym ślubie. A ja byłam panieńskim dzieckiem i nigdy nie dowiedziałam się niczego o ojcu. Moi dziadkowie wyrzekli się mamy, wyrzucili ją z domu i musiała zamieszkać z babką. Nie miałyśmy z nimi żadnego kontaktu i nie mam pojęcia, czy nadal żyją. Dziesięć lat temu matka wyjechała do Niemiec i została tam na stałe, tak więc nie mieliśmy z Pawełkiem nikogo, kogo można by nazywać rodziną. Byliśmy zdani tylko na siebie i na łaskę Bożą.

Remańska w zamyśleniu potarła długopisem czoło, rysując na nim spory zygzak. Ponownie przyjrzała się dyskretnie klientce, która wydawała jej się kobietą pełną sprzeczności. Sądząc z zasobu słownictwa, była wykształcona, co niezbyt korespondowało z przedstawionymi informacjami. Czy odrzuconą przez rodziców samotną matkę byłoby stać na wykształcenie córki? I czy w ogóle chciałyby to zrobić? Diona doskonale wiedziała, że w takich małych miejscowościach kształcenie dzieci, zwłaszcza dziewcząt, nie stanowiło priorytetu. Dziewczyna miała wyjść bogato za mąż, być dobrą żoną, matką i gospodynią, a wszystko ponad to uważano za nowomodne fanaberie. Pod tym względem mentalność mieszkańców tkwiła jeszcze w początkach ubiegłego wieku.

- Może syn postanowił odszukać pradziadków? - zasugerowała bez większego przekonania, wyłącznie po to, by przełamać panującą już zbyt długo ciszę.

Odpowiedziało jej lekceważące prychnięcie, a i mina Pisarek świadczyła o zwątpieniu w jasność umysłu detektywki.

– Oni na pewno już nie żyją. To po pierwsze. A po drugie, po co miałby to robić? Jest nam dobrze we dwoje i nie potrzeba nam kontaktu z kimś, kto mnie nie chciał.

– Pewnie ma pani rację, ale mimo to proszę o jakieś namiary na nich. Nigdy nic nie wiadomo. Może syn liczył na spadek?

Kobieta westchnęła rozdzierająco, ale posłusznie otworzyła torebkę i po przegrzebaniu jej zawartości wydobyła mały, niezbyt gruby notes. Przekartkowała go, po czym położyła na biurku, zaznaczywszy uprzednio odpowiednią stronę za pomocą paragonu użytego zamiast zakładki.

– Nazywali się Malec – mruknęła niechętnie. – Zygmunt i Helena. Mieszkali w Pietrzykowicach. Tu ma pani adres. – Podsunęła notes, a później z ponurą miną obserwowała Dionę przepisującą dane. – Ale to będzie strata czasu. Paweł nie miał powodu, by ich szukać. I na pewno nie chodziło mu o spadek. Wystarcza nam to, co mamy.

Tym samym przeszły do kwestii, którą Diona od początku zamierzała wyjaśnić i tylko czekała sposobnej chwili.

– Czy syn gdzieś pracował?

Maria Pisarek wyglądała na wręcz oburzoną.

– Oczywiście, że nie. Przecież niedawno ukończył szkołę, musiał sobie trochę odpocząć. Stać mnie na utrzymanie jedyne go syna!

Remańska pomyślała, że ów trwający trochę odpoczynek nieco się chyba przeciągnął, ale przezornie zmilczała, nie chcąc rozgniewać potencjalnej klientki. Stwierdziła, że równie dobrze dowie się od sąsiadów, dlaczego dwudziestodwulatek nadal żył na garnuszku mamusi, mimo że nie podjął studiów. Gdyby przyczyną była choroba, Pisarek zapewne poinformowałaby ją o tym.

Zdecydowała, że na dziś wystarczy już pytań. Teraz powinna porozmawiać z którymś z policjantów służących w Jodłowcu, bo może miejsce pobytu zaginionego zostało już dawno ustalone i zatajone przed matką na wyraźne życzenie syna. Zapisała więc adres klientki i obiecała, że wkrótce pojawi się w osadzie, by rozpytać sąsiadów.

Diona dość długo spoglądała przez okno, odprowadzając wzrokiem zmierzającą ku furtce Marię Pisarek, i zastanawiała się, czy uczyniła słusznie, przyjmując tę sprawę, w dodatku bez porozumienia z ojczymem. Wreszcie sięgnęła po komórkę i wyszukała odpowiedni numer. Odczekała kilka sygnałów, a gdy nikt nie odebrał, wybrała inny. Tym razem rozmówca zgłosił się natychmiast, a dziewczyna uśmiechnęła się, usłyszawszy przezwisko, którym ojczym obdarzył ją w dzieciństwie.

– Cześć, szcurku. Co słychać w wiosce strzyg?

– Zdobyłam pierwszą poważną klientkę – oznajmiła natychmiast po powitaniu. – Matka poszukująca syna, który prawdopodobnie miał serdecznie dość jej wtrącania się do wszystkiego i zwyczajnie dał w długą. Ale ona żyje w przeświadczeniu, że chłopak nie żyje. Matczyne przecucie, rozumiesz, tatek?

Ku jej zdziwieniu Imielski ani się nie roześmiał, ani nie wyraził poparcia dla tej teorii, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał poważnie.

– Nie wykpiwaj matczynej intuicji. Zdziwiłabyś się, jak często potrafi być trafna. Opowiedz mi więcej o tej sprawie.

Diona zrelacjonowała dokładnie przebieg rozmowy z Marią Pisarek, opowiedziała też, co zamierza najpierw zrobić.

– Porozumiem się z Lipskim. Może będzie mógł mi pomóc. Kiedy przyjedziesz?

Gdy Diona zdecydowała się przeznaczyć sporą część parteru na siedzibę nowo powstałej firmy, ojczym obiecał, że jeśli pojawi się jakiś klient, przyjedzie natychmiast, by ją wspomóc, gdyż nie chciał, by pasierbica przez obowiązki detektywa zaniedbała pracę w strzelnicy. Teraz jednak nie wypowiedział słów, na które czekała. Milczał przez chwilę, potem odchrząknął i wyznał:

– Przykro mi, ale na razie nie mogę.

– Jak to?! Przecież obiecywałeś, że...

– Wiem dobrze, co obiecywałem – warknął w odpowiedzi. – Ale przyjąłem już inne zlecenie i muszę się nim zająć. Przecież się nie rozdwoję! – zakończył z taką irytacją, że Diona nie spytała już o nic.

Później zastanawiała się, co takiego mogło być w tym zleceniu, iż sama wzmianka o nim wyprowadziła ojczyma z równowagi, jednak

nie zdążyła dojść do żadnych wniosków, gdyż rozległ się dzwonek telefonu. To oddzwaniał Marcin Lipski, z którym pozostawała w koleżeńskich stosunkach, choć policjant nieraz dawał jej do zrozumienia, że chętnie zamieniłby koleżeństwo w bliższy i bardziej intymny związek. Ona jednak obracała jego podchody w żart, mimo że Marcin podobał jej się jako mężczyzna. Wszystko przez to, że nie do końca była pewna, czy znów nie zostanie zraniona, co więcej, nie wiedziała, czy będzie umiała jeszcze kiedyś komuś zaufać.

– Pamiętam to zgłoszenie – oświadczył po wysłuchaniu opowiadania o Pawle Pisarku. – Przyjął je mój ojciec i z tego, co później mówił, wynika, że jego odczucie było zbliżone do twojego. Nie wiem, jaki jest obecnie status sprawy. Mogę się dowiedzieć, ale myślę, że najlepiej będzie, jeśli sama porozmawiasz z tatą. – Po krótkiej przerwie zaproponował: – Może pójdziemy na kawę? Będę mieć wolny weekend.

– Oo! – Diona nie powstrzymała okrzyku zaskoczenia. – Czyżby cała przestępczość w Żywcu została zlikwidowana?

Marcin przez pewien czas pełnił obowiązki komendanta komisariatu w Jodłowcu, lecz szczerze nienawidził tego zajęcia i przy pierwszej sposobności upomniał się u szefa żywieckiej dochodzeniówki o obiecany etat. Naczelnik Cichostępski dotrzymał słowa i tym sposobem starszy aspirant Lipski trafił do wydziału dochodzeniowego.

Starszy aspirant Marcin Lipski – doprecyzowała w myślach, mając na względzie fakt, że jego ojciec nosił ten sam stopień. Później wymieniła jeszcze z Marcinem kilka uwag, wreszcie rozłączyła się, by zadzwonić do Dariusza Lipskiego i zaprosić go na kawę do lokalu „U Mirabelki”.

Rozdział 2

Trup, którego nie było

3 lipca 2019

Od początku swojego pobytu w Strzygomiu Diona stołowała się u Mirabelki. Nie umiała i nie lubiła gotować, natomiast bardzo lubiła dobrze zjeść. Teraz na samą myśl o serwowanych tam smakowitych potrawach poczuła ssanie w żołądku, czym prędzej więc wywiesiła na drzwiach stosowną informację i śpiesznym krokiem ruszyła w stronę sąsiedniej ulicy, chcąc jak najszybciej zasiąść nad talerzem parującej zupy. Nie zdążyła zjeść śniadania, a zbliżało się już południe, nic więc dziwnego, że organizm domagał się porządnej dawki kalorii.

Ciekawiło ją niezmiernie, co też starszy Lipski powie jej o Pawle Pisarku. Czy również uważa, że chłopak uciekł, nie mogąc znieść nadopiekuńczości matki? Jak na razie kobieta nie przedstawiła żadnych faktów każących przypuszczać, że jej syn padł ofiarą przestępstwa, prócz może ogólnej niechęci sąsiadów. Ale to stanowczo za mało. Tak jak powiedziała Pisarkowej, gdyby ludzie mordowali dlatego, że kogoś nie lubią, ziemi od razu przestałoby grozić przeludnienie. *Może byłoby to dobrym wyjściem? Ludzkość naprawdę by nie ucierpiała, gdyby wyeliminowano niektóre jednostki*, skonstatowała w myślach i rozbawiona swoim wnioskiem pchnęła drzwi jadłodajni „U Mirabelki”.

Dariusz Lipski stanął w drzwiach w chwili, gdy dziewczyna wkładała do ust ostatnią kluskę śląską, obficie unurzaną w gulaszu.

Przełknął ślinę i spojrzał tęsknie w stronę okienka podawczego, na którym czyjaś ręka właśnie stawiała wypełniony po brzegi talerz. Po chwili przed okienkiem stanęła córka Mirabelki, Agata Drawicz. Położyła talerz na tacy i ruszyła w stronę Diony.

– Nie powiesz mi chyba, że zjesz drugą taką porcję – nie dowierzał Dariusz.

– Nie powiem, tylko zjem. – Diona uśmiechnęła się do starszego mężczyzny, którego serdecznie lubiła. – Czemu sobie nie zamówisz? Naprawdę warto. W życiu nie jadłam lepszego gulaszu, a te kluski to po prostu marzenie.

– Nie mogę – westchnął policjant. – Żona by mnie zabiła, gdybym nie zjadł obiadu w domu.

– Oj tam, oj tam. – Dziewczyna machnęła ręką. – W domu zjesz drugi i będzie git.

Lipskiemu rozbłyły oczy.

– A wiesz, to jest myśl. Czemu nigdy na to nie wpadłem? Przynies mi, Agatko, to samo – poprosił, gdy Drawiczowa podeszła do stolika. – Nasza Dionka narobiła mi smaku.

Wkrótce on także zajął się zmiataniem z talerza smakowitej potrawy. Diona skończyła pierwsza, pozostawiając kilka klusek i kawałków mięsa.

– Uff, wreszcie czuję się najedzona – westchnęła, klepiąc się po płaskim brzuchu.

– Nie będziesz już tego jadła?

Gdy potwierdziła, mężczyzna szybko zgarnął kluski i mięso na swój talerz, tłumacząc przy tym, że grzechem byłoby zmarnować takie pyszne jadlo. Poczekała, aż skończy się posilać, po czym zapytała o Pawła Pisarka. Dariusz wzruszył ramionami.

– Powiedziałem tej głupiej babie, żeby lepiej trzymała język za zębami. Oskarża wszystkich dookoła, nazywa sąsiadów mordercami, a potem będzie płacz, jak ktoś się wkurzy i poda ją za to do sądu.

– A co ty myślisz o samej sprawie? Jeżeli to nie tajemnica. Nie chciałabym, żebyś przeze mnie miał kłopoty.

– Ejże, dziewczyno, co naraz taka delikatna się zrobiłaś? – zreflektował się nagle. – Poprzednio nie miałaś takich skrupułów.

Roześmiał się, ucieszony na widok jej zmieszania. Lubił się z nią droczyć i w duchu odmawiał modły za powodzenie zabiegów Marcina. Chciałby mieć ją za synową. Diona natomiast, nieświadoma myśli Dariusza, zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, o co dokładnie chciała go zapytać.

– Jaki właściwie był Paweł? Jest – poprawiła się natychmiast. – Bo odniosłam wrażenie, że jego matka jest chyba trochę nadopiekuńcza.

Starszy aspirant ryknął śmiechem.

– Trochę?! Brawo, udało ci się wypowiedzieć eufemizm roku. – Znowu zarechotał, wreszcie spoważniał. – Na jego miejscu wiałbym od takiej mamuski na drugi kraniec świata albo jeszcze dalej. Jakby mogła, toby go pod spódnicę schowała, żeby się nie stykał z niebezpiecznym światem.

Remańska odniosła takie właśnie wrażenie, więc opinia Lipskiego jej nie zaskoczyła. Ciekawiło ją natomiast, czy w innych spostrzeżeniach także będą zgodni.

– Co do samego Pawła, to chyba takie życie mu odpowiadało – orzekła z lekkim skrzywieniem ust. – Mamusia karmiła, oprała, odprasowała i pewnie jeszcze wsuwała drobne do kieszeni, żeby syneczek nie był bez grosza. Życie nie umierać.

Ton jej głosu kłócił się z sensem wypowiedzianych słów i Lipski popatrzył na nią z aprobatą. Przeczynał, że siedząca naprzeciwko niego młoda kobieta prędeziej wolałaby umrzeć niż wieść pasożytnicze życie.

– Zgadzam się ze wszystkim oprócz tych drobnych – odpowiedział, widząc, że Diona czeka na jakiś komentarz. – Podobno miał całkiem sporo kasy, co sąsiadów bardzo dziwiło, bo od chwili, gdy dwa lata temu ukończył technikum, nie udało mu się podjąć żadnej pracy, a Pisarkowa, chociaż chwali się na prawo i lewo, ile to matka przysyła jej z Niemiec pieniędzy, raczej nie dysponuje wielkim majątkiem. Inaczej nie brałaby chwilówek, gdy przychodzi pora zakupić opał na zimę.

Chwilówki? To słowo zbiło młodą kobietę z pantałyku, stało bowiem w rażącej sprzeczności z opinią o Pisarkach, którą wyrobiła

sobie podczas spotkania z klientką. Zaraz jednak porzuciła ten wątek, by przejść do fundamentalnej kwestii. Podejrzewała, że odpowiedź będzie pozytywna, a wówczas temat umrze śmiercią naturalną.

– Znaleźliście go? – spytała wprost, nie mając cierpliwości do podchodów. – Domyślam się, że zrobił to, o czym mówiłeś, czyli uciekł na koniec świata. W ogóle mu się nie dziwię. Darku, ja wcale nie chcę wiedzieć, gdzie on przebywa. Wystarczy mi informacja, że żyje i miewa się dobrze. Przekażę to matce i będzie po sprawie.

Ale Dariusz pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie znaleźliśmy. Nie udało nam się natrafić na żaden ślad. U nas Paweł Pisarek nadal ma status osoby zaginionej.

Remańska była tak pewna prawdziwości swojej hipotezy, że nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– O w mordę! Czyli co? Uważasz, że matka ma rację i chłopak nie żyje?

Lipski znowu zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wiem, co mam myśleć – przyznał szczerze. – Faktem jest, że Pisarek nie był lubiany przez sąsiadów, ale ni cholery nie mogłem się dowiedzieć, czym zawinił, że nienawidzą go jak zarazy. Niemal wszyscy, więc Pisarkowa na pewno sobie tego nie wymyśliła. A gdy się weźmie to pod uwagę, podejrzania matki nie wyglądają już na całkiem pozbawione sensu. Dlatego mam wątpliwości. I nie tylko ja. Prokurator też nie ma pojęcia, która wersja jest bardziej prawdopodobna.

Diona musiała teraz na szybko zrewidować swój pogląd na tę sprawę, zamilkła więc na dłuższy czas, przetrawiając słowa Lipskiego, który wykorzystał przerwę w rozmowie na zajęcie się stygnącym posiłkiem. Pozwoliła mu na to, choć już po kilku minutach miała gotową nową hipotezę i bardzo chciała jak najszybciej ją zweryfikować. Ale czekała cierpliwie, aż skończy, wiedząc dobrze, że policjant nie zawsze ma okazję do zjedzenia obiadu o przyzwoitej porze.

Aspirant wreszcie z błogim westchnieniem odsunął talerz, a ona natychmiast przystąpiła do dalszej części indagacji.

– Macie coś więcej? Coś, co dałoby mi jakiś punkt zaczepienia?

– Przykro mi, ale nie. Czynności poszukiwawcze nie przyniosły żadnych rezultatów. Po opublikowaniu fotografii Pisarka zgłosiło się wprawdzie kilka osób mających rzekomo informacje o zaginionym, ale sama wiesz, jak to jest. – Lipski zamaszystym rozłożeniem rąk omal nie stracił stojącego pośrodku stołu wazonika z kwiatami. – Ktoś przypominał go z wyglądu, komuś się zdawało, a jeszcze inni wprawdzie rzeczywiście spotkali Pisarka, ale na długo przed zaginięciem.

– Czyli kicha?

Potwierdził ruchem głowy, po czym uzupełnił:

– W każdym razie jedno jest pewne: nie ma narzędzia zbrodni ani miejsca zbrodni. Nie ma nawet trupa, więc śledztwa w sprawie zabójstwa także nie ma. Ale tego chyba nie muszę ci tłumaczyć.

Diona przyznała uczciwie, że w ogóle o tym nie pomyślała, gdy zastanawiała się, dlaczego prokurator odmówił wszczęcia śledztwa w sprawie zabójstwa Pisarka. Tymczasem odpowiedź była banalnie prosta. Dopóki nie odnajdzie się ciało, w statystykach policyjnych chłopak pozostanie zaginionym.

Rozmowa z uczynnym aspirantem Lipskim nie przebiegła całkiem po myśli Remańskiej. Dziewczyna właśnie zamierzała zadać kolejne pytanie, gdy przerwał jej sygnał telefonu. Policjant odebrał, jakiś czas słuchał w milczeniu, wreszcie rzucił krótkie „zaraz będę” i odłożył telefon, patrząc przy tym przepaszająco na Dionę.

– Muszę jechać, komendant mnie wzywa. Pogadamy innym razem.

Pośpiech, z jakim zakończył ich spotkanie, świadczył, że wezwanie jest z gatunku niecierpiących zwłoki, skinęła więc tylko głową ze zrozumieniem.

– Odprowadzę cię do samochodu. – Wstała również i skierowała się do wyjścia. – Jaki jest wasz nowy szef? Miałam takie urwanie głowy, że całkiem zapomniałam o zmianach w komisariacie.

Dariusz przystanął u podnóża schodków i zastanawiał się przez chwilę, nim udzielił odpowiedzi.

– Jak dla mnie w porządku. Konkretny, nie wymaga cudów i nie żąda wyników za wszelką cenę. Niektórzy z chłopaków narzekają, bo

nie daje sobie mydlić oczu, tępi tumiwisizm i nie znosi kapusiów, ale mnie on pasuje.

Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, z aprobatą.

– Ja też pewnie bym się z nim dogadała. Jak się nazywa ten biały kruk wśród komendantów?

– Ogiński. Jak ten od poloneza. – Aspirant parsknął śmiechem na widok miny Remańskiej. – Nie ma co się tak dziwić. Mogą ludzie nazywać się Jagiełło, Krasicki czy Sienkiewicz, to dlaczego nie tak? Nadkomisarz Szymon Ogiński. Zajrzyj kiedyś do komisariatu, to będziesz miała okazję poznać go osobiście. Teraz muszę już jechać. Cześć.

Dezaktywował alarm i ruszył w stronę samochodu. Diona obserwowała go przez jakiś czas, po czym zawróciła do sali jadalnianej, by wypić kawę i w spokoju zastanowić się nad planem działania.

*

Wiatr ucichł tak nagle, jakby ktoś odciął go od zasilania. Gdzieś daleko przetoczył się głośny grzmot, potem drugi, już słabszy. Ale tutaj nastał nagły spokój, choć niebo nadal zasnuwały ciemne, ciężkie chmury.

– Chyba przejdzie bokiem – odezwał się jeden z wędrowców.

Jego towarzysz mruknął coś w odpowiedzi i skierował się prosto w leśną gęstwinę. Stany pogodowe były mu całkowicie obojętne.

Las zastygł w pełnym napięcia oczekiwaniu, gdy dwaj mężczyźni przekroczyli jego granicę i zagłębili się w przedburzowy półmrok, schylając głowy, by przejść pod zwieszającymi się niemal do ziemi gałęziami.

Piękne są te buki, pomyślał pierwszy. Młode i giętkie. One nie złamią się pod naporem wichrów. Nie są takie słabe jak ja.

Drugi nie dostrzegał w drzewach niczego szczególnego, nie snuł rozważań o ich pięknie i wytrzymałości. Napędzały go zupełnie inne

myśli. Rozglądał się uważnie w poszukiwaniu upatrzonego miejsca i co chwilę zerkał niespokojnie na towarzysza. Bał się, że tamten wkrótce zniecierpliwi się i zapyta o lokalizację punktu, do którego przedzierali się przez krzaki, przełazili przez pnie powalonych wicherą drzew i bezładnie porzucone stopy gałęzi pozostałych po wstępnej obróbce drewna.

Wyciągnął go na wycieczkę zaraz po mszy, wciskając historyjkę o odkryciu nietypowego dla tej okolicy drzewa. *Dobrze jest czasem wiedzieć, jakie kto ma hobby*, chwalił sam siebie w myślach za spryt i szybki refleks.

Wreszcie dojrzał miejsce, do którego zmierzali. Nadawało się wręcz idealnie do realizacji naprędce wymyślonego planu. Grupa rozłożystych buków otaczała jak kordonem potężny, wysoki, zwężający się ku górze pień. Szeroko rozrośnięte konary pokryte gęstwiną liści spletały się z gałęziami olbrzyma, ciężkimi od ciemnozielonych, płaskich, długich i miękkich igieł. Żeby dostać się w pobliże drzew, należało przecisnąć się pomiędzy spoczywającymi tam od wieków głazami, wyrastającymi bezładnie z ziemi, jakby kiedyś jakiś olbrzym rozrzucił je tam od niechcienia.

Lata miną, nim ktoś coś zauważy, pomyślał i skierował się prosto w ich stronę.

– Jeszcze tylko kawałek – wydyszał, odwracając głowę w stronę swojego towarzysza, i wierzchem dłoni starł z czoła grube krople potu.

Tamten odpowiedział coś, czego nie dosłyszał, gdyż krew dudniąca w skroniach zagłuszyła słowa. Zauważył jednak, że idący za nim mężczyzna nie przejawiał żadnych oznak zmęczenia, i targnął nim gniew. Jakim prawem ten miastowy bubek ma lepszą kondycję niż on, góral z dziada pradziada? O zaleceniach lekarza, nakazujących ograniczenie ilości wypijanych piw i wypalanych papierosów, wolał nie pamiętać.

Wreszcie dotarli do celu. Panował tu jeszcze większy półmrok, zacierający kontury pni i nadający otoczeniu nierzeczywisty wymiar.

Mężczyzna zrzucił z ramion plecak i wyjął z niego długi, gruby sznur. Znów zagłębił rękę w czeluści plecaka i po chwili obok powrozu znalazły się duży nóż, szesnastokartkowy zeszyt w kratkę oraz długopis.

W tym czasie drugi z wędrowców chodził dookoła potężnego pnia o grubej, czerwonobrazowej korze. Co jakiś czas popatrywał na zwieszające się jasnobrązowe, postrzępione szyszki i mruczał coś do siebie.

– To dagleżja – oznajmił radośnie. – Nie miałem pojęcia, że występuje w tych okolicach. Ale z drugiej strony nie powinienem się dziwić. Przecież od Bielska-Białej nie dzieli nas jakaś wielka odległość, a to gdzieś w pobliżu tego miasta odkryto w ubiegłym roku ogromną dagleżję, którą uznano za najwyższe drzewo w Polsce.

Pierwszy z mężczyzn nie słuchał tego wywodu. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Rozejrzał się czujnie, po czym złapał nóż i w kilku susach znalazł się za plecami mówiącego. Przytknął mu ostrze do gardła i wycedził przez zęby:

– Dostyc tego gadania. Pora dopełnić formalności.

*

Późnym popołudniem Diona znów pojawiła się u Mirabelki, licząc na to, że właścicielka lokalu znajdzie wolną chwilę i będą mogli porozmawiać. Mira Belka była prawdziwą skarbnicą wiadomości o mieszkańcach nie tylko Strzygomia, ale i okolic.

Dionizie dopisało szczęście. Agata wydała właśnie posiłek ostatniemu z klientów, co oznaczało, że obie kobiety będą mogły spokojnie porozmawiać bez konieczności odrywania się od pracy. Remańska zaprosiła je do stolika w rogu i podeszła do długiego stołu, gdzie znajdował się termos z wrzątkiem. Wzięła z tacy trzy filiżanki, nasypała kawy i podstawiła pod kranik. Zanim ostatnia kawa zdążyła się zaparzyć, do stołu podeszła Agata, a parę minut później pojawiła się jej przyjaciółka, Ewa Kotlewska.

– Ciocia zaraz przyjdzie, tylko skończy doprawiać sos.

Z komiczną miną wywróciła oczami, na co Diona roześmiała się serdecznie. Mirabelka była właścicielką lokalu tylko *de nomine*, w rzeczywistości należał on do Agaty i Ewy. Nie wpływało to jednak w żaden sposób na opinię Belki, że takie smarkule nic nie wiedzą o gotowaniu, i żadna siła – ani boska, ani ludzka – nie była w stanie przekonać kobiety, że doprawią sos czy zupę tak samo dobrze jak ona.

Remańska ustawiła trzecią kawę na tacy i sięgnęła po czwartą filiżankę, co spotkało się z protestem Kotlarskiej.

– Dla mnie nie rób. Zaraz sobie pójdę, nie będę wam przeszkadzać.

– Nie bądź głupia. Nie zamierzam poruszać spraw objętych tajemnicą państwową, chcę tylko poplotkować o mieszkańcach Kalet. Znasz tam kogoś?

Ewa po krótkim namyśle skinęła głową i sama podsunęła filiżankę pod kranik.

– Mam tam dalekich krewnych. Ale oni nie mieszkają w samych Kaletach, tylko w osadzie Osiny.

Diona omal nie poskoczyła z radości. Od uzewnętrznienia uczuć w tak spektakularny sposób powstrzymała ją tylko trzymana w rękach taca. Czym prędzej odniosła ją na stolik i zwróciła się do Kotlarskiej:

– Ewka, chyba z nieba mi spadłaś, bo właśnie Osiny miałam na myśli. – Zauważyła na twarzy Ewy grymas niechęci i tknięta złym przecuciem spytała: – Coś nie tak? Czemu się tak krzywisz, jakbyś zeżarła cytrynę i popiła octem?

Ewka usiadła przy stoliku. Podniosła do ust filiżankę, lecz nie zrobiła ani łyku, tylko spoglądała czujnie zza tej zasłony.

– Kto z mieszkańców Osin cię interesuje?

– Nie znoszę, kiedy ktoś odpowiada pytaniem na pytanie – sarknęła Diona. – Ale niech ci będzie. Wszyscy.

– Co: wszyscy? – włączyła się Agata.

– Wszyscy mnie interesują – sprecyzowała, nie odrywając wzroku od Kotlarskiej, która znów się skrzywiła.

– Tego się obawiałam. Wynajęła cię Pisarkowa, żebyś udowodniła, że mieszkańcy osady się zmówili i wspólnie zamordowali tego trutnia? Ja ci w tym nie pomogę!

Ewa wstała tak gwałtownie, że trącone krzesło zachybotało na dwóch nogach, po czym przechyliło się jeszcze bardziej. Już miało grzmotnąć o podłogę, gdy przytrzymała je czyjaś dłoń. To Mirabelka podeszła niepostrzeżenie do zajętych rozmową młodszych kobiet.

– Siadaj! – poleciła ostro i poparła nakaz ruchem ręki.

Kotlarska usłuchała, lecz jej niezbyt urodziwa twarz wykrzywiła się w grymasie uporu, gdy zwróciła się do starszej kobiety:

– Ciociu, może tego nie zauważyłaś, ale ja nie mam już dziesięciu lat, żebyś mówiła mi, co mam robić.

Belka tylko prychnęła lekceważąco.

– Może i wiekiem jesteś starsza, ale rozumu dalej masz tyle, co dziesięciolatka. Kto doprowadził do uwolnienia twojego męża?

– Ona.

Belka udała, że nie zauważa, iż odpowiedź bardziej przypominała warknięcie, i uśmiechnęła się z satysfakcją.

– No właśnie. Ona. Dioniza Remańska, która nie dała wiary ani świadkowi, ani policji, ani nawet prokuratorowi. Gdyby nie Diona, obie z Agatą przez najbliższe dwadzieścia lat oglądałybyście mężów tylko podczas widzeń.

Ewka zagryzła wargi, na jej policzki wypląnął rumieniec. Mimo to nie zamierzała składać broni.

– Wiem o tym i jestem jej za to wdzięczna. Zawsze będę. Ale to nie znaczy, że muszę jej pomagać, kiedy chce wrobić...

– Nic nie zrozumiałaś – przerwała jej Mirabelka. – Diona nie miała żadnego interesu w uniewinnieniu Bogdana i Mariusza. Ale zajęła się sprawą, bo przeczuwała, że są niewinni. Jest zbyt uczciwa, by kogoś wrabiać.

Remańska miała już dość mówienia o niej jak o nieobecnej, prócz tego czuła się skrępowana pochwałami Belki. Wcale nie uważała, że dokonała czegoś wyjątkowego, i wolałaby nie wysłuchiwać peanów na swoją cześć. I co najważniejsze, rozmowa jak na razie wiodła donikąd i nic nie wskazywało, by miało się to zmienić.

– Przepraszam, ciociu – zwróciła się do Mirabelki. – Sama to załatwię. Ewka, przecież też masz dzieci. – Spojrzała Kotlarskiej prosto w oczy. – Chciałabyś żyć w niepewności jak Pisarkowa?

– To było poniżej pasa – warknęła Kotlarska.

Chciała coś dodać, lecz Diona uciszyła ją stanowczym gestem.

– Być może, ale zrozum. Ta kobieta od pięciu miesięcy czeka na jakąś informację o dziecku. Nie krzyw się tak. Wiem, że Paweł Pisarek jest dorosły, ale dla niej zawsze pozostanie dzieckiem, o które trzeba się martwić. Obiecałam jej, że go odnajdę. Żywego lub martwego. I mam zamiar dotrzymać słowa.

– No właśnie – stwierdziła Ewa gorzko. – To, że mieszkamy na zadupiu, nie oznacza, że nie wiemy, co się dzieje w kraju. Aresztowania niewygodnych osób, parcie na wyniki i rządząca całym tym interesem statystyka.

Diona poczuła krew napływającą do twarzy i z najwyższym trudem zapanowała nad wściekłością. W tej chwili szczerze żałowała, że na miejscu Kotlarskiej nie siedzi jakiś „kark”, którego mogłaby sprowokować, a potem solidnie mu dołożyć. To pomogłoby rozładować napięcie znacznie szybciej niż łagodna perswazja.

– Posłuchaj, Ewka – spróbowała raz jeszcze. – Może ci to umknęło, ale ja już jakiś czas temu odeszłam z policji. Nie zamierzam nikogo w nic wrabiać. Chłopak zniknął i muszę wyjaśnić, co się z nim stało. Na ten moment nie wiem, czy rzeczywiście nie żyje, bo jak na razie to tylko niczym niepoparte przeświadczenie matki. Mam nadzieję, że wyjechał i miewa się dobrze. Ale jeżeli jest inaczej, znajdę tego, kto go zabił, i wtedy nie będzie miało znaczenia, czyją jest rodziną. A może wolałabyś, żeby zabójca chodził na wolności tylko dlatego, że jest twoim dalekim krewnym?

Umilkła i siląc się na obojętność, upiła odrobinę wystygłej kawy. Czekwała. Nie dodała nic więcej, bo wszystko zostało już powiedziane. Jeśli nie zdołała przekonać Kotlarskiej, żadne inne słowa tego nie zmienią.

Ewa ze wzrokiem wbitym w obrus obracała w dłoniach filiżankę i rozważała coś w myślach, co jakiś czas potrząsając głową. Sprawiała wrażenie, jakby się z kimś kłóciła. Diona dopiła kawę,

dając jej jeszcze kilka minut na podjęcie decyzji, wreszcie stwierdziła, że dalsze czekanie nie ma sensu.

– Przyjdę wieczorem, ciociu, to porozmawiamy – zwróciła się do Belki, wstając od stołu. – Na razie. Dziękuję za obiad, jak zwykle był pyszny.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie z osady nie znoszą Pisarka – odezwała się nagle Ewka. – Ale wiem, że nie zawsze tak było. Córka mojej kuzynki trochę się z nim kumplowała. Chodzili razem do podstawówki i on nieraz ich odwiedzał. Potem przestał, a jego osoba stała się tabu.

Remańska wolno usiadła z powrotem i uśmiechnęła się ciepło do Kotlarskiej, której zatroskana mina świadczyła, że kobieta nie całkiem jeszcze wyzbyła się obaw.

– Nie domyślasz się, co spowodowało tę zmianę nastawienia?

– Naprawdę nie wiem. Najpierw myślałam, że pokłócił się z Natalią, a ona poskarżyła się rodzicom. Ale wtedy tą niechęcią nie zaraziłaby się cała osada. Kiedyś próbowałam podpytać Natkę, ale skończyło się napadem złości, więc dałam sobie spokój.

W myślach Diony zaległo się brzydkie podejrzenie. Usiłowała je zwalczyć jako zbyt oczywiste i standardowe, lecz ciągle wracało i w końcu dała mu się owładnąć.

– Czy jest możliwe, że on jej coś zrobił? W sensie, że był nachalny albo...

Nie bardzo wiedziała, jak ubrać swoje przypuszczenie w słowa, lecz Ewka okazała się mniej delikatna.

– Masz na myśli gwałt? Nie, na pewno nie. Ta nienawiść do Pisarka zaczęła się jakieś niecałe dwa lata temu, a w zeszłym roku Natalia była jeszcze dziewczicą. Co tak patrzysz? Zdarzają się jeszcze takie dziwne przypadki jak dwudziestojednolatka z cnotą. Wiem to od niej, przecież jej nie badałam. Zwierzyła mi się, że chce rozpocząć współżycie, ale boi się ciąży. Pytała, czy kalendarzyk daje gwarancję.

– Jak cholera – mruknęła Diona. – Taką samą jak kąpiel po stosunku.

Cztery kobiety popatrzyły po sobie i roześmiały się serdecznie. Napięcie wreszcie minęło i znów poczuły się swobodnie w swoim

towarzystwie. Ewa, gdy już postanowiła odpowiedzieć na pytania, rozgadała się i przedstawiła swoją daleką kuzynkę Alinę jako kobietę głęboko wierzącą. Owo „głęboko” od pewnego czasu pogłębiło się jeszcze bardziej i obecnie raczej przypominało fanatyzm, stąd rozluźnienie więzów, poprzednio dość bliskich.

– Pod tym względem zawsze się różniłyśmy, bo ona nie wyobrażała sobie, że mogłaby opuścić niedzielną mszę, a ja raczej nie wydeptuję ścieżek do kościoła – opowiadała, wspominając burzliwe dyskusje, które wówczas nigdy nie zamieniały się w pełne agresji pyskówki. – Podobnie było z lekcjami religii. Doszliśmy z Bogdanem do wniosku, że dziewczynki powinny same zdecydować, czy chcą brać w nich udział. Jadzia dotrwała tylko do komunii, Ulka trochę dłużej, po czym stwierdziły, że nie podoba im się to, co mówi katechetka, i lekcje religii przeczekują w świetlicy. Wanda jak na razie jest zadowolona, ale jeżeli dojdzie do wniosku, że nie chce chodzić na religię, nie będziemy jej zmuszać.

– Mądrze. – Diona z aprobatą pokiwała głową. – Nic na siłę, bo to na ogół przynosi odwrotne skutki.

– No właśnie. Tego właśnie Alina nie potrafiła zrozumieć. Zmuszała dzieci do uczestnictwa, przez co wybuchały między nimi a matką ciągłe kłótnie. – Ewka dopiła kawę i odstawiła filiżankę na spodek. – Ale nie narzucała mi swoich poglądów, więc ja też się nie wtrącałam.

Dioniza zamyśliła się, rozważając słowa Kotlarskiej. Raczej nie miały żadnego związku z zaginięciem Pisarka, a przynajmniej ona nie umiała się go dopatrzeć. Mimo to poprosiła o kontynuację opowiadania, wiedzona zwykłą ludzką ciekawością.

– Kiedy zaczęła się zmieniać w fanatyczkę?

Zamiast Ewy odpowiedziała Mirabelka, przysłuchująca się rozmowie z wszechwiedzącą miną.

– Cztery lata temu nastał w Osinach nowy proboszcz. Nawiedzony. – Wykrzywiła wargi w gniewnym grymasie. – W każdym widzi grzesznika, wrzeszczy na ludzi i grozi im wiecznym potępieniem, w dodatku prowadzi z ambony polityczną agitację. Powiedziałam mu prosto w oczy, że jest takim katolickim sekretarzem POP. Nie wiesz, co to POP? – spytała na widok niepewnego spojrzenia Diony. –

Podstawowa Organizacja Partyjna, czyli najmniejsza jednostka organizacyjna PZPR. Tworzono je wszędzie, w zakładach pracy, uczelniach, szpitalach, a przewodzili im sekretarze, stąd moje porównanie. Oni też grozili wszystkim, którzy ośmielili się myśleć inaczej.

Trzy młode kobiety wytrzeszczyły na nią oczy.

– Mamo! – jęknęła Agata. – Naprawdę ośmieliłaś się powiedzieć mu coś takiego?

Mirosława Belka wzruszyła ramionami.

– A dlaczego nie? Buc pozostaje bucem i nie ma znaczenia, czy jest ubrany w ancug, czy w sutannę. Zagroził mi ekskomuniką, debil jeden. Na to ja, że powinien sam siebie ekskomunikować za obrzydzanie ludziom religii.

Ewka opanowała już emocje oscylujące od zgrozy po chęć wybuchnięcia głośnym śmiechem. Znała proboszcza z Osin i potrafiła wyobrazić sobie jego minę.

– Co prawda, to prawda. Masz rację, ciociu. Przydałby mu się porządny kop w ten jego świątobliwy zadek, bo to pod jego wpływem Alina zmieniała się w typowego mohera. I nie tylko ona, przez co ksiądz czuje się całkiem bezkarny. Wyzywa dziewczyny od dziwek, gdy chodzą w spodniach albo miniówkach, głosi niższość kobiet wobec mężczyzn, posunął się nawet do twierdzenia, że niewierzących i innowierców powinno się kamienować. To jakiś świr. Ostatnio chodził po domach i sprawdzał na półkach, czy ludzie nie mają w domu szkodliwych książek, pytał też, na kogo głosowali w wyborach.

Agata popatrzyła z niedowierzaniem.

– Oni się na to zgodzili?!

– Niektórzy tak, ale oni należeli do grupy tych indoktrynowanych. Inni go pogonili, przez co zostali wyczytani z ambony jako źli katolicy, stojący już jedną nogą w królestwie Szatana.

– Pisarkowa wydała mi się osobą bardzo prokościelną – wtrąciła Diona, chcąc skierować rozmowę w interesujące ją rewiry. – A jak było z Pawłem?

Kotlarska bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie mam pojęcia. Tak naprawdę wcale go nie znałam, tyle co z przypadkowych spotkań w domu kuzynki. W każdym razie nie słyszałam, żeby krytykował religię czy księży. Ale to jeszcze nic nie znaczy.

– Wiem. – Diona westchnęła. – Równie dobrze mógł zachowywać się tak, żeby przypodobać się rodzicom koleżanki. Czeka! – zawołała, gdyż naraz w jej głowie zrodziło się pewne podejrzenie. – Czy chłopak, z którym ta Natalia zamierzała rozpocząć seksowanie, to przypadkiem nie on?

Pomyślała, że gdyby jej domniemanie okazało się słuszne, mógłby to być motyw zabójstwa. Kto wie, czy fanatycznie religijni rodzice nie zabili chłopaka z zemsty za „zbezczeszczenie” córki?

Odpowiedź Ewki kazała Remańskiej porzucić tę hipotezę.

– Absolutnie nie. Jej chłopak ma na imię Łukasz. Chodzą ze sobą od dwóch lat i chyba wkrótce się pobiorą.

No tak, to byłoby zbyt proste, stwierdziła Diona, wracając do domu. Przed furtką przystanąła, przełożyła do drugiej ręki reklamówkę ze styropianowym pojemnikiem zawierającym solidną porcję flaków przyrządzonych przez Mirabelkę i wydobyła z kieszeni klucz. Początkowo furтка była stale otwarta, lecz dziewczyna nauczyła się ją zamykać, gdy któregoś dnia po powrocie z pracy zastała w ogrodzie dwóch lokalnych pijaczków, śpiących na drewnianych ławach. Walające się wokół stołu niedopałki i butelki po tanim winie nie pozostawiały wątpliwości co do upodobań intruzów. Gdy wreszcie zdołała ich dobudzić i wyprowadzić za bramę, przysięgła uroczyście swojemu odbiciu w lustrze, że odtąd przy każdym wyjściu z domu będzie zamykać furtkę na cztery spusty.

Remańska położyła reklamówkę na kuchennym stole i poszła do łazienki przyszykować sobie kąpiel. Zawsze najlepiej myślało jej się w wannie wypełnionej wodą tak gorącą, że matka utrzymywała, iż tylko kilka stopni dzieli ją od wrzątku. Diona uśmiechnęła się na wspomnienie powtarzanych od lat, pełnych zgrozy słów rodzicielki, sypnęła garść aromatycznych soli kąpielowych, dołała płynu o zapachu mandarynki i zrzuciła odzież, nie kłopotząc się

wrzuceniem jej do kosza na brudną bieliznę. Na to przyjdzie czas później.

Z błogim westchnieniem zanurzyła się w gorącej wodzie i przymknęła powieki, rozmyślając o najnowszym zleceniu. Samemu Pisarkowi nie poświęciła uwagi, było bowiem stanowczo za wcześnie na snucie domniemań i tworzenie hipotez. Ciągle jeszcze wiedziała zbyt mało o zaginionym i jego relacjach z mieszkańcami osady, by miało to sens. Najpierw musiała się rozejrzeć, jak zwykła określać wywiad środowiskowy. Ale żeby móc to zrobić, powinna pojechać do Osin, a to wymagało czasu, którego nie miała w nadmiarze.

Przyjmując zlecenie, była przeświadczona, że zajmie się nim wspólnie z ojczymem, który weźmie na siebie znaczną część obowiązków, a zwłaszcza rozmowy z mieszkańcami Osin. Długie lata spędzone w wydziale dochodzeniowym nauczyły go wychwytywać istotne informacje z chaosu wypowiedzi, wyczuliły go też na kłamstwo i fałsz. Niestety Imielski nie mógł jej pomóc i dziewczyna żywiła poważne obawy, czy zdoła pogodzić śledztwo z obowiązkami instruktora strzelectwa.

Woda coraz bardziej stygła. Diona wyszła z wanny, otuliła się puchatym szlafrokiem i wróciła do kuchni. Wyjadając wprost z rondelka podgrzane flaki, bezskutecznie szukała wyjścia z trudnej sytuacji. Dobrego rozwiązania problemu nie było. Mogła zrezygnować z pracy, ale wówczas straciłaby pewne i całkiem przyzwoite źródło utrzymania. Alternatywą było zerwanie dopiero co zawartej umowy i zwrócenie Pisarkowej pieniędzy, lecz na samą myśl o tym wszystko w niej się buntowało. Zdążyła już wciągnąć się w tę sprawę i nie wyobrażała sobie, że mogłaby odpuścić, nie poznawszy prawdy.

Zniechęcona wstawiła opróżniony do ostatniej kropli rondelki do zlewu, zalała wodą i poszła do małego pokoiku z ukośnym sufitem, który od pierwszej chwili przeznaczyła na sypialnię. Ułożyła się wygodnie, wzięła do ręki zaczęłą poprzedniego dnia książkę, lecz rozbiegane myśli nie pozwalały skupić się na fabule. Ze zniechęceniem odłożyła na nocną szafkę opasy tom i zgasiła światło. Przypomniała sobie słowa jednej z polskich autorek,

twierdzącej, że fabuła większości jej książek zrodziła się podczas snu.

– Może ja też wyśnię sobie rozwiązanie? – wymamrotała niewyraźnie, z twarzą wciśniętą w poduszkę.

Chwilę później zasnęła.

Rozdział 3

Jak z nieba

4–5 lipca 2019

Następny dzień nie zaczął się dobrze. Najpierw zasnęła, potem już w drodze do Jodłowca uświadomiła sobie, że zapomniała torebki, i musiała się wrócić do domu. W pracy wcale nie było lepiej. Drugi z instruktorów nie przyszedł i na Dionę spadło udobruchanie rozżłoszczonych adeptów strzelania. Koniec końców obiecała im rabat, choć miała świadomość, że odbije się to na wynagrodzeniu personelu, gdyż Gartowski wypłacał im premię od uzyskanego obrotu.

W drodze do domu wstąpiła do komisariatu, by dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie Pisarków i ich najbliższych sąsiadach. Dariusz pozwolił jej zerknąć do akt dopiero wtedy, gdy uspokoiła jego sumienie uroczystą przysięgą, że nikt nigdy się nie dowie, w jaki sposób weszła w posiadanie tych danych. Wręczyła mu nawet swój telefon, żeby miał pewność, że nie zrobi podstępnie zdjęć dokumentów.

Wyjęła notatnik, otworzyła teczkę osoby poszukiwanej i najpierw szybko przerzuciła znajdujące się tam karty. Na szczęście nie było ich zbyt wiele. Karcie kontroli nie poświęciła żadnej uwagi, zainteresowało ją natomiast zawiadomienie o zaginięciu, gdyż tutaj znajdowały się informacje nie tylko o Pawle Pisarku, ale także o osobie zgłaszającej zaginięcie, czyli w tym przypadku o Marii Pisarek.

Szybko zapisała najistotniejsze informacje, posługując się przy tym swoistymi skrótami. W pewnej chwili przemknęło jej przez myśl, że być może będzie potrzebować pomocy szyfranta do odczytania własnych bazgrołów, ale nie miała innego wyjścia. Musiała się spieszyć, by nikt nie przyłapał jej na czytaniu akt.

Następną kartę znów pominęła. Nie widziała powodu, dla którego miałyby się wczytywać w plan czynności dotyczących poszukiwań. Przeczytała za to dokładnie wszystkie notatki, wydruki i protokoły dokumentujące wykonane czynności, choć część z nich, jak chociażby zgłoszenie do KSIP[3], niewiele mogło jej pomóc. Ale dzięki nim mogła zorientować się w zakresie podjętych działań.

Z pokoju Pisarka pobrano materiał biologiczny dla oznaczenia profilu DNA, wysłano telegramy do innych jednostek z zapytaniem o zaginionego, sprawdzono również w KSIP, czy osoba o rysopisie odpowiadającym rysopisowi Pisarka nie znajduje się wśród osób o nieustalonej tożsamości lub wśród niezidentyfikowanych zwłok. Zwrócono się także do operatora sieci komórkowej o biling połączeń telefonicznych.

Diona wynotowała to wszystko i oddała Dariuszowi akta, po czym zamknęła notes i schowała go do torebki. Zrobiła to w samą porę, gdyż chwilę później do pokoju zajrzał wysoki policjant z dystynkcjami nadkomisarza na pagonach, domyśliła się więc, że ma przed sobą Szymona Ogińskiego, nowego komendanta komisariatu.

Jak na nadkomisarza był dość młody; nie wyglądał na więcej niż trzydzieści pięć lat. Z twarzy bardziej interesującej niż przystojnej spojrzały na nią uważnie ciemne oczy. Policjant zamknął za sobą drzwi i podszedł do Lipskiego.

– Aspirancie, chyba ma pan odłączony telefon, bo nie mogłem się do pana dodzwonić. Niech pan sprawdzi.

Spokojny ton i wyważone słowa powiedziały Dionie wiele o tym człowieku. Zachowywał się tak, jak jej były szef, który w przypadku zaistnienia jakiegoś problemu najpierw słuchał wyjaśnień, a dopiero później oceniał. Jego zastępca postępował krańcowo różnie. We

wszystkim widział winę podwładnych i nie interesowały go żadne tłumaczenia.

Lipski podniósł aparat, sprawdził, czy wtyczka kabla znajduje się na swoim miejscu, i odsunął krzesło zasłaniające fragment ściany z gniazdem telefonicznym.

– Kurde, musiałem zahaczyć krzesłem.

Istotnie – kabel leżał luźno na podłodze, a wtyczka ginęła gdzieś pod biurkiem. Schylił się, podniósł kabel i wpiął do gniazdka.

Ogiński nie skomentował incydentu, tylko rzucił szybkie spojrzenie na Dionę i podjął zupełnie inny temat.

– Jest pan bardzo zajęty? Wiem, że zgodnie z grafiką służb miał pan mieć jutro wolne za nadgodziny, ale chciałbym, żeby to pan zajął się pewną sprawą. Ma pan tutaj największe doświadczenie...

Urwał i zamilkł, sprawiając tym wrażenie, że zostawia decyzję w gestii aspiranta. Ten nie potrzebował czasu do namysłu.

– Mus to mus – oświadczył z uśmiechem. – Taka już nasza policyjna dola. Co to za sprawa? Coś poważnego?

Nadkomisarz pozezował w stronę Diony.

– A ta pani? Nie chciałbym przeszkadzać w czynnościach.

– Pani jest tu prywatnie. Pozwoli pan, że przedstawię. Dioniza Remańska, której podinspektor Gerbilak zawdzięcza pobyt na długich, darmowych wczasach.

– Bardzo mi miło. – Nadkomisarz uścisnął jej dłoń. – Szymon Ogiński. Mam nadzieję, że wsadzanie komendantów do pudła nie stało się pani nowym hobby.

Jeśli jeszcze miałyby wątpliwości co do tego człowieka, jego słowa musiałyby całkowicie je rozwiać. Nie tylko świadczyły o poczuciu humoru. Fakt, że przedstawił się tylko z imienia i nazwiska, pomijając stanowisko i stopień, powiedział jej wyraźnie, że nowy komendant absolutnie nie przypomina z charakteru swego poprzednika.

Uścisk dłoni też miał normalny, nie zbyt długi, znamionujący chęć zadzierzgnięcia bliższej znajomości, ani też zbyt krótki, jakby podający rękę brzydził się dotyku jej dłoni. Zawsze w takich

wypadkach podświadomie czekała, że nowo poznany po przywitaniu z odrazą wytrze rękę o spodnie.

– Miło mi pana poznać. Nie będę wam już przeszkadzać. Do widzenia.

Wyminęła nieco zaskoczonego Ogińskiego, skinęła głową Dariuszowi i zniknęła za drzwiami. Nadkomisarz milczał jakiś czas, wreszcie westchnął.

– Chyba nie zrobiłem na niej najlepszego wrażenia. Czy tylko mi się wydaje, że przede mną uciekła?

Lipski pokręcił głową.

– Dionka nie jest zbyt wylewna i nie ma zwyczaju mijać się z prawdą. Jeśli powiedziała, że było jej miło, to było i już. W przeciwnym razie ograniczyłaby się tylko do uścisku dłoni, a w skrajnych przypadkach nie zrobiłaby nawet tego.

– A mój poprzednik? – zaciekawiał się Ogiński. – Jak go potraktowała?

Aspirant uśmiechnął się szeroko na wspomnienie pierwszego spotkania Remańskiej z Gerbilakiem.

– Nie było tak źle. Nie skopała go ani nie rzuciła na glebę, chociaż po jej minie można było poznać, że miała na to wielką ochotę.

– Hmmm – mruknął nadkomisarz, lecz poniechał tematu i przeszedł do spraw służbowych. – Aspirancie, pojawił się pewien problem. Wygląda na to, że w Kaletach mamy jakąś epidemię zaginięć.

*

Zapowiadany na popołudnie deszcz znowu szczęśliwie ominął Strzygom, toteż po obiedzie u Mirabelki dziewczyna z wielkim kubkiem kawy w jednej ręce, notesem w drugiej i teczką pod pachą przeszła do ogrodu. Odłożyła notes i teczkę na stół, usadowiła się w leżaku i przez jakiś czas odpoczywała z przymkniętymi oczami,

delektując się ciszą przerywaną jedynie śpiewem ptaków i dolatującym od czasu do czasu z oddali ryczeniem krowy.

Krótki relaks pomógł odzyskać energię. Diona przeniosła się do ogrodowego stołu, pociągnęła solidny łyk kawy i zapaliła papierosa. Na okładce teczki wykaligrafowała dużymi literami tytuł „Paweł Pisarek”, po czym przeszła do przepisywania notatek.

Zaczęła od stworzenia dossier zaginionego chłopaka. W notatkach niestety nie było nic mogącego rzucić światło na przyczyny jego zniknięcia. Data urodzin, imiona rodziców... Ustalenia policji potwierdziły to, czego dowiedziała się od Marii Pisarek – chłopak dwa lata temu ukończył technikum, lecz oficjalnie nie podjął żadnej pracy, w dalszym ciągu pozostając na utrzymaniu matki.

Remańska skrzywiła się lekko i przewróciła kartkę notatnika, gdzie w nakreślonych drobnym maczkiem zdaniach zawarta była przeszłość Marii Pisarek. Tę również już знаła, ale dla porządku zapisała informacje na nowej karcie.

Maria przyszła na świat czterdzieści pięć lat temu jako nieślubna córka Anieli Malec. Mieszkały w Osinach w domu należącym do Anny Sporek, babki Anieli ze strony matki, gdyż dowiedziawszy się o ciąży córki, rodzice wyrzucili Anielę z domu.

W policyjnych aktach znalazł się też zapis stanowiący dla niej nowość. Otóż mieszkańcy Osin twierdzili, że Sporkowa miała gdzieś ukryte kosztowności, zrabowane przez męża podczas wojny i po wojnie, kiedy walczył w oddziale „Bartka”.

Tu Diona oderwała wzrok od notatek i zamyśliła się, analizując zaskakującą informację. Kto wie, czy nie była prawdziwa? To tłumaczyłoby sprzeczność między zaobserwowanym w biurze dość lekceważącym podejściem do kwestii finansowych a pogłoskami o konieczności wzięcia chwilówki na zakup opału. To drugie mogło być zasłoną dymną. Tylko czy miało związek z zaginięciem jej syna? Chyba nie.

Maria Pisarek rzeczywiście była kobietą wykształconą. Ukończyła germanistykę i przez osiemnaście lat pracowała jako nauczycielka w jednym z żywieckich liceów. Trzy lata temu poważnie się rozchorowała i obecnie pobierała rentę.

Ta informacja również zdawała się nie mieć związku z zaginięciem Pawła Pisarka i Diona ze zniechęceniem odłożyła notes, po czym ponownie wzięła do ręki kartkę zawierającą dossier chłopaka – w nadziei, że coś jej się nasunie. Przebiegła wzrokiem kilka zdań i wzruszyła ramionami, widząc, że niepotrzebnie straciła czas.

– Mogłam sobie darować to czytanie – mruknęła zniechęcona.

Rzuciła niedbale notes na stół. Odbił się od popielniczki i spadł na świeżo skoszony trawnik, lecz nawet się po niego nie schyliła. Do przepisania zostały jej jeszcze informacje o sąsiadach, ale postanowiła zająć się tym później. Wiedziała, że niewiele z nich wyniesie. Wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy Osin nie są skorzy do plotkowania o słabostkach swoich bliźnich.

Po namyśle zmieniła jednak zdanie. Lepiej zrobić to od razu, by móc z czystym sumieniem cieszyć się relaksem. Notatki dotyczące sąsiadów były bardzo oszczędne, żeby nie powiedzieć szczątkowe, więc przepisanie ich zajęło jej zaledwie kilkanaście minut. Imiona i nazwiska, krótka charakterystyka, to było wszystko.

Na końcu zapisków w notatniku znajdowały się informacje ogólne. Je również przepisała na czystą kartę, podkreślając najistotniejsze fragmenty, jak chociażby to, że Dariuszowi nie udało się ustalić, co się stało z telefonem zaginionego. W domu go nie znaleziono, musiał więc zabrać go ze sobą, jednakże próby zlokalizowania urządzenia nie przyniosły żadnych efektów. Ostatnie logi odnotowano w stacji przekaźnikowej w Świercznicy, obejmującej swoim zasięgiem całą gminę. Miało to miejsce w dniu zaginięcia Pisarka, o godzinie dwudziestej drugiej z minutami. Potem telefon zniknął z sieci. Diona wiedziała, co to oznacza. Albo chłopak sam go zniszczył, albo zrobił to zabójca.

Lipski nie zdołał także się dowiedzieć, czy Pisarek miał konto na którymś z portali społecznościowych. Pod prawdziwym nazwiskiem tam nie figurował, a wszystkie próby szukania ewentualnego nicka spełzły na niczym. Matka nie miała o tym pojęcia, a sąsiedzi tylko rozkładali ręce gestem świadczącym o niewiedzy. Dionizy to nie zdziwiło. Trudno było przypuścić, że pochwalił się założonym kontem

na Facebooku czy Instagramie ludziom, którzy na każdym kroku okazywali mu niechęć.

Paweł Pisarek utrzymywał bliższy kontakt tylko z dwiema osobami – siedemnastoletnią Martyną Zawodną i dwudziestoosmioletnim Adrianem Koconiem, oboje jednak twierdzili, że nie wiedzą, czy Paweł był użytkownikiem jakiegoś portalu społecznościowego.

Zawodna, uczennica liceum, była jego dalszą sąsiadką. Dioniza uważnie przeanalizowała notatkę, z której jednak nie wynikało, jaki charakter miała ta znajomość. Policjantom nie udało się odkryć, co mogło łączyć uczennicę z mężczyzną starszym od niej o pięć lat, lecz skłaniali się ku stwierdzeniu, że we wzajemnych stosunkach tych dwojga nie było nic, co wskazywałoby na ich romantyczny czy czysto seksualny charakter.

Muszę porozmawiać z tą Martyną, zdecydowała i przeniosła uwagę na Adriana Koconia, który był referentem w jednym z wydziałów urzędu gminy w Jodłowcu. Brak numeru mieszkania w danych adresowych sugerował, że mężczyzna mieszka w domu prywatnym. I to w zasadzie było wszystko o Koconiu.

Dioniza jeszcze raz przejrzała notatkę w nadziei, że przeoczyła jakąś informację, a gdy niczego nie znalazła, skrzywiła się lekko i odłożyła notes na teczkę. Prawdopodobnie ubogość dossier Koconia wynikała z faktu, że mężczyzna nie wniósł nic interesującego do sprawy zaginięcia Pisarka, ale Remańska postanowiła i tak z nim porozmawiać. Musiała przekonać się o tym osobiście.

*

Do rozpoczęcia pracy zostało jeszcze dziesięć minut, toteż gdy przebrała się w szatni w strój służbowy i zamieniła klapki na sportowe obuwie, Dioniza wmaszerowała do pokoju socjalnego, kierując kroki w stronę ekspresu do kawy. Uzależniona od tego napoju, nie mogła nie docenić gestu właściciela strzelnicy, który

nabył urządzenie specjalnie dla niej, wiedząc, jak nie znosiła kawy-plujki czy rozpuszczalnej.

Załadowała porcję do zasobnika, podstawiała kubek i wsparła się pośladkami o blat szafki, dla zabicia czasu obserwując przez przeszklone drzwi przechodzących korytarzem ludzi. Nowo otwarta strzelnica Patryka Gartowskiego cieszyła się niesłabnącym powodzeniem, co Diona zauważyła już pierwszego dnia pracy. Teraz jednak czuła lekki niepokój, dostrzegła bowiem, że na twarzach wielu klientów pojawiło się wyraźne niezadowolenie. Czyżby nie sprawdziła się jako instruktorka?

Po namyśle doszła do wniosku, że jest przewrażliwiona. Nie pracowała tu przecież od wczoraj. Skoro przez ponad miesiąc nikt się na nią nie uskarżał, przeciwnie, klienci nie szczędzili jej pochwał, dlaczego naraz mieliby zmienić zdanie? Musiało wydarzyć się coś innego, niestety nie miała pojęcia, co by to mogło być.

– Już jesteś? To dobrze, bo chcę z tobą pogadać.

Zajęta rozważaniami Diona nie zauważyła, że do pomieszczenia socjalnego wszedł właściciel. Drgnęła nerwowo, zaskoczona jego pojawieniem się, a jeszcze bardziej słowami zdającymi się potwierdzać jej pierwsze podejrzenie.

– Cześć, Garrett. Coś się stało?

Obrzuciła mężczyznę nieufnym spojrzeniem, widząc jednak, że ten sadowi się wygodnie w jednym z dwóch foteli dostawionych do okolicznościowego stolika, poczuła się nieco pewniej. Poznała już Gartowskiego na tyle, by wiedzieć, że gdy mężczyzna chce przekazać pracownikom jakieś krytyczne uwagi, robi to na stojąco, wykorzystując przewagę wzrostu. Był zdecydowanie najwyższym ze wszystkich znanych jej mężczyzn i żeby móc spojrzeć mu w oczy, musiała zadzierać głowę, choć nie zaliczała się do niskich kobiet.

– Siadaj, Dionka – polecił, widząc, że przystanęła niezdecydowana z kubkiem kawy w ręce, a gdy zajęła drugi fotel, bez zbędnej zwłoki przeszedł do meritum: – Od poniedziałku nie przychodź do pracy.

Kubek w dłoni dziewczyny się zakołysał, ciemna ciecz zafalowała, zbliżając się niebezpiecznie blisko brzegu.

– Dlaczego? Myślałam, że mamy umowę.

Jej złotobrzazowe oczy pociemniały z gniewu i rozżalenia, których nie potrafiła ukryć. Zauważywszy to, Gartowski roześmiał się, lecz zamiast wesołości dosłyszała w tym śmiechu gorycz.

– Nie bój się, nie zamierzam zwalniać mojej najlepszej instruktorki. Nie po to cię tu zwabiłem, żeby teraz wywalać. Muszę zrobić remont.

Diona skierowała pełny zaskoczenia wzrok na przeszklone drzwi, za którymi znajdował się korytarz prowadzący do szatni oraz do hal ze stanowiskami strzeleckimi. Strzelnica funkcjonowała dopiero od miesiąca i nadal prezentowała się tak samo ładnie, jak zaraz po otwarciu, toteż dziewczyna nie bardzo pojmowała, co Patryk chciałby tu remontować.

– Przecież wszystko jest jak trzeba. Czysto, schludnie, funkcjonalnie. Nie masz na co wydawać pieniędzy?

– Nawet mnie nie wkurzaj – warknął, sięgając do kieszeni po papierosy. – Jakiś skurwelec zrobił donos, że lokal nie spełnia norm pepoż.

Wyjęła papierosa z podsuniętej paczki i zapaliła, ze zmarszczonymi brwiami analizując słowa Gartowskiego. Mimo wyężania umysłu nie mogła doszukać się w nich sensu, więc ze zniechęceniem machnęła w końcu ręką.

– Oświeć mnie, bo jakoś nie mogę zatrybić. Przecież to jest strzelnica zbudowana z modułów stworzonych właśnie do takiego celu. Jak w takim razie może nie spełniać norm? Ktoś to potwierdził?

Mężczyzna posłał jej nieodgadnione spojrzenie.

– To właśnie jest w tej sprawie najciekawsze – wyjaśnił zadziwiająco spokojnie, jeśli wziąć pod uwagę jego następne słowa. – Przyszedł do mnie w tej sprawie pewien facet. Poinformował o donosie, po czym stwierdził, że może mi pomóc, a na moje słowa, że to jakieś brednie, tylko się roześmiał i życzył szczęścia w trakcie kontroli.

– Dalej nie rozumiem – stwierdziła Diona bezradnie. – Mogę prosić o wersję dla niedorozwiniętych?

– Ja też o taką poprosiłem – przyznał Patryk. – I okazało się, że wyjaśnienie jest banalnie proste. Po prostu po tym wypadku

w escape roomie służby zaczęły reagować histerycznie na wszelkie zgłoszenia o nieprawidłowościach, przez co dali...

– Czeka! – przerwała mu bezceremonialnie. – Wiem, że dostali istnego pierdolca na tym punkcie i zamykają nawet biurowce, które funkcjonowały od wielu lat bez dodatkowych zabezpieczeń i jakoś nic złego się tam nie działo. Ale przecież nas to nie dotyczy. Tu na pewno nie ma żadnego zagrożenia, bo to jest strzelnica modułowa...

Teraz Gartowski wszedł jej w słowo, przerywając wypowiedź:

– I co z tego? Choćby to był nawet moduł księżycowy, to i tak nie ma znaczenia, bo temu gostkowi wcale nie chodziło o realne zagrożenie.

– A o co? – dociekała, dalej nie rozumiejąc.

– Nie domyślasz się? – odpowiedział pytaniem, a widząc wzruszenie ramion, wyjaśnił, z trudem panując nad gniewem: – Ja też początkowo nie mogłem skumać, więc wyrąbał mi to prosto w oczy. Mam mu zlecić wykonanie remontu, dzięki któremu obiekt będzie spełniać wszystkie normy. Wtedy nikt mnie nie ruszy.

Do Diony powoli docierał sens całej intrygi. Poczwała, jak ogarnia ją wściekłość na tego nieznanego jej cwaniaka, który postanowił napchać sobie portfel, wykorzystując w tym celu tragiczne wydarzenie.

– Co za hiena. – Z trudem powstrzymała cisnące się na usta niezbyt parlamentarne epitety. – Czy powiedział, co zrobi, jeśli odmówisz?

W przeciwieństwie do dziewczyny Gartowski nie miał oporów przed użyciem bardziej drastycznych określeń.

– Nawet chuj nie próbował udawać, tylko uprzedził, że jak się nie zgodzę, to kontrole mnie zniszczą, bo on wie, gdzie uderzyć. – Mężczyzna zacisnął dłonie w pięści. – No to dałem mu w mordę, bo ja też wiem, gdzie uderzyć.

Na tę niespodziewaną puentę Diona na moment osłupiała, po czym wybuchnęła głośnym śmiechem. Zaraz jednak spoważniała.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłeś. Mogłeś poprosić o czas do namysłu i powiadomić policję o wymuszeniu. Była szansa, że złapią go na gorącym.

Patryk posłał jej pochmurne spojrzenie, lecz jego mina świadczyła bardziej o zażenowaniu niż o zadowoleniu z własnego czynu. Wolno skinął głową.

– Wiem, Dionka. Spieprzyłem sprawę, ale, kurna, poniosło mnie i nie wytrzymałem, żeby mu nie jebnąć. No i teraz nie mam wyjścia, muszę zrobić remont budy.

Poderwał się z fotela i zaczął przemierzać małe pomieszczenie zamaszystymi, nerwowymi krokami. Dziewczyna obserwowała go uważnie, analizując jednocześnie sytuację. Nie bardzo wiedziała, jak rozumieć ostatnie słowa, brzmiały bowiem dość jednoznacznie, a przecież знаła Gartowskiego na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie miał zwyczaju łatwo się poddawać. To nie był mężczyzna przyjmujący ciosy w pokorze.

– Kapitulacja? – spytała niepewnie. – Nie wierzę.

– Nie kapitulacja, tylko manewr taktyczny. – Patryk parsknął śmiechem na widok jej zdumienia. – Po prostu uprzedziłem działanie tego skurwiela. Pojechałem do straży pożarnej i pogadałem z facetem, który zajmuje się takimi sprawami. Doradził mi, żebym zrobił strzelnicy mały lifting, tak, żeby pachniało nowością, kiedy przyjdą na kontrolę. Dodatkowo mam zwiększyć liczbę tabliczek informacyjnych, żeby wszystko było dobrze oznaczone.

Patryk sięgnął po butelkę wody mineralnej, przytknął do ust i pił łapczywie, a Diona w tym czasie rozważała jego słowa. Nie miała pewności, czy dobrze je zrozumiała.

– Garrett, powiedz to jakoś jaśniej, bo całkiem się pogubiłam. To ma być prawdziwy remont czy tylko pozoracja?

Mężczyzna przełknął ostatni łyk, rzucił pustą butelką w stronę kosza i uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy wpadła do środka.

– Najprawdziwszy – oznajmił z powagą, puszczając jednocześnie do niej oko. – Widzisz, chodzi o to, że najpierw lokal będzie zamknięty, więc nikt nie będzie mi mógł zarzucić, że stwarza jakieś zagrożenie. Po zakończeniu tego niby-remontu wprowadzie odbędzie się kontrola, ale taka uczciwa. A kiedy już będę mieć w garści protokół pokontrolny, tamten facet będzie mi mógł naskoczyć.

Diona znów się zamyśliła. Plan był całkiem dobry; nie mogła doszukać się w nim żadnych słabych stron, toteż z aprobatą pokiwała głową. Ze spokojem przyjęła informację, że za okres zamknięcia strzelnicy będzie otrzymywała tak zwane wynagrodzenie postojowe, wyliczone z pensji zasadniczej bez uwzględnienia premii. Właściwie to nawet się ucieszyła, gdyż inny pracodawca z pewnością zmusiłby ją do wzięcia urlopu bezpłatnego, by nie ponosić kosztów. Na szczęście Gartowski szanował swoich pracowników i miał na względzie ich dobro.

Właściwie cały ten remont spadł mi jak z nieba, rozmyślała, zmierzając w stronę samochodu. Dzięki temu nie musiała się martwić o to, czy zdoła pogodzić pracę ze śledztwem. W dodatku Patryk stwierdził, że skoro już przyjechał do Jodłowca, przejmie jej obowiązki, przez co będzie mogła zająć się poszukiwaniem Pisarka już dziś.

*

W torebce zawibrował telefon. Nim Dioniza dotknęła ikony połączenia, zerknęła na ekran i skonstatowała, że dzwonił Dariusz Lipski, z którym kilkakrotnie usiłowała się połączyć.

– Cześć, panie starszy aspirancie – powitała go ciepło. – Dzięki, że oddzwoniłeś, bo mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

Dariusz nie podjął żartobliwego tonu.

– Jaka? – spytał tylko.

– Myślałam o tym, co mi wczoraj powiedziałeś. Może pojechałabym z tobą?

Wieczorem Dariusz zadzwonił do niej z najświeższymi wieściami z Osin. Mieszkanca osady, Alina Myszka, zadzwoniła do komisariatu i zażyczyła sobie rozmowy z komendantem, a gdy ją połączono, poinformowała nadkomisarza Ogińskiego, że zniknęli księża z lokalnego kościoła.

W pierwszej chwili Diona pomyślała, że Dariusz żartuje, ale następne słowa policjanta wyprowadziły ją z błędu. Kobieta była podobno bardzo przekonująca i komendant uwierzył jej na tyle, że polecił Lipskiemu pojechać nazajutrz do Osin i sprawdzić, czy nie doszło tam do przestępstwa.

Dariusz miał zamiar skorzystać z okazji i w rozmowie z Myszka nawiązać do zniknięcia Pisarka, dlatego poinformował Remańską o zaplanowanym wyjeździe. Chciał wiedzieć, czy nasuwają jej się jakieś pytania, które powinien zadać.

Po rozmowie z Gartowskim Diona doszła do wniosku, że mogłaby wykorzystać niespodziewany urlop na powęszczenie w osadzie, a towarzystwo policjanta mogło pomóc rozwiązać języki uporczywie milczącym mieszkańcom. Poza tym ciekawiło ją, co stało się z księżmi, których planowała odwiedzić i wypytać o parafian. Ich zniknięcie było jej wyjątkowo nie na rękę.

– Nie jadę dzisiaj do Osin – odpowiedział i dorzucił: – Wszystko się popierdoliło. – Przerwał, po czym znów nabrał tchu. – Przepraszam, nie powinienem kłąć w rozmowie z kobietą, ale chyba zaraz szlag mnie trafi.

Zachowanie Lipskiego było tak do niego niepodobne, że Remańska nie na żarty się zaniepokoiła.

– Rany boskie! Co się stało?

– Wypadek – rzucił krótko. – Ciężarówka wjechała w radiowóz. Był w nim nadkomisarz Ogiński i czterech chłopaków z naszego komisariatu. Podobno jeden nie żyje, a dwóch jest w bardzo ciężkim stanie. Muszę tam pojechać i dowiedzieć się...

Głos mu się załamał, co usiłował zamaskować udawanym atakiem kaszlu.

– Współczuję – wydusiła przez zaciśnięte gardło. – W takim razie pojedę sama. Przy okazji pogadam z tą babką, tylko... – Zawahała się, nie mając pewności, czy powinna w takiej chwili zawracać mu głowę wątpliwościami.

Lipski odebrał to inaczej i zaczął się tłumaczyć.

– Nie mogę dzisiaj tam jechać. Wiesz dobrze, że ludzie przestali się garnać do tej roboty. Mamy cztery wakaty, dwóch jest na zwolnieniu,

a teraz ten wypadek...

Czym prędzej wyprowadziła go z błędu.

– Nie jestem idiotką, żeby mieć pretensje, że nie jedziesz. Chodziło mi o to, czy nie będziesz na mnie zły, jeśli zagadnę ją o tych księży. Bo jeżeli naprawdę zaginęli, może to mieć związek z zaginięciem Pisarka. Ale boję się, że ktoś może ci zarzucić, że wynosisz informacje.

Lipski widział to całkiem inaczej.

– Przecież nie będziesz opowiadać, że wiesz o zaginięciu ode mnie. Jeżeli księża zniknęli, to na pewno cała osada już o tym huczy i jestem pewien, że dowiedziałybyś się o tym i bez mojego telefonu. To nawet dobrze, że z nią pogadasz. Rozeznasz się w sytuacji, wywnioskujesz, czy faktycznie księża zaginęli, czy baba zwyczajnie histeryzuje. Znasz się na ludziach, więc na pewno przejrysz ją na wylot. Powiesz mi później, co o tym myślisz.

Diona porzuciła skrupuły. Rzeczywiście rozmowa o księżach nie mogła wzbudzić podejrzeń, jeśli wszyscy wiedzieli o ich zaginięciu. Chyba szukała dziury w całym.

Pożegnała się z Dariuszem, wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę osady Osiny.

*

Kalety były niedużą wsią, tylko trochę większą od Strzygomia, dlatego w 1999 roku, gdy zaczął obowiązywać nowy podział administracyjny, połączono je z jeszcze mniejszymi Osinami, degradując te ostatnie do roli osady, z czym mieszkańcy do dziś się nie pogodzili – z tego też powodu na każdym kroku manifestowali swoją odrębność.

Ich niechęci nie budziły tylko wspólne z Kaletami kościół oraz szkoła podstawowa, lecz działało się tak wyłącznie dlatego, że dzielili się tymi przybytkami również przed połączeniem wsi. Jak sięgali

pamięcią, dzieci z Osin chodziły do szkoły w Kaletach, z kolei wierni z Kalet uczęszczali na nabożeństwa do Osin.

Po rozmowie z Lipskim Diona pomyślała, że być może kobieta, która doniosła o zniknięciu księży, jest właśnie tą zafiksowaną na punkcie religii kuzynką Ewy. Imię się zgadzało, a chociaż nie zaliczało się do niespotykanych, nie było też zbyt popularne. Remańska stwierdziła, że nic nie straci, jeśli zadzwoni do Kotlarskiej i zapyta. Decyzja okazała się ze wszech miar słuszna, gdyż rzeczywiście krewni Ewy nosili nazwisko Myszka.

Osada nie wywarła na niej najlepszego wrażenia. Położona w kotlinie pomiędzy dwoma porośniętymi świerkami wzniesieniami, wydawała się dziwnie ciemna i ponura. Diona odniosła wrażenie, że góry pochłaniają prawie całe światło słoneczne, pozwalając nielicznym tylko promieniom przedrzeć się dalej i oświetlić drogę, wzdłuż której pobudowano domy. Ich niewielka liczba świadczyła, że populacja osady nie jest zbyt liczna.

Minęła najpierw skromny budynek z dumnie brzmiącym napisem „Market Osiny”, a później stary, drewniany kościół. Zwolniła i zgodnie ze wskazaniem nawigacji tuż za nim skręciła w prawo, wypatrując remizy strażackiej. Według informacji Kotlarskiej Alina Myszka mieszkała trzy domy dalej.

Budynek o spadzistym dachu, wzorowany na starych góralskich chałupach, idealnie komponował się z górzystą okolicą, a ukwiecony ogród wręcz zapraszał, by się w nim rozgościć. Remańska zaparkowała na małym placu naprzeciwko, podeszła do ogrodzenia i przycisnęła guzik dzwonka przy furtce. Po kilku minutach drzwi się uchyliły i w progu stanęła czterdziestokilkuletnia kobieta w eleganckiej sukience. Ten strój zbił z pantałyku Dionę spodziewającą się widoku zaniedbanej niewiasty przyodzianej w coś pomiędzy zakonnym habitem a workiem pokutnym.

– Przepraszam panią, czy zastałam Alinę Myszkę?

Kobieta zmierzyła gościa taksującym wzrokiem. Lustracja nie wypadła dla Diony chyba zbyt pomyślnie, gdyż zaraz potem padły słowa:

– To ja, ale niestety nie mam teraz czasu. Właśnie miałam wychodzić.

– To nie potrwa długo. Ja tylko...

– Bardzo mi przykro – odparła Myszka tonem świadczącym, że tak naprawdę wcale jej przykro nie jest. – Już jestem spóźniona i naprawdę nie mam czasu wysłuchiwać o cudownych właściwościach tego, co zamierza mi pani sprzedać. Zresztą i tak nigdy nie kupuję u domokrażców.

Remańska ugryzła się w język, by nie zakląć, i przywołała na twarz jeden z całej kolekcji uśmiechów. Ten oscylował pomiędzy szacunkiem a zaambarasowaniem, z zachowania Myszki wywnioskowała bowiem, że kobieta ma o sobie wysokie mniemanie i jest na tym tle dosyć przewrażliwiona.

– Nie zamierzam niczego pani sprzedawać. Nazywam się Dioniza Remańska i przyjechałam tutaj, bo dowiedziałam się, że pani może udzielić mi informacji o zaginionych księżach.

– Kim pani w ogóle jest? Policjantką w cywilu? – prychnęła Myszka. – Rozmawiałam z komendantem komisariatu, nadkomisarzem Ogińskim, i oczekiwałam, że osobiście zajmie się tą sprawą, ale powiedział, że wyśle do mnie jakiegoś aspiranta. – Wykrzywiła wargi w uśmiechu lekceważenia. – To pani?

Jak na osobę głęboko wierzącą mało tu miłości bliźniego, skonkludowała Diona w myślach. Za to wiele pogardy dla maluczkich. Aspirant to za niska szarża? Czekaaj, ty jędzio, jeszcze będziesz błagać o jego obecność!

– Nie mam nic wspólnego z komisariatem i komendantem Ogińskim – sprostowała szybko. – Chciałam tylko...

– Pani zachcianki mnie nie interesują. Do widzenia,

Remańska poczuła, że ma dość. Nigdy nie miała cierpliwości do tego rodzaju osób, a ta pańcia była wyjątkowo irytująca. Ewentualne informacje nie były warte znoszenia jej fochów. A zniknięcie księży? Trudno, Dariusz będzie musiał obejść się bez jej odczuć.

– Zlecono mi pewne zadanie – odparła chłodno. – Dlatego przyszłam tutaj, bo chciałam porozmawiać z kimś spostrzegawczym

i inteligentnym.

– No tak. Ale... – Myszka nie zamierzała skapitulować.

– Ale skoro pani odmawia, to trudno. – Nie czekając na odpowiedź, Diona postąpiła krok w tył. – Będę musiała zwrócić się do kogoś innego. Przepraszam, że zajmuję pani czas. Do widzenia.

Odwróciła się i ruszyła do samochodu, licząc w myślach kroki. Założyła się sama ze sobą, że zdąży zrobić ich pięć, nim pokonana przez ciekawość Alina Myszka zmieni zdanie, ale kobieta okazała się słabszym przeciwnikiem. Wołanie za plecami rozległo się w chwili, gdy zamierzała zrobić czwarty.

– Niech pani zaczeka!

Odwróciła się wolno, całą sobą demonstrując niechęć, i ze zdumieniem zauważyła, że Myszka stoi przy furtce, którą od domu dzieliły jakieś trzy–cztery metry. Kobieta musiała zatem do niej podbiec.

Remańska stłumiła rozbawienie i spytała lodowatym tonem:

– Słucham? O co chodzi?

– Pomyślałam, że właściwie mogłabym z panią porozmawiać. O tym zleceniu i o księżach. Może to nawet lepiej, że przyjechała pani zamiast jakiegoś policjanta? Kobieta kobietę zawsze lepiej zrozumie.

Żebyś się nie zdziwiła, jędzo, warknęła w duchu, głośno zaś powiedziała obojętnie:

– Jak pani sobie życzy. Tylko uprzedzam od razu, żeby nie było nieporozumień: ja nie jestem policjantką. Policja pewnie przyjedzie później, ale ja nie mam z nią nic wspólnego. Jestem prywatnym detektywem.

Alina Myszka niemal wrosła w ziemię. Spoglądała na Dionę okrągłymi ze zdumienia oczami, niezdolna do wymówienia bodaj jednego pełnego zdania. Z jej ust wydobywały się tylko urywane okrzyki.

– Ale?! Jak?! Czy...?

– Mogę wejść? – Remańska w końcu się zniescierpliviła. – Chyba nie będziemy rozmawiać przez płot?

Myszkę wreszcie odblokowało, choć nadal spoglądała na detektywkę jak na kobietę z brodą czy inne dziwowisko. Przekręciła klucz w zamku i zamaszystym gestem otworzyła furtkę na całą szerokość.

– Proszę. Zaskoczyła mnie pani. Nie sądziłam, że w tym zawodzie pracują również kobiety. Czy to nie zbyt niebezpieczne?

– Na pewno mniej niż praca w policji, a z pewnością pani wie, że obecnie dużo kobiet tam służy.

Myszka wykonała upierścienioną dłonią lekceważący gest.

– Niby tak, ale one przecież pracują w biurze.

Diona otworzyła usta, po czym zamknęła je, rezygnując z wypowiedzenia zdania, które z dwóch powodów zapewne stałoby się początkiem końca tej wizyty. Po pierwsze, składało się w większości ze słów nienadających się do powtórzenia w eleganckim towarzystwie, po drugie, jasno precyzowało poziom inteligencji rozmówczyni.

Dziewczyna doszła do wniosku, że nie ma sensu rozwodzić się nad tą sprawą i robić sobie wroga z Myszką poprzez wykazanie jej ignorancji. Lepiej tę kwestię zignorować. Tu omal nie parsknęła śmiechem, wspomniawszy wypowiedź profesora Bralczyka, obrazowo ukazującą różnicę między tymi dwoma pojęciami: „Być ignorowanym przez ignorantą to przykre – ale zwykle ignoruje on nas właśnie dlatego, że jest ignorantem”. Ruszyła więc w milczeniu za gospodynią, która szybkim krokiem zmierzała do drzwi, co rusz oglądając się na gościa. Choć jeszcze przed chwilą chciała spławić intruza, teraz aż paliła się do rozmowy. Widocznie słowo „detektyw” miało magiczne właściwości. Diona miała nadzieję, że na innych mieszkańców Osin również podziała i sprawi, że otworzą się przed nią, czego z pewnością by nie zrobili, gdyby nadal była policjantką.

Rozdział 4

Bez śladu

5 lipca 2019

Alinę Myszkę tak zafascynowała praca kobiety jako detektywa, że w ogóle się nie zastanowiła, dlaczego kogoś takiego miałyby interesować zaginięcie księży. Zaprosiła ją do elegancko urządzonego pokoju, wskazała wygodny fotel i poczęstowała colą z lodem i plastrem cytryny. Nie była to, jak się okazało, bezinteresowna gościnność. Chciała po prostu zaspokoić ciekawość i tak długo wypytywała, jak to jest być detektywką, że w końcu Diona musiała przypomnieć jej o powodach wizyty.

– Ojej, zapomniałam z tego wszystkiego. Tak zajmująco pani opowiadała.

Dziewczyna z trudem stłumiła śmiech i przybrała poważną minę.

– Na czym opiera pani podejrzenie, że obaj księża zaginęli? Wydaje mi się, że bardziej prawdopodobne jest, że gdzieś po prostu wyjechali.

– To absolutnie wykluczone – oburzyła się Myszka. – Nie bez uprzedzenia i przede wszystkim nie teraz.

– Dlaczego? Przecież jest lato, mamy piękną pogodę. Ksiądz też człowiek i ma prawo poczuć się zmęczony.

Kobieta energicznie pokręciła głową.

– Nie zna pani naszego proboszcza. To człowiek o żelaznej woli, nie poddaje się takim słabościom. Nieraz słyszałam, jak mówił, że wyjazdy urlopowe to nic dobrego, bo stwarzają okazję do grzechu.

Ludzie robią się leniwi, zapominają o modlitwie i Bogu, przez co stają się podatni na podszepty Złego.

– Poważnie? – zdziwiła się Diona. – Myślałam, że wyjeżdża się po to, żeby wypocząć. W domu zawsze znajdzie się coś do zrobienia, więc najlepiej spędzać urlop gdzieś daleko i na jakiś czas zapomnieć o obowiązkach.

– I to jest właśnie powszechny błąd. – Myszka przybrała mentorski ton. – Brak obowiązków wywołuje nudę, a nuda sprawia, że ludzie łatwo ulegają pokusom. Stąd biorą się te wakacyjne romanse, kończące się potem nieślubnymi dziećmi, zdradami i rozwodami. Pani Dionizo, Zły tylko czeka, by wziąć nas we władanie!

Remańska poczuła, że jeżeli jeszcze przez chwilę będzie zmuszona wysłuchiwać tego bredzenia, zacznie krzyczeć albo zaknebluje rozmówczyni usta. Nie dziwiła się już Ewce, że przestała odwiedzać kuzynkę.

– Wróćmy może do zniknięcia księży. Mówiła pani o proboszczu. A ten drugi?

Zadając pytanie o wikarego, Dioniza oczekiwała w odpowiedzi podobnych peanów jak te, które usłyszała na cześć proboszcza. Myszka jednak ją zaskoczyła, krzywiąc wymownie usta w pogardliwym grymasie. Ale Dionie to nie wystarczyło. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej, dlatego ponowiła pytanie, udając przy tym, że nie zauważa niechęci Aliny do zwerbalizowania opinii.

– Ksiądz Apoloniusz? To nasz wikary. Ale nie wiem, czy on w ogóle powinien zostać księdzem. – Kobieta z niechęcią wydeła usta. – Według mnie za mało w nim wiary jak na kapłana.

– To znaczy co? Uważa pani, że wasz wikary nie wierzy w Boga?

– Nie to miałam na myśli – zaoponowała Myszka. – Wierzy, ale jest za mało wymagający, zanadto pobłaża ludziom. Tu naród hardy, niełatwo zgina kolana nawet przed majestatem, a on jakby tego nie zauważał. Pozwala sobie wchodzić na głowę, zamiast żądać szacunku. Proboszcz to co innego – stwierdziła na koniec.

Z jej głosu można było wyczytać takie uwielbienie, że Diona znów miała ochotę się roześmiać. Czyżby proboszcz był młody i przystojny?

– Rozumiem. Uważa pani, że wikary mógłby ewentualnie gdzieś niespodziewanie wyjechać, ale nie proboszcz. Czy tak?

– Na pewno żaden z nich nie wyjechał. W niedzielę będzie odpust i stulecie poświęcenia naszego kościoła. Zaplanowane są różne uroczystości i obecność księży jest niezbędna. Dzisiaj miałam dekorować ołtarz, więc wczoraj wieczorem poszłam na plebanię po klucze. Księża wiedzieli, że przyjdę, a jednak ich nie zastałam. Dzwoniłam i dzwoniłam...

Remańska zmarszczyła brwi. Sprawa była poważniejsza, niż myślała. Chyba rzeczywiście coś się stało.

– Może dzwonek nie działa? – zasugerowała najprostsze z rozwiązań.

Myszka znów pokręciła głową.

– Działa. Jest tak potwornie głośny, że słycać go nawet na drodze. Ksiądz Piotr jest u nas proboszczem od czterech lat – dodała tonem wyjaśnienia. – Poprzedni był stary i głuchy, a gospodyni niewiele młodsza i też przygłucha. To on kazał zamontować taki jazgoczący dzwonek, a jak nastał ksiądz Piotruś, to najpierw mówił, że trzeba go zmienić, ale potem uznał, że jest dobry, bo słycać go nawet w ogrodzie.

– Hmm. Dziwne to wszystko – zastanawiała się na głos Remańska.

– Jakaś epidemia zaginięć czy co?

– Dlaczego epidemia? – nie zrozumiała Myszka.

Diona popatrzyła na nią spod oka, zastanawiając się, czy kobieta udaje, czy też naprawdę nie widzi związku między tymi trzema przypadkami.

– Zniknęły już trzy osoby, a to nieduża osada – odparła wolno, pilnie przypatrując się gospodyni, lecz nie zauważyła nic ponad zaskoczenie.

– Jak to trzy? Ktoś jeszcze zaginął?

W oczach rozmówczyni rozgorzała ciekawość; bezwiednie pochyliła się do przodu, by lepiej słycać. Remańska znowu musiała stłumić odruch niechęci. Ta kobieta była odrażająca ze swoją wypaczoną wizją religijności, w myśl której grzechem była chęć wypoczynku, ale żądza sensacji i oddawanie się plotkowaniu już nie.

– Z tego, co wiem, kilka miesięcy temu zaginął młody człowiek. Paweł Pisarek. Musiała pani o tym słyszeć.

– Ach, ten!

W tym krótkim okrzyku Alina Myszka zawarła cały ogrom pogardy. Na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie; najwyraźniej liczyła na jakąś nadzwyczajną informację, którą mogłaby rozpowszechnić, stając się tym samym centralnym punktem zainteresowania mieszkańców osady.

– Właśnie ten. – Głos Dionizy zabrzmiał twardo, niemal groźnie. – Zaginął w lutym, a teraz zniknęły dwie kolejne osoby. To daje do myślenia, nie uważa pani? Moim zdaniem te zaginięcia w jakiś sposób się łączą.

– Jak pani może tak mówić?! – Myszka nie posiadała się z oburzenia. – Żeby łączyć księży z tym... tym...

Nie dokończyła, co zmartwiło Dionę, gdyż spodziewała się, że podenerwowanej kobiecie wymsknie się jakaś uwaga, na podstawie której można będzie wyodrębnić trop prowadzący do ciemnej przeszłości Pisarka. Było bowiem oczywiste, że właśnie w niej kryją się powody zniknięcia chłopaka. O ile oczywiście nie wyjechał dobrowolnie.

Remańska sięgnęła po szklanekę i upiła kilka łyków coli. Nie czuła pragnienia, potrzebowała tylko kilku minut do namysłu. Musiała tak pokierować dalszą rozmową, by Alina Myszka nie poczuła się urażona.

– Nie znam tu nikogo, więc trudno mi ocenić, jakim kto jest człowiekiem. Z pani słów wynika, że Paweł Pisarek nie zalicza się do osób, które można stawiać za wzór. Co takiego zrobił? Pobił kogoś? Okradł? Zgwałcił?

Alina Myszka zacisnęła wargi w grymasie uporu. Nie odpowiedziała, ale chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że właściwie tej odpowiedzi jednak udzieliła. Przynajmniej częściowo, gdyż przy ostatnich pytaniach za każdym razem bezwiednie kręciła głową w geście przeczenia.

– Proszę nie pytać o Pisarka, bo nie mam zamiaru o nim mówić. Nie odpowiem i nikt nie odpowie.

Jeszcze ciaśniej zasznurowała wargi i Diona pojęła, że wszelkie namowy są bezcelowe. Ta kobieta ze swoim negatywnym nastawieniem była dla śledztwa całkiem bezużyteczna. Może policjant byłby w stanie coś z niej wyciągnąć, strasząc konsekwencjami, ale osoba prywatna nie miała szans. Choć gdy patrzyła na zaciętą twarz gospodyni, wątpiła, czy nawet komendant główny policji potrafiłby zmusić Myszkę do mówienia, należało więc zmienić strategię i poszukać innego źródła informacji.

– W porządku. W takim razie niech mi pani powie, gdzie znajduje się plebania. Chciałabym się tam rozejrzeć.

Kobieta natychmiast odtajała.

– Pokażę pani.

– Nie trzeba – zaprotestowała szybko Remańska. – Zająłabym już pani dużo czasu, a przecież pani gdzieś się wybierała.

– To nie jest aż tak pilne...

Myszka nie ustępowała, całą sobą oznajmiając, że nie przywykła, by jej odmawiano. Ale tym razem trafiła kosa na kamień.

– Nie mam sumienia odciągać pani od zajęć. – Diona osłodziła wypowiedź przymilnym uśmiechem. – Pojadę sama, proszę tylko mi powiedzieć, gdzie mam się udać. Muszę osobiście się przekonać, że nikt nie reaguje na dzwonek.

– Tylko tyle?

Zawód w głosie Myszkę powiedział Remańskiej, że kobieta oczekiwała czegoś na miarę akcji grupy kontrterrorystycznej.

– Jak wspomniałam, nie jestem policjantką, więc moje możliwości są ograniczone. Nie mogę ot tak wejść sobie na teren cudzej posesji.

To wystarczyło, by Alina Myszka podała lokalizację plebanii bez dalszych prób dotrzymania Dionie towarzystwa. Pożegnały się bez uścisku dłoni i po chwili Remańska wsiadła do samochodu, by podjechać we wskazane miejsce.

Po drodze zatrzymała się przed sklepem, by pociągnąć za język ekspedientkę, gdyż w trakcie jazdy przypomniała sobie sympatyczną Pelagię ze sklepu w Świercznicy, będącą istną skarbnicą wiedzy o mieszkańcach wsi. Miała nadzieję, że tutejsza sklepowa okaże się pod tym względem do niej podobna.

Pchnęła przeszklone drzwi i weszła do środka pod pretekstem nabycia papierosów. Za ladą dostrzegła młodą dziewczynę o sympatycznej twarzy, zielonych oczach i płomiennie rudych lokach, przesuwającą skrzynki z jarzynami. Szczupła i niewysoka, zadziwiająco sprawnie radziła sobie z wyładowanymi pojemnikami. Jej drobna postać wprost kipiała energią i radością życia.

– Dzień dobry – zawołała Diona, widząc, że dziewczyna po uporaniu się z ostatnią skrzynką kieruje się w stronę zaplecza.

Sklepową odwróciła się tak szybko, że rude loki zawirowały wokół jej głowy.

– Dzień dobry. Przepraszam, nie zauważyłam, że pani weszła. Co podać?

– Czerwone rothmansy.

– Nie wiem, czy jeszcze jakieś zostały. – Ekspedientka zerknęła na gablotę, potem kucnęła i zajrzała pod ladę. – Są tylko niebieskie. Chce pani?

Diona skrzywiła się lekko.

– A jakieś inne czerwone? Pall malle albo westy?

Dziewczyna przesunęła z hurgotem jakiś przedmiot i wyprostowała się ze stęknieniem. W ręce trzymała zapieczętowany karton papierosów.

– Znalazłam rothmansy. Tak mi się wydawało, że powinny być, ale ostatnio zastępowała mnie mama i nie byłam pewna, czy ktoś nie kupił. Ale tu nikt takich nie pali, więc... – Urwała, na policzki wypłynął jej uroczy rumieniec. – Przepraszam. Straszna gaduła ze mnie. Nigdy nie wiem, kiedy skończyć.

Zrobiła tak komiczną minę, że Diona roześmiała się serdecznie.

– Nic nie szkodzi, nigdzie się nie spieszę. Przyznam się, że nie rozumiem. – Wskazała karton papierosów. – Po co pani je zamówiła, skoro nikt takich nie pali?

– Dla Aleksandra Myszki. Wtedy jeszcze palił, ale zaraz potem rzucił. Żona mu zabroniła, bo to podobno grzech.

– No tak – mruknęła Remańska. – Dla pani Aliny pewnie nawet oddychanie jest grzechem, jeśli ktoś robi to zbyt często.

Teraz ekspedientka się roześmiała.

– Nic dodać, nic ująć. Widzę, że miała już pani przyjemność poznać najczystsza z czystych?

Zawiesiła głos, zerkając z ciekawością na klientkę, której zboliała mina mówiła więcej niż słowa. Diona westchnęła.

– Właśnie od niej wracam i przyznam, że najchętniej bym się opiła, żeby wyrzucić z głowy jej absurdalne teorie. Niestety przyjechałam samochodem, więc alkoholizowanie się musi poczekać. Ale kawa też by pomogła. Jest tu jakiś lokal?

– Jest knajpa, ale nie polecam. – Dziewczyna skrzywiła się wymownie. – Szczerze mówiąc, nie wiem, czy w tym stuleciu ktoś zamawiał tam kawę. – Ponownie zerknęła na klientkę i nagle zaproponowała: – Może pani wypić kawę u mnie na zapleczu. Chętnie panią poczęstuję w zamian za plotecki o tej wariatce.

Dziewczyna miała na imię Marianna i rzeczywiście była gadułą, dzięki czemu Remańska nie musiała się wysilać, by wyciągnąć z niej informacje o proboszczu i jego pomocniku. Zdecydowanie nie zaliczała się do wyznawców takiej religii, jaką głosił ksiądz Piotr. Jak powiedziała Dionie, wierzyła w Boga miłosiernego i wybaczącego, dlatego kazania proboszcza o grzechu, piekle i wiecznym potępieniu w ogóle nie trafiały jej do przekonania. Remańska wysłuchiwała jej wywodu, po czym zapytała:

– Podobno poprzedni proboszcz miał gospodynię. Czy ona dalej rządzi na plebanii?

Marianna gniewnie zmarszczyła brwi.

– Skądże! Pozbył się jej od razu, chociaż prosiła go z płaczem, żeby pozwolił jej zostać. Nie była już młoda. W tym wieku ciężko o robotę, a ona ma wnuka na utrzymaniu. Córka podrzuciła jej dzieciaka i poszła w długą.

Diona zanotowała w głowie tę informację, żałując, że przed wejściem do sklepu nie włączyła dyktafonu. Miała nadzieję, że zapamięta słowa sklepowej i niczego nie pominie.

– Niezbyt to pięknie z jego strony. Pewnie zatrudnił młodszą i ładniejszą?

Uśmiechnęła się porozumiewawczo, lecz Marianna pokręciła głową.

– W ogóle nie mają gospodyni. Powiedział, że nie życzy sobie, żeby jakieś wścibskie babsko plątało się po plebanii i zaglądało w każdy kąt.

Remańskiej wydało się to dziwne, o czym nie omieszkała poinformować sklepowej. Dziewczyna natychmiast połknęła haczyk i znów się rozgadała.

Owszem, proboszcz był dziwnym człowiekiem, pełnym uprzedzeń i fobii. Nie tolerował na przykład żadnych używek, przez co nie zaskarbił sobie sympatii sporej grupki okolicznych mężczyzn, dla których picie wódki i palenie papierosów stanowiło tradycję przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Gdyby nie kobiety, mogłoby nawet dojść do buntu. Ale żony, matki i siostry poparły w tej kwestii księdza, zadowolone, że kategorycznie potępił nałogi, z którymi od lat bezskutecznie walczyły. Wobec tego mężczyźni nie mieli innego wyjścia jak położyć uszy po sobie i ogłosić kapitulację.

– Tak po prostu się poddali?

Diona nie bardzo mogła uwierzyć w taką nagłą przemianę.

– Kapitulacja była pozorna. – Marianna prychnęła. – Po prostu przestali pić w domu. Chodzą do Niedowieszzonego Adolfa, bo on mieszka sam, więc nikt im nie gada nad głową o grzechu i Szatanie.

– Niedowieszony Adolf? – Remańska uniosła brwi. – To nazwisko?

– A gdzie tam! Ksywka taka, bo dawno temu, jak jeszcze Adolf był młody, rzuciła go narzeczona, a on tak się tym przejął, że wziął sznur, że niby wieszać się będzie. I faktycznie zrobił pętlę, przywiązał sznur do gałęzi, wlaż na tę gałąź i skoczył. Gałąź się złamała, tak samo jak kość ogonowa Adolfa, kiedy przypieprzył zadkiem w glebę.

Wymieniły rozbawione spojrzenia. Diona upiła ostatni łyk kawy i zastanawiała się właśnie, jakim pretekstem się posłużyć, by przedłużyć pogawędkę, gdy naraz rozległ się gong przy drzwiach, oznajmiający czyjeś wejście. Marianna poderwała się z krzesła z przepraszającym uśmiechem.

– Muszę obsłużyć klienta.

– Na mnie też już pora. – Remańska podniosła się niechętnie. – Ale na pewno jeszcze tu wrócę. Kawa była pyszna.

– Zapraszam.

Wyszły z zaplecza. Marianna podeszła do starszej kobiety, nerwowo przestępującej z nogi na nogę. Niecierpliwość nie przeszkodziła jej jednak zmierzyć Diony zaciekawionym spojrzeniem od stóp do głów i dziewczyna była całkowicie pewna, że po jej wyjściu sklepowa zostanie zasypana gradem pytań.

Skrywając rozbawienie, skierowała się ku wyjściu. Wiedziała, że tu wróci. Nie zdążyła zadać wszystkich pytań, a przeczuwała, że rudowłosa ekspedientka zna odpowiedzi na większość z nich.

*

Plebania znajdowała się w pewnym oddaleniu od kościoła, ale na tyle blisko, by można było uznać, że ze sobą sąsiadują. Budynek nie był duży, z zewnątrz oceniła go jako mogący wygodnie pomieścić cztery osoby. Do drzwi wejściowych prowadziła dróżka ułożona z kostki brukowej; po jej obu stronach znajdował się płot z żeliwnych prętów, tworzący coś na kształt śluzy.

Diona domyśliła się, że ogrodzenie skonstruowano w taki sposób dlatego, by petenci mogli podejść bezpośrednio do drzwi, co z pewnością ułatwiało mieszkańcom budynku życie, eliminując konieczność każdorazowego biegania do furtki. Plebania nie wyglądała na dużo młodszą od kościoła, więc w czasach jej wznoszenia z pewnością nie znano jeszcze takich udogodnień jak domofon czy zdalnie sterowany zamek.

Dziewczyna podeszła do drzwi i przycisnęła guzik dzwonka. Odczekała jakiś czas, a gdy nikt nie otworzył, ponowiła próbę, tym razem jednak nie cofnęła palca, choć dochodzący z wewnątrz piekielny jazgot z każdą upływającą sekundą zdawał się głośniejszy i wkrótce stał się nie do zniesienia.

Cofnęła w końcu palec, powstrzymując chęć dotknięcia uszu, by przekonać się, czy na pewno jej nie odpadły. Usiadła na schodku przed drzwiami, analizując sytuację. Coś tu było nie tak. Jeśli proboszcz umówił się z Myszką, a był rzeczywiście tak

odpowiedzialny, jak go przedstawiła, na pewno nie zlekceważyłby kobiety będącej jego największym sprzymierzeńcem w walce z rakiem grzechu toczącym parafian. Co w takim razie mogło spowodować jego nieobecność?

Nagła myśl sprawiła, że poderwała się na równe nogi. Było przecież całkiem prawdopodobne, że młodszy z księży wyjechał, a starszy nie otwiera, bo nie może tego zrobić. Kto wie, czy nie leży gdzieś nieprzytomny lub chory do tego stopnia, że nie ma dość sił, by dobrnąć do drzwi czy zadzwonić po pomoc?

W chwili, gdy o tym pomyślała, gdzieś w głębi posesji rozległ się odgłos przypominający ciche jęczenie. Po chwili się powtórzył, głośniejszy i bardziej żałosny. Już sięgała po telefon, by zadzwonić do Dariusza, gdy przypomniała sobie powody, dla których musiał przełożyć wyjazd do Osin. Nie mogła zawracać mu głowy problemem, który być może istniał wyłącznie w jej wyobraźni. Powinna poradzić sobie sama. Tylko jak?

Zmierzyła posępnym wzrokiem masywne drzwi i podjęła decyzję. Ewentualnymi konsekwencjami będzie martwić się później.

Płot z wysokich, ostro zakończonych prętów tylko pozornie wyglądał na nie do pokonania. Gdy przyjrzała mu się bliżej, zauważyła poprzeczne łączenie, mogące posłużyć jako schodki. Zaczynało się na wysokości około czterdziestu centymetrów nad ziemią i łączyło pierwszy pręt z drugim i trzecim. Kolejne znajdowało się mniej więcej czterdzieści centymetrów wyżej, łączyło trzeci pręt z dwoma następnymi. Dalej zobaczyła jeszcze dwa, zatem nie będzie musiała się specjalnie wysilać.

Przerzuciła torebkę przez płot i wspięła się na pierwszą poprzeczkę. Potem przesunęła się w bok i weszła na następną, później na kolejną, aż znalazła się czterdzieści centymetrów poniżej zwieńczenia płotu ostrymi szpikulcami, nie dość jednak wystającymi, by mogły stanowić wygodny i bezpieczny uchwyt.

Kilka sekund stała tak uczepiona płotu, wreszcie wzruszyła ramionami.

– Najwyżej skończę tu jak kiełbasa nadziana na patyk – mruknęła i podciągnąwszy się na rękach, uklękła na jednym kolanie na

szczytowej poprzeczce.

Pozycja nie zaliczała się do wygodnych – musiała przytrzymywać się wystających prętów i jednocześnie odchyłać tułów, by nie nadziać się brzuchem na szpikulce. Ostrożnie podciągnęła drugie kolano i uklękła. Nie obyło się przy tym bez obrażeń. W ostatniej fazie zahaczyła ręką o szpikulce i rozcięła przedramię, na szczęście niezbyt groźnie. Krew wprawdzie płynęła dość mocno, ale rana była płytka, toteż dziewczyna na razie ją zignorowała. Nałoży opatrunek, gdy już zejdzie z tej grzędy.

Początkowo miała zamiar dostać się na ziemię za pomocą tej samej metody co przy wchodzeniu, lecz prawie natychmiast zrezygnowała z pomysłu. Próba odwrócenia się mogła mieć tragiczny finał. Diona zmierzyła wzrokiem odległość i skoczyła. Miękka trawa zamortyzowała uderzenie i dziewczyna utrzymała się na nogach, choć musiała podeprzeć się ręką dla złapania równowagi.

– Skok podparty i bez telemarku – mruknęła, podniosła torebkę i wydobyła z niej oryginalnie zapakowany sterylny opatrunek. Praca w policji wyrobiła w niej nawyk noszenia przy sobie takich przedmiotów, co matka uważała za lekką paranoję. Tymczasem okazało się, że jednak są przydatne.

Opatrzyła zranienie, potarła poślinioną chusteczką higieniczną miejsca ubrudzone ściekającą krwią i ruszyła przez ogród na tyły plebanii, myśląc przy tym, ile czasu upłynie, zanim pojawi się tu policyjny patrol wezwany przez czujnych sąsiadów. A może wcale się nie pojawi? Po drugiej stronie drogi znajdował się ogród gęsto obsadzony drzewkami owocowymi, podobnie jak po lewej stronie plebanii. Z kolei z prawej domostwo księży graniczyło z kościelnym parkingiem, z tyłu zaś, co mogła teraz wyraźnie sprawdzić, rozciągało się pole uprawne. Zatem najbliższe sąsiedztwo w zasadzie nie istniało.

Diona doszła do rogu budynku i teraz miała przed sobą widok na cały ogród. Pomyślała, że jest wyjątkowo zadbany, ale nie przesadnie „ugłaskany”, jak nazywała miejsca, gdzie wszystkie krzaczki były tej samej wysokości, a trawę przystrzygano tak równo, jakby przy koszeniu posługiwano się poziomą.

Szła wolno, z przyzwyczajenia rejestrując szczegóły. Stół i ława pod jabłonią, oczko wodne ze stojącą tuż przy brzegu ławką, klomb z wyjątkowo dorodnymi różami i wreszcie taras bez barierek, za to z ustawionymi w ich miejsce skrzynkami obsadzonymi wiszącymi pelargoniami.

Wspinała się po schodkach tak zapatrzona w to kwietne bogactwo, że gdyby nie potknęła się na ostatnim, weszłaby prosto w niemal czarną kałużę, nad którą krążył rój wielkich, czarnych much. Rozmazane smugi krwi prowadziły ku drzwiom balkonowym i wyglądały, jakby ktoś się tam czołgał lub go ciągnięto.

– Kurwa mać!

Cofnęła się i wyjęła telefon, potem drżącymi palcami wyszukała numer, modląc się w duchu, by Dariusz odebrał. Niestety Bóg pozostał głuchy, co niespecjalnie ją zdziwiło. W końcu ich wzajemne stosunki nie były zbyt zażyłe. Już miała zamiar zadzwonić do komisariatu, gdy przyszło jej do głowy, że lepiej będzie najpierw sprawdzić, czy rzeczywiście coś się tutaj stało. Nie wiedziała, czy doszło do przestępstwa. Równie dobrze któryś z księży mógł się skaleczyć i albo leżał tam nieprzytomny lub martwy z wykrwawienia, albo opatrzył ranę i odpoczywał.

Pomyślała, że powinna sprawdzić, czy drzwi na taras są zamknięte, podeszła więc bliżej i pchnęła łokciem skrzydło. Nie drgnęło. Usiłowała zobaczyć coś przez szybę, lecz firanka była zbyt gęsta. Zdecydowała się obejść budynek i sprawdzić, czy nie da się dostać do środka innym sposobem; w razie gdyby nie znalazła możliwości wejścia, wybije szybę. Jeśli jest tam ktoś ranny, może liczyć się każda minuta.

Rzuciła torebkę na trawę i zeszła z tarasu, ponownie płosząc muchy krążące nad wielką kałużą szerniałej krwi. Poszła w kierunku przeciwnym niż ten, z którego nadeszła, wydawało jej się bowiem, że w tamtej ścianie nie było żadnego okna.

Wkrótce znalazła się przy kończącym się bramą wjazdową płocie, zakręcającym tak, że odgradzał z drugiej strony dróżkę prowadzącą do frontowych drzwi. Zakłęła szpetnie, gdy uświadomiła sobie, że nawet nie dotknęła klamki, a teraz, żeby to sprawdzić, znowu

musiałyby przełazić przez płot. Pocięszyła się myślą, że skoro wszystkie okna zamknięto, nie było powodu, dla którego ktoś miałby zostawić otwarte drzwi.

Sprawdziła garaż, lecz okazał się zamknięty na głucho, zawróciła więc w stronę tarasu i poszła w przeciwną stronę budynku, by upewnić się, że rzeczywiście nie ma tam żadnego okna.

Okazało się, że ich nie zauważyła. Dwa uchylone okna, tak dokładnie zarośnięte winobluszczem, że trzeba było mocno wyteńczyć wzrok, by dojrzeć między liśćmi lśnienie szyb, znajdowały się zbyt wysoko, by mogła ich dosięgnąć. Z tej strony budynek z uwagi na różnicę poziomu gruntu miał znacznie wyższą podmurówkę i nie pomogło stawanie na palcach ani nawet podstawienie obróconego do góry dnem wiaderka. Pozostało tylko przystawienie drabiny.

Widziała taki sprzęt po drugiej stronie domu. Drewniana drabina leżała jednym bokiem oparta o mur i przywalona blatem dużego stołu. Diona pobiegła tam, przewróciła blat i wtedy zobaczyła piwniczne okienko. Było otwarte. Czym prędzej doskoczyła, zwała drabinę na blat i położywszy się na brzuchu, wetknęła głowę w okienko, przyświecając sobie komórką.

Pomieszczenie było niższe niż przeciętny pokój, w dodatku pod oknem stała jakaś skrzynia. Dziewczyna wyłączyła latarkę i schowała komórkę do tylnej kieszeni.

– Dobra nasza – stwierdziła i przekręciła się tak, by w okienku znalazły się najpierw nogi.

Otwór był piekielnie wąski. Diona przesuwiała się mozolnie, dziękując przy tym dobrym mocom, że nie obdarzyły jej szerszymi biodrami i bujnymi piersiami, czego dotychczas zawsze żałowała. Wreszcie na zewnątrz znajdowały się tylko ramiona i głowa. Nadal nie wyczuwała pod stopami skrzyni i domyśliła się, że mylnie oszacowała jej wysokość. Zatem należało zdać się na los.

Ten okazał się łaskawy. Deski nie były spróchniałe i nie załamały się pod jej ciężarem, czego obawiała się najbardziej. Remańska zaraz zeskokczyła na podłogę i rozejrzała się czujnie. W nikłym świetle sączącym się z wąskiego okienka zobaczyła lekko uchylone drzwi, a obok nich starodawny włącznik światła. Ruszyła w tamtą stronę

i nagle dosłyszała szelest dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia. Po nim drugi i trzeci. Brzmiały jak ciche kroki skradającego się człowieka.

Zastygła z jedną nogą w powietrzu, a gdy jej uszu znów dobiegł szelest, opuściła ją wolno, napinając jednocześnie ciało w oczekiwaniu na atak. Ręka bezwiednie powędrowała do biodra i napotkała tam pustkę. Diona skłęta się w myślach za ten bezsensowny odruch i wyteżyła wzrok, usiłując w półmroku wypatrzeć coś, czym mogłaby zastąpić broń, której nie nosiła już od dwóch lat. W kącie dostrzegła opartą o ścianę metalową rurkę, niezbyt grubą, o długości niespełna metra.

Starając się poruszać bezgłośnie, wolno przesuwiała się w tamtą stronę. Jeszcze tylko trzy kroki i dosięgnie przedmiotu nadającego się idealnie do samoobrony.

Kolejny szelest rozległ się tuż za drzwiami, tym razem wzbogacony o dziwne prychanie. Dziewczyna gwałtownym wyrzutem skierowała rękę w stronę rurki i nie trafiła. Chybiwszy o centymetr, końcami palców trąciła potencjalną broń, która z głośnym brzękiem upadła na betonową wylewkę i potoczyła się w przeciwnym kierunku.

W drzwiach coś się zaszamotało i jednocześnie z przeraźliwym miauczeniem przez piwnicę przemknął bury kształt. Jednym susem znalazł się na skrzyni, ciągnąc za sobą jednorazową reklamówkę uczeploną prawej tylnej łapy. To ona wydawała ten tajemniczy, szeleszczący odgłos. Kot przysiadł na chwilę i po kilku nieudanych próbach i towarzyszących temu głośnych prychnięciach pozbył się wreszcie reklamówki. Odbił się od skrzyni i z gracją wylądował na ramie okienka. Tam zastygł na moment, wydał z siebie miauczenie do złudzenia przypominające jęk, po czym zniknął.

Dopiero teraz Diona odzyskała zdolność poruszania się. Jedną rękę przycisnęła do piersi odwiecznym gestem człowieka chcącego uspokoić szaleńczo bijące serce, drugą zaś przytknęła do ust, by powstrzymać histeryczny śmiech.

– Cholerny sierściuch – mruknęła i podeszła do włącznika.

Ruszyła pokrętem i pod sufitem rozbłysła żarówka. W jej świetle zobaczyła, że piwnica jest pusta, jeśli nie liczyć skrzyni i starego

taboretu z odłamaną jedną nogą, wyrzała więc na zewnątrz i przekonała się, że ma przed sobą wąski korytarz. Po obu jego stronach również znajdowały się drzwi, lecz minęła je, zakładając, że ranny człowiek raczej nie szuka schronienia w piwnicy.

W połowie korytarza znalazła drewniane schodki i domyśliła się, że powinna pójść tędy, jeśli chciała znaleźć się na poziomie mieszkalnym. Schody kończyły się małym podestem i kolejnymi drzwiami.

Szła po skrzypiących schodkach i rozmyślała, jaki byłby to pech, gdyby drzwi okazały się zamknięte na klucz. Ale i tym razem los się do niej uśmiechnął. Po naciśnięciu klamki skrzydło uchyliło się z cichym zgrzytem. Diona weszła do przedpokoju, rozejrzała się uważnie i postanowiła zacząć od salonu. Wyminęła kuchnię, rejestrując stojącą na stole pustą butelkę chivas regal, a na podłodze szkło z rozbitej szklanki, leżące na środku zaschniętej żółtawobrazowej kałuży.

– Niezły syf – mruknęła do siebie. – Wygląda na to, że ktoś tu ładnie dał w palnik. Nic dziwnego, że potem zaliczył glebę na tarasie.

Jednak z drugiej strony nie bardzo wiedziała, czym się mógł tak zranić. Nie zauważyła tam żadnego ostrego przedmiotu.

Nagle przystanęła i wciągnęła mocno powietrze. Zrobiła jeszcze dwa kroki i już nie miała wątpliwości. Tego zapachu nie dało się pomylić z żadnym innym. Teraz już Remańska nie widziała innego wyjścia. Wyjęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do Marcina.

– Słuchaj, jest taka sytuacja, że chciałam porozmawiać z księżmi z Osin. Weszłam na plebanię, a tu księży nigdzie nie widać, za to w salonie jest trup.

Usłyszała stłumione przekleństwo, co świadczyło, jak przejął się sytuacją. Rzadko się zdarzało, by klął w rozmowie z kobietą.

– Słyszałem od ojca, że księża zaginęli. Co ty tam robisz? Zresztą teraz to nieważne. Opisz, co widzisz.

– Nic nie widzę – odparła niewyraźnie, z połą bluzki przyciśniętą do nosa i ust. – Na razie tylko czuję. Wiesz, od kilku dni jest upał.

– Podejdź bliżej, żebyś mogła to obejrzeć. Głównie interesuje mnie, czy są tam ciała, a nie na przykład zepsute mięso. Wytrzymasz? –

zatroszczył się nagle.

Diona tylko prychnęła w odpowiedzi i weszła do pomieszczenia wyglądającego na salon. Ostrożnie wyminęła stojący jej na drodze i zasłaniający widoczność stół ze zwieszającym się niemal do podłogi obrusem, pilnując się, by niczego nie dotknąć. Zawsze na wszelki wypadek zabierała ze sobą nie tylko pakiet z opatrunkiem, ale i nitrylowe rękawiczki. Niestety te ostatnie znajdowały się w torebce, która została na zewnątrz budynku.

Zwłoki leżały tuż za drzwiami balkonowymi, jakby zabójca nie miał dość sił, by przeciągnąć je dalej, albo uznał, że nie musi bardziej się wysilać. Zmarłemu z pewnością było to już obojętne, tak samo jak fakt, że jego oprawca nie podjął żadnych działań, by ratować ofiarę. Trudno zresztą ratować kogoś, kto prezentuje się tak jak mężczyzna leżący u jej stóp.

Diona westchnęła i podniosła telefon do ucha.

– Trup jest tylko jeden, ale obrażeniami mógłby obdarzyć jeszcze pięciu innych. Facet wygląda, jakby ktoś walił go po głowie morgensternem.

– Może tak właśnie było – odparł Marcin nieobecny głosem. Chyba myślał o czymś innym. Zaraz jednak wrócił do rzeczywistości.

– Co to właściwie jest? Ten morgenstern? Słyszałem tę nazwę, ale nie mogę sobie przypomnieć.

– Taka kula z kolcami. Przymocowana do łańcucha, a łańcuch do drążka. Chwytasz drążek i wywijasz nim, a potem...

– Dobra, nie kończ. Już jarzę i domyślam się, że morgenstern jednak nie stanowi zwykłego wyposażenia plebanii. Jak myślisz, który to ksiądz? Proboszcz czy wikary?

Diona znów pochyliła się nad ciałem. W zlepionej krwią masie dojrzała siwy kosmyk i już wiedziała, który z księży spotkał się ze swoim stwórcą.

– To proboszcz. Chyba że wikary osiwił przed trzydziestką, ale sylwetka też bardziej pasuje do starszego z księży.

– A twarz?

– On nie ma twarzy.

Rozdział 5

Śmierć nie pyta

5 lipca 2019

Marcin nie spytał o nic więcej. Polecił Dionie, by sprawdziła, czy może otworzyć od wewnątrz drzwi wejściowe, i zaczęła na przyjazd policjantów. Potem się rozłączył, a ona wyszła z salonu przesiąkniętego zapachem śmierci i wróciła na piwniczne schodki, gdzie wreszcie mogła odetchnąć pełną piersią.

Zastanawiała się, jak długo ksiądz tam leżał i dlaczego wcześniej nikt nie zauważył jego nieobecności. Przecież w dni powszednie msze także są odprawiane. I gdzie, do ciężkiej cholery, podział się wikary?

Bezczyenne czekanie nigdy nie przychodziło Dionizie łatwo. Teraz także już zaczęło ją nosić. Zgodnie z prośbą Lipskiego skierowała się do drzwi wejściowych, licząc na to, że być może są zamykane na zamek typu łucznic, wobec czego będzie można otworzyć je od wewnątrz. Nadzieje okazały się płonne, lecz jej uwagę przyciągnął ścienny wieszak na podręczne okrycia. Zauważyła pęk kluczy wiszący na haczyku obok kurtki przeciwdeszczowej, złapała go i po kilku nieudanych próbach dopasowania właściwego klucza drzwi wreszcie stanęły przed nią otworem.

Wyszła na zewnątrz i rozsiadła się wygodnie na schodku. Miała ochotę zapalić. Sięgnęła do kieszeni i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że papierosy znajdują się w torebce, torebka zaś leży na trawie przed tarasem. Żeby się do niej dostać, musiałaby przejść tuż obok zwłok i otworzyć przeszklone drzwi, a tego w żadnym wypadku nie

powinna robić. Zakłęła szpetnie, gdyż teraz, kiedy już wiedziała, że nie będzie mogła zapalić, dopóki nie przyjadą policjanci, głód nikotynowy odezwał się ze zdwojoną mocą.

– A pani co się tu tak rozsiadła? – zapytał naraz przechodzący mężczyzna.

Nie wstała, uniosła jedynie głowę, by mu się przyjrzeć. Był mniej więcej w wieku jej ojczyma, tylko włosy miał prawie całkiem siwe i mocno przerzedzone, podczas gdy Imielski nadal mógł się poszczycić ciemnobrązową, gęstą czupryną. Mężczyzna niósł wyładowaną reklamówkę, domyśliła się więc, że wracał ze sklepu.

– Dzień dobry – powitała go, okraszając słowa uśmiechem z gatunku „przyjazny, ale bez przesady”. – Czekam na proboszcza.

Przechodzień w zamyśleniu potarł zarośnięty siwą szczecinę podbródek.

– Nie ma go? Dziwne. Dzisiaj mieli zacząć ubierać kościół na rocznicę. Tam pani sprawdzała? – Wycelował palec w stronę kościelnej wieży.

– Oczywiście – odparła krótko, burkliwie, lecz zaraz znowu obdarzyła go uśmiechem. Nie powinna zniechęcać go do rozmowy. – Kiedy tutaj są msze? Nie chodzi mi o niedziele, tylko o pozostałe dni. Codziennie?

– Zależy kiedy. – Mężczyzna oparł reklamówkę o nogę i zaczął gmerać w kieszeniach. – W lipcu i sierpniu tylko w środy i piątki, bo młodzi wyjeżdżają na wakacje, a starsi mają huk roboty w polu.

– O której godzinie są te msze?

– Rano o wpół do siódmej. – Zauważył uniesione brwi Diony i dodał tonem wyjaśnienia: – Później nikt by nie przyszedł, bo jak się wyjdzie w pole, to nie po to, żeby za chwilę się przebierać do kościoła.

– A po południu lub pod wieczór?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Widać, że pani miastowa. Po południu ludzie schodzą się do domów. Muszą się umyć i przebrać, zjeść obiad... A wieczorem trza odbywać żywinę. Tu każdy ma kury, prosiaka albo owce, niektórzy nawet krowę.

- Dzisiaj rano też była msza?

Mężczyzna zaprzeczył i wyjaśnił, że odwołano ją ze względu na zaplanowane na niedzielę uroczystości.

Znalazł wreszcie to, czego poszukiwał. Wyjął z kieszeni na piersiach nieco zmiętą paczkę, wysupłał papierosa i włożył do ust. Gdy zobaczył, że Diona mu się przygląda, podsunął jej pudełko. Skorzystała skwapliwie, a mężczyzna podał jej ognia. Palili w milczeniu, potem przechodzień skinął jej głową i odszedł.

Dziewczyna usadowiła się wygodniej, rozważając jego słowa. Jeśli proboszcz odprawił środową mszę, znaczyło to, że zginął najwcześniej w środę rano. Teraz był piątek, zbliżało się południe, czyli minęły dwie doby i kilka godzin. Niewiele jak na stan zwłok, ale upał na pewno zrobił swoje, a i burza z pewnością pomogła.

Na dłuższą metę betonowy schodek okazał się mniej wygodny, niż początkowo uważała. Wstała, by rozprostować kości, i właśnie wtedy dosłyszała narastający jazgot syreny.

- Nadciąga kawaleria - powiedziała do siebie i wyszła na drogę, by wskazać im lokalizację.

Dwa radiowozy błyskające błękitem wjechały w uliczkę i zatrzymały się przed plebanią. Z pierwszego z nich wysiadł Marcin i natychmiast podszedł do Diony.

- Jak tam? - Przyjrzał się jej z troską. - W porządku? W takim razie prowadź.

Po drodze streściła mu, czego udało jej się dowiedzieć. Lipskiego zainteresowała głównie nieobecność wikarego.

- Sprawdziłaś resztę domu, czy gdzieś tam nie leży?

Zaprzeczyła, tłumacząc, że nie chciała zostawiać więcej śladów, przy okazji powiedziała technikowi, czego dotyczyła bez rękawiczek, i wreszcie wyjaśniła Marcinowi, że jeśli nawet wikary leży gdzieś w domu, z pewnością nie mogłaby mu już pomóc.

- Zrozumiesz, jak zobaczysz proboszcza.

Chciała się cofnąć, lecz przytrzymał ją za ramię. Uważał, że Diona ma świetną intuicję i jeszcze lepsze oko do szczegółów, i byłoby idiotyzmem pozbawiać się tego atutu.

Weszli do salonu. Remańska gestem wskazała okolice drzwi balkonowych, obeszli więc solidny dębowy stół na dwanaście osób, obstawiony krzesłami z wysokim oparciem. Lipski skierował wzrok na ciało, potem rzucił okiem na taras i wreszcie popatrzył na Dionę.

– No tak. Śmierć nie pyta, czy jesteś księdzem, czy grzesznikiem.

– Jedno nie wyklucza drugiego – zauważyła przytomnie.

Natychmiast poświęcił jej całą swoją uwagę.

– Wiesz coś o nim? Jakies wstydlive tajemnice, mogące być przyczyną ataku?

Podeszła bliżej, by ponownie przyjrzeć się denatowi.

– Jeżeli to rzeczywiście jest proboszcz, bo jak na razie są to tylko domniemania. Przydałby się wam ktoś, kto go znał i mógłby zidentyfikować. Ja niestety wiem tylko, że proboszcz miał na imię Piotr i że gdyby mógł, zakazałby wszystkiego, co daje ludziom radość. Nawiedzony fanatyk, dopatrujący się wszędzie działania Szatana.

Marcin skrzywił się wymownie.

– I w końcu sobie to działanie wywróżył, bo zabójca raczej nie potraktował go tak z dobroci serca. No dobra, pora zająć się tym bajzlem. Od czekania trup nie zrobi się świeższy. – Drgnął lekko na odgłos otwierania drzwi wejściowych, lecz nawet nie odwrócił głowy.

– Pewnie prokurator dojechał.

– Co tu tak okropnie śmierdzi? – rozległ się z przedpokoju pełen niesmaku kobiecy głos. – A wy co tu robicie?

W progu salonu stanęła Alina Myszka. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, biegiem okrążyła stół, chcąc zobaczyć to, czemu zebrani z taką uwagą się przyglądali, i stanęła jak wryta, zatrzymując się o kilka zaledwie centymetrów od wielkiej, ciemnej plamy na podłodze. Na widok ciała zbladła i zachwiała się lekko, lecz nie zemdlała, co Remańska musiała zapisać jej na plus.

Dopiero teraz do pokoju wpadł policjant w stopniu starszego szeregowego, wyglądający tak młodo, jakby dopiero co ukończył szkołę średnią.

– Panie aspirancie, ja bardzo przepraszam. Akurat przyjechał pan Wójcik i zaczął ze mną rozmawiać, gdy pojawiła się ta pani i poszła

prosto do drzwi. Wołałem, że nie wolno tu wchodzić, ale ona w ogóle nie słuchała i...

– W porządku. – Marcin z nieodgadnią miną przyjrzał się dokładnie najpierw kobiecie, potem jemu, na koniec zaś stwierdził: – Będziesz mieć na przyszłość nauczkę. Jeśli wydajesz polecenie, a obywatel je lekceważy, masz prawo zastosować środki przymusu, z użyciem broni włącznie.

Stał tyłem do Myszki, nie mogła więc widzieć porozumiewawczego uśmiechu skierowanego do funkcjonariusza. Poblądła jeszcze bardziej, w jej oczach błysnął strach, ale nie ustępowała.

– Co tu się stało?! – Powiodła po zebranych wzrokiem inkwizytora. – Przecież to jest ksiądz Piotr!

Diona zerknęła na Marcina z miną mówiącą: „Chciałeś identyfikacji? No to ją masz”. Otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili pojawił się prokurator Wójcik. Na widok cywili zmarszczył groźnie brwi.

– Co tu robią te kobiety? Marcin, wytłumacz...

Nie dokończył, gdyż emocje kłębiące się w Myszce wreszcie znalazły ujście. Doskoczyła do Remańskiej, wyciągając przed siebie dłonie z zagiętymi na kształt szponów palcami, jakby miała zamiar wydrapać jej oczy. Diona nie cofnęła się nawet o pół kroku. Nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko jej złotobrazowe oczy błysnęły chłodem, a ciało napięło się niczym cięciwa łuku.

– No, spróbuj – zachęciła lodowatym tonem.

Myszka opuściła ręce, lecz nie skapitulowała.

– Ty go zabiłaś! – wrzasnęła nagle i odwróciła się w stronę obserwujących tę scenę, oniemiałych ze zdumienia widzów. – To morderczyni! Zabiła księdza Piotra!

Znowu wyciągnęła szpony w kierunku twarzy Remańskiej i Marcin czym prędzej chwycił ją wpół, odciągając na bok. Nie lękał się o bezpieczeństwo Diony. Bardziej obawiał się, że dziewczyna nie zapanuje nad sobą i będą później musieli tę agresywną kobietę zdrapywać z podłogi.

Wójcik wreszcie ocknął się z osłupienia i podszedł do Lipskiego, szamoczącego się z oszalałą z wściekłości kobietą.

– Jak się pani nazywa? – Nie zareagowała, dalej wrzeszcząc i wyrywając się ze stalowego uścisku policjanta. – Spokój! – ryknął jej nad uchem, tak głośno, że urwała w połowie okrzyku. – Nazwisko proszę!

– Alina Myszka – odparła przerażonym głosem.

Marcin stłumił rozbawienie, wspomniawszy powiedzenie „cichy jak myszka”. Jej wrzaski nadal dźwięczały mu w uszach.

– Będzie pani stać spokojnie? – upewnił się, zanim zwolnił uścisk.

Posłała w stronę Diony nienawistne spojrzenie, lecz potulnie skinęła głową.

– Chodźmy stąd – zaproponował Lipskiemu prokurator. – A wy róbcie swoje – polecił policjantom i ujął ramię Diony w stalowy uścisk. – Panią też zapraszam. Siądziemy sobie w kuchni i porozmawiamy.

Pokręciła energicznie głową i powiedziała cicho, tak, żeby jej słowa były niesłyszalne dla idącej przed nimi Myszkki:

– W kuchni raczej nie porozmawiamy, chyba że chce pan pozacierać ślady.

Zerknął pytająco, lecz ponownie wzruszyła ramionami i wskazała mu drzwi, którymi przedtem dostała się do domu.

– Co tam jest?

– Piwnica. Ale tak sobie myślę, że musi tu też być przejście do garażu, bo nie chce mi się wierzyć, że trzeba wyjść aż na ulicę, żeby się tam dostać.

Czuła, że mężczyzna przygląda jej się podejrzliwie, czemu niespecjalnie się dziwiła. Alina Myszka była bardzo przekonująca w swym gniewie i rzucanych oskarżeniach.

Przed drzwiami prokurator przystanął.

– Marcin! – zawołał do Lipskiego, który właśnie zatrzymał się w progu kuchni i zagroził drogę Myszcze, usiłującej dostać się do środka. – Lepiej chodź tutaj. Ta pani powiedziała, że tu musi być przejście do garażu. Wyjdziemy tamtędy do ogrodu.

– Oczywiście, że jest przejście, i ona o tym doskonale wie – warknęła Myszka. – Przecież tu weszła.

Diona nie zaszczyciła jej nawet odrobiną uwagi, tylko otworzyła drzwi.

– Paluchy! – krzyknął Marcin ponieważ.

Obejrzała się przez ramię.

– Za późno, już dotykałam tej klamki, kiedy wchodziłam do domu.

Prokurator zrobił minę, jakby miał zamiar o coś spytać, ale zrezygnował i zamiast tego polecił:

– Niech się pani cofnie. Pani Myszka nas poprowadzi.

– Boi się pan, że ucieknę? – parsknęła Remańska, rozbawiona pomysłem. – A nie pomyślał pan, że to może pani Myszka zaciukała wielebny i teraz tylko czeka, żeby uciec do dziury?

Alina Myszka wydała z siebie okrzyk oscylujący pomiędzy oburzeniem a zgrozą, Marcin zaś się uśmiechnął. Prokurator natomiast wyglądał na niezdecydowanego; widocznie wziął jej słowa na poważnie. Dioniza wykorzystała to i szybko zbiegła po schodkach.

– Ruszcie się, na litość boską, bo nas tu rano zastanie! – zawołała, zniecierpliwiona przedłużającą się sceną. – Dość już zmarnowałam czasu przez tego cholernego trupa!

Myszka znowu krzyknęła ze zgrozą, a później rozpoczęła pompatyczną przemowę o braku szacunku dla majestatu śmierci i grzesznikach nadużywających Bożego imienia. W tym czasie Diona, słuchając jej jednym uchem, zwizualizowała sobie w głowie rozkład pomieszczeń i wyliczyła, że przejście do garażu musi kryć się za drzwiami po lewej stronie. Uchyliła je, namacała kontakt i przekręciła, po czym z satysfakcją kiwnęła głową. Przed sobą miała garaż, a w nim dwa samochody. To tyle, jeśli chodzi o teorię, że wikary wyjechał, pomyślała i cofnęła się, by gestem ponaglić przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości i ciągle awanturującą się kobietę.

– Niechże pani w końcu przestanie pieprzyć o majestacie śmierci! – wrzasnęła, poirytowana powtarzaniem w kółko tych samych bredni.

– Co może być majestatycznego w leżeniu we własnych gównach i płynach ustrojowych, z muchami włożącymi do nosa i uszu i z robakami drążącymi ciało od środka?

Monotonny głos Myszkki ucichł tak nagle, jakby ktoś ją wyłączył. Kobieta spiorunowała Remańską wzrokiem, lecz już się nie odezwała i posłusznie zeszła po schodkach do garażu. W tym czasie Diona rozejrzała się po pomieszczeniu i zlokalizowała klucze wiszące na haczyku przy wejściu. Zanim policjant i prokurator znaleźli się przy niej, zdążyła już uchylić ciężkie drzwi i zaczerpnąć świeżego powietrza. Niewiele to pomogło, nadal czuła w nozdrzach odrażający smród rozkładającego się ciała.

Poprowadziła towarzystwo na tył domu. Na widok leżącego na trawie blatu przywalonego drabiną prokurator uniósł brwi, lecz nadal milczał i odezwał się dopiero wtedy, gdy podniosła torebkę leżącą u podnóża tarasowych schodków.

– Co pani robi?!

– Zabieram swoją własność. – Wydobyła etui na dokumenty i podetkała mu pod nos. – Proszę sprawdzić.

Przyjrzał się fotografii na okazanym prawie jazdy i skinął głową. Diona schowała dokumenty i wskazała stół pod jabłonią, na co Marcin gestem wyraził aprobatę.

– Tam będzie dobrze – zgodził się prokurator. – Słucham panią – zwrócił się do Myszkki, gdy usiedli. – Twierdzi pani, że rozpoznała pani zmarłego, czy tak?

– Oczywiście – odparła z godnością. – To ksiądz Piotr, nasz proboszcz.

– Jest pani tego pewna? Twarz jest mocno zmasakrowana, w tej sytuacji o pomyłkę nietrudno.

– To jest ksiądz Piotr – powtórzyła. – Ma na palcu prawej ręki sygnet, który zawsze nosił, a na lewym nadgarstku zegarek z wygrawerowanym napisem: „Na pamiątkę od osiniaków. 2018”. Dostał go od nas w ubiegłym roku na pięćdziesiąte urodziny. No i ten krzywy kciuk... To po nim głównie go rozpoznałam. Nie zauważyliście?

– Kciuk lewej ręki jest krzywy i pozbawiony paznokcia – wyjaśniła Diona, czym sprowokowała Myszkkę do kolejnych oskarżeń.

– To ona go zabiła! Mówię wam, że to ona! Od początku wydała mi się podejrzana. Taka niby uprzejma, taka...

Prokurator zerknął z ukosa na dziewczynę, lecz ona tylko przewróciła oczami. Nie wyglądała na ani odrobinę przejętą. Wstała, zerwała dorodne jabłko i wbiła w nie zęby, odgryzając spory kęs.

– Na czym opiera pani to oskarżenie? – spytał szybko starszą z kobiet, przerywając litanie wyrzekań.

– Przyszła do mnie do domu i wypytywała o proboszcza i wikarego. Jacy są, czym się interesują i gdzie jest plebania. Przecież to nie jest normalne, żeby obca kobieta interesowała się księżmi. Zaraz! – wrzasnęła tak głośno, że aż zadźwięczało mu w uchu. – A co z wikarym? Jego też zabiła?

Prokurator nie odpowiedział, zwrócił się natomiast do Diony.

– To poważne oskarżenie. Co pani na to?

– Bredzi jak potłuczona – skwitowała krótko i powróciła do papierówki, chrupiąc ją z wyraźną przyjemnością.

W przeciwieństwie do Myszki, która zareagowała oburzeniem, Wójcik zachował stoicki spokój.

– Chciałbym jednak usłyszeć coś więcej.

– W porządku. – Westchnęła, uznając jego przewagę. – Rzeczywiście byłam u tej pani i wypytywałam o księży i o lokalizację plebanii.

– Mówiłam już, że od razu wydało mi się to podejrzane – przerwała jej Myszka. – A jak się dowiedziałam, że piła kawę z tą bezbożnicą Zawodną, to zaraz pomyślałam, że coś knuły. I się nie pomyliłam – zakończyła, tocząc triumfalnie wzrokiem po obecnych.

Diona wreszcie straciła cierpliwość. Odjęła resztkę jabłka od ust i cisnęła ogryzek w krzaki, potem wytarła wilgotne palce o nogawkę spodni i popatrzyła na antagonistkę z wyraźnym obrzydzeniem.

– Weźcie stąd tę idiotkę, bo nie wytrzymam i jej przypieprzę! Jak można być aż tak głupim?

– Spokojnie – mruknął Marcin ze współczującą miną, nie zdołał jednak ukryć błysku rozbawienia w oczach, a i kąciki ust unosiły mu się niepokojąco.

– Zabiję cię! – syknęła, a Myszka natychmiast wykorzystała to, by ją oskarżyć o groźby karalne wobec policjanta.

– Zaraz – przerwał jej Wójcik. – Nie mieszajmy do rozmowy nowego tematu. Uporządkujmy jakoś ten poprzedni, zanim zrobi pani z obecnej tu pani Remańskiej seryjnego mordercę. Obie jesteście zgodne co do tego, że pani Remańska złożyła pani wizytę i wypytywała o księży. Kiedy to było?

Diona milczała, lecz na jej twarz wyplłynął szeroki uśmiech. Marcin także nie zdołał zachować powagi. Zdezorientowany prokurator przeniósł wzrok na Myszkę, która siedziała z dość niepewną miną, nie rozumiejąc powodów ich rozbawienia.

– No, słucham panią – powtórzył, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. – Kiedy miała miejsce ta wizyta? To ważne!

– Dzisiaj – powiedziała cicho. Zauważyła jego niedowierzanie i powtórzyła głośniej: – Odwiedziła mnie dzisiaj. Wyszła jakieś dwie godziny temu. Miała dość czasu, żeby zabić, nawet jeśli piła kawę... – Urwała i dokończyła niemal szeptem, zdetonowana zachowaniem prokuratora. – ...u Zawodnej.

Wójcik próbował się opanować, lecz przegrał tę walkę i roześmiał się serdecznie. Diona była pewna, że Myszka znowu zareaguje atakiem wściekłości, ale kobieta ją zaskoczyła. Zwiesiła ramiona, jakby zabrakło jej sił, a w oczach pojawiły się łzy. Marcin też to zauważył. Wstał i obszedł stół, by znaleźć się tuż obok, po czym delikatnie ujął ją pod ramię i pomógł wstać. Potem dotknął ramienia prokuratora.

– Rajmund, porozmawiaj sobie z Dioną, a ja odprowadzę panią do bramy i wyjaśnię, dlaczego jej oskarżenia nie mają sensu. Chodźmy – zwrócił się łagodnie do Myszki, ocierającej zalane łzami policzki. – Wiem, że łatwiej pogodzić się ze stratą i bólem, gdy jest ktoś, kogo można obciążyć winą i nienawidzić. Ale rzucanymi na oślep oskarżeniami można wyrządzić komuś krzywdę...

Dalsze słowa rozpląnęły się w szumie wiatru i nie dosłyszeli już nic.

Prokurator spoglądał za odchodzącymi z nieodgadnioną miną. Sprawiał przy tym wrażenie pogrążonego w myślach i Diona

postanowiła to wykorzystać. Jej obecność tutaj mogła sprowadzić na Marcina kłopoty, postanowiła więc ulotnić się po angielsku.

Schowała papierosy i zapalniczkę do torebki i wstała z ławki, która zareagowała skrzypnięciem. Ten odgłos wyrwał mężczyznę z zamyślenia. Wójcik uniósł głowę i jego oczy spotkały się z oczami Diony.

– Ma pani zamiar nas opuścić?

– Mam jeszcze trochę zajęć.

– Przykro mi, ale będą musiały poczekać, aż skończymy.

Wcale nie wyglądał na kogoś, komu jest przykro, lecz Remańska udała, że tego nie zauważyła. Tak samo jak udała, że odebrała jego słowa zupełnie inaczej.

– Panie prokuratorze, bierze mnie pan za kogoś innego. – Uśmiechnęła się czarująco. – Nie mam nic wspólnego z ekipą, która przyjechała na oględziny, dlatego nie widzę powodu, dla którego miałabym tu siedzieć i czekać na zakończenie czynności.

Wójcika nie przekonały ani słowa, ani uśmiech.

– O tym, że jest pani osobą cywilną, wiedziałem od pierwszej chwili. W przeciwnym razie wyjęłaby pani legitymację, zamiast wysłuchiwać oskarżeń tej...

Połknął ostatnie słowo, więc dokończyła za niego:

– Wariatki. To chciał pan powiedzieć, prawda? Ale ona wcale nie jest wariatką. Jest normalną kobietą, dobrą żoną i matką, dba o dom i rodzinę. To on był walnięty. – Machnęła ręką w stronę plebanii. – Nawiedzony fanatyk. Robił im pranie mózgu i na niektórych niestety to podziałało. Stworzył tu coś na kształt sekty, w której grał rolę przywódcy, a Myszka należała do grona jego wiernych akolitów.

Prokurator postukał wypielęgnowanym paznokciem w stół, czym przyciągnął uwagę Diony do swoich rąk. Nie znosiła widoku zaniedbanych dłoni, niezależnie od tego, czy należały do kobiet, czy do mężczyzn. Tym tutaj nie mogła nic zarzucić, przez co Wójcik zyskał u niej kilka punktów. Ale jego dociekliwość bynajmniej jej nie zachwycała.

– To tłumaczy jej zaciętrzewienie, ale nie wyjaśnia, co pani tu robiła. – Popatrzył pytająco. – Przede wszystkim tego, jak pani weszła na plebanie. Drzwi były otwarte?

– Niestety nie. Otworzyłam je od wewnątrz. To wszystko? Jak już wspomniałam, chciałam zająć się swoimi sprawami.

Kolejny z bogatego repertuaru uśmiechów również nie dał żadnego rezultatu. Wójcik wydawał się odporny na ich urok. *A przecież Mirabelka twierdziła, że powinnam ciągle się uśmiechać, bo wtedy pięknieję*, pomyślała z pretensją skierowaną do Bogu ducha winnej kobiety.

– Nadal się nie dowiedziałem, jak pani weszła do domu – przypomniał.

Głos miał spokojny i uprzejmy, lecz wychwyciła w nim zimne zdecydowanie. Ten mężczyzna nie zadowoli się byle wykrętem. Jest na to zbyt uparty i zbyt inteligentny.

Remańska westchnęła i zdecydowała się powiedzieć prawdę. Może nie całą, ale przynajmniej tyle, by zaspokoić ciekawość Wójcika do czasu, aż uzgodni linię wyjaśnień z aspirantami Lipskimi.

– Przelazłam przez płot, a potem przez okienko do piwnicy.

Zauważyła, że tym wyznaniem wprawiła go w osłupienie, i przyniosło jej to chwilową satysfakcję.

– Przecież ten płot jest wysoki na dwa metry i ma ostre końcówki! – Wzruszyła tylko ramionami, więc pytał dalej: – Załóżmy, że mówi pani prawdę. Ale nadal nie wiem, dlaczego pani to zrobiła. W jakim celu weszła pani na teren cudzej posesji?

– Byłam ciekawa – odparła oględnie, lecz na widok jego miny rozwinęła wypowiedź: – Doszły mnie słuchy, że obaj księża zaginęli, a ja bardzo chciałam z nimi porozmawiać. Dlatego postanowiłam sprawdzić, czy faktycznie zniknęli. Pojechałam do Myszki, bo posłyszałam, że Alina zgłosiła ten fakt na policji. Z jej słów wynikało, że rzeczywiście mogło się tu stać coś złego. Przyjechałam, ale nikt nie zareagował na dzwonek, a w dodatku usłyszałam jakieś jęki. Myślałam, że ktoś potrzebuje pomocy, dlatego przeszłam przez płot i udałam się na tyły budynku. Zobaczyłam wielką plamę krwi i to

mnie zaniepokoiło, więc weszłam do środka. Ktoś mógł potrzebować pomocy – powtórzyła, sięgając po papierosa.

Wójcik przyglądał jej się długi czas w milczeniu, zanim ponownie się odezwał. Po wyrazie jego twarzy poznała, że jednak historyjka składająca się z mocno okrojonej prawdy nie trafiła mu do przekonania.

– Wróćmy do początku. Słyszała pani jęki. Dziwne. Rozkładające się zwłoki na ogół są milczące.

– Kot – wyjaśniła, nie tracąc opanowania. – W piwnicy był kot. Wystraszył mnie niemal na śmierć. To on wydawał ten odgłos.

Sceptyczna mina prokuratora świadczyła, że nie uwierzył w wyjaśnienia Diony. Już chciała mu zaproponować, by poszedł do piwnicy i sprawdził, gdy od strony domu dobiegł przeciągły jęk. Duży bury kot majestatycznie przedelflował przed tarasem, jeszcze raz zamiauczał jękliwie i zniknął między krzakami porzeczek.

Wójcik odprowadził go wzrokiem, a gdy wrócił do zadawania pytań, nie poruszył już tematu jęków.

– Przyjechała tu pani, bo usłyszała o zaginięciu księży, czy tak? – Przytaknęła ruchem głowy. – Dlaczego to panią zainteresowało?

Teraz Diona milczała jakiś czas, bijąc się z myślami, czy powiedzieć prawdę, czy próbować zamydlić mu oczy. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że kłamstwo nie polepszy jej sytuacji i lepiej będzie postawić na szczerłość. Przynajmniej częściową.

– Nie, panie prokuratorze. Przyjechałam do Osin, bo chciałam porozmawiać z księżmi. Dopiero po przyjeździe dowiedziałam się o ich zaginięciu. To mnie zmartwiło, ale jednocześnie zainteresowało, bo byłoby to kolejne zaginięcie w tej osadzie. W lutym zniknął bez śladu inny mieszkaniec Osin i do tej pory nikt nie natrafił na jego ślad. Pomyślałam, że może te sprawy się łączą.

Była przygotowana na długie tłumaczenie, lecz prokurator ponownie ją zaskoczył. Zmarszczył brwi, wpatrując się w jakiś punkt przed sobą, i znów stuknął paznokciem w blat stołu. Naraz zapytał:

– Ma pani na myśli Pawła Pisarka?

– Tak.

Spoglądał na nią w wyraźnym oczekiwaniu na bardziej obszerną wypowiedź, a gdy nie nastąpiła, zadał kolejne pytanie:

– Dlaczego on panią interesuje? Czy to ktoś z rodziny?

Doszli do momentu, w którym Diona nie miała już pola manewru. Czas niedopowiedzeń i lawirowania między półprawdami się skończył. Musiała się ujawnić. Sięgnęła do torebki, wydobyla zalaminowaną licencję detektywa i podała Wójcikowi. Mężczyzna uważnie studiował dokument, wreszcie spojrzał na nią pytająco.

– Zostałam wynajęta do odszukania Pawła Pisarka – odpowiedziała na to nieme pytanie. – Jego matka zwątpiła w kompetencje policji i prokuratury.

Nie powinna była tego mówić. Jego twarz przybrała kamienny wyraz, jasnoniebieskie oczy zmieniły się w dwa kawałki lodu.

– Postąpiła bardzo słusznie – oświadczył z gryzącą ironią. – Dziewczyna po kursie detektywów na pewno ma większe umiejętności od policjantów, zwłaszcza w dziedzinie wyciągania pieniędzy od zdesperowanej kobiety.

Diona odebrała te słowa jak uderzenie w twarz. Zerwała się na równe nogi, oczy zapłonęły jej wściekłością, a dłonie same zwinęły się w pięści.

– Wyjaśniliście sobie wszystko? – rozległ się głos Marcina, który niepostrzeżenie pojawił się za jej plecami. – Chodź, Rajmund, jesteś tam potrzebny. Dzięki, Dionka.

Nie odpowiedziała z tej prostej przyczyny, że próba wydobycia z siebie głosu skończyłaby się z pewnością obrzuceniem Wójcika litanią przekleństw. Lipski chyba go lubił, toteż stawanie między nimi nie byłoby najmądrzejszym posunięciem. Skinęła więc tylko głową, spakowała swój dobytek do torebki i sztywno wyprostowana ruszyła przed siebie.

Marcin spoglądał za nią z niepokojem.

– Co jej się stało? Nigdy się tak nie zachowywała.

– Chyba się obraziła. Przysłowie mówi, że prawda w oczy kole. – Wójcik wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu, który zaraz zamienił się w gniewny grymas. – Nie znoszę osób żerujących na cudzym nieszczęściu. Będzie teraz tak długo zwodzić tę biedną

kobietę, aż wyciągnie od niej ostatnią złotówkę. Specjalistka się znalazła, żeby ją szlag!

Policjant popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę nie wiesz, kim ona jest?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie znoszę prywatnych detektywów, a zwłaszcza bab, które myślą, że ładną buźką i zgrabnym tyłkiem zwojują więcej niż policja. Nie próbuj mnie przekonywać – zastrzegł, widząc, że Marcin zamierza zaprotestować. – Wiem, co mówię. Wracajmy lepiej do roboty.

*

Nadal nie ruszał się z małżeńskiej sypialni, do której wstęp miała wyłącznie żona. Nawet dzieci nie dopuścił do tajemnicy w obawie, że mogłyby niechcący coś chlapnąć. Postanowił, że nie przekroczy progu swojego azylu, dopóki z twarzy nie zniknie ostatni ślad przegranej walki. Nikt zresztą nie kwapił się zbyt, by odwiedzać chorego na ospę wietrzną, a taką właśnie informację żona rozpowszechniła wśród sąsiadów. Podobno wieść w jednych wzbudziła współczucie, innych zaś sprowokowała do prześmiewek, lecz nie zamierzał się tym przejmować. Miał poważniejsze problemy.

Chociaż odsuwał od siebie złe myśli, te jednak wracały uporczywie, wypierając wszystkie inne. Nawet w nocy nie mógł się od nich uwolnić i spędził niejedną bezsenną godzinę na rozważaniu, co powinien zrobić. Chwilami ogarniała go taka panika, że z trudem powstrzymywał się, by nie wybiec z pokoju, wsiąść do auta i ruszyć przed siebie. Obojętne gdzie, byle dalej od Osin, gdzie widok kościelnej wieży codziennie przypominał mu o śmiertelnym grzechu, którego się dopuścił.

Uszu mężczyzny doszło skrzypnięcie drzwi wejściowych, które ciągle zapominał naoliwić. Usłyszał cichy szmer rozmowy, potem rozległ się wyraźny głos żony. Widocznie wraz z gościem szła do kuchni.

– ...nic lepiej, ale na szczęście się nie pogorszyło. Wiecie, jak to jest, kiedy dorosłego dopadnie dziecięca choroba.

– Co prawda, to prawda. A ja do was po prośbie, tylko nie wiem, czy w porę, bo wiadomo, że choroba kosztuje...

Po zanikającym powoli głosie rozpoznał sąsiadkę i mimo zmartwienia musiał się uśmiechnąć. Było do przewidzenia, że wścibska kobieta prędzej czy później zjawi się pod byle pretekstem, żeby nakarmić złąknioną plotek duszę najświeższymi informacjami. Ale tutaj niespecjalnie się pożywi. Mężczyzna dobrze wiedział, że może pod tym względem w pełni żonie zaufać. Nie była gospodarna i nieraz miał do niej pretensje, że zbyt lekko wydaje pieniądze, ale jej lojalności i dyskrecji mógł być pewny.

– Mogliśmy żyć spokojnie – szepnął i znów zalała go fala gniewu.

Ani przez chwilę nie żałował tego, co zrobił, i sen z powiek spędzał mu jedynie fakt, że nie zdołał doprowadzić sprawy do końca. Ale minęły już dwa dni, a tamten nie pokazał się we wsi. Może już nigdy tu nie wróci?

Rozdział 6

Skrajem nieba, skrajem piekła

5 lipca 2019

Diona była tak bardzo wściekła, że najchętniej by zawróciła i rozszarpała prokuratora na milion malutkich kawałeczków. Zgrzytając zębami, wsiadła do samochodu, trzasnęła drzwiami i ruszyła stanowczo zbyt ostro. Tyłem pojazdu zarzuciło, spod kół wyprysnęły drobiny żwiru. Włączyła się do ruchu i pomknęła w stronę sklepu, jakby ścigały ją demony. Nie mniej energicznie wmaszerowała do środka, wyminęła zdumioną Zawodną i poszła prosto na zaplecze. Sklepowa podążyła za nią, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Zrób mi kawy, bo jak się nie napiję, to mnie tu na miejscu jasny szlag trafi!

Ogłupiała Marianna nie zdobyła się na sprzeciw i posłusznie włączyła czajnik, a potem obserwowała, jak gość, lub raczej intruz, drżącymi rękami zapala papierosa. Zalała kawę i postawiła przed nieznajomą, która wpadła tu, jakby przyjaźniły się od lat.

Diona upiła łyk, parząc sobie wargę, i dopiero ból pomógł jej oprzytomnieć. Zerknęła niepewnie na Zawodną.

– Przepraszam panią – bąknęła. Policzki płonęły jej ze wstydu. – Zachowałam się jak wariatka. Ale też już dawno nikt mnie tak nie zdenerwował.

Marianna beztróska machnęła ręką.

– Wolałam tamtą formę. Po imieniu. Mów mi Marianna albo Mańka. I opowiedz, co cię tak wkurzyło, że prawie toczyłaś pianę z pyska.

I Diona opowiedziała, nieco cenzurując relację. Powody, dla których znalazła się na plebanii, dyskretnie pominęła. Zawodna słuchała uważnie, w skupieniu, powstrzymując się od okrzyków, choć nie przyszło jej to łatwo. Wieści były przerażające.

– Nie lubiłam go – powiedziała cicho, gdy Remańska zamilkła. – Był wrednym, zarozumiałym typem, w dodatku homofobem i... Jak się mówi na faceta, który uważa, że kobiety nadają się tylko do garów i do łóżka?

– Seksista. Albo mizogin. To zależy...

– Nieważne – przerwała jej Marianna. – Chodzi o to, że go nie znosiłam i nieraz życzyłam mu w myślach wszystkiego, co najgorsze. A teraz mówisz, że ktoś go zabił.

Diona odzyskała już równowagę, toteż w odpowiedzi prychnęła lekceważąco.

– Ty go zabiłaś? Nie? To przestań wydziwiać. Proboszcz od tego nie ożyje.

– A wikary? Czy on też?... – Zawodna nie miała odwagi dokończyć.

Dioniza z niepotrzebną już ostrożnością upiła łyk dużo teraz chłodniejszej kawy i swoim zwyczajem wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. W dodatku mogę nigdy się tego nie dowiedzieć, bo prokurator deczko się wkurzył. – Zrelacjonowała Zawodnej rozmowę z Wójcikiem. – Tak sobie teraz myślę, że niepotrzebnie powtórzyłam mu słowa Pisarkowej. Te o niekompetencji. On chyba uznał je za moją własną opinię. No i wygląda na to, że bardzo nie lubi prywatnych detektywów.

Marianna zgodziła się z nią w obu punktach, a zwłaszcza z tym o detektywach. Sama także nie miała o nich zbyt wysokiego mniemania, więc opinia prokuratora wcale jej nie zdziwiła, za bardzo pasowała do zachowań niektórych przedstawicieli tej profesji. Nie zamierzała jednak zbyt się nad tym rozwodzić; Remańska mogłaby się obrazić, a wtedy przepadłaby okazja dowiedzenia się

czegoś więcej. Przede wszystkim tego, czy zatrudniona przez Pisarkową pani detektyw nie zaszkodzi mieszkańcom osady.

– Co teraz zrobisz? – spytała ostrożnie.

– Będę chyba musiała mu to wyjaśnić – odparła Diona z tak ponurą miną, że Zawodna miała ochotę się uśmiechnąć. – Nie chcę mieć w nim wroga. Może się jeszcze przydać, bo to niegłupi facet.

– Miałam na myśli Pawła Pisarka.

Diona uprzytomniła sobie, że całkiem wyrzuciła z myśli prawdziwy cel swojej wizyty w Osinach. Tak się przejęła śmiercią proboszcza, że zapomniała o Pisarku. Natychmiast skorzystała z okazji do zadania kilku pytań.

– Znałaś go, prawda? Jaki on był?

Marianna natychmiast wychwyciła, że Remańska użyła czasu przeszłego.

– Mówisz o nim, jakby już nie żył.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale... – Diona na moment zawiesiła głos. – Jeśli mam być szczerą, to nie sądzę, żeby odnalazł się żywy. Nazwij to, jak chcesz. Przeczuciem, intuicją, przewidywaniem... Nieważne, jak zwał, tak zwał. W każdym razie kiedy myślę o tym chłopaku, jestem przeświadczona, że on nie żyje.

– Cholera! Jasna cholera, tego właśnie się bałam. – Zawodna po pierwszym okrzyku ściszyła głos i teraz mamrotała cicho, jakby do siebie: – To nie może tak być, żeby morderca nie poniósł kary. Muszę ich przekonać. Nawet Pisarek na to nie zasłużył.

– Na co?

Marianna zamrugnęła powiekami jak obudzona z głębokiego snu.

– Co? Tak sobie głośno myślałam. Pytałaś, jaki był – zrećźnie zmieniła temat. – Znałam go dobrze, w końcu był tylko dwa lata młodszy.

Wedle opinii Zawodnej Pisarek zawsze odstawał trochę od innych, ale przez długi czas aż tak to nie raziło. Już jako dziecko i młody chłopak Paweł nie był zbyt towarzyski. Nie miał bliskich kolegów, nie interesował się sportem, nie grywał z chłopakami w piłkę. Nie stronił jednak od kontaktów z innymi ludźmi, a i z kolegami z klasy dogadywał się bez większych problemów z uwagi na łączącą ich

miłość do gier komputerowych. Z biegiem lat osobowość Pawła zmieniała się, chłopak coraz mniej czasu poświęcał spotkaniom z rówieśnikami, opuścił się też w nauce. W końcu stał się typowym freakiem, zafiksowanym na punkcie informatyki i gier komputerowych. Całe dni spędzał przed monitorem, grając on-line, i właściwie należałoby uznać za cud, że w ogóle zdał maturę.

Na tym wiadomości Marianny się kończyły. Diona była święcie przekonana, że dziewczyna mogłaby powiedzieć jej o Pisarku dużo więcej, lecz z nieznanых przyczyn tego nie zrobiła. Może się bała?

Remańska gotowa była dać sobie głowę uciąć, że ekspedientka doskonale wie, kto jest odpowiedzialny za zniknięcie chłopaka. Nie chciała jednak na nią zbyt mocno naciskać, żeby nie zrazić do siebie jedyne go jak na razie źródła informacji. Podziękowała jej więc serdecznie i niezbyt chętnie pojechała na spotkanie z Marią Pisarek. Nie zdołała polubić tej kobiety, ale to nie miało większego znaczenia. Zawarła umowę, więc należało jej dotrzymać.

*

Policjanci przeszukali plebanię od piwnic aż po niziutkie pomieszczenie, tylko przy sporej dozie uporu mogące być uznane za strych, lecz wikarego nie znaleźli. Znaleźli za to narzędzie zbrodni. Zwykły młotek, niezbyt wielki i niezbyt ciężki, leżał w jednej ze skrzynek na tarasie, ukryty wśród kwiatów i liści dorodnej pelargonii. Oblepiony krwią, tkanką mózgową, fragmentami skóry i odpryskami kości, ewidentnie stanowił narzędzie, którym zabito proboszcza, niestety ogumowana rączka, pokryta dla lepszego chwytu drobnymi wypustkami, uniemożliwiała utrwalenie linii papilarnych.

Dla zachowania procedur pobrano z ciała kilka różnych próbek, lecz Wójcik nie robił sobie wielkich nadziei.

– Mieszkali tu obaj – mówił do Lipskiego, upychając w teczkę formularze. – Nawet jeśli okaże się, że te próbki należą do wikarego,

nie będzie to miało żadnej wartości dowodowej, bo równie dobrze włosy czy naskórek mogły przyczepić się do ubrania Rakowicza, kiedy polegiwał na sofie. Ten salon chyba był wspólny, a skoro bywali tu obaj... – Nie dokończył zdania, tylko wymownie machnął ręką.

Piotr Rakowicz miał pięćdziesiąt jeden lat, pochodził z Tucholi, a ostatnie lata spędził w parafii na zachodzie Polski, skąd został przeniesiony do Osin. Marcin uruchomił wyszukiwarkę w telefonie, odnalazł tamtą miejscowość i zdziwił się, gdy przeczytał kilka pierwszych zdań w Wikipedii.

– Popatrz, Rajmund. – Podsunał mu telefon. – To była duża parafia, a i sama miejscowość wygląda na zasobną. Zawsze myślałem, że hierarchia kościelna jest podobna do naszej. W miarę wysługi lat awansujesz na coraz lepszy etat. A tu? Mów, co chcesz, ale moim zdaniem przenosiny do tego zadupia to krok wstecz.

Wójcik wczytał się w dane i skinął głową.

– Masz rację, awans to raczej nie był. Bardziej przypomina skierowanie do pieszego patrolu, jeśli już mamy przyrównywać kler do policji. Trzeba będzie sprawdzić, czy nie został tu zesłany za jakieś przewiny. Jeśli w poprzednim miejscu ktoś się naraził, ten ktoś mógł przyjechać tu za nim.

Lipski pomyślał o tym samym. Wina wikarego wcale nie była przesądzona. Równie dobrze mógł wyjechać lub zostać zmuszony do wyjazdu, a w tym samym czasie w osadzie pojawił się ktoś, kto żywił do Rakowicza nienawiść. Ktoś tutejszy lub przyjezdny.

– Mamy dane wikarego? – spytał przechodzącego funkcjonariusza. – Podaj mi. – Chwilę później odczytał głośno słowa nabazgrane niezbyt wyraźnie na kartce wyrwanej z notatnika: – Apoloniusz Marczak, lat trzydzieści dwa, urodzony w Jeleniej Górze... Trzeba będzie sprawdzić, jak długo był w tej parafii i czy już wcześniej nie zetknął się z Rakowiczem.

– Podejrzewasz zemstę za stare grzechy? – Prokurator był nastawiony sceptycznie. – Gdyby tak było, to już dawno mógłby to zrobić, nie musiał czekać tak długo. Przecież nie zetknęli się ze sobą dopiero teraz.

Lipski uznał jego rację, uświadomił sobie też, że taka od dawna planowana zemsta jest zazwyczaj dobrze przemyślana i wykonana na zimno. A tutaj miała miejsce jatka. Zabójca nie zapanował nad wściekłością i uderzał na oślep, często przy tym nie trafiał w cel. Świadczyły o tym zasinienia na ramionach ofiary i podłupywane kafelki na tarasie.

– Okej. Powiem chłopakom, że mogą wezwać dla niego taksówkę. Ja się tu jeszcze trochę pokręcę. Aha, jeszcze jedno. Rakowicz miał laptop. Kazałem zabrać go do badań. A co ze sprzętem Marcza? Też zwijamy?

Wójcik potarł pięścią brodę, rozważając, jaką decyzję powinien podjąć. Naraz oczy błysnęły mu zaciekawieniem.

– Skąd wiesz, który pokój był proboszcza, a który wikarego?

Marcin tylko się uśmiechnął i wskazał drzwi do pierwszej sypialni.

– Domyśl się.

Wójcik potrzebował tylko czasu niezbędnego, by przejść z jednej sypialni do drugiej, i od razu zorientował się, co aspirant miał na myśli.

Pierwsze pomieszczenie było większe i dużo dostatniej wyposażone. Szerokie łóżko zasłane atlasową pościelą, pod oknem wygodna sofa wyglądająca na antyk, ogromny plazmowy telewizor i zestaw kina domowego z najwyższej półki. Od razu rzucało się w oczy, że to pomieszczenie zamieszkiwała osoba nieprzywykła do odmawiania sobie czegokolwiek. W porównaniu z nim drugi pokój prezentował się skromnie niczym cela mnicha, a jedyny przedmiot służący rozrywce stanowiła oparta o ścianę gitara. Prokurator gotów był pójść o zakład, że luksusowo urządzonej sypialni należał do wikarego, natomiast ubogie, surowe pomieszczenie było sypialnią proboszcza, gdyż to właśnie on potępiał wszelki zbytek i zalecał wstrzeźliwość w każdym aspekcie życia.

– Myślę, że ten skromniejszy należał do proboszcza, ale należałoby mieć pewność – oświadczył po powrocie z inspekcji.

Lipski prychnął lekceważąco.

– Dobrze, że organ prokuratorski ma do dyspozycji ludzi myślących, czyli nas. – Zignorował wystawiony palec Wójcika

i perorował dalej: – W naszej robocie trzeba umieć kojarzyć i mieć oko do szczegółów. Jakiej postury był denat? Chudy, gruby, normalny?

– Chudy nie był – mruknął prokurator, zastanawiając się jednocześnie, do czego policjant zmierza. – Raczej normalny, z zaczątkiem piwnego brzucha. A podobno nakazywał abstynencję i tępił pijących.

– Widocznie postępował w myśl zasady, że co wolno wojewodzie... Ale nie do tego zmierzałem. W tym luksusowo urządzonej pomieszczeniu stoi szafa niewiele mniejsza od pokoju, który wynajmowałeś w trakcie studiów. Pełno w niej ciuchów. – Marcin nadal nie mógł się nadziwić, że ksiądz dysponował większą ilością garderoby niż on przez całe swoje trzydziestodwuletnie życie. – Wszystkie są w jednakowym rozmiarze i z pewnością pasowałyby na denata. A w drugim stoi wąska szafa, a w niej dwie pary czarnych spodni, dżinsy, kilka koszul i T-shirtów. Mają takie gabaryty, że nawet ty byś się w nie nie wbił, a co dopiero Rakowicz.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby zaglądać do szaf – przyznał Wójcik, czym sprowokował policjanta do kpiącego uśmiechu.

– Dlatego jesteś tylko prokuratorem.

– Ożeż ty!

Zamierzył się, chcąc walnąć Marcina w ramię, lecz ten zgrabnie się wywinął, uskoczył w bok i stamtąd z upodobaniem deprecjonował rolę prokuratora w śledztwie.

– Jedyne, co potraficie, to wydawać polecenia, zresztą najczęściej głupie. Gdybym choć raz usłyszał, że powinienem w ramach prowadzonego postępowania udać się na koszt państwa do wykwintnej restauracji albo do przybytku rozkoszy...

Wójcik nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

– Ciekawe, co na to powiedziałyby pani detektyw, której tak zapamiętała bronieś. Chyba straciłbyś szansę.

– I tak ich nie mam – burknął aspirant. – Co z tym sprzętem Marcza? Bo właściwie nic na faceta nie mamy, a zniknięcie bez uprzedzenia nie jest czynem karalnym.

- Ale zawsze warto sprawdzić. - Wójcik nie miał żadnych wątpliwości. - Dam ci podkładkę na przeszukanie. Na logikę, nie mogłeś wiedzieć, który pokój należał do Rakowicza, dopóki nie sprawdziłeś.

Sprzęt komputerowy został odwieziony do badań, podobnie jak komórki Rakowicza i Marczaka. Tam zajęli się nimi elektrycy, lecz na efekty ich pracy należało poczekać. Najpierw musieli złamać hasła.

*

Jeśli nawet Maria Pisarek zdziwiła się niezapowiedzianą wizytą Diony, nie dała tego po sobie poznać. Uprzejmie zaprosiła panią detektyw do reprezentacyjnego pokoju, gdzie na honorowym miejscu na sofie pyszniła się wielka lalka, z daleka wyglądająca jak żywe dziecko. Dziewczyna nie miała ochoty siadać przy niej, wybrała więc fotel i przesunęła go tak, by nie musieć spoglądać na zabawkę. Twarz lalki miała w sobie coś tak odpychającego, że gdyby należała do rodu ludzkiego, Diona zastanowiłaby się trzy razy, zanim poszłaby na spotkanie z nią bez broni.

Pisarkowa wiedziała już o policji na plebanii i natychmiast nawiązała do tego kuriozalnego wydarzenia.

- Słyszała pani, że nasi księża gdzieś zniknęli? Podobno na plebanii jest aż gęsto od policji. Ale nie ma się czemu dziwić. Najpierw Paweł, teraz oni.

Nie ma się czemu dziwić, powtórzyła dziewczyna w myślach. Radiowozy parkujące tuż przed plebanią musiały wywołać szereg mniej lub bardziej zbliżonych do prawdy domysłów. Ze słów gospodyni wnosila, że kobieta nie ma pojęcia o tragedii, jaka się tam rozegrała, należało więc ją o niej poinformować. Być może wiadomość wstrząśnie nią na tyle, że przestanie być tak potwornie oszczędna w słowach.

– Właściwie to zniknął tylko wikary – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to tak obojętnie, jakby mówiła o nieobecności pierwszej damy na gali z okazji święta państwowego. – Ciekawa jestem, czy stało się to zaraz po środowej mszy, czy później.

Pisarek zamarła w połowie siadania, a po jej twarzy przemknął grymas zaskoczenia. Wyprostowała się i stanęła przed Dioną.

– Tylko wikary? Dziwne. Prędzej pomyślałabym, że tylko proboszcz zniknął. Bo to ksiądz Apoloniusz odprawiał środową mszę, a księdza Piotra od wtorku nikt nie widział. A potem wikary też zaginały.

Bingo! – zakrzyknęła Remańska w duchu. To wyjaśniało tak bardzo zaawansowany rozkład zwłok. Proboszcz nie zginął w środę, lecz dobę wcześniej. Świadczyło też o jeszcze ważniejszej sprawie. Wikary nie mógł nie zauważyć ciała, przemilczał jednak ten fakt. Nie poinformował wiernych, nie wezwał policji. Wniosek nasuwał się sam.

– Jak już mówiłam, ksiądz Apoloniusz rzeczywiście zniknął. Ale proboszcz jest na plebanii. Nie żyje.

Ledwo Diona skończyła mówić, a już musiała zerwać się z fotela, by podtrzymać bezwładne ciało zemdlonej gospodyni.

– Kurwa! – mamrotała pod nosem, usiłując doprowadzić kobietę do przytomności. – Ty pieprzona debilko!

Mogła się przecież domyślić, że Pisarek też należy do kręgu wyznawczyń księdza Piotra, i powiedzieć to bardziej oględnie. No cóż, nigdy nie zrobiłaby kariery w dyplomacji, a okazywanie współczucia i te wszystkie słowa otuchy nie były jej mocną stroną.

Maria Pisarek westchnęła cichutko i otworzyła oczy. Wzdrygnęła się na widok pochylonej nad nią twarzy i usiadła tak nagle, że gdyby nie szybki refleks Diony, dziewczyna zarobiłaby uderzenie głową w brodę.

– Co się stało? – Kobieta rozejrzała się niezbyt przytomnym wzrokiem, po czym popatrzyła podejrzliwie na dziewczynę. – Co ja robię na podłodze?

– Zemdląła pani. – Diona cofnęła ramię, którym ją podtrzymywała. – Już lepiej, prawda? Może pani wstać?

Wyciągnęła rękę, a Pisarek uchwyciła się jej i podźwignęła na nogi. Pozwoliła podprowadzić się na krzesło i opadła na nie ciężko.

– Już pamiętam – szepnęła. – Pani nie żartowała, prawda?

– Nie, nie żartowałam. Może zrobię pani herbaty?

Maria skinęła głową, więc Remańska wyszła z pokoju w poszukiwaniu kuchni, którą zresztą natychmiast znalazła. Od razu poczuła się lepiej. Co prawda zajęcia kuchenne zdecydowanie nie były jej żywiołem, ale herbatę umiała zrobić, w dodatku całkiem niezłą. Zresztą wolałaby chyba ugotować obiad z dwóch dań i z deserem niż pocieszać jedną zrozpaczoną kobietę. A że wychodząc, widziała wyraźnie łzy w oczach Pisarek, jak tylko mogła, przedłużała nieskomplikowaną czynność parzenia herbaty.

Niestety nie mogło to trwać wiecznie i w końcu musiała wrócić. Weszła do pokoju z tacą w rękach i od razu zauważyła, że gospodyni udało się opanować emocje. Pisarkowa siedziała przy stole sztywno wyprostowana i tylko ściskana w dłoni zmięta chusteczka higieniczna świadczyła o niedawnej słabości.

– Proszę, jest herbata – odezwała się Diona, stawiając tacę na stole. – Słodzi pani? Nie znalazłam cukru.

Kobieta wzięła do ręki jeden z kubków i podmuchała ostrożnie.

– Nie słodzę, ale cukier jest w szafce nad zlewozmywakiem.

Diona usiadła i zabrała z tacy drugi kubek.

– W takim razie niech sobie tam stoi, bo ja też nie słodzę. Mówią, że cukier to biała śmierć, ale niechby sobie była i pomarańczowa, mnie po prostu nie smakuje słodka herbata – paplała, chcąc odrobinę rozluźnić atmosferę.

Pisarek spojrzała na nią dużo przychylniej niż dotychczas.

– Mądra z pani dziewczyna. Teraz młodzi rzucają się na różne trendy tylko dlatego, że tak nakazuje im moda. Ta cała zdrowa żywność... Nie rozumiem tej nazwy. To tak, jakby mówić o szamponie, że jest myjący. Jeśli coś nie jest zdrowe, to znaczy, że jest szkodliwe. A jeżeli jest szkodliwe, to nie jest żadną żywnością, tylko trucizną.

– To pani jest mądrą kobietą. – Diona po raz pierwszy uśmiechnęła się do klientki całkiem szczerze. – Mam takie samo zdanie, ale nie

umiałam go tak ładnie ubrać w słowa.

Maria odpowiedziała uśmiechem. Przez pewien czas siedziały, popijając herbatę w niemym porozumieniu. Nagle wzrok Diony zahaczył o wiszący na ścianie zegar i dziewczyna przypomniała sobie, że nie przysłała tu w celach towarzyskich. Pisarek zauważyła jej spojrzenie i pomyślała o tym samym.

– Zawracam pani głowę, a pani pewnie chce mnie o coś zapytać.

– Owszem – przyznała Remańska. – Chodzi o Pawła. Muszę o nim wiedzieć więcej, poznać jego zwyczaje, hobby, dowiedzieć się, co lubił, a czego nie znosił.

– Lubił gry komputerowe – zaczęła kobieta, lecz Diona jej przerwała.

– Zacznijmy może od tego, jakim był dzieckiem – poprosiła. – Mogę nagrywać? Tak będzie łatwiej.

Maria skinęła głową, przymknęła powieki i zaczęła snuć wspomnienia. Według jej słów Paweł był pogodnym dzieckiem, w miarę zdolnym i w miarę grzecznym. Miewał oczywiście wysoki, jak każdy chłopak, ale właściwie nie sprawiał większych kłopotów wychowawczych. Zanim rozpoczął naukę, zajmowała się nim babcia. Gdy poszedł do zerówki, babka uznała, że wypełniła swój obowiązek wobec córki, i wyjechała do Niemiec, gdzie czekał na nią mężczyzna, z którym wkrótce wzięła ślub. Odtąd chłopcem zajmował się głównie ojciec, gdyż matka pracowała jako nauczycielka, a po pracy udzielała korepetycji. Jan Pisarek był stolarzem, specjalizował się w renowacji starych mebli. Miał w piwnicy warsztat, przez co mógł pilnować Pawła, kiedy żona była w szkole.

– Paweł bardzo się zmienił, od kiedy mąż zmarł. – Oczy Marii znowu się zaszklily. – Byliśmy tacy szczęśliwi. Powodziło nam się całkiem nieźle, bo Janek dobrze zarabiał, a i matka od czasu do czasu przysyłała trochę pieniędzy, choć mówiłam jej, że nie ma takiej potrzeby. A potem Janka zabili.

– Jak to? – zdumiała się Diona.

Dotychczas była pewna, że Jan Pisarek zmarł wskutek jakiejś choroby, choć nie miała właściwie żadnych przesłanek, by tak myśleć. W rozmowie z nią Maria wspomniała tylko, że mąż nie żyje.

– No tak. A nie mówiłam o tym? – zdziwiła się Pisarkowa. – Janek kupił jakiś kupon i mówił, że można wygrać nawet dwieście tysięcy. W dniu losowania musiałam pojechać z Pawłem do lekarza i wróciliśmy dopiero pod wieczór. Janka w domu nie było. Zostawił mi kartkę z informacją, że jest szczęściarzem i że poszedł to oblać. Już nie wrócił. Rano znaleźli go martwego pod mostem przy wjeździe do Osin.

Diona przywołała w myśli odpowiedni obraz. Most w tym miejscu rzeczywiście był wysoki, gdyż łączył dwa wzniesienia oddzielone od siebie płynącym w dole potokiem Osinka. Ale po obu stronach zabezpieczono go barierkami i trzeba by było sporej dozy uporów, żeby z niego spaść.

– Jak to możliwe? Przecież te barierki są wysokie.

– Wtedy były niższe. Podobno pokłócił się z dwoma mężczyznami, szarpali się i on spadł. Tak zeznali na policji. Za nieudzielenie pomocy zostali skazani na rok w zawieszeniu. Wyobraża pani to sobie? Tylko rok! I nawet siedzieć nie poszli.

Maria aż podniosła się z krzesła, tak wielkie targało nią oburzenie. Diona uspokajająco położyła jej dłoń na ramieniu.

– Pani Mario, wiem, że to dla pani trudne, ale myślę, że po upadku z takiej wysokości na ratunek było już za późno. Pewnie dlatego...

– Nie o to chodzi – przerwała jej kobieta ze zniecierpliwieniem. – Przecież to oczywiste, że oni go celowo zrzucili. Bo wie pani, nie znaleziono przy nim żadnego kuponu.

– Podejrzewa pani, że oni...?

– Ja nie podejrzewam, tylko jestem tego pewna. Ci dwaj siedzieli w areszcie do rozprawy, a i tak ich rodzinom dobrze się powodziło. Mordercy!

Diona powstrzymała się od komentarza. Nienawiść w oczach Pisarkowej powiedziała jej, że nikt i nic nie zmusi tej kobiety do zmiany zdania. Potrzebowała kogoś do obarczenia winą, żeby móc łatwiej znieść nieszczęście, a tamci mężczyźni nadawali się do tej roli wręcz idealnie.

Spróbowała sprowadzić rozmowę na poprzednie tory.

– Wspomniała pani, że od tego czasu Paweł się zmienił. W jakim sensie?

– Nie mógł pogodzić się ze śmiercią ojca i cały czas mówił, że kiedyś go pomści. Bałam się, że może zrobić coś głupiego, i zaprowadziłam go do psychologa. Pomogło. Przestał się odgrażać, ale jednocześnie stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie. Zaczął unikać kolegów i albo czytał książki, albo siedział przed komputerem. To mnie martwiło, bo tyle się mówi o uzależnieniu od gier, ale psycholog powiedział, że w jego przypadku jest to tylko kompensacja. Że zamienił jedną pasję na drugą, a ta nowa nikomu nie wyrządzi krzywdy, więc nie powinnam mu tego zabraniać.

A może jednak było w tym coś więcej? Diona postanowiła na wszelki wypadek sprawdzić, czy policja brała pod uwagę, że Paweł odkrył dowody winy tych dwóch mężczyzn, a oni postanowili wyeliminować zagrożenie.

– Kim oni są? Ci dwaj, których pani obwinia?

– Aleksander Myszka i Damian Zawodny. Widziała pani, jakie domy sobie pobudowali? Jakie samochody kupili? Z czego to wszystko, ja się pytam?! Ukradli mojemu Jankowi ten los, a potem rzucili go z mostu. Jestem pewna, że tak było.

Z kolei Remańska nie podzielała tej pewności. Dwieście tysięcy złotych to spora kwota, ale nie na tyle, by mogła aż tak diametralnie zmienić status majątkowy dwóch rodzin. Nie podzieliła się jednak z klientką swoimi wątpliwościami, nie chcąc prowokować kolejnej dyskusji. Zbliżał się wieczór i pragnęła znaleźć się wreszcie w domu i odpocząć. Jak na jeden dzień miała już dosyć wrażeń.

Przed wyjściem postanowiła wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

– Jaką szkołę Paweł ukończył?

Nie sądziła, by było to istotne, ale spytała na wszelki wypadek, gdyby w przyszłości okazało się, że ta informacja jednak ma znaczenie.

– Technikum elektroniczne – odparła Maria z nieskrywaną dumą. – Ta jego nowa pasja jednak do czegoś się przydała. Potrafił sobie poradzić z każdym problemem komputerowym i żaden program nie miał przed nim tajemnic.

Diona uznała za co najmniej dziwne, że taki zdolny chłopak poprzestał na szkole średniej. Zaraz też przypomniała sobie opinię Zawodnej, jakoby Paweł tylko łutowi szczęścia zawdzięczał zdanie matury, i postanowiła podrażnić temat, by przekonać się, która wersja jest prawdziwa.

– Nie chciał dalej się kształcić? Szkoda marnować takie zdolności.

Maria złapała haczyk.

– Namawiałam go na studia, ale powiedział, że to strata czasu, bo uczą tam rzeczy całkowicie nieprzydatnych. Że wypuszczają nieporadnych życiowo inżynierów, którzy potem harują w Anglii na budowach, bo nie mogą znaleźć pracy w swoim zawodzie.

Kobieta mówiła to z takim przekonaniem, jakby sama była autorką tej teorii. Mimo to Diona chciała się upewnić, że nie doszło na tym tle do kłótni między matką i synem. Gdyby było inaczej i gdyby konflikt eskalował, mógłby być przyczyną zniknięcia chłopaka.

– Pani zgadzała się z tą opinią?

– Początkowo uważałam, że tłumaczy w ten sposób niechęć do nauki, tym bardziej że pod koniec szkoły jego oceny poleciały mocno w dół – odparła Maria z lekkim skrzywieniem ust i nieobecny spojrzeniem. Diona pomyślała, że kobieta wygląda tak, jakby nagle jej uszu doszło echo tamtych kłótni. Ta jednak nagle się uśmiechnęła. – Musiałam zmienić zdanie, kiedy zaczął przynosić pieniądze.

To było coś nowego. Diona przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie i słowa Pisarkowej, jakoby Paweł pozostawał na jej utrzymaniu. Zmarszczyła brwi, usiłując dopasować tę nowinę do innych informacji.

W tej samej chwili Maria uświadomiła sobie, że powiedziała zbyt dużo. Z lekkim okrzykiem zasłoniła usta dłonią i popatrzyła na dziewczynę z lękiem. Remańska udała zdziwienie.

– Co się stało, pani Mario? Źle się pani czuje?

– Nie, nie, ja tylko... Niepotrzebnie wspomniałam o tych pieniądzach.

– Przeciwnie, bardzo dobrze, że pani powiedziała. Tłumaczyłam już, że muszę o Pawle wiedzieć wszystko, nawet to, co wolałaby pani

ukryć. – Głos Diony stwardniał. – Obiecała mi pani, że będzie ze mną absolutnie szczerą, a jednak chciała pani coś ukryć. To jak w końcu będzie? Mam go szukać czy nie?

Pisarek znowu się rozplakała, lecz tym razem jej łzy nie wywarły na Remańskiej żadnego wrażenia. Przez jakiś czas zimno obserwowała szlochającą kobietę, wreszcie podniosła się z miejsca.

– Proszę zgłosić się do biura po zwrot pieniędzy.

– Nie! – wrzasnęła Maria i również zerwała się z miejsca. – Pani detektyw, niech pani nie odchodzi! Pani Dionizo, błagam!

Tym razem jej rozpacz wydawała się szczerą i Diona usiadła, ale nie zamierzała tak szybko ustąpić.

– Proszę mówić – poleciła szorstko. – Tak jak w sądzie, samą prawdę i tylko prawdę. Jeśli pani znowu skłamię, wyjdę i już nie wrócę.

Maria wiedziała, kiedy powinna się poddać, a w tej próbie sił od początku stała na straconej pozycji. Westchnęła ciężko, otarła łzy i udzieliła wyjaśnień.

Diona słuchała uważnie, choć w każdej chwili mogła odtworzyć nagraną rozmowę. Ale nawet najczulsze nagranie nie odzwierciedliło emocji malujących się na twarzy rozmówcy, nie oddało mowy ciała czy drobnych gestów, nieraz oznajmiających więcej niż słowa. Przekonała się już, że Pisarkowa lawiruje między prawdą a kłamstwem ze zręcznością wytrawnego prestidigitatora.

Kojarzyła się dziewczynie z grzesznikiem wmawiającym sobie, że odmówienie kilku zdrowasiek pomoże mu znaleźć miejsce na skraju nieba. Nie wie, biedaczysko, że najczęściej skraj nieba jest jednocześnie skrajem piekła, bo w życiu nie można być „trochę”, żeby zasłużyć na miano dobrego człowieka. Trochę dobry to za mało, podobnie jak trochę przyzwoity czy trochę uczciwy. Za mało, by zasłużyć na niebo, i za dużo, by znaleźć się w piekle. Pozostawał tylko skraj.

Pisarkowa w swoich kłamstwach i niedopowiedzeniach była właśnie taka „trochę”, co nie zachęcało do dawania wiary jej słowom, a Diona nie miała cierpliwości do oddzielania kłamstw od półprawd i ćwierćprawd. Ją interesowała tylko cała prawda.

Przycisnięta do muru klientka wyznała, że syn dorabiał sobie, świadcząc usługi komputerowe. Nie wspomniała o tym wcześniej, gdyż robił to na czarno, bez stosownych zezwoleń czy rejestracji, a ona nie chciała, żeby ktoś źle o nim pomyślał.

Diony to wyjaśnienie nie usatysfakcjonowało, dlatego przed powrotem do domu wstąpiła jeszcze do sklepu i poprosiła Mariannę o pomoc. Zawodna początkowo nie wykazała zbytniego entuzjazmu, kiedy jednak usłyszała, o co konkretnie Remańskiej chodzi, nie miała więcej obiekcji.

Z jej słów można było wywnioskować, że Pisarek wcale nie zarabiał tak mało, jak przedstawiła to jego matka. Ona mówiła o dwustu, góra trzystu złotych miesięcznie, a z tego, co opowiadała Mańka, wynikało, że Paweł miał dużo wyższe dochody. Na przestrzeni roku kupił sobie ogromny telewizor, zestaw kina domowego i różne elektroniczne gadżety. Zainwestował też w nowy laptop, „full wypas”, jak określiła to Zawodna, a nowe, markowe ubrania i buty też musiały sporo kosztować.

Diona nie miała powodu jej nie wierzyć. Zresztą Marianna wyjaśniła, że Paweł przyjaźnił się z jej młodszą siostrą, łączyła ich bowiem wspólna pasja – oboje uwielbiali grać w jakąś grę komputerową i choć rywalizowali ze sobą, nieraz wymieniali się doświadczeniami i wiedzą. Siostra Marianny, Martyna, bywała w domu Pisarków, stąd dokładne informacje o nowym sprzęcie Pawła.

– Skąd, do cholery, ten szczył brał kasę na to wszystko? – rozmyślała Diona głośno. – Może dilował?

Zaraz odrzuciła to przypuszczenie jako kompletnie pozbawione sensu. Paweł rzadko opuszczał dom, a jeśli już to robił, to – według słów Zawodnej – zewsząd śledziły go czujne oczy. Dlaczego śledziły, tego Mańka mimo namów i próśb nie chciała zdradzić. Jakikolwiek by jednak były tego przyczyny, chłopak nie mógłby handlować narkotykami, pozostając cały czas pod ostrzałem spojrzeń.

Diona sięgnęła do kieszeni po telefon, by zadzwonić do Dariusza i zapytać, czy wie coś na ten temat, ale po namyśle zrezygnowała. Ogiński zapewne nie byłby zachwycony, gdyby dowiedział się, że

Lipski jej pomaga. Mógłby też się domyślić, że Dariusz umożliwił jej wgląd do akt, a nie chciała narażać sympatycznego aspiranta.

Poza tym, gdyby policjant prowadzący sprawę zaginięcia wiedział coś na ten temat, z pewnością umieściłby tę informację w aktach, a wtedy na pewno by jej nie przeoczyła. Zatem dzwonienie do Dariusza nie miało żadnego sensu. Musiała poszukać innej drogi dotarcia do prawdy.

Rozdział 7

Wróg i przyjaciel

8 lipca 2019

Poniedziałek nie zapowiadał się zbyt ciekawie. Zaczęło się od tego, że zasnęła, potem okazało się, że puszka na kawę świeci pustkami, a na koniec nie mogła znaleźć kluczy. Nic więc dziwnego, że po takim poranku nie tryskała radością życia, a nastroju bynajmniej nie poprawił telefon od Dariusza Lipskiego.

– Musisz do nas przyjechać. Do komisariatu.

– Teraz?

– Tak. Nadkomisarz Ogiński ma do ciebie sprawę.

Nie zachwyciło jej, że człowiek, którego widziała raz w życiu i z którym nie łączyła jej zależność służbowa, wydał jej polecenie, jakby była jego podwładną. Zamierzała odmówić, lecz Lipski zdążył się rozłączyć, a gdy do niego zadzwoniła, nie odebrał.

Wściekła na cały świat Diona prawie już dojeżdżała do Jodłowca, gdy głośnie burczenie w brzuchu przypomniało jej, że nie zjadła śniadania. To do reszty zwarzyło jej humor, toteż gdy weszła do komisariatu, łypała ponuro spod gniewnie zmarszczonych brwi.

– Dzień dobry.

Dyżurny powitał ją szerokim uśmiechem, który odwzajemniła grymasem bardziej przypominającym szczyrzenie kłów.

– Ja do komendanta.

– Zajęty jest. Kazał sobie nie przeszkadzać pod groźbą ciężkiego uszkodzenia ciała.

Najchętniej cisnęłaby czymś ciężkim w drzwi oddzielające poczekalnię od pomieszczeń służbowych, lecz do dyspozycji miała tylko pięć krzeseł połączonych ze sobą pomalowanym na niebiesko kątownikiem. Złość wprawdzie dodała jej sił, ale nie aż takich, by mogła unieść całą tę konstrukcję.

Przysiadła na moment, zaraz jednak wstała i znów podeszła do okienka.

– Proszę powiedzieć komendantowi, że czekam. Pięć minut. Potem wychodzę.

W jego oczach odmalował się wyrzut.

– Pani Diono, przecież mówiłem pani, że jest zajęty.

– A ja uprzedziłam, że zaczekam pięć minut. Teraz już tylko cztery minuty i pięćdziesiąt sekund.

Dyżurny niechętnie sięgnął po słuchawkę, wybrał numer i powiedział coś, czego nie dosłyszała. Potem bez słowa wyjaśnienia zwolnił blokadę. Diona również bez słowa wstała, pchnęła brzęczące drzwi i skierowała się w stronę pokoju komendanta.

Czekał na nią na korytarzu, lecz zanim się z nim zrównała, zamiast powitania posłał w jej stronę krótkie „proszę wejść” i zawrócił do gabinetu.

Co za buc, stwierdziła z irytacją. Kolejny, któremu odrobina władzy rzuciła się na mózg. Pan i władca, żeby go szlag!

W chwili, gdy kończyła w myślach wyrzekanie, uprzytomniła sobie, że dość mocno kulał. Widocznie nie wyszedł bez szwanku z wypadku. Zawstydziała się niewypowiedzianego na głos życzenia, bo choć nie miało żadnej mocy sprawczej, w zestawieniu z niedawnym wydarzeniem wydało się jej teraz wyjątkowo nieprzyjemne.

Weszła do pokoju, zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się ciekawie. Ogiński siedział już przy biurku. Był sam.

– Dziękuję za tak uprzejme zaproszenie.

Nie zadała sobie trudu, by powstrzymać się od sarkazmu. Wypadek czy nie, jej zdaniem nic nie zwalniało od okazania bodaj minimum uprzejmości, a komendant nawet nie próbował się wysilać. Spoglądał na nią przez chwilę, po czym sięgnął po telefon. Ten jawny afront sprawił, że Diona omal nie udławiła się ze złości,

mimo to wytrwała w postanowieniu, że nie da się wyprowadzić z równowagi.

Przysunęła sobie krzesło do biurka, usiadła i uśmiechnęła się pogodnie do mężczyzny przyglądającego się jej poczynaniom spod zmarszczonych brwi. Na lewej widniał plaster, a wokół niego pysznił się dorodny siniec. Podobny dostrzegła na lewej skroni. *Ładnie przywalił*, skonstatowała w myślach, lecz nie złagodniała ani trochę.

– Jeszcze raz dziękuję. Chętnie usiądę – rzuciła w przestrzeń.

– Proszę sobie darować te odzywki. Nie mam dzisiaj nastroju do żartów. Rozmawiałem o pani z prokuratorem Wójcikiem. Dlatego poprosiłem panią o przybycie – odezwał się wreszcie.

– Poprosił pan? – Zamrugęła powiekami w wyrazie wystudiowanego zdziwienia. – Nie wiedziałam, że wezwanie w trybie pilnym to prośba.

– Niech się pani nie wygłupia. – Potrząsnął głową, syknął i bezwiednie dotknął zasinionej skroni. – Dobrze pani wie, że gdybym chciał panią wezwać, załatwiłbym to inaczej.

Rozmowa stawała się coraz bardziej absurdalna i Diona poczuła, że jeszcze kilka minut tego bezsensownego przerzucania się słowami, a ją samą również rozboli głowa.

– A pan niech przestanie krążyć wokół tematu jak szerszeń wokół latarni i powie wprost, o co chodzi. W myślach nie czytam.

– To dziwne – skontrował natychmiast Ogiński. – Byłem pewien, że taka zdolna osoba jak pani potrafi wszystko.

Remańska w końcu straciła cierpliwość. Poderwała się z krzesła i wspierając dłonie na brzegu biurka, wyskandowała mu prosto w twarz:

– Zachowuje się pan jak nadąsany dzieciak, w dodatku nie chce pan podać przyczyny tego focha. Nie mam czasu na takie bzdury. Do niewidzenia!

Odwróciła się tak energicznie, że wpadła na krzesło i tylko ostatnim wysiłkiem woli powstrzymała się przed posłaniem go solidnym kopniakiem w kąt pokoju. Głęboki oddech pomógł odzyskać panowanie nad sobą. Z przesadną delikatnością

przestawiła krzesło na jego poprzednie miejsce i poszła w stronę drzwi.

Ogiński poruszał się wyjątkowo cicho, toteż zauważyła go dopiero wtedy, gdy przytrzymał jej rękę chwytającą za klamkę.

– Przepraszam – wymamrotał niewyraźnie. – To przez ten cholerny ból głowy... Nieważne. Proszę mi dać dziesięć minut, dobrze?

Podniosła wzrok i przypatrzyła się twarzy, która mogłaby być całkiem przystojna, gdyby nie wykrzywiający ją co jakiś czas grymas. Dopiero teraz zrozumiała, że to reakcja na ból, i wbrew sobie poczuła coś na kształt szacunku. Wielu na jego miejscu wzięłoby zwolnienie i leżało w łóżku, faszeringując się medykamentami.

– Nie powinien pan być na L4?

– Powinienem – przyznał, przysuwając jej krzesło. – Mógłbym też zamknąć komisariat, a na drzwiach przypiąć kartkę z informacją „nieczynne z powodu choroby”. Straciłem dwóch ludzi, dwóch innych leży w szpitalu i nie wiadomo, kiedy wrócą do służby. Ja wyszedłem z tego na tyle cało, że mogę tu siedzieć i ogarniać robotę dochodzeniowca. Dzięki temu on mógł pojechać na interwencję.

– Rozumiem. Przykro mi.

Jak zwykle nie umiała wyrazić współczucia. Ogiński musiał jednak dojrzeć coś w jej oczach, gdyż jego wzrok na moment złagodniał.

– Jak już wspomniałem, rozmawiałem z prokuratorem Wójcikiem. Podobno jest pani prywatnym detektywem. To prawda?

– Z tego powodu kazał mi pan tu przyjechać? – Nie posiadała się ze zdumienia. – Żeby zaspokoić jakąś chorą ciekawość?

– To nie jest chora ciekawość, pani Dionizo – odpowiedział i sięgnął po długopis. – Teraz mieszka pani w Strzygomiu, który podlega terytorialnie komisariatowi w Jodłowcu. Dlatego muszę sprawdzić, czy ma pani uprawnienia do wykonywania tego zawodu. Mógłbym zobaczyć pani licencję?

Bez słowa sięgnęła do torebki, wydobyla zafoliowany dokument i położyła na biurku. Ogiński studiował go jakiś czas, odnotował coś na kartce i zwrócił właścicielce, która przyglądała mu się z zainteresowaniem.

– Po co to panu? – zaciekała się. – Nauczycielom też pan ogląda dyplomy?

Komendant dość długo wpatrywał się w nią, nim odpowiedział:

– Chciałbym wiedzieć, czego powinienem się po pani spodziewać. Zamierza pani wchodzić nam w drogę i mieszać się do naszej roboty?

– Teraz tym bardziej nie wiem, o co panu chodzi – przyznała bezradnie.

– Nie? A jak było w Osinach?

W oczach Diony błysnęło zrozumienie. Nareszcie pojęła powody jego zainteresowania.

– To był przypadek – wyjaśniła. – Chciałam porozmawiać z księżmi, w dodatku zaintrygowały mnie plotki o zaginięciu. Pojechałam tam... Pan Wójcik nie powiedział, jak to było? Przecież mu to wyjaśniłam. Nawet dwa razy. Najpierw na miejscu, a potem w prokuraturze, gdzie zeznawałam jako świadek.

– Powiedział – przyznał Ogiński. – Ale chciałbym usłyszeć to od pani.

Nie miała pojęcia, dlaczego sprawa tak go interesowała. Przyszło jej na myśl, że może zapytał z czystej ciekawości. Śledztwo prowadziła komenda powiatowa, mógł więc nie znać różnych szczegółów.

Streściła przebieg zdarzenia, nie widziała bowiem powodu, dla którego miałyby tego nie zrobić. Prokurator nie zobowiązał jej do milczenia, poza tym Ogiński był policjantem, a nie żadnym sensacji dziennikarzem.

Komendant słuchał z zainteresowaniem. Gdy zamilkła, przyglądał się jej przez jakiś czas z zastanowieniem, wreszcie zapytał:

– Darek Lipski wspomniał, że była pani policjantką. W której jednostce pani służyła?

Diona wymieniła numer bielskiego komisariatu i ze zdumieniem odnotowała, że na twarzy nadkomisarza pojawił się wyraz rozczarowania.

– A więc to jednak pani. Szkoda...

Teraz już całkiem się pogubiła.

– O czym pan...

Nie pozwolił jej dokończyć, a gdy przemówił, w jego głosie nie było ani odrobiny sympatii.

– Wójcik przekazał mi pani opinię o poszukiwaniach Pisarka. Niech mi pani powie jedną rzecz, bo za nic nie mogę tego zrozumieć. – Ponury ton świadczył, że komendant wreszcie przeszedł do sedna. – W jaki sposób bez zapoznania się z aktami mogła pani stwierdzić, że postępowanie było skopane? W dodatku z tego, co słyszałem, nie pracowała pani w dochodzeniach. Jakim prawem kwestionuje pani pracę uczciwego policjanta?!

Położył nacisk na słowo „uczciwego” i Diona pojęła, że dlatego spytał o jej jednostkę. Że słyszał o tamtej aferze, lecz prawdopodobnie nie wiedział, jaki miała finał. A może rozmawiał z którymś z kolegów Kamila? Jeśli tak było, wszelkie wyjaśnienia są zbędne, bo on i tak nie uwierzy w ani jedno słowo.

Pominięła więc milczeniem to, co zabolalo najbardziej, i odniosła się do głównego zarzutu. A raczej usiłowała się odnieść, nie miała bowiem pojęcia, skąd wzięło się przeświadczenie nadkomisarza, że coś kwestionowała.

– Chyba zaszło jakieś nieporozumienie – zaczęła dyplomatycznie. – Nie kwestionuję i nie kwestionowałam prawidłowości żadnego śledztwa. Dlaczego miałabym to robić? Przecież, jak sam pan zauważył, nawet nie widziałam akt.

– No właśnie. Cieszy mnie, że zgadzamy się przynajmniej w tym punkcie. – Ogiński wyjął z szuflady znaną jej dobrze niezbyt grubą teczkę z aktami. – Przejrzałem to strona po stronie, żeby mieć pewność, że nie popełniono błędu, i żadnego nie znalazłem. – Odsunął akta i znowu popatrzył na Dionę. – Była pani policjantką. Co prawda nie za dobrą i niezbyt uczciwą, mimo to powinna pani wiedzieć, że takich oskarżeń nie rzuca się bezkarnie.

– A inne można? – Choć starała się mówić obojętnie, w jej głosie zabrzmiała gorycz. – Panie nadkomisarzu! Nie widziałam tych akt na oczy. Nie wiem nawet, kto prowadził tę sprawę, jak więc mogłabym kwestionować jego kompetencje? To absurd!

– Nawet nie potrafi pani wziąć odpowiedzialności za własne czyny. Nie dość, że złodziejka, to jeszcze tchórz. Zrobię wszystko, żeby

odebrano pani licencję.

Bardziej od obelżywych słów zabolęła Dioneę pogarda, z jaką mówił i na nią patrzył. Wiedziała, że jeszcze chwila, a rozplacze się z bezsilnej złości, a nie chciała dać mu tej satysfakcji. Czym prędzej wstała.

– Skończyliśmy rozmowę – oznajmiła zduszonym głosem.

– Chwileczkę! Nie tak szybko. Jest jeszcze...

– Nie interesuje mnie to „jeszcze” – przerwała mu, chwytając za kławkę. – Jestem zatrzymana? Nie? W takim razie żegnam.

Zamknęła za sobą drzwi i spokojnym, nie za szybkim krokiem przeszła korytarzem. Uśmiechnęła się uprzejmie do dyżurnego i utrzymywała ten uśmiech na twarzy tak długo, że gdy w samochodzie chciała wreszcie się go pozbyć, poczuła ból naprężonych mięśni. Zapaliła papierosa, oparła czoło o kierownicę i pozwoliła popłynąć tak długo wstrzymywanym łzom.

Po powrocie do Strzygomia nie zatrzymała się przed lokalem Mirabelki. Straciła apetyt. W domu zrobiła sobie kawę, wyszła z nią do ogrodu, a potem długo siedziała, obserwując małego czarnego kotka z białymi plamkami na uszkach, szyi i ogonku, który usiłował dostać się do wysokiej donicy z kwiatami. Łapki ślizgały się po gładkim, niedającym przyczepności plastiku i kotek raz za razem lądował w trawie, nie zniechęcał się jednak i podejmował kolejne próby.

Diona patrzyła na małego uparciucha i nagle uświadomiła sobie, że widzi tego kotka nie pierwszy raz. Czyżby był bezdomny? Zapaliła papierosa i przymknęła oczy, lecz raz powzięte podejrzenie nie dawało jej spokoju. Wstała z leżaka i poszła do kuchni.

Po kilku minutach wróciła do ogrodu i postawiła opodal donicy miseczkę z drobno pokrojoną szynką, a obok niej drugą, wypełnioną mlekiem.

– Wcinaj – powiedziała cicho, w obawie, że zwierzątko się spłoszy.

Obserwowała uważnie, czy kot zaaprobuje mleko, gdyż kiedyś przeczytała czy usłyszała, że wbrew powszechnej opinii koty go nie tolerują. Ale z drugiej strony zwierzęta miały instynkt, dzięki któremu wiedziały, co mogą jeść, a czego nie powinny tykać.

Kot zdecydował, że mleko mu odpowiada. I to nawet bardzo, jeśli sądzić po łapczywym chłęptaniu. Uśmiechnęła się na widok ubielonego pyszczka i wróciła do swoich myśli. Postanowiła nie przejmować się oskarżeniami Ogińskiego, ale powziąć postanowienie było znacznie łatwiej niż wprowadzić je w czyn. Żeby o tym nie myśleć, przywołała w pamięci informacje uzyskane, a raczej wymuszone podczas rozmowy z Marią Pisarek.

Kto jeszcze mógłby wiedzieć, skąd Paweł Pisarek czerpał dochody? Pożałowała, że w tej osadzie nie ma nikogo takiego jak Pelagia, a wówczas skojarzenie nasunęło się samo. Pelagia mieszkała w Świercznicy, a tam przecież był ktoś, kto wiedział bardzo wiele o bliższych i dalszych sąsiadach. Może ta wiedza obejmowała także mieszkańców okolicznych wsi?

Nie zastanawiała się dłużej. Zabrała kubek po kawie i pobiegła do domu. Mijając kota rozprawiającego się z zawartością miseczki, przystanęła na chwilę i ostrożnie wyciągnęła rękę. Nie zwrócił na to uwagi, zaryzykowała więc delikatne głośnięcie. Ani myślał uciekać, tylko wygiął grzbiet, by znaleźć się bliżej dotykającej go dłoni.

– Ty pieścuch – powiedziała przyjaźnie. – Gdzie masz rodzinę? Uciekłeś z domu? – Odpowiedział mručeniem. – Sorki, nie rozumiem po kociemu.

Zostawiła kota nad na wpół opróżnioną miseczką i wróciła do domu, by się przebrać. Zanim wyruszyła do Świercznicy, podjechała jeszcze do Mirabelki, by zjeść śniadaniobiad. Teraz ułożyła sobie w myślach nowy plan działania, toteż dobry humor natychmiast powrócił, a w ślad za nim pojawił się apetyt.

*

Robert Gredtke wyglądał tak samo jak kilka miesięcy temu, ale tym razem jego surowa twarz wypogodziła się, gdy otworzywszy drzwi, ujrzał przed nimi Dionę. Nie widzieli się od ponad czterech miesięcy,

lecz nic porozumienia zadzierzgnięta w trakcie kilku zaledwie spotkań nie została zerwana.

– Jaka miła niespodzianka w ten parszywy dzień! – wykrzyknął radośnie.

Uznała to za wielki komplement, gdyż poznała go na tyle, by wiedzieć, że nie zwykł uzewnętrzniać swoich uczuć.

– Dzień dobry, panie podinspektorze – powitała go, ignorując jego kilkakrotnie powtarzaną prośbę, by nie tytułowała go w ten sposób.

– Pomyślałam sobie, że wpadnę zapytać, co u pana słychać. – Parsknęła urywanym śmiechem. – Chyba ze mną nie najlepiej, bo zaczęłam gadać do rymu.

– Następnym etapem jest słyszenie głosów – stwierdził z poważną miną. – Nie zapominajmy też o objawieniach. Ale nie stójmy w progu. Proszę, niech pani wejdzie. – Odsunął się i gestem zaprosił ją do pokoju, gdzie na ścianie znowu zawisły odznaczenia. Zauważył, gdzie skierował się jej wzrok, i skomentował beztrósco, bez gniewu: – Przemyslałem wtedy pani uwagi i zmieniłem zdanie. To pani miała rację. Wyrzucenie ich do śmieci nie przyniosłoby żadnej korzyści, byłoby tylko pustym gestem.

Skwitowała te słowa krótkim skinieniem. Cieszyła się, oczywiście, że uznał jej argumenty, ale samo zachowanie odznaczeń nie zmieniało nic w jego sytuacji. Dalej był uznawany za zbrodniarza i oprawcę, a wraz z nim tysiące innych, wobec których zastosowano odpowiedzialność zbiorową.

– Jak sprawy? Ruszyło się coś?

Wzruszył ramionami.

– Biorą nas na przeczekanie, a właściwie to bardziej na wymarcie. Sąd zwrócił się do Trybunału Konstytucyjnego o opinię, a Trybunał odwleka jej wydanie. Tym samym wszystkie drogi odwoławcze zostały zamknięte.

– Eutanazja w białych rękawiczkach – stwierdziła Diona. – Myślałam nad naszym planem zrobienia wydarzenia na Facebooku i doszłam do wniosku, że to za mało. Nie mamy odpowiednich zasięgów.

Gredtke zastanawiał się przez chwilę.

– To prawda. Co pani proponuje?

– Przede wszystkim to, żeby wreszcie zaczął pan mówić mi po imieniu. Później mógłby pan poczęstować mnie kawą z tego fikuśnego ekspresu, a dopiero potem pogadamy o tym, co wymyśliłam. Może być?

Po jego surowej twarzy przemknął uśmiech, a ona kolejny raz skonstatowała, że Gredtke wygląda dokładnie tak, jak jej ideał mężczyzny. Tyle że dużo starszy.

– Może być – odpowiedział. Zamrugła powiekami. Do tego stopnia pograżyła się w myślach, że zapomniała o swojej propozycji. Mężczyzna zauważył to i zapytał z dobroduszną kpina: – Co cię tak zaabsorbowało, że zapomniałaś o bożym świecie? Myślałaś o jakimś przystojniaku?

– Owszem. O panu – wypaliła, zanim zdążyła się zastanowić.

Gredtke na moment zaniemówił, potem stwierdził krótko:

– Jestem dla ciebie za stary.

– Wiem – odparła ze śmiechem. – Właśnie nad tym ubolewałam.

Gredtke odwzajemnił uśmiech i poszedł do kuchni, by spełnić jej prośbę. Tuż za drzwiami przystanął.

– Uwierz mi, że ja też! – zawołał, a Diona uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Przy kawie przedstawiła mu swój plan. Milczał długo, nim odpowiedział:

– Myślę, że YouTube to dobry pomysł. Film na pewno dotrze do większej liczby odbiorców, niż gdyby został umieszczony na portalu społecznościowym.

Teraz siedział przed nią zupełnie inny człowiek. W oczach płonął mu entuzjazm i było jej przykro, że zaraz zgasi tę radość.

– Muszę pana uprzedzić, że po opublikowaniu tego filmu na pewno wyleje się na pana morze hejtu.

Gredtke tylko machnął ręką.

– Też mi nowina – stwierdził z ironią. – A teraz to niby nam słodzą?

– Niech pan nie traktuje mnie jak idiotki – zirytowała się. – Teraz hejtują was jako całą zbiorowość byłych esbeków, a po opublikowaniu zaczną to robić personalnie. Wyleją się na pana

hektolitra gówna. Nie na esbeków ogólnie, tylko na Roberta Gredtkego.

– Proponuję układ. Ja nie będę traktować cię jak idiotki, a ty w zamian przestaniesz robić ze mnie upośledzonego matoła. – Zdumiała się, więc napomniął ją łagodnie: – Wyobraź sobie, że dawno temu ukończyłem studia. Nie WUML, lecz normalne studia na uniwersytecie. Wiem, co oznacza słowo „personalnie”.

– Remis! – zawołała, podnosząc na niego roześmiane oczy.

– Nie całkiem. Ja dostosowałem się do twojego życzenia i zwracam się do ciebie po imieniu. Oczekuję wzajemności.

Diona zawahała się. Różnica wieku i stopnia nieco ją deprymowała. Ale z drugiej strony, skoro sam sobie tego życzył?

– W porządku, niech będzie po imieniu. Muszę obmyślić scenariusz, zastanowić się, jak to zrobić, żeby wyszło jak najlepiej. Trzeba by wybrać miejsce na nagranie, najlepiej takie, które będzie się pozytywnie kojarzyć. Pomyślisz nad tym? Znasz lepiej okolicę, a ja w dodatku mam problem do rozwiązania.

W oczach Gredtkego błysnęło zainteresowanie, a Diona miała ochotę uśmiechnąć się triumfująco. Jednak miała rację, domniemywając, że podinspektora też nie zadowala życie na emeryturze. Podobnie jak Imielskiemu brakowało mu konkretnego działania.

– Co to za problem? – spytał zaraz. – Może mógłbym pomóc?

Bez oporów wyznała, że głównie dlatego pojawiła się dzisiaj w Świercznicy. Wiedziała, że Gredtke się nie obrazi, raczej przeciwnie, poczuje się potrzebny i doceniony.

– Muszę zdobyć jak najwięcej informacji o mieszkańcach Osin.

Opowiedziała mu o zaginięciu Pisarka, śmierci proboszcza i zniknięciu wikarego, nadmieniła też o niechęci prokuratora i wrogości komendanta komisariatu. Zamiast odpowiedzieć, Gredtke podał jej pusty kubek.

– Zrób nam jeszcze kawy, a ja pomyślę.

Udało jej się zachować pokerową minę, lecz gdy tylko wyszła do przedpokoju, na usta wypłynął szeroki uśmiech. Mężczyzna mógł sobie wmawiać, że nie tęskno mu za służbą i że nie potrzebuje

przyjaciół, ale ona wiedziała swoje. Wystarczyło tych kilka pytań, by zmienił się w całkiem innego człowieka. Oczy mu rozbłyły ekscytacją, ciało spięło się w oczekiwaniu na działanie, no i był jeszcze ten ton człowieka nawykłego do wydawania poleceń. Sam nie do końca zdawał sobie z tego sprawę, ale skończył się już dla niego okres żałoby. Najwyższy czas, by zajął się czymś, co przywróci mu radość życia.

W kuchni słyszała głos podinspektora, lecz nie umiała rozróżnić słów. Nie zamierzała się w nie wsłuchiwać; dobrze wiedziała, dlaczego Robert oddelegował ją do robienia kawy. Chronił swoje źródło.

Po pewnym czasie głos umilkł, wróciła więc do pokoju, postawiła kubki na stoliku i usiadła w milczeniu. Gredtke wyglądał na zamyślonego i nie chciała mu przerywać zadumy. Zresztą nie zamierzała na razie wspominać o swoim najnowszym pomysle. Najpierw powinna dobrze go przeanalizować i przede wszystkim skonsultować z ojczymem, a dopiero potem złożyć propozycję.

– O, jesteś. – Nagle się ocknął. – To świetnie. – Ostrożnie upił łyk gorącego płynu. – Niepotrzebnie powiedziałem, że jestem dla ciebie za stary. Powinienem raczej cię namawiać, żebyś ze mną została. Robisz rewelacyjną kawę.

– Robert! – Diona starała się spoglądać groźnie. – Nie zagaduj mnie kawą. Czego się dowiedziałeś?

– Twój aniołek na pewno nie dilował. Mieli go na oku, bo za bardzo szastał forszą, dlatego podejrzewali handel narkotykami albo jakieś szwindle. Wiesz, na wnuczka czy coś w tym stylu. Ale to się nie potwierdziło. Praca na czarno też się zresztą nie potwierdziła. To ściema. Mimo to coś z nim było nie tak. Chłopaki chcieli namierzyć jego kompa, ale polegli na zabezpieczeniach, a przeciętny, uczciwy człowiek raczej nie zakłada sobie miliona blokad. Ja mam tylko hasło.

– A ja nie mam nawet tego – przyznała z rozbawieniem. – Bo i po co? Nie przechowuję żadnych ważnych czy zakazanych plików.

Gredtke odwzajemnił uśmiech, lecz zaraz spoważniał.

– Jeśli używasz komputera do pracy, to powinnaś założyć jakieś zabezpieczenie. Ludzie będą powierzać ci różne tajemnice. Lepiej, żeby nikt się do nich nie dostał.

Dotychczas w ogóle o tym nie pomyślała i teraz miała ochotę zdzielić się pięścią w głowę za to gapiostwo. Wprawdzie Maria Pisarek nie zdradziła jej żadnych mrocznych sekretów, ale przecież mogła była to zrobić. A wtedy wystarczyłby byle wytrych, żeby włamywacz mógł je poznać.

– Zrobię to zaraz po powrocie do domu – obiecała tak żarliwie, jakby podejrzewała, że emerytowany policjant sprawdzi to osobiście.

– A umiesz?

Dosłyszała powątpiewanie i podświadomie się zjeżyła, zaraz jednak rozluźniła napięte mięśnie. Gredtke to nie Kamil. Były mąż z czystej złośliwości zwykł umniejszać wszystko, co robiła, i na każdym kroku kwestionować jej umiejętności, tymczasem Robert spoglądał życzliwie i z troską. W dodatku nie mógł wiedzieć, że w kwestiach komputerowych co prawda do mistrzów nikt by jej nie zaliczył, ale radziła sobie całkiem sprawnie.

– Umiem. A jeśli sobie nie poradzę, poproszę o pomoc Bogdana Kotlarskiego. Jest cholernie dobry w te klocki.

Skinął głową i przeszedł do informacji, która niewiele miała wspólnego z finansami Pisarka, ale ukazywała, jak ogromna zmiana zaszła w tym chłopaku na przestrzeni ostatnich dwóch lat.

W ramach gminnej akcji „Komputer w każdym domu” mieszkańcy Osin otrzymali zakupione z unijnych środków komputery i to właśnie Paweł Pisarek je instalował, za co otrzymał z gminy wynagrodzenie będące jak dotąd jego jedynym legalnym dochodem.

– Pomagał mu taki młody urzędnik, Adrian Kocoń. Mój informator twierdzi, że ci dwaj zakumplowali się przy tej robocie.

– To ciekawe – mruknęła Diona. – Pisarkowa słowem o tym nie wspomniała, w aktach też nie znalazłam żadnej wzmianki, że był zatrudniony przez gminę. Ale z drugiej strony, jakie to może mieć znaczenie? Chyba że ten Kocoń zabił Pisarka, rozkawałkował jego zwłoki i przechowuje je w biurku w turystycznej lodówce.

– Dlaczego turystycznej? – zainteresował się Gredtke. Uśmiechnął się, gdy prychnęła w odpowiedzi, i kontynuował: – Podobno Paweł Pisarek nie ograniczył się do wykonania zleconych mu czynności. Po instalacji komputerów całkowicie gratis uczył sąsiadów, jak je obsługiwać, udzielał porad, a nawet wgrywał im różne pożyteczne programy. Ponoć bardzo go chwalili, że taki mądry, a przy tym uczynny.

– Ciekawe, co się stało – zastanawiała się głośno. – Bo że coś się musiało stać przez następne pół roku, to więcej niż pewne. Według mojej wiedzy półtora roku temu Pisarek zaczął stronić od sąsiadów, a oni od tego czasu traktują go jak wroga numer jeden. Może coś schrzanił przy instalacji? Albo popsuł? Nie, to za słabe. Muszę nad tym na spokojnie pomyśleć. A sprawa zabójstwa księdza? Dowiedziałeś się czegoś?

– Z tym było gorzej, bo nie znam faceta, który to prowadzi. Za to ty go znasz, i to chyba dość dobrze. – Gredtke porozumiewawczo przymrużył oko. – To starszy aspirant Marcin Lipski. – Nie skomentowała, mówił więc dalej: – Zgadza się z tobą, że te sprawy raczej się nie łączą. Proboszcza zabił ktoś, kto czuł tak wielki gniew, że nie potrafił się opanować. A wikary pewnie się przestraszył, gdy zobaczył zwłoki, i uciekł. Uważam...

Urwał na widok Diony energicznie kręcącej głową.

– Nie uciekł ze strachu – zaoponowała. – Dam sobie głowę uciąć, że proboszcz został zabity we wtorek. Tymczasem wikary w środę jak gdyby nigdy nic spokojnie odprawił mszę i podobno zachowywał się całkiem normalnie.

– No to chyba wszystko jasne – skonstatował podinspektor. – Widzisz tu jakiś związek z zaginięciem Pisarka? Bo ja nie.

– Ja też nie. I szczerze mówiąc, nie widziałam go od początku. – Zerknęła na zegarek i zdziwiła się, że jest już tak późno. Wstała. – Muszę lecieć. Dzięki za pomoc.

Gredtke wstał również, lecz niespodziewanie dziewczyna ponownie zajęła miejsce w fotelu. Zanim zdążył zapytać, czy jest coś, o czym zapomniała, wyjaśniła, że interesuje ją jeszcze śmierć Jana Pisarka. Przytoczyła słowa Marii, przeświadczonej o winie kolegów męża,

wspomniała też o zaginionym losie czy kuponie. Tę część Pisarkowa przedstawiła dosyć pobieżnie, a rozpytywana o szczegóły, przyznała, że nie ma pojęcia, czy mężowi chodziło o los na jakiejś loterii, czy kupon totolotka.

Podejrzenia klientki wydawały się Dionizie nieprawdopodobne. Nie widziała powodu, dla którego policjanci mieliby ukrywać dowody winy dwóch mężczyzn, co niedwuznacznie sugerowały słowa nieutulonej w żalu wdowy. Mimo to postanowiła się upewnić, a Gredtke mógł coś wiedzieć o tej sprawie.

Mężczyzna słuchał uważnie, lecz po kilkakrotnym skrzywieniu warg domyśliła się, że podinspektor raczej nie potwierdzi podejrzeń Marii Pisarek.

– Zacznijmy od tego, że nie było żadnej wygranej – odezwał się, gdy zamilkła.

Policjanci prowadzący dochodzenie w sprawie nagłej śmierci Jana Pisarka sprawdzili dokładnie, czy mężczyzna naprawdę wygrał jakąś większą kwotę. Ówczesna właścicielka sklepu, w którym tak jak obecnie mieściła się kolektura Lotto, zeznała, że tamtego feralnego dnia zaaferowany Jan Pisarek wpadł jak po ogień, krzycząc od progu, że ma pięć trafień w minilotku. Po sprawdzeniu okazało się jednak, że się pomylił i trafienia były tylko cztery, tym samym kwota wyniosła niewiele ponad trzysta złotych.

Pisarek odebrał pieniądze i poszedł do karczmy, gdzie postawił kolegom wódkę. Wyszedł z Zawodnym i Myszką, to fakt. Faktem było również, że na moście doszło do szarpaniny, w której wyniku Pisarek pechowo wpadł na niską w tym miejscu barierkę, a ta podcięła mu nogi. Spadł i zginął na miejscu, stąd taki, a nie inny wymiar kary dla jego towarzyszy.

– I tak by mu nie pomogli – mruknęła Diona.

Gredtke skinął głową i kontynuował relację.

– W portfelu denata ujawniono niespełna dwieście złotych, co zgadzało się z wysokością wygranej i późniejszymi wydatkami w karczmie i dowodziło, że nie został okradziony. Facet po prostu miał pecha, ale Pisarkowa nie dała się przekonać.

Z dalszych słów podinspektora wynikało, że przeświadczenie Marii o rabunku i zabójstwie wynikało z faktu, że sklepowa była siostrą Zawodnej, zachodziło więc podejrzenie, że kłamała, chcąc osłonić szwagra. Ale policjant prowadzący śledztwo sprawdził dokładnie, ile tego dnia padło piątek. Okazało się, że tylko jedna, a szczęściarzem była osoba z zupełnie innego regionu Polski. Mimo to wdowa policjantowi również nie uwierzyła i twierdziła, że został przekupiony.

– Kto to prowadził? Komisariat w Jodłowcu?

Robert zaprzeczył ruchem głowy.

– Powiatówka. Ale Pisarkowa i tak była niezadowolona. Gdyby mogła, zaangażowałyby do tej sprawy Komendę Główną.

Spojrzeni na siebie ze zrozumieniem. Potem Diona zadała wreszcie pytanie nurtujące ją od chwili, gdy podinspektor zaczął relacjonować sprawę sprzed dwunastu lat.

– Jakim cudem tak dokładnie to pamiętasz?

Posłał jej nieodgadnione spojrzenie, wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Milczał. Po chwili dziewczyna wstała również.

– Nie chciałam być wścibska – rzuciła przeproszającym tonem.

Podszedł do niej i nagle zrobił coś nieoczekiwanego i całkiem do niego niepasującego – pogłaskał ją po głowie. Tak ją zaskoczył, że na moment utraciła zdolność mowy. Zanim ją odzyskała, mężczyzna przemówił:

– Pomyślałaś, że ci nie ufam, prawda? Przepraszam. Jestem po prostu przewrażliwiony i wszędzie widzę wrogów, którzy chcą mi dokopać. To ja prowadziłem tamto śledztwo, dlatego tak dobrze wszystko pamiętam. Nie mógłbym zapomnieć. Maria Pisarek tyle razy składała na mnie skargi, że wdrożono postępowanie wyjaśniające. Teraz rozumiesz?

Rozumiała lepiej, niż mógł się spodziewać. Aż za dobrze pamiętała swoją bezsilność, gdy wokół niej zaciskała się sieć podejrzeń zrodzonych z kłamstw i plotek, których nie miała okazji zdementować, gdyż nikt nie wykazał się dostateczną odwagą, by rzucić jej oskarżenie prosto w twarz. A nawet gdyby ktoś to uczynił,

nie mogłaby go odeprzeć. Nie da się przecież udowodnić, że jest się uczciwym.

Rozważania przypomniały jej o pełnym wrogości zachowaniu nadkomisarza Ogińskiego i poczucie krzywdy znów powróciło. Poza tym nie rozumiała jego zaciętości. Domyśliła się, że poznał całkiem inną wersję tamtych wydarzeń, ale nawet gdyby wierzył, że rzeczywiście zhańbiła mundur kradzieżą, nie tłumaczyło to traktowania jej, jakby wyrządziła mu jakąś krzywdę. Wyczuwała w zachowaniu nadkomisarza osobistą urazę i tego właśnie nie umiała pojąć, była bowiem pewna, że nigdy wcześniej się nie spotkali.

Robert od razu zauważył, że spochmurniała, i tak długo wypytywał o przyczyny, że w końcu się poddała.

Przy pożegnaniu obiecał, że spróbuje dowiedzieć się, z jakiego powodu prokurator i komendant poczuli do Diony aż taką niechęć. Podziękowała podinspektorowi, chociaż ta kwestia nie znajdowała się na czołowej pozycji jej listy spraw do wyjaśnienia. Gdy służyła w policji, zdarzało się, że spotykała się z niczym nieuzasadnioną nienawiścią, i nauczyła się ją ignorować. Teraz też nie zamierzała się zadręczać i pozwalać, by cudze fochy spędzały jej sen z powiek. *Nie wszyscy muszą mnie lubić. Do cholery, przecież nie jestem niedzielnym rosółem*, powtarzała sobie w myślach, co nie zmieniało faktu, że mimo wszystko było jej przykro.

Rozdział 8

Osa

9–10 lipca 2019

Wyglądało na to, że kociak zadomowił się w jej ogrodzie na dobre. Kolejny raz zastała go leżącego na kwiatach w samym środku donicy, na którą poprzednio z takim samozaparciem usiłował się wdrapać. Pokręciła głową nad uporem i zdolnościami zwierzaka, któremu jakoś udało się dopiąć swego.

– Jesteś bezczelny, wiesz? Połamaleś kwiatki posadzone jeszcze przez Leszka Hardego. Ja nie mam talentu do prac ogrodniczych, nawet chwasty nie chcą mi rosnąć.

Kot popatrzył na nią i ziewnął, rozdziawiając szeroko pyszczek. Parsknęła śmiechem, myśląc przy tym, że jeszcze nigdy nie dano jej tak dobitnie do zrozumienia, że jest nudna. Pogładziła jedwabiste, antracytowe futerko i poszła do biura, by zapisać uzyskane od Gredtkego informacje.

Zerknęła na zegar i stwierdziła, że w zasadzie mogłaby wyskoczyć do Mirabelki na obiadokolację. Najpierw jednak postanowiła zabezpieczyć komputer, pomna przestrogi podinspektora. „Lepiej dmuchać na zimne niż potem narzekać, że boli”, wspomniała też babciną maksymę i ustawiła potrójne zabezpieczenia, choć dobrze wiedziała, że niejednokrotnie będzie na to narzekać, nie mogąc szybko otworzyć plików.

Do lokalu „U Mirabelki” przyszła później niż zwykle. Ruch tu był już mniejszy i właścicielka mogła usiąść z nią przy stoliku bez

wyrzutów, że zaniedbuje innych gości. Diona wykorzystała to, by zapytać o kota.

– Jest jeszcze bardzo malutki – opowiadała. – Ale charakterystyczny z wyglądu, bo jest cały czarny, tylko koniuszki uszu i ogonka ma białe, no i ma białe skarpetki na przednich łapkach.

Starsza z kobiet od razu wychwyciła w jej głosie zachwyt i czułość.

– Nigdy nie miałaś kota?

– Niestety nie. Mama ma alergię na sierść. Ale zawsze chciałam mieć. Pomyślałam nawet, że jak już całkiem się urządzę, wezmę jakiegoś ze schroniska.

Mirosława przytaknęła ze zrozumieniem.

– Dobry plan – pochwaliła z uznaniem. – Ale chyba już nieaktualny.

– Dlaczego?

W głosie Remańskiej brzmiało zdumienie. Belka uśmiechnęła się wyrozumiale.

– To nie człowiek wybiera kota, tylko kot wybiera sobie człowieka. Wszystko wskazuje na to, że ten maluch już dokonał wyboru.

Mina Diony wyrażała powątpiewanie.

– On na pewno komuś uciekł i się zgubił. Jest za bardzo zadbany jak na bezpieczeństwa zwierzę. Muszę poszukać właściciela.

Mirabelka była innego zdania.

– Sama powiedziałaś, że jest malutki. Jak znam życie, przyszedł na świat w jakiejś stodole czy na strychu i jeszcze niedawno matka o niego dbała. Dlatego tak dobrze wygląda. Potem opuścił schronienie i został zauważony przez właściciela, który uznał, że nie potrzebuje jeszcze jednego kota.

– Chcesz powiedzieć, że po prostu go wyrzucił?! – Oczy dziewczyny rozjarzyły się gniewem. – Co za podły gnój!

Belka poklepała ją uspokajająco po dłoni.

– Na wsi jest inaczej niż w mieście. Ludzie mają inne podejście do zwierząt. Nie mówię, że wszyscy, ale sporo jest takich, dla których kot czy pies to coś w rodzaju sprzętu gospodarskiego. Musi być

pożyteczny, służyć określonej celowi. A powiedz sama, po co komuś dwa ekspresy do kawy?

Diona przypominała sobie czytane nieraz artykuły i nie mogła się z nią nie zgodzić.

– No tak – mruknęła. – Powinam się cieszyć, że go wywiózł z dala od domu. Bo przecież mógł utopić.

– Właśnie to chciałam ci uświadomić. Nie trać czasu na szukanie właściciela, bo go nie znajdziesz. Lepiej kopsnij się do Żywca po kuwetę i inne akcesoria, bo w Jodłowcu nie ma sklepu z takimi artykułami.

Dziewczyna przyznała jej rację, lecz do sklepu tego dnia nie pojechała. Czowała się dziwnie rozbita i rozkojarzona i jedyne, na co miała ochotę, to położyć się z książką i zapomnieć o problemach realnego świata.

Po powrocie do domu włączyła ekspres, lecz na samą myśl o kawie poczuła, jak żołądek podjeżdża jej do gardła. Nalała coli do wysokiej szklanki i dołożyła kilka kostek lodu, zabrała jeszcze książkę i wyszła na taras. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że nigdzie nie widzi małego, czarnego kształtu, i zrobiło jej się smutno.

– Nie spodobało mu się u mnie – szepnęła cicho, z żalem.

Otworzyła książkę, lecz nie mogła skupić się na lekturze, jej myśli bowiem ciągle wracały do tajemniczego zniknięcia Pawła Pisarka. Nie miała pomysłu, jak go odszukać, a na pomoc policji nie mogła liczyć. Nie przy takim nastawieniu komendanta. Choć postanowiła, że nie będzie się tym przejmować, zachowanie Ogińskiego nie dawało jej spokoju i co jakiś czas przypominało o sobie bolesnym ukłuciem żalu. Widziała tego człowieka tylko dwa razy w życiu i nic złego mu nie zrobiła. Skąd więc wzięła się jego nagła niechęć i pogarda? Skąd przeświadczenie o jej nieuczciwości? Przecież musiał wiedzieć, że została oczyszczona z zarzutów. A jeśli nawet to przeoczył albo uznał, że uniewinniono ją niesłusznie, i tak jego reakcja była mocno przesadzona.

Poczuła nagle, że coś ociera jej się o bosą stopę, i omal nie podskoczyła z wrzaskiem. Na szczęście przedtem rzuciła okiem na

owo coś i zobaczyła wpatrzone w siebie oczy. Kotek znów się poruszył, usiłując owinać się wokół jej łydki.

– Jednak nie uciekłeś – powiedziała cichutko.

Kot czujnie nastawił zakończone białą uszka i podjął próbę wdrapania się na gołą łydkę. Drobne szpileczki pazurków wbijały się w ciało.

– Ty jesteś zwyczajny chuligan – stwierdziła, schylając się, by go podnieść. Nie zaprotestował. Przeciwnie, przylgnął do niej, gdy położyła go sobie na brzuchu, jakby tam było jego miejsce. Rozbawiona, pogłaskała biały koniuszek ucha. – Będiesz mieć na imię Uszek – oznajmiła z powagą. – Kiedy już będziesz wielkim, poważnym kocurem, zmienimy je na Uszysko, ale na razie jesteś małym, śmiesznym Uszuśkiem. Kupię ci kuwetę i inne bajery. Co tak patrzysz? Myślisz, że nie mam pieniędzy?

Myśl o pieniądzach przypomniła jej o Pisarku i informacjach uzyskanych od Gredtkego. Nadal nie wiedziała, skąd Paweł je miał, nie wiedziała też, z jakiego powodu wybuchł konflikt między nim a mieszkańcami osady.

Pograżona w zadumie, nie zauważyła chmur coraz bardziej zasnuwających jeszcze przed chwilą pogodne niebo, tak jak nie zauważyła wiatru i kropel deszczu coraz częściej uderzających o liście drzew i kwiatów. Grzmot być może też uszedłby jej uwadze, gdyby nie Uszek, który zjeżył się pod jej dłońią, po czym z przeraźliwym miauknięciem zeskoczył z kolan i rzucił się w stronę tarasowych drzwi. Zatrzymała go szyba. Odwrócił się i kolejnym miauknięciem ponaglił Dionę.

– Zachowujesz się jak terrorysta – stwierdziła z lekką przyganą. – Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie wymuszał... – Urwała i zapatrzyła się na kota niewidzącym wzrokiem. – Oczywiście! – wykrzyknęła nagle. – Jak mogłam o tym nie pomyśleć? Przecież to jedyne rozwiązanie. – Wzięła zwierzaka na ręce, pchnęła drzwi i weszła do domu. – Przykro mi, Uszku, ale twoja nowa pani strasznie wolno trybi.

Kociak posłał jej enigmatyczne spojrzenie, a potem poruszył łebkiem w geście potakiwania. Diona roześmiała się i postawiła go

na podłodze. Jutro będzie musiał radzić sobie sam. Ona miała do wykonania pilne zadanie.

*

Osiny zdawały się wyludnione. Przejeżdżając wolno przez osadę, Diona widziała pustą drogę i puste podwórka i dość długo zastanawiała się nad przyczynami, nim przypomniała sobie słowa przypadkowego przechodnia, który wdał się z nią w pogawędkę przed plebanią. Zapewne wszyscy zajmowali się pracą w polu.

Podjechała pod sklep Zawodnej, by na niej pierwszej sprawdzić, czy wysnuta wczoraj hipoteza jest prawdopodobna. Pchnęła drzwi i aż podskoczyła, gdy zamiast delikatnego dzwoneczka nad jej głową rozległ się przeraźliwy jazgot. Po dość długim czasie na zapleczu rozległy się energiczne kroki i do pomieszczenia weszła Marianna. Nie wydawała się zdziwiona widokiem Remańskiej.

– Cześć – powitała ją pogodnie. – Wpadłeś na kawę czy na zakupy?

Diona rozejrzała się po sklepowych półkach i uśmiechnęła się, widząc szeroki asortyment. „Szwarc, mydło i powidło”, jak jej babcia zwykła określać taką różnorodność.

– Cześć. Na kawę – odpowiedziała. Nagle dostrzegła w rogu na dolnej półce przedmiot, który wydał jej się znajomy. Wskazała palcem. – Tamto czerwone w rogu. Czy to przypadkiem nie jest kuweta?

Marianna nawet nie odwróciła głowy, by spojrzeć we wskazanym kierunku.

– Kuweta – potwierdziła. – Mam tu trochę kocich akcesoriów. Sama nie wiem, czemu nadal je trzymam, bo szans na sprzedaż raczej nie widzę.

– Właśnie je sprzedawałeś – oznajmiła Diona. – Biorę wszystko, cokolwiek by to było. Od wczoraj mam kota i muszę kupić mu porządny ekwipunek, żeby nie czuł się gorszy od innych kotów.

– Dam ci zniżkę – obiecała Marianna z radością i przybiła jej piątkę. – Cholera, a już myślałam, że się tego nie pozbędę. Chodźmy na zaplecze, zaraz wstawię wodę.

Remańska nie rozumiała, po co w takim razie było zamawiać taki niechodliwy towar, ale Zawodna wytłumaczyła, w czym rzecz. Otóż nie kto inny jak Paweł Pisarek poprosił ją o zamówienie kocich akcesoriów, jednak kiedy je dostarczono, on się po nie nie zgłosił, a wkrótce potem okazało się, że zginął.

– Najpierw trzymałam to dla niego, bo myślałam, że wróci, a później było już za późno, żeby oddać do hurtowni.

Diona zdziwiła się, ponieważ jej zdaniem opieka nad zwierzęciem jakoś nie bardzo pasowała do wizerunku chłopaka.

– Pisarek miał kota?

– Też mi się to nie kleiło. – Marianna nasypała kawy do kubków. – Ale o nic nie pytałam, bo... – Zawahała się. – Nie był przyjazny – dodała po króciutkiej przerwie i zamilkła, poświęcając całą uwagę zaparzaniu kawy.

Remańska gotowa była przysiąc, że Zawodna zamierzała inaczej zakończyć wypowiedź, lecz z jakichś względów zmieniła zdanie. Korciło ją, by o to zapytać, lecz chwilowo powstrzymała się od uwag na ten temat.

– Wiadomo już, co się stało z wikarym? – spytała, gdyż naprawdę ją to interesowało, mimo że nie łączyła już tych dwóch spraw. – Mańka, powiedz, bo umrę z ciekawości – poprosiła, gdy Marianna znów się zawahała.

Zawodna pochyliła się ku niej i odpowiedziała szeptem:

– Podobno proboszcz zginął we wtorek albo nawet w poniedziałek. Tak mówią ludzie we wsi.

Diona zastanawiała się przez chwilę, kto z ekipy Marcina nie dochował tajemnicy, ale szybko porzuciła tę kwestię. Nie miała z nią nic wspólnego, a biorąc pod uwagę zachowanie prokuratora i komendanta Ogińskiego, nawet nie chciała mieć. Ale Zawodna mogłaby się dziwić jej powściągliwości, więc mimo to zapytała:

– Policja na ogół nie zdradza takich szczegółów. Skąd o tym wiedzą?

– Jeden z tych gliniarzy, którzy tu przyjechali, pochodzi z Kalet.

To wyjaśniało wszystko. Nieraz się zdarzało, że młodzi policjanci chwalili się przed rodziną swoją wiedzą, nie myśląc o konsekwencjach.

– Co na to mieszkańcy osady?

– Nic. – Marianna miała dość niepewną minę. – Wikary był tu lubiany, nie to, co proboszcz. Dlatego ludzie milczą, żeby mu nie zaszkodzić. Bo wiesz, skoro odprawił na drugi dzień mszę, to musiał wiedzieć...

Urwała, gdy uświadomiła sobie, że powiedziała za dużo. Diona uspokoiła ją pełnym zrozumienia uśmiechem.

– Musiałabym nie mieć rozumu, żeby się nie skapować, co to oznacza. Policjanci wiedzą, że to ksiądz Apoloniusz odprawiał śródową mszę?

Zdała to pytanie tak obojętnym tonem, że Zawodna nie zorientowała się w podstępnie i bez namysłu podjęła temat.

– Chyba nie. Mnie o to nie pytali, a sama nie jestem taka wyrywna, żeby donosić na innych. Myślę, że gliniarze nie pomyśleli, żeby to sprawdzić. Może nawet nie wiedzieli, w które dni w naszym kościele są msze.

Taki scenariusz był wielce prawdopodobny. Policjanci mogli też założyć, że śródowa msza także została odwołana, podobnie jak piątkowa. Diona westchnęła w duchu na myśl, że będzie musiała powiadomić o tym Marcina, a jeśli on powie prokuratorowi, skąd pozyskał tę informację, następne spotkanie z Wójcikiem będzie nieuniknione.

– Zabójcę Pisarka też tak chronicie? – spytała znienacka.

Marianna zbladła.

– Paweł nie żyje?

Z jej drżącego, niepewnego głosu Diona wywnioskowała, że dziewczyna naprawdę nie ma pojęcia, co się stało z Pisarkiem. Ale z pewnością wiedziała co innego.

– Nie wiem – odpowiedziała przejętej dziewczynie. – Myślałam, że dowiem się tego od ciebie.

– Czemu ode mnie? – spłoszyła się tamta. – Nie miałam z nim nic wspólnego.

Remańska popatrzyła na nią zimno, bez cienia sympatii.

– A mnie się wydaje, że miałaś, i to całkiem sporo. Sama przyznałaś, że kumplował się z twoją siostrą.

– I co z tego? – oburzyła się Zawodna. – W trójkę stanowili team w jakiejś grze, chociaż w innej występowali przeciwko sobie. Tylko to ich łączyło.

– W trójkę? – Diona uniosła brwi, zaskoczona nową informacją.

– No tak – paplała Marianna, mieszając energicznie kawę. – Martyna, Paweł i ten jego kumpel z gminy, Adrian Kocoń. Nawet sympatyczny. Odwiedził nas kilka razy. Najpierw trochę się bałam, czy nie będzie próbował przystawiać się do Martyny, ale nie. Traktował ją jak młodszą siostrę i dawał do zrozumienia, że właściwie to nie do niej przyjeżdża.

Remańska znów uniosła brwi, w oczach spoglądających na Zawodną znad przytkniętego do ust kubka z kawą błysnęło rozbawienie.

– Jednym słowem trafił ci się absztyfikant, że posłużę się określeniem mojej babci. A co ty na to?

Marianna skrzywiła się w odpowiedzi i wyjaśniła, że owszem, uznała go za w miarę sympatycznego, ale to za mało. Absolutnie nie widziała go w roli partnera nie tylko swojego, ale w ogóle żadnej rozsądnie myślącej dziewczyny.

– Czasem wychodził z niego zwyczajny prymityw – tłumaczyła Remańskiej. – Kiedyś powiedział... Nie pamiętam dokładnie, ale sens był taki, że jak facet chce bzyknąć jakąś laskę, to ona powinna się zgodzić, bo od tego jest. Później się tłumaczył, że tylko żartował, ale ja wiedziałam swoje. Kazałam mu spadać.

– I słusznie. A siostra nie miała pretensji, że pogoniłaś jej kolegę?

– Chyba tak – przyznała Zawodna niepewnie. – Niby twierdziła, że wszystko jest okej i że sama też miała go już dość, ale zachowywała się jakoś dziwnie. Pomyślałam, że to przeze mnie, i nawet było mi trochę głupio. Bo przecież oboje grali w tę durną grę, chociaż mama tyle razy tłumaczyła Martynie, że nie powinna tak się angażować.

Bała się, że młoda się uzależni. Ale wiesz, jak to jest z nastolatkami. Równie dobrze mogłaby gadać do ściany.

– No nie wiem – mruknęła Diona. – Ściana przynajmniej nie strzela fochów i nie wzrusza ramionami.

Marianna roześmiała się i pociągnęła solidny łyk kawy, o której w ferworze rozmowy całkiem zapomniała. Zaraz jednak spoważniała.

– Przez pewien czas to wszystko naprawdę nie wyglądało za wesoło. Urządzali sobie w trójkę jakieś turnieje on-line i Martyna potrafiła grać do rana, a potem w szkole była nieprzytomna. W końcu mama zagroziła, że odetnie ją od Internetu, i dopiero to trochę pomogło. A potem Paweł zniknął i wszystko wróciło do normy. Chyba – dodała niepewnie. – Mam wrażenie, że ostatnio znowu zaczęła grać, bo rano wygląda jak z krzyża zdjęta.

Diona spojrzała z nagłym zainteresowaniem. Jeśli turniej nadal trwał, znaczyłoby to, że albo ponownie nawiązała kontakt z Adrianem Koconiem, albo Paweł Pisarek żyje i miewa się całkiem dobrze.

– Chciałabym się z nią spotkać. Mogłabyś to załatwić?

Zawodna zastanawiała się jakiś czas, w końcu spojrzała z powątpiewaniem.

– Mogę spróbować, ale nie obiecuję, że Martyna się zgodzi. Na pewno pomyśli, że rodzice cię nasłali.

– Ona chodzi do szkoły w Jodłowcu, prawda? Więc zna okolicę. Powiedz jej, że stawiam pizzę u Hardego. Dowolnego rodzaju i dowolnej wielkości.

Marianna popatrzyła na nią z uznaniem.

– W takim razie już teraz mogę powiedzieć, że na pewno się zgodzi – oświadczyła ze śmiechem. Naraz spoważniała, na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania. – Diona, myślisz, że Pisarek zniknął z powodu tej gry?

– Nie, na pewno nie z powodu gry – zaprzeczyła żywo. – Myślę, że powód był całkiem inny. Mańka, odpowiedz mi na jedno pytanie. Szczerze. Obiecuję, że nie wykorzystam tego przeciwko tobie.

Marianna zagryzła wargi. Nie była pewna, czy ma ochotę wchodzić w ten układ, lecz złotobrzowe oczy Dionizy miały w sobie coś tak

hipnotyzującego, że bezwiednie wyraziła zgodę.

– Pytaj. Najwyżej zmienię zdanie i nie odpowiem. Ale na pewno cię nie okłamię.

To zapewnienie musiało Dionie wystarczyć, choć wolałaby dostać więcej.

– Czym Pisarek cię szantażował?

Kubek wypadł z ręki Zawodnej i poturlał się po podłodze, znacząc przebytą drogę plamami ciemnego płynu, a pobladła dziewczyna wpatrywała się w Dionę z przerażeniem. Kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta, zanim zdołała wykrztusić:

– Skąd wiesz, że on...? – Nie dokończyła. Odetchnęła głęboko i odezwała się z udawaną nonszalancją: – Ktoś ci głupot naopowiadał. Paweł mnie wcale...

– Mańka! – Diona ostrzegawczo uniosła dłoń. – Obiecałaś.

– W takim razie odmawiam zeznań – oświadczyła Marianna, zaciskając wargi w grymasie uporu.

– W porządku. – Remańska nie zamierzała się kłócić. – Układ to układ. To może ja opowiem ci pewną historyjkę?

– Jeśli musisz – brzmiała niechętna odpowiedź.

Zawodna wstała, wzięła ścierkę i uklęknęła, by doprowadzić podłogę do porządku. Udawała całkowicie pochłoniętą wykonywaną czynnością, a sztywność ruchów świadczyła o urazie. Wyglądało na to, że mocno nadwątlona nic porozumienia lada moment może zostać zerwana, lecz Diona nie widziała innego wyjścia. Musiała jakoś przekonać tę dziewczynę, że szkodzi sobie uporczywym milczeniem.

Po przeanalizowaniu zebranych danych doszła do wniosku, że prawdopodobnie mieszkańcy zawarli między sobą jakiś pakt nakazujący bezwzględną dyskrecję. Ale wiedziała, że w każdej zbiorowości prędzej czy później znajdzie się słabe ogniwo, i miała nadzieję, że tym ogniwem będzie właśnie Marianna.

– W pewnej niedużej osadzie żył sobie młodzieniec – zaczęła swą opowieść. – Matka wychowała go w nienawiści do dwóch mężczyzn i chłopak przysiągł sobie, że zemści się na nich za śmierć ojca.

Zaskoczona Marianna zastygła ze ścierką w ręce, po czym wolno uniosła głowę. Ze ścierki skapywała brudna ciecz, plamiąc jej dżinsy, lecz dziewczyna nie zwróciła na to uwagi, przejęta tym, co usłyszała.

– Skąd wiesz, że Paweł nienawidził Myszki i mojego ojca?

Diona z trudem powstrzymała triumfalny okrzyk. Nie spodziewała się tak łatwego zwycięstwa. Była pewna, że będzie musiała mocno się natrudzić, zanim potwierdzi opowiedzianą przez Marię Pisarek historię.

Popatrzyła na Zawodną i wykonała gest, który niedawno wykpiwała. Wzruszyła ramionami.

– Pisarkowa jest przeświadczona o ich winie i wychowała Pawła w nienawiści do nich, dlatego nie sądzę, żeby ich zbyt kochał. Poza tym wcale nie twierdziłam, że opowiem ci o Pisarku.

Po zatroskanej twarzy Marianny przemknął cień uśmiechu.

– Jasne. Opowiadaj dalej. To bardzo ciekawe.

– Chłopak najbardziej ze wszystkiego lubił zajmować się komputerami – podjęła Diona. – Nigdy nie był zbyt towarzyski, a w okresie dojrzewania jeszcze bardziej oddalił się od rówieśników. Myślę, że dużo w tym winy matki, która zanadto się nad nim trzęsła, poza tym uważała, że nikt nie dorasta mu do pięt, i robiła wszystko, żeby odseparować go od kolegów. Cel osiągnęła, nie przewidziała tylko, że pozbawiony towarzystwa syn stanie się kimś w rodzaju nerda i ją także odtrąci.

– Jak to? – zdziwiła się Mańka. – Przecież dalej z nią mieszkał, pomagał w domu, czasem robił zakupy...

Diona zręcznie ominęła mokre plamy i podeszła do czajnika. Zdążyła już wypić kawę i miała ochotę na jeszcze jedną, a Marianna swoją się nie nacieszyła. Sprawdziła poziom wody, przepłukała kubki i rozejrzała się za jakimś spodeczkiem mogącym posłużyć za popielniczkę. Niczego takiego nie znalazła, za to na parapecie dostrzegła zeschniętą na wiór diffenbachię, na co zareagowała uśmiechem. Nie była jedyną osobą niemającą cierpliwości do pielęgnacji kwiatów. Zabrała podstawkę, która zwłokom kwiatka nie mogła się już do niczego przydać, zapaliła papierosa i dopiero wtedy

odpowiedziała, zaspokajając ciekawość śledzącej jej poczynania dziewczyny.

– Owszem, robił to wszystko, ale już się jej nie zwierzał i właściwie przestał z nią rozmawiać. W każdym razie nie mówił o swoich sprawach. Na przykład o tym, że podpisał umowę z gminą na instalację komputerów, dowiedziała się dopiero od sąsiadów.

Zawodna dźwignęła się z kucek z cichym stęknieniem. Wypłukała ścierkę nad zlewem i umyła ręce, po czym naląła wody do przygotowanych kubków.

– Mam nadzieję, że tej kawy nie wyleję. Chociaż kto wie? Jeśli masz więcej takich rewelacji jak ta o rzekomym szantażu, to całkiem możliwe – zauważyła z przekąsem.

Zanim Diona zdążyła odpowiedzieć, przy drzwiach rozległ się gong, tym razem dużo cichszy. Mańka zakłęła pod nosem i wyszła z zaplecza, pozostawiając gościa samego. Remańska zgasiła niedopałek, wstała i zaczęła przechadzać się po pomieszczeniu w poszukiwaniu toalety. Dzięki temu spacerowi wkrótce domyśliła się powodów różnicy w natężeniu dźwięku, odkryła bowiem drzwi prowadzące do pomieszczeń prywatnych. Domyśliła się, że przebywając tam, Mańka nie usłyszałaby normalnego gongu, dlatego zwiększała jego głośność, gdy wychodziła do części mieszkalnej.

Wróciła na swoje miejsce i korzystając z przerwy w rozmowie, zapisała w notatniku kilka uwag.

– Mieszkasz tutaj? – spytała, gdy Zawodna ukazała się w przejściu na zaplecze. – Sorki, że tam zajrzałam, ale szukałam kibelka.

– To idź, możesz śmiało skorzystać. Nie mam tam nic wymagającego ukrycia.

Remańska skorzystała z propozycji, starając się nie przedłużyć wizyty w pomieszczeniu prywatnym ponad rzeczywistą potrzebę. Zanim wyszła, rozejrzała się i z uznaniem pokiwała głową.

– W życiu nie miałam takiego porządku w pokoju – pochwaliła po powrocie.

– To przez mamę – wyjaśniła Marianna. – Wpada tu co jakiś czas i sprawdza, czy karaluchy się nie zaległy. Jakoś nie umie uwierzyć,

że dziewczyna w wieku dwudziestu czterech lat potrafi zadbać o porządek.

– Hm – mruknęła Diona bez przekonania. – Ja jestem trochę starsza, a nieraz różnie z tym bywa. Nienawidzę sprzątanania.

Zapaliła kolejnego papierosa, udając, że nie zauważa czujnego spojrzenia Mańki. Celowo przedłużała milczenie, żeby wzbudzić zaniepokojenie rozmówcy. Dziewczyna rzeczywiście już po chwili zaczęła się niecierpliwić. To zerknęła na swojego gościa, to znów zupełnie niepotrzebnie przekładała leżące na stoliku przedmioty. Wreszcie chęć dowiedzenia się czegoś więcej zwyciężyła.

– Jest jakaś dalsza część tego twojego opowiadania?

– Pewnie, że jest. Chcesz posłuchać?

– No raczej – prychnęła Zawodna. – Inaczej bym nie pytała.

Diona zerknęła na nią spod rzęs i uśmiechnęła się nieco krzywo na widok sztucznie obojętnej miny.

– Dalej było tak, że nasz bohater zainstalował komputer niemal w każdym domu. Możliwe, że najpierw nie wiązał z tym żadnych planów, tylko rzetelnie wykonywał zleczone mu prace. Podejrzewam, że wpadł na pomysł wgrania programu szpiegującego dopiero wtedy, gdy poproszono go o zainstalowanie czegoś niewchodzącego w pakiet oprogramowania. Jakiegoś KM Playera, Calibre czy Language Tool. Nieważne, co to było, ale jestem pewna, że tak się to zaczęło. Tak przy okazji, zidentyfikowaliście ten szpiegowski program?

Podczas swojej przemowy cały czas zerknęła na Zawodną i wkrótce przekonała się, że trafiła celnie. Obojętna mina dziewczyny ustąpiła miejsca wściekłości, twarz najpierw pobraźniała, potem poczerwieniała z gniewu.

– Kurwa mać! A więc to... – Marianna urwała i zagryzła wargi, a po kilku sekundach niezbyt zręcznie dokończyła zdanie, okraszając wypowiedź wymuszonym uśmiechem. – A to, co mówisz, to jakieś brednie. Twoja teoria jest błędna. Nic mi nie wiadomo o żadnym programie szpiegującym.

– Szkoda. – Diona westchnęła. – Naprawdę nie zastanowiło was, jak ten chłopak zdobył tyle kompromitujących materiałów, że mógł szantażować całą osadę?

– Już mówiłam, że nie było żadnego szantażu – odparowała Mańka, lecz jej słowom brakowało przekonania. – Chyba lepiej będzie, jak sobie pójdiesz.

Remańska obojętnie skinęła na znak zgody i sięgnęła po torebkę. Miała już wyjść, gdy przypomniała sobie jeszcze jedną kwestię, intrygującą ją od chwili, gdy pierwszy raz znalazła się w tej osadzie.

– Mańka, kto to jest Osa?

Zawodna zamarła z ręką w górze i wpatrzyła się w Remańską, nie zauważając, że ciemny płyn kapie z przechylnego kubka wprost na jasną bluzkę. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy poczuła, że wilgotna tkanina klei jej się do piersi.

– Noż kurde fiks! Przecież nie mogę tak pokazać się ludziom. Muszę się przebrać.

Zerwała się z miejsca i pobiegła do mieszkalnej części budynku, zostawiając otwarty sklep i osłupiałą Dionę. Nieobecność trwała dość długo i Remańska zastanawiała się już, czy nie był to strategiczny odwrót w celu uniknięcia odpowiedzi. Zdecydowała, że poczeka jeszcze pięć minut, ale nie dłużej.

Zadała to pytanie z czystej ciekawości, gdyż imię Osa pojawiło się kilkakrotnie w podsłuchanych przez nią rozmowach miejscowych kumoszek, gdy udając spacerowniczkę, snuła się po osadzie i pilnie nadstawiała ucha. Ze słów kobiet nie wynikało, by owa Osa miała coś wspólnego ze sprawą Pisarka, i Diona zainteresowała się nią wyłącznie dlatego, że wymawiając to imię, przybierały ów szczególny ton, jakim strygomianie mówili o strzygach, a mieszkańcy Świercznicy o Ścianie Życzeń.

Szczęknięły drzwi i na zaplecze weszła Marianna w ciemnozielonej bluzce.

– Sorki, że tak cię zostawiłam. Ale musiałam od razu zaprać tę plamę, bo potem mogłaby nie zejść. – Usiadła na swoim miejscu i zapaliła papierosa. – Naprawdę chcesz słuchać o Osie? Przecież to tylko bajka.

– Mnie się wydaje, że nie bajka, tylko legenda – sprzeciwiła się Diona. – A to jednak spora różnica.

Marianna widocznie uznała ten argument, gdyż zaniechała dalszych sprzeciwów. Wciągnęła w płuca haust dymu i rozpoczęła opowieść:

– Dawno, dawno temu rządził tu wielki pan. Nie był dobry dla podległych mu chłopów. Wyzyskiwał ich ponad miarę, za byle przewiny karał chłostą albo i gorzej. Korzystał też skwapliwie ze swojego prawa do pierwszej nocy.

Po tych słowach Zawodna spojrzała na Dionę, która w odpowiedzi zrobiła śmieszny grymas.

– Widzisz? To jednak jest legenda. Bo w bajkach taki pan zakochuje się w pięknej, choć ubogiej dziewczycy i zabiera ją do zamku. A potem ta dziewczica jakimś przedziwnym sposobem ma gromadę dzieci.

W odpowiedzi Marianna parsknęła urywanym śmiechem i podjęła opowieść.

Okazało się, że panu wpadła w oko jedna z wiejskich dziewczyn, lecz ona w przeciwieństwie do poprzedniczek nie zamierzała być dworską zabawką. Kochała syna sąsiadów, a on kochał ją, ale dobrze wiedzieli, że pan nie pozwoli im żyć razem. Obdarowani przez rodziców niezbędnymi do przeżycia sprzętami i węzełkami z żywnością, pod osłoną nocy uciekli do lasu.

Wędrowali tak długo, aż znaleźli się w miejscu, gdzie obecnie znajdują się Osiny. Zbudowali sobie prymitywne schronienie, a potem zabrali się do budowy domu. Uplłynęło wiele dni katorżniczej pracy, nim chata nadawała się do zamieszkania, a kiedy wreszcie to nastąpiło, odkryli w jej pobliżu ogromne gniazdo os. Młody mężczyzna chciał je zniszczyć, lecz dziewczyna mu nie pozwoliła. Polubiła latające i bzyzące sąsiedztwo i nieraz przynosiła w pobliże gniazda słodkie owoce, a potem z uśmiechem patrzyła, jak owady chciwie się na nie rzucają.

Tymczasem pan nie zamierzał pozwolić, by ucieczka uszła im płazem. Rozsyłał konnych po okolicy, by szukali zbiegów, często też osobiście uczestniczył w poszukiwaniach. Któregoś razu zapędził się aż do Kalet, gdzie miejscowi donieśli mu, że od dłuższego czasu

widują nad lasem smugę dymu. Postanowił to sprawdzić i tym sposobem natrafił na chatę uciekinierów.

Mężczyznę zabił od razu, celnym rzutem wbijając mu oszczep w brzuch. Dziewczynę natomiast miał zamiar chwilowo oszczędzić i zabić dopiero wtedy, gdy już się nią nacieszy. Ona jednak ani myślała czekać, aż pan ją złapie. Czmychnęła do lasu prosto do gniazda os, błagając je o pomoc. I oto ogromny rój wyfrunął z gniazda. Obsiadł pana i jego sługi i pożądlił ich na śmierć. Wtedy dziewczyna pokłoniła się pięknie skrzydlatym przyjaciółkom, weszła do gniazda i nikt już jej nie zobaczył żywej.

Pewne małżeństwo z Kalet widziało ogromny rój os i w obawie o życie młodych jeszcze tego samego dnia poszło sprawdzić, czy nie potrzebują pomocy. Znaleźli zabitego mężczyznę i trupy zbrojnych, a w chacie dwoje kwilących z głodu niemowląt, ale ciała kobiety nigdzie nie było. Gdy przybysze zorientowali się, że młoda matka zniknęła, zaopiekowali się sierotami, przeprowadzili się też do opuszczonej chaty, dając tym podwaliny wiosce, która od sąsiedztwa gniazda os wzięła nazwę Osiny.

– Od tego czasu z wdzięczności za opiekę nad dziećmi matka czuwa nad mieszkańcami Osin – opowiadała Marianna. – Jeśli ktoś chce ich ukrzywdzić, znikąd pojawia się piękna dziewczyna w starodawnym stroju, a nad jej głową wiruje rój os. A gdy wskaże kogoś palcem, osy obsiadają delikwenta i żądają go na śmierć.

Mówiła lekkim, nieco ironicznym tonem, jakby chciała w ten sposób zamanifestować niewiarę w ludowe bajdy. Ale chwilami w głosie pobrzmiewała nutka niepewności, a oczy miały wtedy nieobecny wyraz, zupełnie jakby spoglądały na coś niewidocznego dla zwykłych śmiertelników.

Dioniza podziękowała za przybliżenie legendy, rzuciła krótkie „cześć” i skierowała się w stronę drzwi. Udała, iż nie zauważa zdziwienia Zawodnej, podobnie jak zignorowała przeświadczenie, że Marianna wbija zaskoczony wzrok w jej plecy. *Dam jej czas do jutra, zdecydowała w myślach. Niech się prześpi z tym problemem. Może rano będzie rozsądniejsza?*

Podeszła do auta, nie zauważając stojącego naprzeciwko sklepu wysokiego, chudego mężczyzny o ponurej twarzy. Aleksander Myszkowski obserwował ją uważnie, a gdy wsiadła do forestera i odjechała, długi czas spoglądał w ślad za nią. Wreszcie potrząsnął głową jakby w odpowiedzi na jakieś pytanie i poszedł wolno w stronę domu. Tam przywitał się zdawkowo z żoną i porozmawiał chwilę z synem. Uśmiechnął się nawet do niego kilka razy, lecz uśmiech nie objął oczu, nadal ponurych i gniewnych.

Rozdział 9

Zło powraca

11–12 lipca 2019

Zawodna przez noc nie zmieniła zdania. Diona od razu zauważyła dystans, jaki naraz pojawił się między nimi, i pojęła, że łudziła się na próżno. Mańka otoczyła się ochronną tarczą i Dioniza nie umiała się przez nią przebić. Widząc, że nic nie wskóra, zrezygnowała ze wspólnego wypicia kawy i poszła ku drzwiom.

– Jak sobie chcesz. Ale robisz głupio. Ja mogę zapewnić ci dyskrecję. Policja niekoniecznie – odezwała się już z ręką na klamce. Odczekała jakiś czas, a gdy Marianna nie zareagowała, stwierdziła tylko: – Twój wybór.

Przemaszerowała przez sklep i wyszła, nie oglądając się za siebie. Nie czuła gniewu, tylko rozczarowanie. Była pewna, że dobrze oceniła Zawodną jako rozsądną myślącą dziewczynę, która potrafi skalkulować ryzyko i ocenić zyski.

– Poczekaj! – rozległo się gdzieś za nią.

Nie obejrzała się. Dalsza rozmowa byłaby stratą czasu. Dezaktywowała alarm i już otwierała drzwi, gdy czyjaś dłoń przytrzymała ją za rękę.

– Coś jeszcze? – rzuciła zinnoblady tonem, choć w głębi duszy współczuła dziewczynie.

Dopiero po dłuższym czasie zerknęła przez ramię. Marianna spoglądała na nią oczami pełnymi łez.

– Ty nie wiesz, jak to jest – zaczęła nieporadnie. – Nie rozumiesz...

– A żebyś wiedziała, że nie rozumiem – odparowała. – Nie pojmuję, jak cała osada mogła dać się szantażować jednemu szczyłowi, zamiast zrobić z nim porządek.

– Właśnie o to chodzi – wyznała Mańka ledwo słyszalnym głosem. – Ktoś chyba to zrobił. Dlatego przyrzekliśmy, że nikomu nie piśniemy nawet słowa. Bo ten ktoś zrobił to dla nas wszystkich. Nie wiem, kto to był, i nie chcę wiedzieć. To wszystko.

Diona miała ochotę podskoczyć z radości, że jej podejrzenia okazały się słuszne, choć dalej nie rozumiała, jak mogli się nie domyślić, w jaki sposób Pisarek poznał ich tajemnice. Skąd inaczej mógłby wiedzieć, czym zgrzeszyli?

– Ożeż... – W ostatniej chwili przełknęła wulgaryzm, mając na względzie przechodzącą tuż obok starowinkę, trzymającą za rękę podskakującego dwulatka. – *Grzechy...* – szepnęła w zamyśleniu. – *Jasna cholera, jednak jest powiązanie.*

Od strony sklepu dobiegło je wołanie i Zawodna znowu chwyciła Dionę za rękę.

– Muszę wracać, klient mnie woła. Sorry, ale nie mogę inaczej.

Diona zdecydowanym ruchem ponownie aktywowała alarm i pierwsza skierowała się w stronę sklepu. Po kilku krokach przystanęła i popatrzyła na stojącą bez ruchu Mariannę.

– Idziesz czy będziesz tam stać do końca świata? Słuchaj, właśnie sobie uświadomiłam, że sprawa jest poważniejsza, niż myślałam. Załatw szybko tego gostka, bo musimy się zastanowić, co dalej.

Po chwili znowu znalazły się w sklepie. Marianna od razu skierowała się za ladę, podczas gdy Diona poszła na zaplecze. Niecierpliwym ruchem odsunęła na bok puste kubki i oparła łokcie na stole, przyciskając policzki do dłoni zwiniętych w pięści.

Ze sklepu dochodził ją odgłos rozmowy Mańki z wybrednym klientem. W innym przypadku pewnie zirytowałaby ją ta zwłoka, lecz w tej chwili była z niej nawet zadowolona. Marudzenie klienta dawało jej czas na zastanowienie.

Cholera jasna, tatek! – myślała sfrustrowana. *Musiąłeś akurat teraz wynaleźć sobie inne zajęcie?*

Nieobecność ojczyzna zmusiła ją do radzenia sobie samej. Tym razem nie mogła nawet zwrócić się do Marcina o pomoc, gdyż podejrzewała, że prokuratorowi Wójcikowi bardzo by się to nie spodobało.

– Jasny szlag niech to trafi! – wyrzekała, mamrocząc pod nosem niezbyt pochlebne słowa pod adresem męskiej części ludzkiej populacji. – Jeden wystawił mnie rufą do wiatru, drugi obraził się nie wiadomo o co, trzeci mi nawrzucał, a czwartego muszę chronić przed tym drugim. To ma być ta silniejsza płęć?

Ciche chrząknięcie wyrwało ją z fazy użalania się nad sobą. Uniosła głowę i ujrzała Zawodną, stojącą w drzwiach z niepewną miną.

– Nie chciałam ci przeszkadzać w ocenianiu facetów – wyjaśniła Mańka. – To było bardzo pouczające. Mówiłaś o swoim eks czy obecnym?

Gniew i poczucie bezradności nagle się rozwiały. Ta drobna rudowłosa dziewczyna miała w sobie jakąś wewnętrzną pogodę ducha, oddziałującą również na otoczenie. W jej obecności nie można było zbyt długo odczuwać złości czy przygnębienia.

– Mańka, powiedz mi jedną rzecz. Ty chodzisz do kościoła, prawda? Czy spowiadałaś się z tego, czym Pisarek cię szantażował? Nie musisz mówić, co to było, tylko odpowiedz szczerze na pytanie. Tak czy nie?

Marianna wpatrywała się w nią przez jakiś czas, jakby dokonywała oceny. Ta musiała wypaść pozytywnie, gdyż nagle dziewczyna otworzyła usta i wypowiedziała jedno krótkie słowo:

– Tak.

Diona zaklęła szpetnie. Nie miała pojęcia, co dalej robić. Przedtem łudziła się jeszcze, że odpowiedź będzie inna, ale w tej sytuacji nie miała chyba wyboru. Będzie musiała wejść w sam środek śledztwa w sprawie zabójstwa proboszcza, a dobrze wiedziała, że Wójcik jej za to nie pogłaszcze.

– A może to tylko przypadek? – szepnęła do siebie. Dojrzała ciekawość płonąca w zielonych oczach Zawodnej, lecz nie zamierzała jej zaspokajać, tym bardziej że właśnie pogubiła się w domysłach. –

Nie wiesz przypadkiem, czy inni też się spowiadali z grzechów, którymi Paweł ich szantażował?

Zawodna nie zastanawiała się długo nad odpowiedzią.

– Nie mogę mówić za wszystkich, ale kilku na pewno tak. Myślisz, że ksiądz zdradził Pawłowi tajemnicę spowiedzi? Że wspólnie wymuszali od nas kasę? Że Paweł zabił księdza, żeby zagarnąć całość?

W oczach błysnął jej przestach; obrzuciła pomieszczenie podejrzliwym wzrokiem, jakby w obawie, że chłopak czai się gdzieś w kącie. Diona uśmiechnęła się leciutko i dotknęła uspokajająco jej dłoni.

– Spokojnie, to na pewno nie on. Nie sądzę, by jeszcze żył. Powiedz mi tylko, u którego z księży się spowiadałaś? U proboszcza?

Marianna zamachała rękami i wydała z siebie dziwny odgłos, coś pomiędzy śmiechem a okrzykiem zgrozy.

– U proboszcza?! W życiu! On by mnie tak przeczołgał, że pewnie wolałabym spędzić całe wieki w piekle niż prosić go o rozgrzeszenie. Byłam u wikarego. Tamci też. Wiem, bo o tym mówili.

– Hm. To ciekawe, że z nich dwóch zginął właśnie proboszcz, chociaż nie poznał żadnych mrocznych sekretów – rozważała Diona głośno.

– Skąd wiesz, że nie poznał? – skontrowała Zawodna. – Przecież nie wiemy, czy inni nie spowiadali się właśnie u niego. Na przykład Myszka. Ona raczej by do wikarego nie poszła. Zawsze narzekała, że ksiądz Apoloniusz ma za słabą wiarę. A ona ma na sumieniu poważny grzech, nie taką duperele jak ten mój.

Diona doszła do wniosku, że musi w spokoju uporządkować zebrane dane, zanim zacznie formować hipotezy. Na razie odnosiła wrażenie, że jedna informacja przeczy drugiej. Postanowiła więc poprzestać dzisiaj na tym, co usłyszała. Z jednym małym wyjątkiem.

– Powiedziałaś, że Pawła zabił ktoś, kto chciał chronić was wszystkich. Nie pomyślałaś, że chciał was też chronić przed proboszczem? I że w każdej chwili może dojść do wniosku, że nie tylko oni dwaj wam zagrażali?

Marianna zbladła. Zacisnęła dłoń w pięść, a drugą nerwowo szarpała guzik bluzki.

– On mówił... znaczy się proboszcz... – Jęknęła głośno. – O mój Boże, on się odgrażał, że wszystko powie...

Z chaotycznych słów Dioniza zrozumiała, że ksiądz Piotr był zdania, iż mieszkańcy Osin to w większości banda bezbożników i jedyne, co może sprowadzić ich ze ścieżki grzechu prowadzącej wprost do piekielnych otchłani, to solidny wstrząs. W związku z tym oznajmił, że ma zamiar podczas niedzielnych uroczystości publicznie wytknąć im największe grzechy, co niektórych wprowadziło w prawdziwy popłoch.

– Chciał złamać tajemnicę spowiedzi?!

Dioniza nie mogła uwierzyć, że proboszcz posunąłby się do czegoś takiego, okazało się jednak, że była w błędzie. Ksiądz Piotr nie zamierzał wytykać personalnie przewin, a jedynie wspomnieć o nich bez wskazywania, kto je popełnił.

Ale to w zasadzie zmieniało niewiele, gdyż w tak małej społeczności, gdzie wszyscy doskonale się znają, nie sztuką byłoby domyślić się nazwisk grzeszników. Dlatego Marianna uświadomiła sobie z przerażeniem, że człowiek, który wziął na siebie ciężar uwolnienia sąsiadów od trwającego kilka miesięcy szantażu, posunął się jeszcze dalej, następne słowa Remańskiej sugerowały zaś, że może na tym nie poprzestać.

– Muszę z nimi pogadać, naradzić się, co dalej. – Głos Zawodnej zabrzmiał płasko, nie było w nim zwykłej energii czy entuzjazmu, tak dla niej charakterystycznych. – Trzeba go powstrzymać, zanim dojdzie do kolejnego nieszczęścia.

Diona przytaknęła temu pomysłowi i nie powiedziała już nic więcej, uznając temat za wyczerpany. Zrobiła, co mogła. Reszta była w rękach mieszkańców Osin.

*

Podobnie jak Dioniza starszy aspirant Lipski także natrafił w Osinach na mur milczenia. Na wszystkie pytania odpowiadano wprawdzie dość obszernie, ale wkrótce zdał sobie sprawę z tego, że gdyby ścisnął wszystkie wypowiedziane przez osiniaków słowa w dłoni, pozwalając nieistotnym kwestiom przecieknąć między palcami, w ręce nie zostałoby mu nic. Wyglądało na to, że do perfekcji opanowali sztukę posługiwania się ogólnikami, przez co stracił wiele godzin, nie zbliżając się nawet odrobinę do prawdy.

Korciło go, by zadzwonić do Diony i dowiedzieć się, czy przy okazji swojego śledztwa nie natknęła się na informacje, które mógłby wykorzystać. Kilka razy już nawet sięgał po telefon, lecz wspomnienie zaciętej twarzy Rajmunda skutecznie go od tego odwodziło. Prokurator nie dał się przekonać. A raczej nie dał Marcinowi okazji, by ten mógł przekonać go do Diony, gdyż każdą wzmiankę o niej stanowczo ucinał, nie pozwalając na rozwinięcie wypowiedzi.

Po kilku próbach Lipski zrezygnował, nie chcąc psuć przyjaznych dotąd stosunków. Później zaś doszedł do wniosku, że przerwa w widywaniu Remańskiej może okazać się dla niego korzystna. Kto wie, czy dziewczyna nie zatęskni za jego obecnością? Albo dojdzie do wniosku, że przeszło mu trwające już dłuższy czas zauroczenie, i poczuje żal za tym, co utraciła. A może naprawdę mu przejdzie?

Rozważania przerwał telefon od informatyka zajmującego się komputerem Piotra Rakowicza. Udało mu się pokonać zabezpieczenia i dostał się do plików, wśród których znalazł coś interesującego.

– Przyjdź i zobacz sam – zbył prośbę Marcina, by opowiedział mu o znalezisku.

Chcąc nie chcąc, Lipski poszedł tam, choć widok pochylonych nad klawiaturami i mamroczących coś pod nosem pracowników sekcji informatycznej zawsze wywoływał w nim ciarki. Pozbawiony takich zdolności, nie pojmował, jak można spędzać tyle czasu przed komputerem i nie zwariować.

Po wejściu do pokoju od razu rzuciły mu się w oczy poruszające się w zawrotnym tempie palce, przypominające odnóża wielkich

pająków. Bartek Winiarz nawet nie podniósł głowy na powitanie, tylko dalej zapamiętałe stukał w klawiaturę. Nagle wykrzyknął: „Mam cię, jebaniutki!”, po czym już spokojniej napisał jakąś komendę i dopiero teraz popatrzył na Lipskiego.

– Jesteś? To zobacz.

Przejechał z krzesłem przez pół pokoju i zadokował je obok biurka, na którym monitor błyskał wygaszaczem ekranu.

– Nie możesz zwyczajnie powiedzieć, czy jest tam coś ciekawego? – ponowił pytanie Marcin.

Bał się, że kolega swoim zwyczajem zacznie się zaraz rozwodzić nad jakością sprzętu i parametrami technicznymi. Tokował wówczas, nie zauważając, że dla większości rozmówców równie dobrze mógłby przemawiać w języku paszto, gdyż i tak nie rozumieli używanych przez niego słów.

– Nie mogę. Musisz to sam zobaczyć.

Starszy aspirant zrobił minę świadcząca o powątpiewaniu, a gdy Bartek trwał przy swoim, rzucił zgryźliwie:

– Zawsze tak mówisz, a potem się okazuje, że jedyną interesującą sprawą była jakaś nielegalnie pozyskana gra.

Winiarz puścił tę uwagę mimo uszu, ale na szczęście tym razem darował sobie specjalistyczną terminologię. Przebiegł palcami po klawiaturze, przekręcił lekko monitor i oczom Marcina ukazał się wykaz katalogów. Informatyk odczytywał po kolei ich nazwy.

– Przejrzałem je dokładnie i nie ma tam nic, co mogłoby cię zainteresować. Szkice kazań, listy do biskupa, trochę e-booków, w tym kilka nielegalnych.

– To po cholere mnie tu ciągałeś?

Bartek dumnie wypiął dość cherlawą pierś i posłał mu pełne wyższości spojrzenie.

– Teoretycznie są tu same bzdety, ale twój księżulo nie przewidział, że jego komp wpadnie w ręce geniusza. Co tu widzisz?

Wziął do ręki myszkę i szybko podświetlił informację o stanie pamięci komputera. Marcin pochylił się, by lepiej widzieć, i wzruszył ramionami.

– Że kończyła mu się pamięć. I co z tego ma wynikać?

– Nie widzisz? – zdziwił się informatyk. – Ty ignorancie! Z tego wynika, że pojemność istniejących na dysku plików nie zgadza się z sumą zajętej pamięci.

Zapisał na kartce tę sumę, ponownie wyświetlił listę katalogów i kliknął komendę „oblicz zajmowaną przestrzeń”. Uprzedził, że operacja będzie trwała kilka minut, więc Marcin skorzystał z okazji i przysunął sobie krzesło. Wbrew swoim wcześniejszym słowom poczuł zainteresowanie.

Po jakimś czasie na ekranie pojawiły się rzędy cyfr. Informatyk wskazał palcem jeden z nich, dodając komentarz:

– Tu masz podsumowanie zawartości wszystkich katalogów. Porównaj.

Lipski zerknął w dół ekranu na wskazaną liczbę i zdumiał się, widząc, jak bardzo różnią się te dwie wielkości.

– Nie rozumiem – bąknął. – Co to oznacza? Że ma drugą partycję?

– Sam jesteś partycja! Gdyby tak było, ta informacja widniałaby na ekranie. Twój ksiądz to niezły cwaniaczek, utajnił sobie katalog.

– Jak to: utajnił? – nie zrozumiał Marcin.

– Zwyczajnie. Utworzył katalog i zabezpieczył w ten sposób, że można go zobaczyć tylko po kliknięciu odpowiedniej ikony. Dopóki tego nie zrobisz, dla niewtajemniczonego użytkownika katalog jest niewidoczny.

Winiarz zerknął z ukosa na Lipskiego, chcąc się przekonać, jakie wrażenie wywarły na nim jego słowa. Okazało się, że żadne. Starszy aspirant spoglądał na ekran z obojętną miną, a gdy się odezwał, jego ton daleki był od zachwyty.

– Też mi utajnienie, skoro wystarczy kliknąć.

– Takiś, kurwa, mądry?! – zaperzył się informatyk i odsunął wraz z krzesłem od biurka. – No to proszę bardzo. Klikaj.

Marcin energicznie sięgnął po myszkę... i nagle ręka zastygła w bezruchu, a kursor nie zmienił położenia.

– Co mam kliknąć?

– O to właśnie chodzi, że nie wiadomo, ty deficycie umysłowy. Wpuść mnie.

Bartek podjechał do biurka i bezceremonialnie odepchnął kolegę. Lipski odsunął się poza zasięg jego rąk i próbował się bronić.

– Myślałem...

– Lepiej tego nie rób, bo twój mózg może doznać szoku – pastwił się informatyk. – Zamiast tego patrz i podziwiaj.

Otworzył katalog zatytułowany „Księga psalmów”, przewinął na sam dół i najechał na plik o nazwie „Psalm 151”.

Starszy aspirant gotów był przysiąc, że psalmów jest tylko sto pięćdziesiąt, ale powstrzymał się od uwag, gdy po kliknięciu zamiast tekstu ukazało się żądanie hasła. Bartek wpisał je tak szybko, że Marcin nie zdążył podpatrzyć, których klawiszy użył. Już miał o to zapytać, lecz nagle ekran ożył, wypełniając się ikonami.

– Co to jest?

Jeszcze nie skończył mówić, gdy informatyk kliknął pierwszą z nich, rozwijając podkatalog zawierający miniaturki zdjęć. W pierwszej chwili Marcin nie zorientował się, co zawierają, ale gdy Winiarz zmienił ich wielkość, zobaczył to wyraźnie i ze świstem wciągnął powietrze w płuca. To były akty seksualne z udziałem dzieci.

– Milutki ten twój księżulo, nie ma co. – Bartek skrzywił się z odrazą. – Nie dziwię się już, że ktoś go zajebał.

– To gówno jest we wszystkich plikach?

– W katalogach, nie w plikach, ty... – Winiarz machnął ręką, wyjątkowo tym razem rezygnując z możliwości wetknięcia szpili. – Nie, wcale nie we wszystkich. W niektórych jest coś innego. Zobacz sam.

Kliknął inną ikonę. Ta się nie rozwinęła i Marcin domyślił się, że był to bezpośredni skrót do jakiegoś pliku. Istotnie najpierw pojawił się znaczek ładowania, a po chwili ich oczom ukazał się nagi mężczyzna stojący na środku pokoju. Mówił coś, lecz adresata jego słów nie obejmował zasięg kamery.

– Nie mam tu głośników, więc nie wiem, czy film nagrany jest z dźwiękiem, ale...

Bartek przerwał, gdyż mężczyzna na ekranie zrobił kilka kroków w przód. Na moment zniknął, lecz zaraz wszedł w oko następnej

kamery i pojawił się znów. Teraz nie był już sam. Obok niego stał mały, przerażony chłopiec. Dorosły wydał jakieś polecenie, na co dziecko pokręciło głową i cofnęło się aż pod ścianę. Dalej nie mogło się już odsunąć, uniknąć uderzenia w głowę też nie zdołało. Chłopczyk upadł. Mężczyzna podniósł go bez wysiłku i rzucił na łóżko, kolanem przycisnął nogi i jednym ruchem zdarł z niego dres wraz z majtkami.

– Dosyć – odezwał się Marcin zduszonym głosem. – Zrób mi kopie tych plików, okej? Albo zrób dwie, bo wiesz, jak to nieraz bywa, gdy przestępcą okazuje się ksiądz. Zdjęcia giną, a nagrania same się kasują.

– U nas? – zdziwił się Bartek.

– Nie, chyba nie – przyznał Lipski. – Nie słyszałem o takim przypadku. Ale lepiej się zabezpieczyć, bo może być różnie.

– Wiem. Diabeł nie śpi, choć nie powinien stawać po stronie księży i mieszać w dowodach. Co z tym teraz zrobisz?

– A co, kurwa, mogę zrobić? – zdenerwował się Marcin. – Dołączę do akt. Właściwie to dobrze, że ktoś go zatłukł, bo chyba sam bym go odstrzelił. Daj znać, jak zrobisz kopie.

Po powrocie do swojego pokoju przemyślał wszystko, obejrzał też na spokojnie tajny zbiór Piotra Rakowicza. Przeważały tam zdjęcia zaliczane do dziecięcej pornografii i z całą pewnością były to fotografie ściągnięte z sieci, tutaj więc można by pokusić się o próby dotarcia do źródła. Ale czarno to widział. Bartek Winiarz jako informatyk był dobry, lecz nie aż tak dobry, by przedrzeć się do utajnionych stron.

Z kolei tych kilka umieszczonych na dysku filmów przedstawiało co prawda różnych chłopców, ale mężczyzna zawsze był ten sam. Ksiądz proboszcz, któremu ktoś już wymierzył sprawiedliwość, nie było więc powodów do wszczynania śledztwa, którego jedynym efektem byłoby wywołanie nowej traumy u ofiar gwałtów.

*

Tego piątkowego wieczoru sala w budynku OSP znów była jasno oświetlona. Gdyby w pobliżu znalazł się ktoś obcy, mógłby się zdziwić, skąd ta iluminacja w dzień powszedni, do tradycji należało bowiem, że wszelkie imprezy czy zebrania odbywały się w soboty.

Zebrani niespokojnie popatrywali w stronę Jana Kukuczki stojącego w towarzystwie Marianny Zawodnej. To on zwołał dzisiejsze zebranie, zaznaczając przy tym, że sprawa jest bardzo poważna, gdyż dotyczy Pawła Pisarka. To wystarczyło, by stawili się wszyscy, nawet ci, którzy zazwyczaj wymigiwali się od wszelkich nasiadówek.

Kukuczka odczekał, aż za ostatnim wchodzącym zamkną się drzwi, i natychmiast przystąpił do omawiania problemu, którym była dociekliwość wypytującej o Pisarka prywatnej detektyw oraz policjanta prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa księdza proboszcza. Stwierdził przy tym, że oboje znaleźli się niebezpiecznie blisko prawdy. Początkowo patrzono z niedowierzaniem, lecz w miarę jak przytaczał coraz więcej przykładów, powątpiewanie zamieniało się w obawę. Wreszcie skończył i oddał głos Mariannie.

– Jest tak, jak powiedział wujek Jasiek. Zrobiłam, o co prosił, i zaprzyjaźniłam się z tą dziewczyną, żeby wyciągać od niej informacje. – Zawodna przygryzła wargę, starając się zwalczyć wyrzuty sumienia, że nie była szczerą w stosunku do sympatycznej Dionizy. – Ona jest cholernie bystra, na przykład od razu się skapowała, że proboszcza musiał zabić ksiądz Apoloniusz.

– To nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Pisarka – wytknęła jej Alina Myszka.

Marianna prychnęła lekceważąco.

– A czy ja powiedziałam, że ma? Podałam to jako przykład tego, że ona błyskawicznie kojarzy i nie daje sobie wcisnąć ściemy. Jak tylko usłyszała o komputeryzacji, od razu się domyśliła, co Paweł nam zrobił.

Musiła przerwać, gdyż w sali zapanował taki gwar, że nie była w stanie nad nim zapanować. Obecni przekrzykiwali się, klnąc głośno, a kilka kobiet wybuchnęło płaczem. Pierwszy opanował się Damian Zawodny.

– Cisza! – wrzasnął, a gdy wrzawa ucichła, spytał zwięźle: – Co robimy?!

– Nic. Trza milczeć i udawać głupich – odpowiedziała Drzyzgowa.

Kilka osób ją poparło, lecz naraz o głos poprosił Aleksander Myszka. Zaskoczył tym obecnych, gdyż nie miał zwyczaju przemawiać publicznie, a już na pewno nie w obecności żony. To ona w ich domu dzierżyła ster. Teraz także nie wyglądała na uszczęśliwioną, że mąż zabrał głos bez jej akceptacji. Syknęła kilka razy, a gdy nie zareagował, pociągnęła go za rękę, chcąc przyciągnąć jego uwagę.

Myszka jednak z niespotykanym u niego uporem ignorował żonę. Potoczył wzrokiem po obecnych i zatrzymał go na Drzyzgowej. Spoglądał dłuższy czas na starą, poradloną zmarszczkami twarz, wreszcie pokręcił głową z wyraźnym żalem.

– Nie, ciotko, nie możemy dłużej milczeć, bo to znowu się zaczęło. Dzisiaj znalazłem w poczcie wiadomość. Wiecie jaką.

Równie dobrze mógł rzucić bombę w sam środek sali. Zaskoczenie z pewnością nie byłoby wówczas większe, a krzyki głośniejsze niż te, które wydobywały się z ust zszokowanych mieszkańców Osin. Większość z nich wyrażała skrajne zdziwienie. Jak to możliwe, że znowu pojawiło się żądanie pieniędzy, skoro szantażysta zniknął, wyeliminowany kilka miesięcy temu przez jedną z obecnych tu osób?

Dodatkowo przeraził ich fakt, że tym razem kwota była dużo wyższa od tej, której zwyczajowo żądał Pisarek. Paweł doskonale znał możliwości finansowe swoich sąsiadów i nie domagał się niemożliwego.

– Skąd mam mu wziąć dwa tysiące? – jęczał Myszka. – Przecież to połowa mojej wypłaty! Czy on myśli, że sramy pieniędzmi?

Zrozpaczony, ignorował rozpaczliwe gesty żony, nakazujące mu milczenie. Alina nawet w tej sytuacji nie chciała przyznać, że wcale nie są tak dobrze sytuowani, jak to wszystkim usiłowała wmówić.

Jedna Drzyzgowa siedziała niewzruszenie na swoim krześle, mamrocząc coś do siebie bezzębnymi ustami. Marianna podeszła do niej, usiadła na zwolnionym przez kogoś miejscu i przechyliła się, by lepiej słyszeć, ale jedyne, co dotarło do jej uszu, to fragmenty

modlitwy. Uśmiechnęła się smutno. Gdyby Bóg chciał wysłuchać ich modlitw, już dawno zrobiłby porządek z Pisarkiem.

Wzdrygnęła się na myśl, że być może to właśnie zrobił, skoro Paweł wedle wszelkich znaków nie żyje już od lutego, i czym prędzej porzuciła prowadzące donikąd rozważania. Teraz jej uwagę zajęło nietypowe zachowanie brata, od jakiegoś czasu dziwnie wyciszonego. Gdy się nad tym zastanowiła, odkryła, że jego koledzy także bardzo się zmienili. Miejsce pyskatych, czasem nawet bezczelnych smarkaczy zajęli milczący, spokojni i jakby wystraszeni chłopcy. Dziwne też było, że Mateusz, jeszcze niedawno zwierający się jej ze wszystkich, nawet najbliższych problemów, nagle zaczął ją zbywać i z uporem twierdził, że nic złego się nie dzieje. A przecież widziała, jak ukradkiem ocierał łzy, a w nocy słyszała dobiegający z jego pokoju stłumiony płacz. Na wspomnienie tego cichego, rozpaczliwego szlochu krajało jej się serce, lecz nie wiedziała, jak mogłaby pomóc bratu.

Kukuczce wreszcie udało się zaprowadzić jaki taki ład na sali. Krzyki zaczęły przycichać, a gdy mężczyzna rozpoczął przemowę, ucichły zupełnie.

– Trzeba się zastanowić, co to oznacza. Moim zdaniem to, że Pisarek jednak żyje. W takim razie nie ma sensu odsłaniać się przed gliniarzami. Jeżeli nikt się nie przyzna, że mu płacił, będą mogli nas cmoknąć.

Drzyzgowa poruszyła się niespokojnie, a gdy nie wzbudziła tym zainteresowania, dla przyciągnięcia uwagi kilka razy stuknęła laską w podłogę. Zabieg przyniósł spodziewany efekt. Wszystkie oczy skierowały się w stronę starej kobiety.

– Niby dorośli, a nierozumni jak małe dzieci. – Potrząsnęła głową tak energicznie, że niejeden z obecnych poczuł obawę, że cieniutka szyja kobieciny nie wytrzyma i złamie się niczym gałązka. – Pisarek by nam z dobrej woli nie dał spokoju na tyle miesięcy. A już na pewno nie Zawodnemu i Myszce. Maryśka chowała go w nienawiści, i temu taki wyrósł. Zły. Tacy nigdy nie zapominają. I nie darują.

Ojciec Marianny przepchnął się do przodu i stanął przed nią z gniewnie zmarszczonymi brwiami.

– Musicie to znowu wywlekać? Było, minęło. Ile jeszcze lat mam pokutować za chwilę głupoty?

Stara kobieta tylko machnęła ręką, dając do zrozumienia, że nie interesuje jej ta kwestia, a gdy znów otworzył usta, uciszyła go kolejnym stukaniem laską w podłogę.

– Nie wierzę, że Paweł żyje. Z grobu też nie wstał, żeby dalej nas dręczyć. Ktoś z nas go zabił, a my z wdzięczności go chronimy.

– Dyc wszyscy o tym wiemy – rozległ się gdzieś z tyłu przepity głos Pawlusa. – Powiedzcie, ciotko, coś nowego.

Nawet się nie obejrzała. Wykrzywiła tylko wargi i potrząsnęła dłonią, manifestując w ten sposób pogardę dla pijaka.

– My go chronimy – powtórzyła. – A on nam za to tak pięknie podziękował.

Zignorowała okrzyki zdumienia i mówiła dalej, wyrażając słowami to, co innym również przyszło do głowy, a co obawiali się nawet ubrać w myśli. Zło powróciło. Nieznany z nazwiska obrońca nie tylko zabił Pisarka, ale także przejął kompromitujące materiały i teraz on zabrał się do szantażowania sąsiadów. Myszka to dopiero początek, po nim przyjdzie czas na wymuszanie pieniędzy od innych. Obrońca zamienił się w gnębiciela.

– O tym samym pomyślałam – przyznała Marianna. – To pewnie on zabił księdza, bo może się skapował, że za dużo wyznał przy spowiedzi. Jaką mamy gwarancję, że to koniec? Że nie zabije kogoś z nas?

Musieli przyznać jej rację, a gdy przyszło do radzenia nad dalszą strategią, tym razem obyło się bez głośnych dyskusji i krzyków. Zebrani przycichli i tylko niespokojnie popatrywali jeden na drugiego, niepewni, czy to właśnie sąsiad nie jest tym, który dwukrotnie splamił swoje ręce krwią.

– Powiem policji, co zrobiłem. – Kukuczka jako pierwszy podjął decyzję. – Pewnie skończy się na grzywnie.

Zawodny zagryzł wargi. Widać było, że mocuje się z sobą. Wreszcie wypowiedział swoje zdanie. Zrobił to zbyt głośno, jakby krzykiem chciał dodać sobie odwagi.

– Ze mną będzie gorzej, ale chuj z tym! Więzienie też jest dla ludzi.

Marianna aż zachłysnęła się powietrzem, tak bardzo zdumiało ją zachowanie ojca. Zawodny nigdy, nawet w największym stresie nie używał wulgaryzmów. Mniej zszokowała ją wzmianka o więzieniu, wiedziała przecież doskonale, co kiedyś zrobił. Podejrzewała, że ojciec ma rację. Wyznanie prawdy z pewnością zakończy się wyrokiem, ale i tak uważała, że postąpi słusznie. Zwłaszcza że nie powodziło im się najlepiej i zwyczajnie nie będą mieli z czego zapłacić szantażyście, gdy tego zażąda.

Inni chyba myśleli podobnie. Zbici w grupki po kilka osób naradzali się szeptem, ale co jakiś czasu uszu Zawodnej dobiegało to czy inne zdanie. Wynikało z nich, że wszystkich przeraziła wysokość okupu zażądanego od Myszki. To już nie setka czy dwie, przekazywana Pisarkowi raz na dwa, trzy miesiące. Tamto byli w stanie udźwignąć, ale dwa tysiące? Absolutnie nie, tym bardziej że nie mieli pojęcia, z jaką częstotliwością nowy dręczyciel zamierza drenować ich kieszenie.

Naradzanie się trwało dość długo, za to później sprawy potoczyły się błyskawicznie. Na pytanie Kukuczki, czy powinni odmówić płacenia szantażyście, jednogłośnie poparli ten pomysł, a niektórzy zdecydowali nawet, że uprzedzą jego zemstę i sami zgłoszą się na policję, by wyznać swoje czyny.

Ojciec i córka szli wolno przez osadę. Czuli się nieco skrepowani, jakby wspólna tajemnica rozdzieliła ich, zamiast połączyć. Zawodny pierwszy przerwał milczenie.

– To, co Pisarek miał na ciebie, to jakaś grubsza sprawa? Bo jakby co, to mogę ją wziąć na siebie. Rok czy dwa więcej to już żadna różnica.

– Nie trzeba, tato – odpowiedziała ochryłym głosem. Coś dławiło ją w gardle. – Skarbówka na pewno mnie przetrzepie i dowali karę, ale za takie małe machloje nie wsadzają. W Polsce nie ma tylu więzień, żeby można było zamknąć wszystkich, którzy oszukują na podatkach.

Skinął tylko głową, lecz w jego oczach błysnęła ulga. Doszli do domu, nie zamieniwszy już ani słowa.

*

Chociaż od przyjęcia zlecenia minęły blisko dwa tygodnie, Dioniza nadal nie zdołała przydybać Adriana Koconia. Mężczyzna przebywał na urlopie, o czym dowiedziała się od jego biurowej koleżanki, gdy odwiedziła urząd gminy.

Nadęta na początku kobieta w wieku przedemerytalnym na widok licencji detektywa całkiem się rozkrochmaliła. Pierwszy raz w życiu widziała taki dokument, podobnie jak pierwszy raz miała okazję spotkać się twarzą w twarz z przedstawicielką zawodu, o którym dotychczas tylko czytała w książkach lub gazetach.

Diona wykorzystała to bez najmniejszych skrępowań, wypyując o Koconia, a z tonu oraz mimiki kobiety natychmiast wywnioskowała, że ta nie darzy kolegi sympatią. Dzięki temu spostrzeżeniu tak pokierowała rozmową, że zafascynowana osobą Remańskiej urzędniczka zapomniała nie tylko o RODO i tajemnicy służbowej, ale też o zwykłej ludzkiej dyskrecji.

Bez wahania podała adres i numer telefonu Koconia, a także podzieliła się swoją opinią, charakteryzując go jako pracownika nieodpowiedzialnego i niestarannego. Dodała też, że młody mężczyzna jest zarozumiały i traktuje petentów z niedbałością graniczącą z arogancją, w dodatku ubiera się jak fircyk, co nie licuje z powagą urzędu.

Bogatsza o te dane detektywka kilka razy pojechała pod wskazany adres, lecz Koconia w domu nie zastała, a od snującego się po obejściu starszego mężczyzny niewiele mogła się dowiedzieć. Za każdym razem raczył ją pijackim, kompletnie niezrozumiałym bełkotem, wykonując przy tym obsceniczne gesty.

Odwiedziła też sąsiadów i dopiero tam uzyskała konkretne informacje. Pierwszego lipca Adrian Kocoń wyjechał na wczasy i nie należało spodziewać się jego powrotu przed upływem dwóch tygodni. Dowiedziała się również, że przebywający na terenie posesji pijak to jego ojciec, nie powinna jednak liczyć na to, że usłyszy od niego coś

ponad prośbę o dołożenie paru złotych do flaszki. Jerzy Koczeń znajdował się już w takiej fazie nałogu, że alkohol całkiem przeżarł mu mózg.

Diona nie miała więc innego wyjścia jak cierpliwie czekać na powrót Adriana z urlopowych wojaży. Niestety cierpliwość nigdy nie zaliczała się do jej głównych cech, toteż przetrwanie tych dwóch tygodni nie przyszło jej łatwo.

Rozdział 10

Taka gmina

15–17 lipca 2019

Diona wreszcie się doczekała. Nastał poniedziałek i mogła pojechać do urzędu, by rozmówić się z jedynym kolegą Pawła Pisarka.

Adrian Kocoń nie zrobił na niej wrażenia fircyka. W tym przypadku jego biurowa koleżanka mocno przesadziła. Ubrany z wyraźną, ale nieprzesadną elegancją niczym nie odbiegał od tysięcy innych mężczyzn, których ubiór determinował obowiązujący w miejscu zatrudnienia dress code.

Za to inne spostrzeżenia kobiety okazały się zaskakująco celne. Gdy Dioniza weszła do biura, Kocoń nawet nie odwrócił głowy od ekranu monitora, nie odpowiedział też na powitanie. Niezrażona jego obojętnością podeszła bliżej.

– Czy mógłby mi pan poświęcić kilka minut?

Dopiero teraz na nią spojrzął. Prześlizgnął się wzrokiem po spranej koszulce i obciętych na wysokości kolan, wystrzępionych bojówkach, przeniósł go na stopy obute w tenisówki i wykrzywił wargi we wzdorliwym grymasie.

– Nie widzi pani, że jestem zajęty?

Ponownie wpatrzył się w ekran i przesunął myszką po blacie biurka. Policzyła w myślach do dziesięciu i spróbowała jeszcze raz.

– Proszę pana...

– Czy pani jest głucha? A może ma pani problem ze zrozumieniem polskiego języka? – warknął i wzniosł oczy do nieba w ostentacyjnym

ubolewaniu nad niedostatkami jej umysłu. – Co za ludzie! Można sto razy mówić, a oni dalej swoje.

Nawet się nie zirytowała, choć niedwuznacznie dał jej do zrozumienia, że uważa ją za bezrozumnego matoła. Ale był przy tym tak komiczny w swoim poczuciu wyższości, że wywołało to jedynie nieprzewartą ochotę do śmiechu. Z trudem powstrzymała się od zgryźliwej uwagi, nie chcąc zaraz na początku robić sobie z niego wroga. Postanowiła wrócić później. Może wtedy Kocoń będzie w lepszym humorze?

Już miała opuścić pokój, gdy dostrzegła, że poznana wcześniej kobieta daje jej ręką znak dla przyciągnięcia uwagi, a potem wypowiada bezgłośnie jakieś słowo. Dioniza odczytała je jako „monitor”. W pierwszej chwili nie zrozumiała intencji, lecz już w następnej przyszło olśnienie. W kilku długich krokach przemieściła się pod okno, skąd mogła zobaczyć zawartość ekranu, którą Kocoń zrzucił na pasek o kilka sekund za późno.

– Co pani robi?! Proszę natychmiast wyjść, bo zawołam ochronę.

Szerokim uśmiechem okazała, jak bardzo przejęła się tą groźbą.

– Należałoby raczej zapytać, co pan robi. Chyba że ma pan wpisane w obowiązki służbowe granie na komputerze. Czy to polecenie wójta?

Kocoń sprawiał wrażenie, jakby miał się zaraz udławić. Poczzerwieniał na twarzy i głośno przełykał ślinę; wydatne jabłko Adama drgało nad kołnierzykiem koszuli.

– Z jaką sprawą pani przyszła? – spytał w końcu. Wydobyty zza zaciśniętych zębów głos oscylował między sykiem a warczeniem. – Mogę teraz panią przyjąć.

– Dziękuję. – Remańska pominęła nasuwające się „o łaskawco”, postarała się też, by słowa zabrzmiały pojednawczo. – Chciałabym porozmawiać z panem o Pawle Pisarku.

Nie zdołał ukryć zaskoczenia. Otworzył usta po to tylko, by je zamknąć bez wydania jakiegokolwiek dźwięku. Wreszcie wyjąkał:

– Pani jest z policji?

– Nie, nie jestem policjantką, tylko prywatnym detektywem. Matka Pawła wynajęła mnie, żebym go odnalazła.

Mężczyzna opanował już emocje i jego reakcją było tylko lekkie skinienie. Po krótkim namyśle zaproponował:

– Wyjdźmy stąd.

Idąc w stronę drzwi, rzucił nieprzychylnie spojrzenie kobiecie przy drugim biurku. Dioniza też na nią popatrzyła, lecz w jej wzroku była wdzięczność. Nim dziewczyna ruszyła za Koconiem, zdążyły wymienić porozumiewawcze uśmiechy.

Usiedli na ławce przed budynkiem urzędu. Kocoń wiercił się niespokojnie i to on pierwszy przerwał milczenie uwagą, że po zniknięciu Pawła złożył zeznania w komisariacie policji i nie ma nic nowego do dodania.

Diona nie dała się zbyć. Gdyby poprosiła Dariusza o streszczenie zeznań Koconia, z pewnością by je dostała, ale ona chciała usłyszeć to wszystko z jego ust. Sprzedała mu historyjkę o niechęci policjantów do prywatnych detektywów, a on kupił ją bez zastrzeżeń. Wtedy poprosiła, by opowiedział jej o Pisarku i charakterze ich znajomości.

Nie wyjawiał niczego, co miałoby jakąś wartość dla śledztwa. Pawła poznał w sklepie z artykułami komputerowymi. Zamienili tam kilka słów, po czym każdy poszedł w swoją stronę. Ku ich zaskoczeniu wpadli na siebie ponownie jeszcze tego samego dnia na dworcu, a w jeszcze większe zdziwienie wprawilo ich, że czekają na ten sam autobus. Potem nieraz się spotykali, choć głównie komunikowali się za pomocą poczty e-mail lub Messengera.

– Graliście też wspólnie w jakąś grę komputerową – przerwała monolog urzędnika Dioniza. – Czy to ta, którą dzisiaj widziałam?

Miał na tyle przyzwoitości, by się zmieszać.

– Przepraszam za moje zachowanie. Akurat byłem atakowany... Nieważne. Tak, graliśmy właśnie w Lords of the Underground. Paweł był cholernie dobry w te klocki.

Natychmiast wychwyciła wiele znaczące stwierdzenie i zarzuciła się.

– Był? Ma pan pewność, że on nie żyje?

Kocoń jednak gładko wywinął się z zasadzki. Rozłożył ręce w geście niewiedzy i odparł spokojnie, bez cienia niepokoju:

– Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Powiedziałem „był”, bo od czasu zniknięcia nie logował się ani do gry, ani na forum.

– A na Facebooku? Też cisza?

Do tej pory nie udało jej się znaleźć Pisarka w żadnym serwisie społecznościowym, liczyła więc, że Kocoń jej w tym pomoże. Tu także spotkało ją rozczarowanie. Mężczyzna stwierdził kategorycznie, że Paweł nie miał konta w żadnym z nich.

– Paweł mówił, że nie chce mu się gadać z obcymi i że tego całego Facebooka to on ma w dupie, tylko z Messengera korzystał. W ogóle był momentami trochę dziwny. W dawnych czasach pewnie zostałby pustelnikiem. O takich jak on mówi się „aspołeczny”. Mnie tolerował, bo razem graliśmy, ale wielkiej przyjaźni między nami nie było. Z Martyną też się kumpłował ze względu na grę. – Popatrzył na Dionę z uwagą. – Martyna Zawodna. To jeszcze gówniara, ale w Lordach potrafi rozjechać system. Mieszka w Osinach, niedaleko domu Pisarków. Może ona coś wie? Ale wątpię. Nie sądzę, żeby jej się zwierzał. On nie potrzebował innych ludzi.

Diona podziękowała mężczyźnie za poświęcony jej czas. Przed rozstaniem poprosiła jeszcze, by podał jej nick Pisarka, by mogła odszukać go na forum Lords of the Underground. Podejrzewała, że będzie to strata czasu, trudno było bowiem przypuszczać, że Paweł akurat tam zdradził swoje plany na przyszłość. Ale i tak postanowiła to sprawdzić.

*

We wtorek Marcin pojechał do prokuratury, by zdać sprawę z postępów w śledztwie. Wójcik wysłuchał z kamienną twarzą informacji o zdjęciach i filmach ujawnionych w laptopie Piotra Rakowicza. Policjant nie mógł z niej nic wyczytać, odnosił jednak wrażenie, że Rajmunda jego słowa w ogóle nie zaskoczyły. Lipski zakończył relację sugestią, że jego zdaniem nie ma sensu dążyć głębiej sprawy gwałtów dokonywanych na małoletnich,

skoro sprawca nie żyje. Potem zamilkł i oczekiwał na decyzję, która leżała w gestii prokuratora. Ten jednak spoglądał na policjanta surowym wzrokiem.

– Gdzie jest teraz ten komputer?

Lipski starał się nie okazać zdziwienia pytaniem o sprawy oczywiste.

– W magazynie dowodów rzeczowych. Bartek Winiarz stwierdził, że nic więcej z niego nie wycisnie.

– Masz przy sobie tę kopię plików? Daj mi ją. Zrobiliście tylko jedną?

Coś w tonie Wójcika kazało Marcinowi skłamać, nie usłuchał jednak wewnętrznego głosu. Przecież to był Rajmund, szkolny kolega, z którym nieraz chodził na wagary.

– Zrobiliśmy dwie – przyznał z lekkim ociąganiem.

– Daj mi też tę drugą.

Posłusznie sięgnął do teczki i wyjął drugą płytę DVD, choć wszystko w nim protestowało przeciwko oddawaniu drugiej kopii. Coś tu było nie tak i postanowił od razu wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

– Po co ci obie kopie?

Zamiast odpowiedzieć, prokurator zadał następne pytanie:

– Czy Winiarz też sobie wypalił taką płytkę?

Marcin zerwał się z krzesła, w kilku krokach znalazł się przy biurku i stanął przed Wójcikiem z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Może byś, do kurwy nędzy, powiedział wyraźnie, o co ci chodzi?! Masz jakieś zastrzeżenia do śledztwa?

– Siadaj – rzucił tamten zimno. – Nie odpowiedziałeś na pytanie, czy Winiarz też zrobił sobie kopię tych plików.

Lipski zdążył się już opanować. Usiadł wygodnie w fotelu dla gości, założył nogę na nogę i uśmiechnął się ironicznie.

– Może zrobił, może nie zrobił. – Zerknął na Rajmunda, zauważył jego gniew i znów się uśmiechnął. – Będziesz musiał sam go zapytać. Bo wiesz, on mi się nie spowiada.

– To jest poważna sprawa, a ty se, kurwa, podśmiechujki robisz!

Zdenerwowany prokurator popatrzył na policjanta z wyrzutem, lecz w zamian uzyskał tylko lodowate spojrzenie ciemnych oczu.

– Mam w dupie twoją poważną sprawę. Nie chcę nawet wiedzieć, o co chodzi. Trzeba było mówić normalnie, a nie jak do podejrzanego. Straciłeś szansę. Masz do mnie jeszcze jakieś pytania? Bo jak nie, to wracam do roboty.

– Marcin! Nie wygłupiaj się. – W głosie Wójcika zabrzmiał błagalny ton. – Musiałem zapytać, bo będzie gnój. Ktoś wrzucił na YouTube filmik z sekswyczynami księdza proboszcza. Teraz kumasz?

Takiego wyjaśnienia Lipski się nie spodziewał. Dobre kilka minut gapił się bezmyślnie w twarz Rajmunda, jakby nie potrafił pojąć tych prostych słów. Wreszcie dotarło do niego, co implikowały poprzednie pytania, i znów ogarnęła go wściekłość.

– Kutas z ciebie – wycedził przez zęby. – Znamy się tyle lat, a ty podejrzewałeś...

– A co miałem myśleć? – bronił się tamten. – Do komputera Rakowicza miałeś dostęp tylko ty. I Winiarz.

– Nie wierzę, że Bartek to zrobił. To prawda, że nim wstrząsnęło, kiedy zobaczył, co jest w tych plikach. Mną zresztą też. Ale to jeszcze nie znaczy, że któryś z nas... – Marcin urwał, rozważając coś w myślach. – Po co mielibyśmy publikować ten film? Przecież to kompletnie bez sensu.

Prokurator miał na ten temat inne zdanie.

– Żeby dokopać księżom jako ogółowi. To teraz jest modne. Nie zamierzam ich bronić, ale są tacy, co w każdym księdzu widzą pedofila i uważają, że trzeba chronić dzieci przed kontaktami z nimi.

– Aha. – Lipski pokiwał głową. – Ale chyba zapomniałeś, że ja nie należę do partii, która kocha stosowanie odpowiedzialności zbiorowej. No i zapomniałeś też, że proboszcz nie żyje. Publikowanie filmu o jego przestępstwach już mu nie zaszkodzi.

– Mógł być mózgiem...

– Jego mózg został rozsmarowany po tarasie plebanii – przerwał mu policjant. – Na wszystkich filmach był tylko on, a jakość nagrania jest kiepska. Winiarz twierdzi, że użyto amatorskich kamer o kiepskich parametrach. Zastanów się, zamiast na siłę szukać

winnego – poprosił, spoglądając w zaciętą twarz Rajmunda. – Rakowiczowi jest już wszystko jedno, za to ucierpią te dzieciaki, bo wszyscy dowiedzą się, co je spotkało. Naprawdę myślisz, że wrzucono ten film, żeby je chronić?

Do Wójcika wreszcie dotarły argumenty policjanta. Przeciągnął dłonią po zmęczonej twarzy, potem zaczął kłąć długo i soczyście.

– Głupio wyszło – mruknął, zerkając na niego niepewnie. – Ale zrozum, ja też mam szefa, który zacznie drażnić temat. Musiałem się upewnić.

Marcin miał ochotę zwrócić mu uwagę na fakt, że tak naprawdę wcale tej pewności nie zyskał, lecz po namyśle wybrał milczenie. Głupotą byłoby dobrowolnie się podkładać, tym bardziej że właśnie się przekonał, iż koleżeństwo z lat szkolnych niewiele jest warte. Lepiej się zastanowić, kto miał interes w opublikowaniu tego przekłętego filmu. Musiał to zrobić ktoś, kto również miał dostęp do tajnego katalogu księdza Piotra. Czyżby wikary?

*

Następnego dnia Lipski doszedł do wniosku, że musi koniecznie porozmawiać z Dioną, choćby przez to Rajmund miał stracić do niego zaufanie. Zresztą chyba nie miał czego tracić, skoro tak łatwo uznał go za winnego rozpowszechnienia filmu stanowiącego dowód w sprawie. Tym samym nie ma sensu przejmować się jego opinią, a Remańska z racji swojego śledztwa mogła dowiedzieć się czegoś, co pomogłoby ustalić sprawcę zabójstwa.

Po dojechaniu do Jodłowca minął zjazd do swojego domu i skierował się w stronę Strzygomia. Przed lokalem „U Mirabelki” zwolnił i wpatrzył się w okna jadalnianej sali, lecz zaraz odwrócił wzrok, gdy w oczy uderzyły go migotliwe promienie słońca odbijającego się w lśniących szybach. Minął jadłodajnię i wjechał w wąską uliczkę prowadzącą do nowego domu Diony.

Remańska od razu zauważyła, że Lipski jest jakiś nieswój, lecz nie spytała o przyczyny. Podejrzewała, że dziwne zachowanie może mieć związek z niechęcią jego znajomego do niej, wolała więc w to nie wnikać.

Marcin wyraził chęć napicia się kawy, a gdy tłumaczyła z lekkim zażenowaniem, że nie może go poczęstować niczym konkretnym, bo lodówka świeci pustkami, nie skomentował tego wyznania, a jedynie się uśmiechnął. Już samo to, że nie wykorzystał okazji do wbicia szpileczki, świadczyło o jakichś problemach.

Ożywił się dopiero na widok kociaka, który przemaszerował dostojnym krokiem przez pokój, położył mu się na stopie i przymknął oczy.

- Czy ja jestem poduszką? – spytał, obserwując śpiące stworzonko.
- Nie wiedziałem, że masz kota.
- Ja też nie wiedziałam. I słusznie, bo to raczej on ma mnie. A teraz i ciebie.
- Fajny jest. Ciekawie ubarwiony.

Mężczyzna schylił się, by pogłaskać lśniące futerko. Kot ani drgnął, tylko zamruczał błogo i nawet nie otworzył oczu, by popatrzeć, kto zakłóca mu sen.

- Dlatego nosi imię Uszek. – Diona oderwała wzrok od kota i przeniosła go na gościa. – Masz do mnie jakąś sprawę, prawda?

Nie próbował zaprzeczać, wiedział, że i tak jej nie okpi. Zamiast tego wprowadził ją ogólnie w ustalenia dotyczące śmierci księdza. Słuchała uważnie, nie przerywając, i odezwała się dopiero wtedy, gdy skończył.

- Od początku podejrzewałam, że leżał tam już jakiś czas. Rozkład był zbyt daleko posunięty jak na kilka czy nawet kilkanaście godzin. Czy podczas autopsji ustalono w miarę dokładny czas zgonu?

Marcin poczęstował ją papierosem i sam także zapalił.

- Niestety nie, w dodatku na razie mamy tylko wstępne wyniki. Podobno jest z czymś problem i wezwali na konsultację jakiegoś fachurę. Anatomopatologa z Katowic.

- A co mówi ta wstępna opinia?

– Ze względu na upał i burzowe powietrze patolog zostawił sobie dość duży margines czasu. Na szczęście mamy zeznanie jednej z mieszkanki Kalet, która dzwoniła do proboszcza we wtorek tuż po dwudziestej pierwszej. Dzięki temu zawężiliśmy ten czas do trzech godzin, ale niewiele to pomogło. Ludzie na wsi chodzą spać dość wcześnie, w dodatku noc była całkiem ciemna. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

– Albo widział i słyszał, ale nie chce o tym mówić – stwierdziła Diona ponuro.

Przyznał jej rację, po czym popatrzył ciekawie. Widocznie jej także dziwna powściągliwość mieszkańców Osin dała się we znaki.

– W dodatku nadal nie natrafiliśmy na ślad tego cholernego wikarego. Możliwe, że jego nieobecność to czysty przypadek, mógł przecież pojechać do rodziny czy na wypoczynek. Ale zastanawiające jest, że jego samochód stoi w garażu.

To akurat Dionie wcale nie wydawało się zastanawiające. Ksiądz musiał dobrze przemyśleć sprawę i dojść do wniosku, że policja szybko ustali numer rejestracyjny jego auta. W tej sytuacji ucieczka własnym samochodem byłaby idiotyzmem.

Podzieliła się tą myślą z Marcinem, dodając na koniec:

– Na twoim miejscu popytałabym ludzi, czy ktoś go gdzieś nie podwoził. Albo czy nie był widziany, jak wsiadał do autobusu.

Mina mężczyzny była daleka od zachwyty.

– Naprawdę masz mnie za kretyna? – spytał z wyrzutem. – Pytałem wszystkich prócz niemowląt i małych dzieci, ale zaprzeczyli, jakoby widzieli, że wikary gdzieś wyjeżdżał. A przecież raczej przez wieś nie przebrnął.

Diona wolno upiła łyk kawy, dając tym sobie czas na zastanowienie. Musiała tak sformułować wypowiedź, by nie urazić Lipskiego, który sprawiał wrażenie wystarczająco podminowanego. Nie zamierzała denerwować go jeszcze bardziej.

– Mam rozumieć, że podejrzewasz wyjazd, a nie ucieczkę? – Przytaknął, więc indagowała dalej: – Czy zadając tym ludziom pytanie, wyraźnie zaznaczyłeś, o które dni ci chodzi?

– Jeśli mam być dokładny, to powiedziałem, że interesuje mnie okres od niedzielnego popołudnia do wtorkowego wieczoru.

– A czemu nie środa lub czwartek? – sprzeciwiła się zawężeniu czasu. – Albo nawet piątek przed południem?

Nie odpowiedział od razu. Milczał dość długo, a ponura mina świadczyła, że stacza z sobą jakąś walkę.

– Nie powinienem ci tego mówić – powiedział cicho. – Jeśli Rajmund się dowie, będę miał przesrane. On ciebie nie znosi.

– Wiem o tym – odparła spokojnie. – Chociaż ni cholery nie rozumiem, o co mu chodzi. Teraz to nieważne. Jeżeli się boisz, że cię wsypię, to lepiej nic nie mów.

Ale Lipski podjął decyzję. Już dwukrotnie miał okazję współpracować z Dioną i za każdym razem przyniosło to świetne efekty. Zdecydował, że nie zrezygnuje z pomocy Remańskiej tylko dlatego, że Wójcik jej nie lubi.

– Przejrzałem garderobę księdza Apoloniusza i zauważyłem tam całkiem nowe rzeczy – odezwał się nagle. – W dodatku w szufladzie biurka leżały pieniądze i dokumenty osobiste, a w szkatułce na różańce znalazłem złoty naszyjnik z takim czymś na zdjęcie. Myślę, że wiesz, co to oznacza.

Informacja ją zaskoczyła. Była całkowicie pewna, że wikary uciekł, ale wówczas nie zostawiłby nowych ubrań czy przedmiotu, który prócz tego, że był cenny, z pewnością miał dla niego również wartość emocjonalną. I przede wszystkim, gdyby nie zamierzał wrócić, nie zostawiłby dokumentów i pieniędzy.

Teraz pojęła, skąd wzięło się przeświadczenie Marcina, że wikary wyjechał tylko na krótki czas. Tylko że to z kolei było sprzeczne z jej ustaleniami.

– Rozumiem – powiedziała wolno. – A raczej nie rozumiem. Nic tu się nie zgadza. Opowiedz mi, jak wyglądał jego pokój, kiedy tam weszliście.

Lipski spytał, do czego jest jej to potrzebne, lecz postanowiła na razie nie wyjaśniać przyczyn, dla których zainteresowała się tą kwestią. Nie chciała go naprowadzać.

Marcin odczekał parę minut, a gdy nie dodała nic więcej, zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w widok za oknem, usiłując przypomnieć sobie dokładnie, co zastali w pokoju księdza Apoloniusza. Ujrzał fotel z niedbale rzuconą tam sutanną, obok nieduży stół i stojącą na nim misę z nadpsutymi czereśniami. Gdy ją poruszył, w powietrze uniosła się chmara muszek owocówek. Przez chwilę wirowały nad misą, po czym opadły z powrotem na czereśnie, a kilka z nich przysiadło tuż obok, na szklance z zapleśniałymi fusami po kawie. Pod oknem znajdowało się łóżko ze skłębioną pościelą i dostawiona do niego nocna szafka, na której leżała rozpostarta okładkami do góry książka oraz napoczęta tabliczka rozmiękłej od gorąca mlecznej czekolady.

– Jak teraz o tym myślę, to widzę, że coś w tym wszystkim nie pasuje – podsumował, kończąc relację. – Każdy normalny człowiek przed wyjazdem wywaliłby te owoce, umył szklankę i zeżarł czekoladę albo schował ją do lodówki.

– Chyba że bardzo by mu zależało, żeby jak najszybciej stamtąd zniknąć – zauważyła. – Wtedy nie myślałby o sprzątanii.

– Ty naprawdę uważasz, że on uciekł – stwierdził z pewnym zdziwieniem. – Ale czemu miałby to robić?

– Jak to: czemu? Jeżeli zabił proboszcza...

Wszedł jej w słowo, nie pozwalając dokończyć wypowiedzi.

– Nie miał żadnego powodu, żeby to zrobić. Z tego, co wiem, nie było między nimi konfliktów. Nie słyszałem o żadnej kłótni.

Teraz ona się wtrącała.

– A mieszkańcy tej osady są tak gadatliwi, że na pewno by ci powiedzieli – skonstatowała z ironią. – Marcin, błagam! O ostatniej mszy też ci opowiadali?

Zaskoczyła go tak bardzo, że nie wiedział, co odpowiedzieć. Aż do tej chwili nigdy nie poruszali tematu religii i na dobrą sprawę nie wiedział nawet, jakiego Diona jest wyznania, o ile w ogóle była wierząca. Dlaczego teraz ni z tego, ni z owego nawiązała do mszy? Chyba że doszło tam do jakiegoś incydentu, ale on o niczym takim nie słyszał.

– Czemu o niej wspominasz? Stało się coś?

– Nic się nie stało – burknęła niecierpliwie. – Ale dziwię się, że nie pomyślałeś o tym, żeby sprawdzić, kto tę mszę odprawiał.

Poczuł złość, że znowu potraktowała go jak osobnika poszkodowanego na umyśle, któremu nie przyjdzie do głowy zadanie podstawowych pytań.

– Wyobraź sobie, że pomyślałem. Nawet takiemu aspirantowi z zadupia jak ja zdarzy się czasem zrobić coś mądrego. Mszę odprawił proboszcz, a wikary był w tym czasie w kościele, podobnie jak prawie całe Osiny i Kalety.

Posłała mu wyjątkowo nieprzychylnie spojrzenie.

– Po prostu cudownie. Mówię do ciebie jak do człowieka, a ty strzelasz focha. Weź się jeszcze obraź! Nie miałam na myśli niedzielnej mszy, tylko środową.

– W środę też była msza? Kurwa – wymamrotał pod nosem. – Nikt nawet słowem o tym nie pisnął. Mówili coś o odwołaniu, więc byłem pewny, że odwołano obie.

Popatrzył niepewnie na Dionę, która pokręciła głową.

– Środowa się odbyła i odprawił ją wikary. Trochę to dziwne, nie uważasz? W salonie na plebanii leży trup proboszcza, a facet to ignoruje i idzie nauczać o miłości bliźniego i miłosierdziu?

Teraz stało się dla niego jasne, dlaczego była przeświadczona o winie księdza Apoloniusza i jego późniejszej ucieczce. Nie mogło być innego wyjaśnienia jak to, że wikary sam wyprawił proboszcza do lepszego ze światów.

Marcina już dawno nic tak nie zaskoczyło. Obejrzał dokładnie pokój księdza Apoloniusza, przejrzał książki na regale i zapiski dokonywane w grubym brulionie, wysłuchał też opinii wiernych i na tej podstawie wyrobił sobie opinię o wikarym. Ksiądz jawił mu się jako człowiek głęboko przepojony humanizmem, pełen miłości, zrozumienia i współczucia. I ktoś taki miałby pozbawić bliźniego życia, w dodatku w tak brutalny sposób? Lipski uznał to za niemożliwe, dlatego podczas tworzenia hipotez śledczych i typowania podejrzanych w ogóle nie brał Apoloniusza Marczaka pod uwagę.

Opowiedział Dionie o swoich wątpliwościach, nie mogąc pogodzić się z faktami.

– To jest chyba jedyny człowiek, który naprawdę pojął sens słów „Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego”. Czytałem jego rozprawki i byłem pod wrażeniem. A ty mi mówisz, że to właśnie on zamienił czaszkę proboszcza w zgnieciony orzech.

– To mówią fakty, nie ja.

Suchy ton Remańskiej nie niósł w sobie żadnych emocji, lecz Lipski rozgryzł ją już na początku znajomości. Dziewczyna pod tym względem bardzo przypominała mu jego siostrę. Zyta także nie potrafiła mówić o uczuciach, nie reagowała gwałtownie i nie roniła łez, co nie znaczyło, że nie odczuwała. Ona tylko nie potrafiła tego uzewnętrznić. I nieraz myślał, że przez to jest jej chyba trudniej.

– To prawda, że fakt odprawienia środowej mszy świadczy przeciwko niemu – odezwał się po chwili milczenia. – A co mówią ludzie?

Diona z żalem powstrzymała się od wzruszenia ramionami, zdając sobie sprawę, że ostatnio stanowczo nadużywa tego niezbyt eleganckiego gestu. Ale nie dość, że był bardzo poręczny, to jeszcze w pełni oddawał stan jej ducha.

– Zastanawiałam się całkiem poważnie, czy władze gminne nie dosypują do wody czegoś skłaniającego mieszkańców do milczenia. Bo to nie jest normalne, żeby w kolejnej wiosce wszyscy z uporem trzymali język za zębami. Równie dobrze mógłbyś żądać odpowiedzi od kostki brukowej.

Nie wyglądał na zdziwionego czy zbulwersowanego, przeciwnie, na jego twarzy ukazał się leciutki uśmiech.

– Rozejrzyj się wokół – odpowiedział, wykonując przy tym ruch ręką, jakby chciał zatoczyć nią okrąg. – Ja tego nie pamiętam, ale pogadaj z kimś po pięćdziesiątce, to usłyszysz, jak kiedyś się tutaj żyło. Autobus dojeżdżał tylko do Kalet, a i to niezbyt często, bodajże kursował tylko pięć czy sześć razy w ciągu dnia. Wsie bardzo długo nie były zelektryfikowane, więc mieszkańcy nie mieli nawet radia, że o telewizji nie wspomnę.

– Nie wyobrażam sobie takiego życia. – Diona aż się wzdrygnęła. – Nie wymagam luksusów, ale są pewne granice abnegacji.

Marcin żywo sprzeciwił się ostatniemu słowu, słusznie kojarzącemu mu się z działaniem celowym.

– W ich przypadku to nie była abnegacja, tylko konieczność, a to duża różnica.

– Nie miałam zamiaru nikogo obrażać. – Diona lekko dotknęła jego dłoni. – Mówiłam o sobie, o tym, że nie umiałabym zrezygnować ze zdobyczy cywilizacji.

– Rozumiem. – Uspokoił ją gestem. – Ja chyba też bym nie umiał. Ale oni z niczego nie zrezygnowali, tylko po prostu nie mieli wyboru. Inna rzecz, że nie znając różnych udogodnień, nie tęsknili za nimi i nie dążyli do ich posiadania.

– Też prawda. Kiedyś nie mieliśmy netu i jakoś wszystko funkcjonowało...

Diona urwała nagle i zapatrzyła się w śpiącego kota. Marcin odczekał jakiś czas, a gdy milczała nadal, wrócił do przerwane go wywodu:

– Zmierzam do tego, że ludzie żyli tu jakby odcięci od świata i zdani wyłącznie na siebie, i te czasy zostały w pamięci pokoleń. Dlatego nawet dziś nie lubią wywnętrzać się przed obcymi. Nie ufają im, tak jak nie ufają urzędnikom, bo mają zakodowane, że jeśli pojawia się ktoś z zewnątrz i zaczyna zadawać pytania, prędzej czy później w ślad za nim przyjdą poborcy podatkowi albo łapacze od ściągania kontyngentu.

Popatrzyła na niego jak na człowieka niespełna rozumu.

– Mówisz poważnie czy mnie wkręcasz? Przecież obowiązkowy kontyngent zniesiono pod koniec siedemdziesiątego pierwszego.

Teraz on na nią spojrzał, lecz w jego wzroku było uznanie.

– Niezła jesteś. Mało kto wie, w którym roku zlikwidowano dostawy obowiązkowe, a większość naszego pokolenia nie ma pojęcia, że coś takiego w ogóle istniało. Ale tutaj ludzie pamiętają i boją się, że nagle przyjdzie ktoś i zabierze jedyną krowę czy świnię. Bo kiedyś już tak było. Teraz rozumiesz?

Przytaknęła z cichym westchnieniem.

– Rozumiem. Taka gmina.

Marcin parsknął śmiechem i zanucił: „Ni wyżyna, ni nizina, ni krzywizna, ni równina – taka gmina”[4]. Potem pokręcił głową.

– Nie pasuje, bo nie da się ukryć, że mieszkamy na wyżynie, i to dość stromej. Ale reszta tekstu jeszcze w latach mojego dzieciństwa była całkiem aktualna. – Na kilka minut pograżył się we wspomnieniach. – Miałem nadzieję, że udało ci się przełamać nieufność mieszkańców. Masz do tego talent – stwierdził, gdy zauważył jej niedowierzanie. – Tak było z Nowosielskim i z tymi milczkami ze Świercznicy. Nikomu innemu nie pisnęli ani słówka, ale przed tobą się rozpruli.

Podziękowała mu uśmiechem.

– Właściwie to czegoś się dowiedziałam – zaczęła, czym momentalnie przykuła całą jego uwagę. – Udało mi się odkryć, dlaczego cała wieś znenawidziła Pawła Pisarka.

*

– Heta! Heta! – pokrzykiwał Pawlus, usiłując zmusić zwierzę do zmiany kierunku.

Wczesnym rankiem zaprzął konia do półwozia i wyruszył do lasu. Miał już powyżej uszu ciągłego jazgotania żony, że zamarzną na śmierć, gdy nadejdzie zima, a za każdym razem, gdy mijali drewnię, widok niemal całkiem pustego pomieszczenia wywoływał wyrzuty sumienia. Tego dnia poczucie obowiązku wreszcie przedarło się przez opary alkoholu, zmuszając mężczyznę do działania.

Jak niemal wszyscy w okolicy, Pawlus posiadał kawał lasu. Po drewno wybrał się jednak na pańskie, jak określano część drzewostanu będącą własnością Lasów Państwowych. Żał mu było własnych drzew, wolał zostawić je na czarną godzinę. Wszedł z założenia, że nikt nie będzie nic podejrzewać – trzeba było mieć sporo tupetu, żeby dokonać wycinki cudzego lasu w czasie, gdy w osadzie ciągle pojawiali się policjanci. Dlatego czuł się pewnie i nie przewidywał żadnych komplikacji.

Tak było w istocie – do czasu, gdy po załadowaniu dłużyce na półwozie skierował konia w lewo, w stronę grupy starych buków otaczających wielkie iglaste drzewo, którego nazwy nie potrafił zapamiętać. Zamierzał tam pociąć kłody na metrowe kawałki i ułożyć w sągi, a później sukcesywnie przewozić do domu. Tu właśnie zaczynał się jego kawałek lasu, uważał więc, że nikt nie będzie mógł się do niego przyczepić.

Ale nieposłuszne zwierzę z uporem skręcało w prawo, więc w przystępie wściekłości śmignął raz i drugi batem po gniadym zadzie.

– Heta! – ryknął.

Zwierzę skręciło pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wlokąc za sobą dłużyce. Pawlus wiedział doskonale, że w tym miejscu znajduje się zbyt wiele spoczywających obok siebie ogromnych głazów, by koń mógł przeciągnąć tamtędy swój ładunek, toteż natychmiast zainterweniował.

– Cii! – wrzasnął, ściągając lejce w prawo. – Kruca fuks, cii!

Ponownie uderzył zwierzę i teraz wszystko wydarzyło się naraz. Doprowadzony do szaleństwa koń stanął dęba, po czym, rżąc głośno, wyrwał się do przodu. Niespodziewający się takiej reakcji Pawlus nie zdążył wypuścić lejcy owiniętych wokół dłoni. Pociągnięty gwałtownie do przodu stracił równowagę i upadł, a koń powłókł go za sobą. Zdrętwiał z przerażenia, gdy na zakręcie koniec dłużycy o centymetry minął jego głowę.

Wreszcie zdołał odplątać lejce, siłą rozpędu poszorował jeszcze ze dwa metry po podłożu, aż wyhamował u podnóża starego buka. Oszołomiony, podniósł się i stanął na drżących nogach. Przytrzymał się gałęzi i już otworzył usta, by wyrzucić z siebie litanie przekleństw, gdy pod dziwnym drzewem zauważył jakiś przedmiot.

– Ki pieron? – mruknął i lekko się zataczając, ruszył w tamtym kierunku.

Po chwili ze zdziwieniem oglądał nieduży czarny plecak, zwój sznura, nóż, długopis i cienki zeszyt. W pierwszym momencie pomyślał, że zeszyt zawiera same czyste kartki, lecz gdy obrócił go do góry nogami, zobaczył na pierwszej stronie kilka zdań, które

sprawiły, że ugięły się pod nim nogi. Pod słowami widniał podpis. Gdy odczytał nazwisko, wydał głośny okrzyk zdumienia zmieszanego z przerażeniem.

Przez chwilę korciło go, by zabrać prawie nowe rzeczy, spalić kartkę i zapomnieć o wszystkim, i nawet już wyciągnął rękę w stronę plecaka, ale w ostatniej chwili cofnął dłoń. Nie mógł tego zrobić.

– Kurwa mać – jęknął i przeżegnał się, po czym pomknął w kierunku osady.

Wiedział, że koń sam w końcu znajdzie drogę do domu. Wiedział też, że plan bezpiecznej kradzieży drewna właśnie spalił na panewce. Nie miał innego wyjścia jak powiadomić policję o znalezisku.

[4] Fragment piosenki „Taka gmina”, autorstwa Jeremiego Przybory.

Rozdział 11

Człowiek z lasu

18–20 lipca 2019

Następne spotkanie w prokuraturze odbywało się w dosyć napiętej atmosferze. Marcin nie mógł wybaczyć Rajmundowi podejrzenia, że to on jest odpowiedzialny za opublikowanie filmu. Z ukradkowych spojrzeń wyczytał, że Wójcik żałuje swoich słów, ale uraza była zbyt wielka, by przejść nad incydentem do porządku dziennego. Znali się przecież od lat, nieraz współpracowali ze sobą, a to powinno łączyć się z zaufaniem i zobowiązywać do bodaj odrobiny lojalności.

Wójcik zaprzestał wreszcie prób wciągnięcia go w luźną rozmowę i sięgnął po dokumenty, by zapoznać się z najświeższymi ustaleniami. Lipski wykorzystał ten czas na rozmyślanie o tym, co implikowała informacja uzyskana od Diony. Dziewczyna miała rację. Wikary musiał być zabójcą, inaczej na widok zwłok proboszcza podniósłby alarm.

Marcin naraz zdał sobie sprawę z tego, że w ogóle nie pomyślał o młodszym z księży w kontekście wykorzystywania seksualnego dzieci, a przecież on także mógł brać udział w tym odrażającym procederze. Tylko że jeżeli Apoloniusz Marczak zabił proboszcza, to nie miał już powodu umieszczać filmu w sieci.

– To musiał zrobić ktoś, kto nie wiedział, że Rakowicz nie żyje. Inaczej publikacja filmu mijałaby się z celem.

Był tak pogrążony w rozważaniach, że nie zauważył, iż wypowiedział tę myśl na głos. Uświadomił mu to dopiero pełen

zdumienia okrzyk Rajmunda.

– Racja! Teraz to ma sens! Ale kto to może być?

Zamiast snuć przypuszczenia, Marcin zażądał, by Wójcik odnalazł na YouTube ten film. Prokurator szukać nie musiał, skopiował sobie wcześniej link i teraz po prostu go kliknął. Ale nagranie zostało już usunięte.

– Niech to szlag. Nie mogłeś pobrać na dysk? – zdenerwował się Lipski.

– Pobrać? Nielegalnie? – zgorszył się prokurator, przeglądając menu komputera. – Cholera, gdzie ja to...? Jest! – zawołał z wyraźną ulgą. – Nigdy nie potrafię zapamiętać, gdzie to cholerstwo się zapisuje.

– Więc jednak spiraciłeś.

Policjant nie potrafił ukryć triumfującego uśmiešku, lecz prokurator zrobił w odpowiedzi nadętą minę i odrzekł z namaszczaniem:

– Nie spiraciłem, tylko zabezpieczyłem na potrzeby śledztwa. – Sięgnął znów po myszkę. – Gotowy? To odpalam.

Film niewiele różnił się od tych znajdujących się w komputerze księdza. Ten sam pokój, niemal identyczny scenariusz, tylko chłopiec na ekranie był inny. Starszy od tamtych i silniejszy, przez jakiś czas bronił się dość skutecznie i Marcin już miał nadzieję, że uda mu się wywinąć z lubieżnych rąk proboszcza, gdy naraz ten powiedział coś, co sprawiło, że chłopiec rozplakał się i zaprzestał oporu.

– Szkoda, że nie ma głosu. Tamte filmy też są nieme. Ale nie zmienia to faktu, że widzę to nagranie po raz pierwszy. To nie jest film z komputera księdza.

Wójcik wyłączył odtwarzanie i załadował jedną z przyniesionych przez Lipskiego kopii, co ten znowu odebrał jak policzek. Skoro powiedział, że to inny film, Rajmund powinien mu uwierzyć. Bez obopólnego zaufania trudno mówić o efektywnej współpracy.

Prokurator obejrzał filmy na podglądzie i dopiero gdy skończył, odniósł się do słów policjanta:

– Zyskaliśmy potwierdzenie twojej teorii, że film umieścił ktoś, kto chciał pogrążyć Rakowicza. Jeśli nie Marczak, to kto?

Na to pytanie Marcin niestety nie potrafił odpowiedzieć. Nie miał pojęcia, czy w tej przeklętej osadzie ktoś oprócz Pawła Pisarka znał się na elektronice na tyle dobrze, by wiedzieć, jak dostać się do utajnionych plików księdza. W dodatku tego filmu wśród nich nie było. Jak więc tajemniczy haker zdołał dotrzeć do tego nagrania?

– Przydałby nam się ktoś, kto umie czytać z ruchu warg – stwierdził po namyśle. – Znasz kogoś zaufanego?

*

Odpowiedzi z kurii nadal nie było. Następnego dnia Marcin ponownie pojawił się w prokuraturze, głównie po to, by prosić Wójcika o interwencję, skoro jego próby uzyskania jakichś informacji o księżach jak na razie nie przyniosły żadnego efektu. Najpierw spławiano go, kierując od jednej osoby do drugiej, a gdy w końcu zwrócił się oficjalnym pismem, zwlekano z udzieleniem odpowiedzi.

Miał nadzieję, że interwencja prokuratora pomoże przyspieszyć sprawę, lecz Wójcik natychmiast sprowadził go na ziemię.

– Na to nie licz. Za cienki jestem na kurię – powiedział całkiem szczerze. – Mają po swojej stronie prokuratora generalnego, dlatego zlewają żądania takich szaraczków jak ja. Mogę spróbować, ale dobrze wiem, że nic nie zwojuję.

Lipski westchnął, usiadł przy pustym biurku i sięgnął po kserokopię listu pożegnalnego, zapisanego w zeszycie znalezionym przez Kazimierza Pawlusa. Pijaczyna tłumaczył swoją obecność w lesie tak mętnie, iż policjant gotów był postawić swoją miesięczną pensję na to, że mężczyzna zamierzał ukraść drewno. Zwłaszcza że Lipski zauważył w pobliżu wyżłobione w mchu i ściółce koleiny. Nieraz widywał podobne ślady i wiedział doskonale, że pozostawiły je ciągnięte przez konia dłużyce.

Ale udowodnić tego nie potrafił, a drażnić głębiej nie zamierzał. Właściwie podziwiał pijaka za jego odwagę i poczucie odpowiedzialności. Inny na jego miejscu odwróciłby się na pięcie i udał, że nic nie widział, a jeszcze inny wcześniej zabrałby porzucony plecak, tymczasem ten ochlaptus zachował się jak przykładowy obywatel.

Dzięki jego postawie można było w zasadzie zakończyć śledztwo w sprawie zabójstwa Piotra Rakowicza. List w zeszycie mówił dobitnie o winie wikarego. Wprawdzie nie uzyskano jeszcze ekspertyzy grafologa, ale nawet gołym okiem można było stwierdzić, że jest to pismo księdza Apoloniusza. A jednak Lipski nadal miał wątpliwości.

Jeszcze raz podniósł kserokopię do oczu.

To ja zabiłem księdza proboszcza, bo dowiedziałem się, że wykorzystywał seksualnie małych chłopców. Nie mogłem znieść myśli, że ten zwyrodnialec niszczy życie niewinnym. A kiedy go uderzyłem, nie mogłem przestać i opamiętałem się dopiero wtedy, gdy padł nieprzytomny. Nie chciałem go zabić. Dlatego nie potrafię pogodzić się z wyrzutami sumienia. Wybaczcie mi ten uczynek, bo ja sobie nie potrafię go wybaczyć. Żegnajcie i ukarżcie winnego. Aerarius faber.

Poniżej widniał podpis Apoloniusza Marczaka.

Policjant z niechęcią pomyślał o prokuratorze, który nie dopatrzył się w tym liście niczego niepokojącego. Dla Wójcika sprawa była oczywista. Wikarego poniosły nerwy i zatłukł proboszcza na śmierć. Kwestię, skąd ksiądz Apoloniusz dowiedział się o molestowaniu chłopców, uznał za nieistotną. Za ważniejsze uważał ujawnienie się zabójcy.

Marcin tego ostatniego nie kwestionował, lecz wcale nie miał całkowitej pewności, że sprawa powinna zakończyć się umorzeniem, do czego Wójcik wyraźnie zmierzał. Tę rozterkę wywołały ostatnie zdania listu pożegnalnego. Słowa „żegnajcie i ukarżcie winnego”

wydawały mu się bezsensowne przy założeniu, że Apoloniusz Marczak zabił proboszcza w pojedynkę. Dlaczego w takim razie prosił o ukaranie winnego? Przecież to on był tym winnym, poza tym z wcześniejszych zdań wynikało, że postanowił odebrać sobie życie. Mieli ukarać nieboszczyka?

Policjant coraz bardziej skłaniał się ku przypuszczeniu, że ksiądz nie działał sam, a to stanowiło przeszkodę do umorzenia śledztwa z powodu śmierci podejrzanego. Zresztą branie za pewnik, że ta śmierć rzeczywiście nastąpiła, także uważał za błąd, gdyż nadal nie znaleziono ciała Marczaka. Obecność sznura wskazywała, że wikary zamierzał się powiesić, lecz z jakichś przyczyn odstąpił od tego zamiaru.

– Po jaką cholere taszczył tam nóż? – powiedział do siebie.

Prokurator dosłyszał i uniósł głowę znad akt.

– Czepiasz się – burknął. – Może chciał zbudować z gałęzi jakąś konstrukcję, żeby móc z niej zeskoczyć? W lesie raczej trudno znaleźć stołek. Zajmij się lepiej szukaniem motywu zabójstwa, zamiast tracić czas na rozbijanie gówna na atomy.

Wyjaśnienie brzmiało prawdopodobnie, więc Marcin porzucił temat noża. Zignorował też sarkazm prokuratora, pomyślał tylko z żalem, że przepaść między nimi staje się coraz większa. Co gorsza, nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle się pojawiła. Nieraz przecież sprzeczali się, broniąc swoich koncepcji, nigdy jednak Rajmund nie dawał mu do zrozumienia, że policjant jest w ich duecie kimś gorszym. *I nigdy nie kwestionował mojej uczciwości*, dodał w myślach. Posądzenie o opublikowanie nagrania nadal bolało.

– Ty chyba miałeś na studiach łacinę? – zagaił po pewnym czasie. Wójcik popatrzył pytająco. – *Aerarius faber* – wyjaśnił. – Co to znaczy?

Prokurator skrzywił się nieznacznie.

– Nie mam pojęcia. Łacina nie była moim ulubionym przedmiotem. Pewnie jakaś kościelna formułka. Oni tam mają pełno sentencji i sformułowań.

Lipski nie dawał za wygraną.

– Warto by jednak sprawdzić, nie uważasz? Ja nie mogę, bo cały czas wywala mnie z netu. – Ze złością rzucił na biurko bezużyteczną komórkę.

– Jak chcesz, to sprawdzaj. Dla mnie to strata czasu.

Wójcik pochylił głowę nad aktami, dając tym do zrozumienia, że uważa temat za zamknięty. Marcin nie wierzył własnym uszom, tak bardzo takie zachowanie było niepodobne do dociekliwego i maniakalnie wręcz dokładnego Rajmunda. Spoglądał na niego w oczekiwaniu, że kolega zaraz obróci swoje słowa w żart, a gdy pojął, że łudzi się na próżno, nie wytrzymał i wybuchnął:

– Rajmund, co z tobą jest? Przecież dobrze wiesz, że takie rzeczy trzeba wyjaśnić. Co powiesz, jeżeli sędzia cię zapyta, co znaczą te słowa?

Wójcik zachnął się i zaklął półgłosem, potem przeciągnął dłonią po włosach. Na jego twarzy malowała się rezygnacja.

– Cisną mnie – wyznał wreszcie. – Jest takie odgórne parcie na wynik, że nie mam wyjścia. Muszę im coś dać.

– Mógłbyś mówić jaśniej? Kto cię ciśnie i kto ma parcie na wynik?

Niespodziewanie na ulicy zawyła syrena. Dźwięk przybliżał się i narastał. Prokurator wzdrygnął się, wstał i przymknął okno.

– Pytasz, jakbyś nie wiedział. Szef mnie ciśnie, a jego...? Chyba nie muszę mówić. Ofiarą jest ksiądz, więc wszyscy dostali sraczkę, żeby biskup czy inny dostojnik w sukience nie złamał im kariery. A na samym dole tego interesu jestem ja i dlatego nie mam wyjścia. Muszę im jak najszybciej dać zabójcę.

– Na twoim miejscu bym się zastanowił – zaczął ostrożnie Marcin. Nie lubił wtrącać się w nie swoje sprawy, ale ta pośrednio jego również dotyczyła. – Żeby nie wyszło jak z Tomaszem Komendą. Tam też było parcie na wynik.

Wójcik pograżył się w myślach. Musiały być niezbyt wesołe, gdyż jego twarz przybrała jeszcze bardziej posępny wyraz, a oczy spoglądały ponuro spod zmarszczonych brwi.

– Sprawdzę to – powiedział w końcu, czym wprowadził policjanta w lekkie osłupienie.

– Co niby sprawdzisz? Kto naciska?

– Kretyn – odparł Rajmund bez złości. – *Aerarius faber*. Chciałeś się dowiedzieć, co to znaczy. A może już ci przeszło?

– Na to nie licz. Nie lubię zostawiać niewyjaśnionych spraw, nawet tych nieistotnych. Ale jest coś, co niepokoi mnie dużo bardziej.

To była prawda. Od chwili, gdy znaleźli się w miejscu wskazanym przez Pawlusa i przeczytali pożegnalny list Apoloniusza Marczaka, ta kwestia nawet na moment nie dawała mu spokoju.

Teraz znowu zaczął się nad nią zastanawiać. Dziwiło go, że Wójcik, zawsze tak dokładny i zważający na każdy szczegół, w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Pograżony w myślach zignorował niecierpliwe syknięcie oraz pytanie kolegi i powrócił do rzeczywistości dopiero po jego trzecim powtórzeniu.

– Ogłuchłeś?! Co znowu wymyśliłeś?

– Nic ważnego. Dla ciebie chyba to nieistotne, ale ja chciałbym jednak wiedzieć, co, do kurwy nędzy, stało się z ciałem.

Ku jego zaskoczeniu Rajmund pominął milczeniem ukrytą pod sarkazmem wymówkę i cicho westchnął.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja też cały czas o tym myślę. Tylko że gównem z tego wynika. Mógł pójść właściwie wszędzie, nawet na słowacką stronę. Prędzej czy później ktoś go znajdzie. Nie zamierzam zmuszać ludzi do ganiań po lesie w poszukiwaniu trupa. Mają dość innej roboty.

Lipski już otworzył usta, by powiedzieć, co myśli o takim podejściu do sprawy, gdy nagle zrozumiał. Wójcik rozpaczliwie potrzebował czegoś, co choć na chwilę da mu odetchnąć, zmniejszy naciski wyżej postawionych. Wikary nadawał się na podejrzanego wręcz idealnie, zwłaszcza że dopóki nie odnaleziono ciała, sprawa pozostawała otwarta. Można więc było w miarę spokojnie prowadzić śledztwo także w innych kierunkach.

Policjant krótkim skinieniem wyraził swą aprobatę i uznał temat za chwilowo zamknięty. Prokurator podziękował mu leciutkim uśmiechem i gładko zmienił temat:

– Zaraz ci sprawdzę te słowa, skoro tak się uparłeś. – Przysunął sobie klawiaturę. Po kilku minutach wykrzyknął zdumiony: – To chyba jakieś jaja! Nie rozumiem.

– Czego? Co znalazłeś?

– *Aerarius faber* to nazwa zawodu. Ludwisarz, brązownik, mosiężnik, kotlarz. Możesz sobie wybrać.

Nie mniej zdumiony od prokuratora policjant wstał, obszedł biurko i spojrzał na ekran. Rzeczywiście słownik łacińsko-polski podawał te cztery znaczenia.

– No to dupa – ocenił zwięźle. – Nie mam pojęcia, czemu on to napisał. Muszę nad tym pomyśleć.

Wójcik skinął głową i znowu zmienił temat:

– Ta dziewczyna, która znalazła ciało Rakowicza. Wielka pani detektyw. Czy ty i ona...? No wiesz.

– Niestety nie. Jak na razie ja z nią nic. A szkoda, bo wolałbym coś. Można wiedzieć, czemu naraz interesujesz się moim życiem uczuciowym?

Zamiast odpowiedzieć, Rajmund podszedł do regału, na którym upchano segregatory oraz opasłe tomy zawierające kompendium wiedzy prawniczej. Wyjął jeden z nich i zaczął przeglądać. Naraz zamknął książkę, z hukiem zwałił ją na biurko, usiadł i podparł brodę pięścią.

– Kilka lat temu moja kuzynka wynajęła detektywa, bo podejrzewała nowego faceta swojej matki o nieczystą grę. To było najgłupsze, co mogła zrobić. Gość wyciągnął od niej kupę szmalu, ale w zamian nie dał żadnych konkretów. Zwodził ją i wymyślał różne wymówki, a kuzynka płaciła i płaciła. Zresztą nie ona pierwsza i nie ostatnia. Ciągłe się słyszy o takich historiach.

– Diona nie jest taka – oburzył się Marcin. – Jej naprawdę zależy.

– Moim zdaniem wszyscy detektywi to jedna banda oszustów z przerostem ego. Ta twoja Dioniza wcale nie jest lepsza. Ledwo wsadziła nos w sprawę, a już podważyła kompetencje policji i prokuratury.

Na widok uniesionych w wyrazie zdumienia brwi policjanta Wójcik opowiedział o swojej rozmowie z Remańską. Marcin wysłuchał go spokojnie, następnie pokręcił głową nad wnioskami wysnutymi przez prokuratora.

– Nie zauważyłem u Diony przerostu ego, za to ty ewidentnie zachowałeś się jak gwiazda przewrażliwiona na punkcie swojej osoby. Przecież ona jedynie zacytowała słowa swojej klientki. Nie powiedziała, że się z nimi zgadza.

– Przyjęła tę sprawę, więc to chyba oczywiste.

– Pieprzenie – skwitował krótko Marcin. – Przyjęła sprawę, bo dobrze wiedziała, że ma szansę dotrzeć do ludzi, którzy w życiu nie zgodziliby się rozmawiać z policją. – Zignorował lekceważące prychnięcie Rajmunda i mówił dalej: – Wiedziałaś, że ten cholerny Pisarek wymuszał pieniądze od prawie całej osady?

Za odpowiedź wystarczyło mu pełne zaskoczenia spojrzenie. Powściągnął uśmiech satysfakcji i przekazał prokuratorowi informacje uzyskane od Diony.

– A to skurwysyn – ocenił Wójcik działalność Pisarka. – Co masz zamiar teraz zrobić? Będiesz rozmawiać z tymi ludźmi?

Lipski lekceważąco strzepnął palcami. Sprawa w zasadzie go nie dotyczyła, nie podejrzewał bowiem, by miała jakikolwiek związek ze śmiercią Piotra Rakowicza. Dlatego umówił się z Dioną, że przekaże te informacje Dariuszowi, a ten poinformuje o wszystkim komendanta Ogińskiego.

Rajmund przyznał mu słuszność. Również nie widział sensu mieszania do śledztwa sprawy wymuszeń; te bardziej wiązały się ze zniknięciem Pisarka niż z zabójstwem proboszcza.

– Dobra, zostawmy to. Masz coś jeszcze?

– Ostatnia sprawa. – Marcin sięgnął do teczki po plik kartek spiętych zszywkami. – Wreszcie dostałem pełną opinię sądowo-medyczną. Wnioski są co najmniej zaskakujące i dają pole dla wyobraźni.

Przesunął dokument w stronę Wójcika. Ten ujął go w dłoń, lecz nawet nie zerknął na zawartą tam treść.

– Później to przeczytam. Teraz wystarczy, jak mi opowiesz. Czy te wnioski kolidują z obraną linią śledztwa?

Dość długo trwało, zanim policjant odpowiedział. Miał przy tym nieco skonsternowaną minę, co nie wróżyło zbyt optymistycznie.

– Obrażenia zostały zadane dwoma sposobami. Gołą pięścią i młotkiem znalezionym na miejscu zbrodni.

– To chyba nic nadzwyczajnego? – przerwał mu Wójcik. – Najpierw dał mu po mordzie z piąchy, a potem sięgnął po wspomaganie.

– Niby tak – odparł Marcin wolno. – Ale ciekawe jest to, że uderzenia gołą pięścią zostały zadane wyłącznie lewą ręką, a te młotkiem tylko prawą.

– Rzeczywiście dziwne – przyznał Rajmund. – Chociaż jakby się tak zastanowić... Może przy biciu z piąchy uszkodził sobie rękę i dlatego przerzucił się na drugą? Wikary był mańkutem, prawda? Czyli możemy wrzucić na jego szalkę jeszcze jeden odważnik.

– No nie wiem...

– Przestań drażyć jak drwalnik paskowany i zajmij się szukaniem motywu – zniecierpliwił się prokurator. – Znajdź mi dowód, że Marczak dowiedział się o molestowaniu chłopców, to będzie można zamknąć śledztwo.

Lipski skinął głową i wyszedł. Nie podjął dalszej dyskusji, chociaż wcale nie był przekonany, że zamiana ręki podczas bicia została spowodowana urazem. W przeciwieństwie do prokuratora widział też inne wyjaśnienie.

*

Mimo panującego za dnia upału drżał z zimna, jednocześnie pocąc się obficie. Jego ciałem co jakiś czas wstrząsały niekontrolowane dreszcze, czuł nieustanne skurcze ściśniętego z głodu żołądka, a przed oczami latały mu czarne mroczki, gdy pod osłoną wieczornej szarości zmierzał w stronę osady. Bał się panicznie, że zostanie zauważony, lecz jednocześnie właśnie tego w głębi duszy pragnął. Niechby wreszcie stało się to, co od początku było nieuniknione. Nawet gdyby mieli go zabić...

– Nie – szepnął i pochylił głowę, przechodząc pod zwieszającymi się nisko gałęziami. – Nie chcę umierać w ten sposób.

Nie bał się śmierci. Dopiero jakiś czas temu uświadomił sobie, że właściwie od dawna za nią tęsknił, ale chciał odejść na własnych warunkach. Wizja własnego ciała wydanego na pastwę rozwścieczonej tłuszczy napawała go przerażeniem, dlatego tak kurczowo czepiał się życia i dlatego już drugi raz zakradał się do osady, by ukraść coś do jedzenia.

Wzdrygnął się na wspomnienie zająca, którego upolował zaraz po tym, jak wreszcie minął szok, dopuszczając do świadomości bodźce rejestrowane przez zmysły. Najpierw odkrył, że jest spragniony. Temu mógł zaradzić prawie natychmiast; wystarczyło przejść niespełna dwieście metrów, by napotkać górski potoczek.

Zaraz za pragnieniem pojawił się głód, najpierw łagodny, lecz z każdą upływającą godziną bardziej dojmujący. Usiłował oszukać go borówkami, jak miejscowi nazywali czarne jagody. Rzeczywiście, gdy ogołocił z owoców kilka krzaczków, głód minął. Miał zamiar pozostać tam i traktować teren jako swoją prywatną stołówkę, lecz wkrótce usłyszał zbliżające się kobiece głosy. Schował się czym prędzej za wielkim wykrotem i zza tej zasłony obserwował trzy dziewczyny pochylające się nad krzaczkami oblepionymi czarnymi kulkami. Nie minęły trzy godziny, a obrały je do czysta.

Błąkał się później po lesie, usiłując znaleźć następne jagodowe eldorado, ale na próżno. W końcu głód do tego stopnia skręcał mu kiszki, że po trzech dniach owładnął wszystkimi myślami i nie pozwalał o sobie zapomnieć nawet na chwilę. Nagle w polu widzenia pojawił się zając i wygłodniały człowiek nie zawahał się nawet na moment. Namacał grubą gałąź, wolno uniósł ją nad głowę, wziął zamach i rzucił.

Zając wydał z siebie ni to pisk, ni to krzyk, do złudzenia przypominający płacz małego dziecka, podskoczył i upadł bezwładnie na pokrytą igliwem ziemię. Człowiek dopadł go i przymknąwszy powieki, jednym ruchem skręcił mu kark. Potem usiadł obok zajęczych zwłok i zastanawiał się, co dalej. Nie miał przy sobie żadnego narzędzia, którego mógłby użyć do oprawienia zwierzęcia. Nie miał też zapalek, zatem o ogniu powinien zapomnieć.

Naraz przed oczami stanął mu wielki nóż wyjęty przez tamtego człowieka u podnóża wysokiej daglezi. Wrócić po niego? Nie, to bez sensu. Tamten pewnie odszukał swój dobytek i zabrał ze sobą, w dodatku daglezi rośla zbyt blisko wsi. Poza tym oprawienie zajaca nic nie da, skoro nie ma czym rozniecić ognia.

Nowy paroksyzm głodu skreślił mu trzewia i wygłodniały człowiek nie zastanawiał się dłużej. Krew to także pożywienie. Szarpał zębami miękką turzycę porastającą podgardle, wypluwał z obrzydzeniem kłaczki sierści, z trudem powstrzymując odruch wymiotny. Ale głód zwyciężał, więc człowiek po każdej takiej przerwie powracał do przerwanej zajęcia. Nie wiedział, ile czasu trwało, nim wbił zęby w tkankę, a ciepła krew zalała mu usta. Przełknął raz i drugi, lecz już po chwili klęczał obok porzuconego zajaca targany niekończącymi się torsjami. Potem oddalił się chwiejnym krokiem. Szedł przed siebie bez celu i bez planu, byle dalej od tego miejsca.

Następnego dnia zakradł się do chałupy starej Drzyzgowej. Stała najbliżej lasu, mógł więc wcześniej obserwować, co dzieje się w obejściu. Gdy zauważył, że odświętnie ubrana starowinka wsiada do samochodu wnuka, natychmiast po odjeździe auta przemknął do domu, odwiecznym obyczajem zamkniętego tylko na klamkę.

Najpierw przypadł do garnków stojących na skraju blachy. Podniósł pokrywkę największego i gdy w nozdrza uderzył go zapach jeszcze ciepłego rosółu, nie zdołał się opanować. Zacerpnął aluminiowym garnuszkiem i pił, dopóki odwykły od przyjmowania pokarmu żołądek nie zaprotestował ostrym bólem. Wtedy wrócił rozsądek.

Dolaniem wody zamaskował ubytek zupy, a z innych potraw zabrał tylko tyle, by niedobór nie rzucił się w oczy. Zapakował zdobyczne produkty do jednej z licznych reklamówek wypełniających stojący w sieni wiklinowy koszyk, do drugiej władował sporo kartofli, pudełko zapalek, kostkę mydła i ścierkę do naczyń. Przy tej ostatniej zawahał się, niepewny, czy kobieta się nie zorientuje, ale ostatecznie pokusa zwyciężyła. Prócz głodu najbardziej doskwierał mu brud, nie zamierzał więc stracić okazji do symbolicznego bodaj obmycia

spoczonego ciała. Mydło i ścierka zamiast ręcznika musiały wystarczyć, zmiana bielizny nadal pozostała w sferze marzeń.

Przez pewien czas radził sobie całkiem nieźle. Wyścielił jodłowymi gałęziami legowisko w małej jaskini, gdzie mógł nawet rozpalać nieduży ogień. Choć wiedział, że nie musi obawiać się ataku zwierząt, na wszelki wypadek zamaskował wejście kolczastymi pędami jeżyn i świerczyną. I mieszkał tam, nie myśląc o tym, co dalej, aż do czasu, gdy po wyjściu z jaskini stanął oko w oko z jakimś mężczyzną. Wtedy ogarnęła go taka panika, że pognął przed siebie, porzucając cały swój dobytek.

Od tego czasu znów błąkał się po lesie, czujny jak zwierzę reagujące na najcichszy nawet szmer. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że nogi podświadomie niosą go coraz bliżej wioski.

Kilka dni temu zaskoczyła go burza. Nie zdołał znaleźć schronienia i przemókł do suchej nitki, a wycieńczony, niedożywiony organizm nie potrafił obronić się przed przeziębieniem. Ale w wychudłym, wstrząsanym paroksyzmami kaszlu ciele nadal gorzał upór niepozwalający na kapitulację, dlatego brudny człowiek z pokrytą skołtunionym zarostem twarzą ponownie zakradł się do chałupy Drzyzgowej. Tym razem jednak nie miał dość jasnego umysłu, by zachować ostrożność, i po powrocie starowinka od razu odkryła, że pod jej nieobecność ktoś tam buszował.

– Brakuje jedzenia i lekarstw – mówiła do wnuka, który nie zdążył dojechać do swojego domu i pojawił się niemal natychmiast po odebraniu telefonu. – Nie ma też starej kurtki, tej po twoim ojcu.

Nie potrafili pojąć, dlaczego ktoś miałby połączyć się na stare, zniszczone okrycie, używane tylko podczas obrządku, zwłaszcza że w szafie wisiał nowy, prawie nienoszony płaszcz, który kobieta wkładała tylko do kościoła.

– Nie możesz tu zostać – oznajmił Drzyzga kategorycznie. – Musisz przeprowadzić się do nas.

W głębi duszy był zadowolony, że wreszcie ma pretekst do zmuszenia babki do przeprowadzki. Była zbyt stara, żeby mieszkać samotnie, w dodatku w znacznym oddaleniu od innych zabudowań. Twierdziła wprawdzie, że doskonale radzi sobie sama, widział

jednak, że zaczyna brakować jej sił i coraz więcej robót leży odłogiem.

Ubolewał, że nie może bardziej jej pomagać. Codziennie dojeżdżał do Żywca do pracy, a po powrocie zajmował się odziedziczoną po teściach gospodarką. Żona także miała sporo zajęć i z trudem znajdowała czas, by zajrzeć do babki, a teraz, gdy ich trzecie dziecko niedawno przyszło na świat, stało się to w ogóle niemożliwe.

Drzyzga kochał tę pozornie szorstką kobietę, będącą dla niego bardziej matką niż babką. Po śmierci ojca przywalonego drzewem podczas wyrębu matka doszła do wniosku, że marnuje się w tej małej osadzie, i pewnego dnia zniknęła wraz z oszczędnościami teściowej. Wtedy surowa, zapracowana kobieta w milczeniu mocno przytuliła zapłakane dziecko. Nie powiedziała nic, lecz on poczuł się bezpieczny jak nigdy dotąd. Babka dotrzymała swego niewyrażonego słowami przyrzeczenia i chłopiec nigdy nie odczuł, że jest niechciany czy niekochany.

– Wnusi, no co ty? Co ja bym tam robiła?

W głosie babki nie było jednak zwykłej stanowczości i Drzyzga przewidywał, że wystarczy odrobina perswazji, by zgodziła się na jego plan.

– Pomożesz Lidce przy dzieciach albo przy kuchni. Ucieszy się, bo jest już na ostatnich nogach. Marzenka całymi nocami płacze, a w dzień śpi, ale wtedy trzeba pilnować Hani, bo to mały chuligan. Wszędzie włazi, wszystkiego musi dotknąć...

Twarz babki rozjaśniła się na wzmiankę o prawnuczkiach. Zaraz jednak przyoblekła się w zwykłą surową minę.

– A Krzysiek nie może matce pomóc? Przecież to już duży kawaler. Gdy ty miałaś dziesięć lat...

– Krzysiek chodzi do szkoły – odparł mężczyzna zwięźle, a po chwili dodał: – Chyba jest trochę zazdrosny o Marzenkę. Bardzo się zmienił od czasu, gdy się urodziła. Może mogłabyś z nim porozmawiać?

– Spróbuję. Ale mój dom... Może jednak zostanie?

– Zapomniałaś, że ktoś tu był i grzebał w twoich rzeczach? Nie wiadomo, kto to jest i czy tu nie wróci – tłumaczył cierpliwie. –

Spakuj to, co najpotrzebniejsze. Resztę przewieziemy potem. Wrócę tu wieczorem, żeby zabrać zwierzęta.

Otulony starą kurtką człowiek siedział w krzakach na skraju lasu i pilnie obserwował obejście. Musiał tam pójść jeszcze raz, zapomniał bowiem o zapałkach. Skulony pod czarnym okryciem przypominał wielkie, nastroszone ptaszysko, nic więc dziwnego, że na jego widok wracający z grzybobrania chłopcy z krzykiem rzucili się do ucieczki, gubiąc przy tym wypełnione po brzegi koszyki.

Dorodne borowiki o ciemnobrązowych, spalonych słońcem kapeluszach turlały się po zboczu. Człowiek w starej kurtce już tego nie zobaczył, gdyż oczy zasnuły mu łzy. Znowu musiał uciekać, a naprawdę nie miał już sił.

*

Marcin po raz kolejny rozważał, czy łacińskie słowa nie mają innego znaczenia. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś w liście pożegnalnym napisał nazwę zawodu, w dodatku całkiem oderwaną od kontekstu. Podzielił się swoimi wątpliwościami z prokuratorem, lecz ten nie wykazał zainteresowania.

– Nic ci na to nie poradzę. Chciałeś wiedzieć, co to znaczy, więc sprawdziłem. Nie mam pojęcia, co ksiądz miał na myśli, kiedy to pisał.

W duchu Lipski przyznawał Wójcikowi rację, a jednak nie potrafił pogodzić się z prawdą. Tak bardzo liczył na to, że tajemnicze słowa pomogą mu rozwikłać zagadkę. Rozczarowanie było zbyt wielkie, by mógł przyjąć je spokojnie.

– Po co miałyby pisać w liście pożegnalnym o kotlarzu czy mosiężniku? – dążył z uporem. – To musi oznaczać jeszcze coś innego.

Prokurator miał już dość wysłuchiwania powtarzanych w kółko słów.

– Idź ty w piździec razem ze swoim ludwisarzem czy innym brązownikiem. Sprawdź sobie w Googlach albo zapytaj jakiegoś księdza. Ja mam inną robotę.

Policjant zaklął szpetnie, ale tamten odłożył już słuchawkę i soczysty bluzg trafił w próżnię. To nie zniechęciło Marcina. Klął dopóty, dopóki nie uświadomił sobie, że jest ktoś, kto może pomóc mu rozszyfrować sens tajemniczych słów. Zadzwoił do Diony, licząc na jej przyjazne stosunki z Pelagią Pasierbek ze Świercznicy. Ta kobieta wiedziała chyba wszystko o bliższych i dalszych sąsiadach, prócz tego utrzymywała przyjazne stosunki ze świercznickim proboszczem.

Telefon Marcina zastał Dionizę w pizzerii Leszka Hardego, gdzie siedziała w towarzystwie Martyny Zawodnej. Dziewczyna zgodziła się na spotkanie więcej niż chętnie, wcale też nie ukrywała, że koronnym argumentem, który skłonił ją do wyrażenia zgody, była pizza diablo, obiecana jej przez Remańską. Zjadała właśnie łapczywie czwarty trójkąt, przez co jej wypowiedź brzmiała nieco bełkotliwie.

– Tani hopie pekę hobi. – Na widok wytrzeszczonych ze zdumienia oczu rozmówczyni przełknęła szybko i powtórzyła, tym razem wyraźnie: – Pani sobie ze mnie robi bekę, prawda?

– Nie, dlaczego? – zdziwiła się Diona. – Podobno spędzałaś z Pawłem dużo czasu, dlatego pomyślałam, że może byłaś jego dziewczyną.

Martyna skrzywiła się i sięgnęła po piąty kawałek. Nie dotknęła go jednak, tylko zerknęła na ciemnowłosą kobietę o bursztynowych oczach, w których błyszczały wesołe iskierki. Wolno cofnęła rękę.

– Przepraszam – bąknęła. Na twarz wypłynął jej krwisty rumieniec, konkurując z ognistą czerwienią włosów. – Zapędziłam się, a to przecież pani część.

– Nic nie szkodzi, wsuwaj na zdrowie. Ja będę patrzeć, jak jesz.

– A jak jeż patrzy?

Dioniza parsknęła śmiechem i pokiwała głową z uznaniem.

– Robisz mi konkurencję. Nie dość, że dorównujesz mi apetytem, to jeszcze masz podobne odzywki. Jedz śmiało. Niedawno zaliczyłam

obiad u Mirabelki i chwilowo nie mam mocy przerobowych. To jak w końcu było z tym Pisarkiem?

– Nijak nie było. On jest dobry w grach, ale tak w ogóle to straszny z niego dupek. Spotykaliśmy się, żeby razem pograć. Zabieraliśmy laptopy i urządzaliśmy sobie turnieje. To było lepsze niż gra on-line.

– Martyna odgryzła spory kawałek pizzy i szybko przeżuła. – Czasem spotykaliśmy się u Adriana Koconia. To starszy facet, tak koło trzydziechy. On też jest niezły, ale nie aż tak dobry jak Paweł.

Dionę ubawiło określenie „starszy”, ale nie dała nic po sobie poznać. Pamiętała doskonale, jak nierówne bywają nastroje nastolatków. Nieraz wystarczy jedno słowo, by zerwać nic porozumienia.

– Od czasu zniknięcia Pawła grałaś tylko z Adrianem, prawda? Konto Pawła cały czas jest nieaktywne?

Dziewczyna przytaknęła i oblizała palce z ketchupu. Pociągnęła spory łyk coli, odkleiła od talerza samotną pieczarkę, włożyła ją do ust i ponownie oblizała palce.

– Wie pani, tak sobie myślę, że Paweł naprawdę nie żyje, bo ani razu nie logował się do Lordów. A z Adrianem nie grałam. Przestałam już dużo wcześniej, jeszcze zanim Paweł zniknął. Bo on...

– zająknęła się, na twarz wypląnął grymas niechęci połączonej z obrzydzeniem. – Adrian to kawał...

– Martyna! – rozległ się nad nimi ostry męski głos. – Marsz do samochodu. Ale już!

Bez protestów złapała torbę, kiwnęła Dionie z przepaszającą miną i poszła w stronę wyjścia. Remańska uniosła głowę i napotkała gniewne spojrzenie zielonych oczu, bardzo podobnych do oczu Martyny i Marianny.

– Pan Zawodny, prawda?

Uśmiechnęła się przyjaźnie, lecz mężczyzna nadal patrzył na nią ponuro.

– Nie życzę sobie, żeby rozmawiała pani z moją córką. Proszę się trzymać od niej z daleka.

Odwrócił się i odszedł, zanim zdążyła zareagować. Odprowadziła go wzrokiem i wstała, żeby zamówić jeszcze jedną pizzę. Zgłodniała

z tego wszystkiego, poza tym jeśli miała jechać do Gredtkego, przydadzą się jakieś dary. Bo wbrew sugestii Marcina postanowiła zacząć od emerytowanego policjanta. Coś jej mówiło, że to wystarczy.

Rzeczywiście wystarczyło. Gredtke nie potrzebował czasu do namysłu.

– Znaczeń rzeczywiście jest dużo, ale myślę, że księdzu chodziło o ludwisarza albo brązownika. Tylko to kojarzy mi się z religią.

– Jak to? – Zrobiła niezbyt mądrą minę. – W jakim sensie?

Robert wykrzywił się, naśladując jej grymas.

– W takim sensie, że ludwisarz wytwarza dzwony, a te są nieodłącznie związane z kościołem. Z kolei brązownik Aleksander był uważany za największego wroga Pawła z Tarsu. Prawdopodobnie z powodu jego donosu Paweł został uwięziony i skazany na śmierć. O innym brązowniku nigdy nie słyszałem. – Zauważył naraz dziwną minę Remańskiej. – Wiesz, kto to był Paweł z Tarsu?

– Oczywiście, że wiem. Ale zastanawia mnie, skąd ty wiesz takie rzeczy jak o tym brązowniku.

Gredtke wyraźnie się zmieszał i widać było, że najchętniej zmieniłby temat. Nie zamierzała na to pozwolić, toteż niemal hipnotyzowała go wzrokiem, dając do zrozumienia, że nie odpuści. Mężczyzna westchnął z rezygnacją.

– Co za uparta dziewczucha – mruknął. – No dobra. Tak jakoś mam, że zapamiętuję różne dziwne rzeczy, a nie pamiętam o wizycie u dentysty.

– O tym też wolałabym nie pamiętać – stwierdziła z głębokim przekonaniem. – Czytałam gdzieś, że w SB służyli bardzo inteligentni ludzie. Podobno mieli IQ powyżej sto pięćdziesiąt.

– Taa – mruknął Gredtke. – Chyba na pokój. – Spojrzeli po sobie z rozbawieniem. – I co? – przypomniał sobie naraz o jej pytaniu. – Pomogłem z tym Pawłem?

Niespodziewanie Diona poderwała się z fotela, podbiegła do Gredtkego i pocałowała go prosto w usta.

– Paweł z Tarsu mnie nie interesuje, ważniejszy jest Paweł z Osin. Dziękuję!

Zanim zdążył zareagować, zniknęła za drzwiami.

Rozdział 12

Brązownik

21–24 lipca 2019

– Uważasz, że to jest wskazówka dla nas?

Diona właśnie weszła do pokoju z tacą, na której stały filiżanki z kawą i miska kruchych ciasteczek. Położyła tacę na stoliku i popatrzyła na swojego gościa.

– Moim zdaniem tak. Według słów Gredtkego brązownik Aleksander był nie tylko wrogiem Świętego Pawła, ale też przyczynił się bezpośrednio do jego śmierci. Sprawdziłam w internecie i rzeczywiście: w liście do Tymoteusza Paweł wskazuje Aleksandra jako pośredniego sprawcę swojego uwięzienia. Myślę, że ksiądz chciał nas w ten sposób naprowadzić na trop zabójcy Pawła Pisarka.

Marcin pochylił głowę nad kserokopią listu pożegnalnego i po raz chyba setny odczytał stosowny fragment. „Wybaczcie mi ten uczynek, bo ja sobie nie potrafię go wybaczyć. Żegnajcie i ukarżcie winnego. *Aerarius faber*”.

– Mnie się to wydaje jakieś przekombinowane. Mamy szukać brązownika? Nie wiem, czy obecnie ktoś w ogóle wykonuje taki zawód. A już na pewno nie w naszych okolicach. Wiedziałbym o tym.

Sięgnął do miski, wyjął trzy ciastka i włożył je do ust. Obserwowała go z uśmiechem. Już dawno zauważyła, że jest łasuchem, przy którym żadne ciastka czy czekoladki nie są bezpieczne.

– Nie sędzę, żeby chodziło o brązownika. Prędzej o kogoś mogącego kojarzyć się z tym zawodem.

Próba przełknięcia ciastka przy jednoczesnym mówieniu omal nie zakończyła się dla Lipskiego zadławieniem. Dość długo trwało, nim wykaszłał z tchawicy resztki okruszków. Otarł łyzy wierzchem dłoni i spojrzał na Dionizę z wyrzutem.

– Celowo umieściłaś w misce ciastko-zabójcę, żeby mnie zgładzić? A wracając do brązownika, to dalej tego nie kupuję. Czy ksiądz nie mógł zwyczajnie napisać, kogo podejrzewa? Musiał się bawić w konspirację?

Wbrew swoim wcześniejszym słowom ona także zastanawiała się nad motywami kierującymi postępowaniem wikarego i nasuwały jej się takie same wątpliwości. Dlaczego ksiądz Apoloniusz nie napisał wprost, kto według niego jest zabójcą Pisarka? Dlaczego użył łacińskich słów dla przekazania tej informacji?

Nagła myśl sprawiła, że Diona zakrztusiła się dymem i rozkaszała się nie mniej gwałtownie niż przed chwilą Marcin.

– Musiałeś się zemścić? – spytała, gdy już mogła normalnie oddychać. – Tak mi teraz przyszło do głowy... A co, jeśli on nie był sam?

Lipski podnosił właśnie do ust kolejne ciastko. Na dźwięk jej słów odłożył markizę na talerzyk i zabębnił palcami po stoliku.

– Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem. Chodzi ci o to, że wikary nie był sam, kiedy pisał ten list?

Diona przytaknęła, rozmyślał więc dalej, usiłując ułożyć sobie w głowie całkiem nowy scenariusz. Przeszkodziła mu, przedstawiając swoją wizję.

– Mógł pisać list w obecności zabójcy. Musiało tak być. Wtedy staje się oczywiste, dlaczego nie napisał wprost, kogo podejrzewa. Bał się, że tamten go zabije... Nie, to bez sensu! – zaprzeczyła swojej teorii. – Po co miałby bać się śmierci? Przecież i tak planował samobójstwo, więc powinno mu być wszystko jedno.

Marcin, od dłuższego czasu łypiący na nią gniewnie, w końcu nie wytrzymał:

- Kurwa mać! Zamknij się, Dionka. Przestań gadać chociaż na chwilę, bo własnych myśli nie słyszę przez to twoje trajkotanie.

Najpierw zachnęła się, potem popatrzyła z niedowierzaniem, wreszcie parsknęła śmiechem, a groźba zakneblowania jej ust rozśmieszyła ją jeszcze bardziej, tak bardzo kontrastowała ze zwykłym, zawsze uprzejmym zachowaniem mężczyzny. Teraz zobaczyła zupełnie innego Marcina i ten obraz wywarł na niej dużo większe wrażenie. Zdała sobie sprawę, że właśnie jego nieustająca uprzejmość kazała jej doszukiwać się głęboko skrywanych ciemnych stron charakteru. Był zbyt idealny. Taki jak obecnie, poirytowany i warczący, podobał jej się dużo bardziej. Wreszcie był prawdziwy.

Milczała posłusznie i w oczekiwaniu na efekt rozważań Lipskiego jeszcze raz przeanalizowała w myślach słowa listu. Zwrot „ukarście winnego” jasno wskazywał na to, że pod łacińskimi słowami Marczak ukrył tożsamość zabójcy Pisarka. Co do tego oboje z Marcinem nie mieli wątpliwości. Ale nadal nie umiała znaleźć powodu, dla którego zaszyfrował tę informację. Ze zniechęceniem potrząsnęła głową.

- Poddaję się – oznajmiła z ponurą miną.

W następnej chwili przypomniała sobie, że miała się nie odzywać. Popatrzyła ze skruchą, lecz mężczyzna odpowiedział uśmiechem.

- A ja nie – odparł zwięźle.

Nie dodał nic więcej. Sięgnął po pudełko papierosów, wysupłał jednego i zapalił, ignorując jej poirytowane syknięcie. Odczekała kilka minut, ale cierpliwości wystarczyło jej tylko na trzy pociągnięcia dymu.

- Masz zamiar powiedzieć mi, co wymyśliłeś, czy będziesz tak milczeć do usranej śmierci?

- Napawam się swoim geniuszem – oznajmił z powagą, której przeczyły wesołe iskierki w oczach.

- To napawaj się szybciej – burknęła, na próżno starając się pokonać rozbawienie. - Daję ci jeszcze minutę, a potem skoczę ci do gardła.

- To mogłoby być interesujące, ale chyba nie zaryzykuję.

Zaciągnął się jeszcze raz i starannie zgasił niedopałek. Pociągnął długi łyk zimnej już kawy, zerknął na Dionę i ze złośliwym

uśmiechem sięgnął do miski z ciastkami.

– Marcin!

Widziała, że ma ochotę jeszcze się z nią podroczyć, ale na szczęście zrezygnował i przeszedł do konkretów.

– Jest jeszcze jedna możliwość. Taka, że ksiądz Apoloniusz nie napisał tego listu dobrowolnie.

Jeszcze nie skończył mówić, a w oczach Diony już zapalił się błysk zrozumienia i ekscytacji.

– Oczywiście! Wtedy to wszystko nabiera sensu. Ktoś go do tego zmusił, dlatego wikary użył łacińskich słów do wskazania nam sprawcy. Pewnie wytłumaczył tamtemu, że to jakaś kościelna formułka.

– No właśnie. I wreszcie stało się jasne, do czego potrzebny był nóż. Myślałem, że należał do Marczaka, i zastanawiałem się, po jaką cholere zabrał go do lasu. Do niczego mi to nie pasowało. Rajmund miał pewną teorię, ale teraz widzę, że się mylił.

– A ja zastanawiałam się, dlaczego napisał ten list w zeszycie. – Diona weszła mu w słowo. – I po co zabrał go do lasu, zamiast zostawić na plebanii.

Marcin mruknął słowa aprobaty i rozejrzał się po pokoju. Nigdzie nie zobaczył tego, czego szukał, poprosił więc Dionizę o kartkę papieru i długopis, a gdy je otrzymał, zapisał na kartce trzy punkty: nóż, zeszyt z listem i zakamuflowana informacja o tożsamości sprawcy. Przy każdym z tych trzech punktów narysował dwie rubryki.

– Lepiej mi się myśli, kiedy mam to wszystko przed oczami – wyjaśnił, gdy zapytała o celowość tego działania. – Weźmy się najpierw do hipotezy, że Marczak postanowił odebrać sobie życie i że był w lesie sam. Widzisz jakiś powód taszczenia tam wielkiego noża?

Rozmyślała jakiś czas, analizując różne możliwości, wreszcie kategorycznie zaprzeczyła. Lipski narysował w pierwszej rubryce wielki minus. Zanim zdążył zadać następne pytanie, Diona już na nie odpowiedziała:

– Co innego, jeśli został przez kogoś zmuszony do pójścia do lasu. Taki nóż może być świetnym narzędziem perswazji.

Ujrzała oczami wyobraźni tę scenę i coś jej w niej zazgrzytało. Skrzywiła się, lecz nie zdążyła wyartykułować swoich wątpliwości, gdyż Marcin ją uprzedził.

– Nie wyobrażam sobie, że mógłbym za pomocą noża zmusić kogoś do przejścia tak długiej drogi. Najpierw musieliby przedelfilować przez osadę, a potem lawirować pomiędzy krzakami i drzewami, omijać dziury i wykroty.

– Ksiądz Apoloniusz był młody i wysportowany. Na pewno nie szedłby pokornie niczym cielę na rzeź – dopowiedziała i przedstawiła własną wizję: – Ten człowiek mógł zwabić tam księdza pod jakimś pretekstem. Nie mam pojęcia jakim, ale tylko takie wyjaśnienie ma sens. Nóża użył dopiero na miejscu, żeby zmusić wikarego do napisania listu. Następnym etapem zapewne było namówienie Marczaka, by zarzucił sobie pętlę, ale tutaj się przeliczył.

– No tak – mruknął policjant, stawiając w drugiej rubryce wielki plus. – To też nie dawało mi spokoju. Jeśli wikary nie mógł unieść tak wielkiego grzechu jak zabójstwo, dlaczego miałyby szukać ratunku w innym grzechu?

O tym nie pomyślała, a przecież sprzeczność aż rzucała się w oczy. Samobójstwo to grzech śmiertelny, i Marczak musiał zdawać sobie sprawę, że nie jest to sposób na odkupienie win.

Pochyliła się nad listem, którego treść potwierdzała ich domysły, i przeszła do punktu drugiego.

– Nie wierzę, że chciał się zabić, więc nie wierzę też, że dobrowolnie napisał ten list.

Marcin zapatrzył się w wiszącą na ścianie grafikę przedstawiającą ciemny, ponury las i wyobraził sobie stojących tam dwóch mężczyzn. Naraz jeden z nich wydobył z plecaka nóż i nagłym ruchem przytknął go do gardła towarzysza.

– Nóż jako argument ma wielką siłę przebicia. – Urwał, uśmiechnął się krzywo i dodał: – Nie tylko dosłowną, ale i metaforyczną. Facet musiał to wszystko zaplanować. Zabrał plecak, żeby nie wzbudzać podejrzeń nożem przytroczonym do pasa...

– I wziął cały zeszyt, bo bał się, że pojedyncza kartka za bardzo się pogniecie. – Dioniza weszła mu w słowo. – Gdyby ksiądz napisał ten

list dobrowolnie, zostawiłby go w domu albo wsunął kartkę do kieszeni. Nie miał powodu, żeby zabierać zeszyt. Co innego ten drugi facet. On miał powód.

Marcin bez słowa zaznaczył minus w pierwszej rubryce i plus w drugiej, po czym przeszedł do zaszyfrowanej informacji o sprawcy. Tutaj także byli zgodni. Takie działanie miałoby sens tylko wtedy, gdyby ksiądz nie mógł z jakichś względów napisać jego nazwiska.

– Na przykład dlatego, że zabójca stał tuż obok i przyciskał mu nóż do gardła. – Lipski przeciągnął dłonią po krótko ściętych ciemnoblonde włosach. Opatrzył rubryki znakami i westchnął. – Mamy trzy minusy przy hipotezie samobójstwa i trzy plusy przy teorii, że ktoś usiłował zmusić Marcza do włożenia głowy w pętlę. Tylko że...

– Tylko że ostał nam się jeno sznur – sparafrazowała klasyka Diona. – Co też świadczy o tym, że wikary nie zamierzał się zabić. Nóż, sznur... Bez przesady! Nie za dużo tych narzędzi na jedno samobójstwo? Bo musiałyby mieć w zanadrzu jeszcze jakiś inny pomysł na pozabawienie się życia, jeśli zrezygnował z tamtych dwóch.

Po krótkim zastanowieniu Lipski skinął głową.

– W takim razie mamy cztery do zera. Ale głównie nam to daje, bo nadal nie znamy nazwiska sprawcy. Wikary chyba przecenił naszą inteligencję.

Diona pomyślała o tym samym. Szkoda, że ksiądz nie dał im jaśniejszej wskazówki. Teraz mogą już nigdy nie poznać prawdy. Wikary zabrał tajemnicę do grobu.

Bezwiednie wypowiedziała to głośno. Marcin już miał zwrócić uwagę, że wygłasza oczywistości, gdy naraz wychwycił w jej słowach pewną niedokładność.

– On nie ma grobu – sprostował. – Właściwie to nie ma nawet ciała... No właśnie, gdzie zabójca ukrył ciało? Przeszukaliśmy kawał lasu, ale bez efektu. Masz jakiś pomysł, co mógł z nim zrobić?

– Przecież go nie zeżarł! – burknęła, zła, że przerwał tok jej myśli. – Tak, to możliwe – zamruczała pod nosem, wprawiając go w lekkie osłupienie. Właśnie zobaczył oczami wyobraźni mężczyznę o spojrzeniu szaleńca, obgryzającego ludzką łydkę, gdy Diona znów

się odezwała. Tym razem skierowała słowa wprost do niego: – Jesteś pewien, że w ogóle było jakieś ciało?

Od razu zrozumiał, co dziewczyna sugeruje, i zdziwił się, że dotychczas nie brali na poważnie takiego wyjaśnienia braku zwłok. A przecież nasuwało się samo. Banalnie proste, przez co wielce prawdopodobne.

– Ksiądz podobno był wysportowany i dużo chodził po górach – mówił wolno, szukając jednocześnie słabych punktów nowej teorii. Nie znalazł. – Mógł się jakoś wywinąć i uciec. Tylko gdzie jest teraz? Dlaczego nie wrócił na plebanię?

– Pamiętaj o tym, że on też jest zabójcą. Zapomniałeś o proboszczu?

Nie zapomniał, ale miał coraz większe wątpliwości co do winy wikarego. Nie zdradził się jednak z nimi przed Dioną w obawie, że dziewczyna go wyśmieje. Dlatego bąknął tylko coś pod nosem i wrócił myślami pod wysoką daglezię. Zobaczył porzucony plecak, sznur, nóż i zeszyt z jedną zapisaną kartką.

– No dobra, ksiądz mu uciekł. Mogło tak być. Ale czemu nie zabrał tych rzeczy? W tej sytuacji pozostawienie ich było czystą głupotą.

Remańska bezradnie rozłożyła ręce.

– Nie mam pojęcia, czemu je zostawił. Może gonił księdza, a potem nie umiał odnaleźć tego miejsca? A może nie mógł tam wrócić? Coś sobie zrobił, na przykład skręcił nogę czy coś w tym rodzaju? Albo pojawili się tam jacyś ludzie, a on nie chciał, żeby go widzieli? Mógł planować, że pójdzie tam później, ale się rozchorował.

Marcin doszedł do wniosku, że każda z możliwości jest prawdopodobna, lecz nie sposób stwierdzić, która z nich jest prawdziwa. Nadal miał za mało danych. Postanowił nie zaprzętać sobie na razie tym głowy.

– Jeżeli nasze przypuszczenia są słuszne, to znaczy, że twoja klientka ma rację i Pisarek nie żyje – zwrócił uwagę Diony na ten oczywisty fakt. – O ile ten twój Gredtke niczego nie pomieszał.

– Na pewno nie. Zauważyłam, że facet ma fenomenalną pamięć. Jeśli mówił o Pawle z Tarsu, to na pewno chodziło o Pawła z Tarsu, i już!

Jej gwałtowna reakcja sprawiła, że poczuł do emerytowanego policjanta żywiołową niechęć, chociaż nigdy go nie spotkał. W ostatniej chwili ugryzł się w język, dzięki czemu złośliwa uwaga o dziewczynach lecących na starych pierdzieli nie postawiła między nimi muru nie do sforsowania. Pogratulował sobie w duchu szybkiego refleksu i po raz kolejny wrócił do łacińskich słów.

– Brązownik będący wrogiem Pawła. Szlag by to! Skąd mam wiedzieć, kogo miał na myśli? Nikt w okolicy nie ma takiego nazwiska ani przydomka. Nie ma też Braunów ani Brownów, ani... jak jest brązowy po rosyjsku?

Diona wytrzeszczyła oczy.

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam. Ale za to wiem, jak jest brązowy po hiszpańsku. Marrón. Pomogłam?

– Nie bardzo. Nie ma tu żadnych Maronów, Marońskich ani Maronowiczów. Znasz hiszpański?

Pokręciła głową.

– Nie znam. Pałętają mi się tylko pojedyncze słowa, ale to wszystko. Nie wiem nawet, jaki jest hiszpański odpowiednik mojego imienia.

Powiedziała jeszcze coś, ale Marcin przestał słuchać. Usiłował uchwycić myśl, która pojawiła się na obrzeżach świadomości. Naraz klepnął się w czoło z okrzykiem:

– Jasny szlag, ale ze mnie idiota!

– Nie zamierzam się kłócić.

Natychmiast skorzystała z okazji do wbicia szpileczki, ale jej oczy już rozbłysły ciekawością.

– To dobrze, że nie chcesz się kłócić, bo ty też nie błysnęłaś rozumem – wytknął złośliwie. – Oboje daliśmy ciała.

Popatrzyła na niego ze złością. Nie uważała się za nieomylną i nigdy nie miewała problemów z przyznaniem się do błędu, ale nie znosiła, gdy ktoś podkrecał atmosferę poprzez krążenie wokół tematu.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy mam złożyć podanie na piśmie?

Nie próbował się więcej droczyć. Sprawa była zbyt poważna, żeby tracić czas na żarty.

– Chodzi o to, że ten pieprzony brązownik miał imię.

Jeszcze nie zrozumiała, do czego on zmierza. Wolno skinęła głową i odparła z namysłem:

– Brązownik Aleksander. I co z tego? – Nagle pojęła, co to oznacza.

– O cholera! Księdzu wcale nie chodziło o brązownika w sensie zawodu. Chciał nas naprowadzić na imię. Uznał, że jego prześladowca jest jednocześnie zabójcą Pisarka, i dał nam znać, że mamy szukać faceta imieniem Aleksander.

– No właśnie. – Teraz on pokiwał głową i zrobił to z wyraźną satysfakcją. – Łatwiej znaleźć Aleksandra niż brązownika. Kilku znam nawet osobiście.

*

Tym razem było inaczej niż podczas pierwszych przesłuchań. Teraz mieszkańcy Osin witali starszego aspiranta Dariusza Lipskiego może nie przyjaźnie, ale bez tamtej ukrytej wrogości. I byli całkiem rozmowni. Wiedział, że tę zmianę zawdzięcza Dionie i jej dyskusjom z Marianną Zawodną. Gdyby nie przekonała dziewczyny o groźącym wszystkim niebezpieczeństwie, pewnie jeszcze długo nie pisnęliby nawet słowem o tym, że Paweł Pisarek wyciągał od nich pieniądze. I że pojawił się ktoś, kto zajął jego miejsce.

Najpierw pojechał właśnie do Zawodnej, założył bowiem, że dziewczyna będzie najbardziej skłonna szczerze z nim porozmawiać. Nie omylił się. Nie musiał nawet stosować zbyt wielkiej perswazji, by wyznała, że Pisarek zażądał od niej pieniędzy w zamian za nieujawnienie informacji o tym, że oszukiwała fiskusa poprzez podkładanie zakupionego bez faktury towaru.

– Bierze się na fakturę ze dwadzieścia sztuk, a potem podkłada się towar kupiony na lewo – tłumaczyła mu z przejęciem.

Dariusz nie chciał jej spłoszyć, toteż nie zająknął się nawet słowem, że doskonale zna mechanizm działania tego procederu.

Słuchał z taką uwagą, jakby temat stanowił dla niego kompletną nowość.

– To naprawdę jest opłacalne? – udał zdziwienie.

– Oczywiście, że tak. Ani dostawca, ani sprzedawca nie muszą wtedy płacić VAT-u i dochodówki, a to naprawdę są spore kwoty. Trzeba tylko pokombinować, żeby nie nabijać takich transakcji na kasę fiskalną, bo skarbowka mogłaby to wyłapać.

Z dalszych słów Zawodnej wynikało, że popełniła błąd, korespondując z jednym z dostawców za pomocą Messengera. Drugim błędem było pisanie otwartym tekstem, dzięki czemu nie trzeba było zdolności superszpiega, by domyślić się, co planowała zrobić.

– I to wszystko? – spytał, gdy zamilkła.

Nie chciało mu się wierzyć, że płaciła szantażyście z tak błahaego powodu, tym bardziej że wiadomość w Messengerze świadczyła wyłącznie o zamiarach. Jeśli dziewczyna była taka sprytna, na jaką wyglądała, z pewnością w dokumentach nie pozostał nawet ślad po nielegalnych transakcjach.

Zawodna długo milczała. Zagryzła wargi, splatała i rozplatała palce, ważąc coś w myślach.

– Wiem, że powinnam była posłać go na drzewo – powiedziała w końcu. – Ale za pierwszym razem bardzo się przestraszyłam, poza tym Paweł chciał ode mnie tylko dwieście złotych. W dodatku obiecał, że to się nie powtórzy.

– Ale się powtórzyło?

– Oczywiście! – Łypnęła gniewnie i zaczęła skręcać pasek torebki z taką zawziętością, jakby to była szyja Pisarka. – Roześmiał mi się w twarz i powiedział: „Skłamałem. Tak jak twój ojciec skłamał, że nie zabił mojego taty”. I dodał, że jeżeli nie zapłacę, to narobi mi takiego gnoju, że następne lata spędzę na tłumaczeniu się przed fiskusem i policją. Zapłaciłam mu wtedy i jeszcze dwa razy później. Żądał kasy raz na kwartał.

Lipski zanotował tę informację. Pomyślał przy tym, że strach jest najbardziej destrukcyjnym uczuciem. Powoduje, że rozsądni

zmieniają się w bezrozumnych głupców, brnąc coraz dalej w odmęty absurdu.

– Kto oprócz pani płacił Pisarkowi?

Marianna wydeła usta.

– Pewnie większość dorosłych mieszkańców osady. Na pewno Aleksander Myszką, bo mówił o tym na zebraniu. I mój tata.

Zachmurzyła się i nie wymieniła już żadnego nazwiska, na pytanie zaś, czy wie coś więcej, odparła, że co do innych nie ma pewności, a nie myśli kolportować plotek. Podziękował jej zatem i wstał z zamiarem opuszczenia sklepowego zaplecza. Marianna powstrzymała go pytaniem:

– Co ze mną będzie? Da pan znać do urzędu skarbowego?

Udał zdziwienie.

– O czym? O tym, że dwoje ludzi zabawiało się teoretyzowaniem, jak oszukać fiskusa?

Z trudem zachował powagę na widok jej zdumionej miny. Skłonił się lekko i wyszedł. Przed sklepem przystanął, chcąc zaplanować dalsze działania. Postanowił zacząć od osób wymienionych przez Mariannę, a później odwiedzić po kolei inne domy.

Gdy tak stał przy radiowozie, wydawało mu się, że zewsząd obserwują go czujne oczy. Wiedział, że to przeświadczenie nie jest tak całkiem pozbawione sensu, skoro nawet w dużo większym Jodłowcu nieraz widywał poruszające się w sąsiednich domach franki, gdy tylko przekroczył czyjąś furtkę. Zawsze wtedy miał ochotę pomachać ciekawskim, i teraz także musiał zwalczyć tę chętkę. Zamiast tego sprawdził adres i odjechał spod sklepu.

Damian Zawodny zaskoczył go, witając jak oczekiwanego gościa. Gdy usiedli w pokoju, zawołał do żony, by zrobiła im kawę, i odezwał się pierwszy. Nie zaczekał nawet, aż policjant wyjmie notatnik, tylko wybuchnął:

– Dobrze, że pan przyszedł. Mam już dość tego życia w ciągłym oczekiwaniu. Zamknijcie mnie wreszcie i będzie spokój.

Skonsternowany tym zachowaniem Lipski potarł brodę i wpatrzył się w gospodarza, chcąc ocenić, czy mężczyzna nie stroi sobie

z niego żartów. Owszem, oczekiwał wyznania o jakimś nieetycznym czynie, ale nie spodziewał się wielkiego kalibru.

– Za co mam pana zamknąć?

Zawodny na moment przymknął powieki, a gdy je otworzył, w jego oczach widniała rozpacz połączona z determinacją.

– Pobiłem tego skurwysyna. Mało brakowało, a byłbym go zabił. I wcale nie żałuję. Gdyby było trzeba, zrobiłbym to jeszcze raz. Pan ma dzieci, prawda? To sam pan wie, że człowiek zdolny jest do wszystkiego, żeby je chronić.

Dariusz omal nie zaklął głośno. Był pewien, że proboszcza zabił wikary, zresztą tak wynikało z ustaleń śledztwa. Tymczasem słowa gospodarza wskazywały, że Marcin popełnił błąd, nie biorąc pod uwagę ojców skrzywdzonych dzieci. Na przykład właśnie Zawodnego, który oprócz dwóch córek miał także syna. Dziesięcioletniego, więc idealnie wpasowującego się wiekiem w gusta księdza Piotra.

Skinął wolno głową, rozmyślając jednocześnie, jak przeprowadzić tę rozmowę, by dowiedzieć się całej prawdy. Nagle dotarło do niego, że Zawodny nie mówił teraz o zabójstwie proboszcza, tylko o zdarzeniu mającym miejsce na tyle wcześniej, że Pisarek mógł się o nim dowiedzieć. Ale to nie wykluczało drugiej napaści na księdza. Postanowił to sprawdzić.

– Nie wiem, jak bym się zachował, gdyby to moje dziecko padło ofiarą molestowania, ale rozumiem, że nie mógł pan inaczej. Tylko że prawo nie pozwala na samosądy. – Postukał z namysłem długopisem w blat stołu. – Kiedy pobił pan proboszcza?

Zawodny siedzący ze zwieszoną głową wyprostował się gwałtownie, a na jego twarzy pojawił się wyraz osłupienia.

– Jakiego proboszcza? O czym pan mówi?

Lipski nie spuszczał z niego wzroku.

– Piotra Rakowicza – wyskandował. – Ktoś pobił go na śmierć, a teraz pan powiedział...

– Myśli pan, że to ja go zabiłem? – przerwał mu Zawodny. – Przecież to się kupy nie trzyma. Nie miałem żadnego powodu...

Role się odwróciły i teraz Lipski wszedł mu w słowo.

– Ma pan syna. Dziesięciolatka.

Gospodarz nie mógł dopatrzeć się związku.

– I co z tego?

Policjant pochylił się do rozmówcy i ściszył głos. Siedzieli przy otwartym na oścież oknie, a wolałby, żeby nikt obcy go nie usłyszał. Jeśli młody Zawodny był ofiarą chuci księdza, lepiej, żeby nikt postronny o tym nie wiedział.

– Dowiedzieliśmy się, że proboszcz bardzo lubił takich chłopców. Za bardzo. Jeżeli upatrzył sobie waszego syna, miał pan motyw.

Zawodny popatrzył z przerażeniem na żonę, która właśnie weszła z kubkami kawy ustawionymi na tacy. Nagle wyraz strachu na jego obliczu przerodził się w gniew zmieszany z rozpaczą. Z chrzęstem zacisnął dłonie w pięści, potem rozprostował je i z cichym jękiem zakrył nimi twarz.

– Damian? – Kobieta popatrzyła niespokojnie na męża. – Damian, co się stało? O co chodzi z tym proboszczem?

Mężczyzna odjął ręce od wilgotnych policzków. Nie wstydził się łez. Męskie czy niemęskie, nie miały znaczenia wobec tragedii, której istnienia nie był dotąd świadomy.

– Jezu Chryste! Bałem się o Mańkę i o Martynę i nawet do głowy mi nie przyszło, że Mateusza też powinienem chronić. Nieraz rozmawialiśmy z sąsiadami o tych zboczeńcach w sutannach, a żaden z nas nie pomyślał, że mamy jednego z nich w naszej parafii.

Do kobiety wreszcie dotarło, o czym mówi mąż. Usiadła ciężko na krześle obok Lipskiego, wsparła głowę na stole i zaniosła się rozpaczliwym szlochem. Zawodny wstał, podszedł do niej i niezgrabnie pogłaskał ją po włosach.

– Nie płacz, Aśka. Płacz w niczym nie pomoże.

– A co pomoże? – wyszlochała. – Mój mały synek... Jak on teraz będzie żyć?

Lipski najchętniej zostawiłby ich samych, by mogli uporać się z rozpaczą, niestety nie mógł tego zrobić. To była jedna z tych chwil, kiedy nienawidził swojego zajęcia. Skierował oczy na gospodarza i nagle jego wzrok przykuło zdjęcie na regale stojącym za plecami mężczyzny. Przedstawiało rodzinę Zawodnych.

Podszedł i wziął je do ręki, by obejrzeć z bliska.

– To jest wasz syn?

Zawodny odwrócił się i rzucił okiem na fotografię.

– Tak, to Mateusz. – Konwulsyjnie zacisnął dłoń na krawędzi stołu.

– Niech pan popatrzy, jaki jest roześmiany, jaki szczęśliwy. A teraz? Snuje się po domu jak zombie. Unika nas, do kolegów też nie wychodzi. Stał się niegrzeczny i nieusłuchany, a o ocenach w szkole wolę nawet nie myśleć.

Policjant błogosławił teraz pomysł Marcina, by informatyk zrobił dla niego trzecią kopię plików Rakowicza. Marcin nie przyznał się do tego prokuratorowi, który przejął oba oficjalnie zrobione egzemplarze, twierdząc, że tak wrażliwy materiał musi być odpowiednio zabezpieczony. Dzięki temu Marcin mógł pokazać ojcu przegrane pliki. Zastanawiali się, czy powinni poinformować rodziców o tym, co przytrafiło się ich dzieciom, lecz ostatecznej decyzji nie podjęli w oczekiwaniu na ruch Wójcika. Wszystko zależało od tego, czy prokurator ruszy sprawę, czy będzie wolał zamieść ją pod dywan.

– Przejeliśmy laptop Piotra Rakowicza – powiedział wolno. – Były tam zdjęcia i filmy, ale na żadnym nie widziałem waszego syna. Tylko że to jeszcze nic nie znaczy. Myślę, że powinniście porozmawiać z chłopcem o tym, co go spotkało.

Oboje Zawodni wyraźnie się spłoszyli.

– Ja nie... – Kobieta urwała, po czym dokończyła z wysiłkiem: – Nie mogę. Nie potrafię. To powinien załatwić mężczyzna.

Popatrzyła z nadzieją na męża, lecz ten w popłochu zamachał rękami.

– Nigdy w życiu. Ja nie umiem gadać o takich sprawach.

Dariusz z trudem powstrzymał się, by nie zakląć. Nie rozumiał takiego nastawienia do spraw związanych z seksem.

– Macie troje dzieci – warknął – więc chyba pan wie, o co w tym chodzi.

– Co innego robić, a co innego o tym mówić – wyznał Zawodny z rozbijającą szczerością. – Tym bardziej że to jeszcze dzieciak.

Gdyby był starszy... A co, jeśli tym moim gadaniem tylko mu zaszkodzę?

– A pan? – odezwała się nagle Zawodna. – Pan nie mógłby tego zrobić? – Popatrzyła z nadzieją. – Pan jest obcy, więc byłoby panu łatwiej, a Mateusz też na pewno prędzej zwierzy się obcemu niż rodzicom.

Lipski zastanawiał się długo, nim podjął decyzję.

– Spróbuję. Ale jeżeli zobaczę, że chłopak się wykręca, odpuszczę, bo tu nie można na siłę. Wtedy jedynym wyjściem będzie wizyta u psychologa.

Zawodni przyjęli te warunki, zresztą nie mieli wyboru. Dariusz przedstawił je tak kategorycznym tonem, że zrozumieli od razu, iż wszelkie negocjacje są bezcelowe. Joanna Zawodna po krótkiej chwili wstała i opuściła pokój, pozostawiając mężczyzn samych, policjant zaś sięgnął znów po notatnik i długopis, by załatwić sprawę, która przywiodła go do tego domu.

– Powiedział pan przedtem, że kogoś pobił. Rozumiem, że nie proboszcz był obiektem tego ataku – nawiązał do reakcji gospodarza.

– Niestety nie – brzmiała odpowiedź. – Gdybym wiedział, co zrobić... Żałuję, że on już nie żyje, bo z przyjemnością urwałbym mu kutasa i wsadził do gardła, a potem obserwował, jak walczy o każdy oddech.

Policjant pominął milczeniem tę deklarację, która nie była niczym innym jak tylko próbą pozbycia się frustracji, i po raz kolejny spróbował zawrócić rozmówcę na właściwy tor.

– Jeśli nie Rakowicz, to kto to był? Nazwisko proszę.

Zawodny westchnął ciężko i zaczął z uwagą oglądać swoje paznokcie.

– Adrian Kocóń – odpowiedział, nie patrząc na policjanta.

Lipskiego te słowa specjalnie nie zaskoczyły. Słyszał od Diony o fascynacji grą Lords of the Underground, o turniejach i o siedzeniu do późna przy komputerze. Mimo to uznał, że reakcja mężczyzny była mocno przesadzona.

– Pobił go pan za to, że grał z Martyną? – spytał z niedowierzaniem.

W odpowiedzi gospodarz rzucił mu ciężkie spojrzenie.

– Miałem gdzieś tę całą grę, choć żona się martwiła, że Martyna przez to zaniedba naukę. Ja uważałem, że nie ma sensu się o to kłócić, że dziewczynie to przejdzie. Już nieraz tak było, że rzucała się na jakieś hobby, a po kilku miesiącach zaczynało ją nudzić. Mnie chodziło o to, co próbował jej zrobić.

Mina mężczyzny, a także ton jego głosu zasugerowały policjantowi wyjaśnienie, tylko że było ono sprzeczne z informacjami zdobytymi przez Dionę.

– Z tego, co słyszałem, on interesował się Marianną, nie Martyną.

– Wszyscy tak myśleliśmy – odparł Zawodny, zaciskając ponownie dłonie w pięści. – Ale to była zmyłka. Od początku chodziło mu o Martynę. Wykorzystał wieczór, gdy wszyscy oprócz niej byliśmy w Świercznicy na imieninach, nie przewidział tylko, że ja wrócę do domu, bo szwagier chciał pożyczyć ode mnie pieniądze. Zastałem ich tu na dole. Szarpał się z nią i próbował zedrzeć z niej ubranie. Dałem mu w mordę, złapałem za wszarz i wyrzuciłem za próg.

Policjant zrobił stosowną notatkę, zastanawiając się jednocześnie, jak odnieść wyznanie mężczyzny do umorzonej sprawy ciężkiego pobicia Koconia, którego w maju 2018 roku znaleziono nieprzytomnego w pobliżu jego domu. Później Kocoń zeznał, że nie rozpoznał napastnika i nie ma pojęcia, dlaczego został zaatakowany.

– Powiedział pan, że omal nie zabił Koconia...

– Bo tak było – przerwał mu Zawodny. – Kiedy Martyna powiedziała mi, co jej zrobił... Rzucił się na nią, zbił po twarzy i mówił, że ją zerznie, a jej nikt nie uwierzy, że tego nie chciała, bo przecież wszyscy wiedzieli, że się spotykają. I że ma już ukończone piętnaście lat, więc on ma prawo ją przelecieć. – Mężczyzna wyprostował się i popatrzył Lipskiemu prosto w oczy. – Pojechałem za nim. Znam skrót przez las, więc byłem na miejscu szybciej niż on. Zaczaiłem się koło furtki i dopadłem go, kiedy wysiadł z auta, żeby otworzyć bramę, Może nie pobiłbym go tak mocno, gdyby nie to, że ten gnój śmiał mi się w twarz i powtarzał, że upatrzył sobie moją córkę i prędzej czy później będzie ją miał.

Wszystko więc było jasne, pozostało tylko dowiedzieć się, skąd Paweł Pisarek zdobył informacje o pobiciu Koconia. Lipski zapytał

o to bez większej nadziei na uzyskanie odpowiedzi, okazało się jednak, że był w błędzie. Podczas pobytu w szpitalu Kocoń musiał uzmysłwić sobie, że próba gwałtu oznacza koniec jego urzędniczej kariery, napisał bowiem do Zawodnego e-mail z propozycją obopólnego milczenia, a ten po namyśle wyraził zgodę. Korespondencja musiała zostać odczytana przez Pisarka, który zyskał dzięki temu argumenty do wymuszania pieniędzy od obu mężczyzn.

Po nakazaniu Zawodnemu, by zgłosił się nazajutrz do komisariatu celem złożenia zeznań, Lipski pojechał do Myszków, gdyż według słów Marianny Aleksander Myszkowa z całą pewnością należał do grona osób szantażowanych przez Pisarkę. Tutaj nie poszło mu tak łatwo jak u Zawodnych. Początkowo zarówno Aleksander, jak i Alina twierdzili, że nie mają pojęcia o żadnym wymuszeniu. Pomogło dopiero napomknięcie o liście z żądaniem dwóch tysięcy złotych, o którym wspomniała Marianna Zawodna. Wówczas przyznali, że byli szantażowani, ale nadal odmawiali odpowiedzi, co tak bardzo chcieli ukryć przed światem.

Lipski gotów był już się poddać, gdy nagle do pokoju wszedł ośmioletni na oko chłopiec. Policjant od razu go rozpoznał. To było dziecko z jednego z filmów Piotra Rakowicza.

– Czy jesteście państwo świadomi faktu, że wasz syn padł ofiarą molestowania seksualnego? – spytał cicho, gdy chłopiec wyszedł.

Równie dobrze mógłby rzucić na środek pokoju granat zapalający. Myszkowie poderwali się z krzesel, a ich wzrok zdawał się przebijać go na wylot. Aleksander poruszał ustami, nie mogąc wydobyć słowa, Alina wyglądała, jakby lada moment miała się udusić. Ale to ona pierwsza zdołała się opanować.

– To potworne! – wykrztusiła i skrzywiła się z niesmakiem. – Jak można żartować z takich spraw? Złożę na pana skargę.

– Ma pani takie prawo.

Na wypadek gdyby chłopak podsłuchiwał, Lipski jeszcze bardziej ściszył głos, gdy opowiadał o zdjęciach i filmach znalezionych w laptopie proboszcza. Myszkowej jednak to nie przekonało.

– Ksiądz Piotr to był święty człowiek. Na pewno sami wgraliście te filmy, żeby go zdyskredytować...

– Dostyc! – Aleksander stracił wreszcie cierpliwość. – Przestań gadać brednie! Sama mówiłaś, że chłopak się zmienił, że coś go chyba gnębi. Nie chciał chodzić do kościoła, a ty go zmuszałaś. Masz teraz swojego świętego, ty tępą dewotko! – Ostentacyjnie odwrócił się tak, by nie musieć patrzeć na żonę, i spojrział prosto w oczy policjanta. – Załatwiałem żonie aborcję w szpitalu na Słowacji. Nie stać nas na jeszcze jedno dziecko. Nie wiem, jakim sposobem Paweł Pisarek poznał treść tych e-maili, ale to chyba nie ma znaczenia. Musiałem mu płacić, a teraz znowu dostałem wiadomość z żądaniem pieniędzy.

Alina Myszka milczała uparcie podczas całej tej przemowy, a także wówczas, gdy na żądanie Lipskiego mąż dał mu swój laptop. Siedziała ze spuszczoną głową i całą swą uwagę poświęciła odpryskowi lakieru na paznokciu prawego kciuka.

Policjant nie skomentował ani słowem wyznania Myszkki, choć korciło go, by zapytać kobietę, jak aborcja z przyczyn materialnych ma się do jej rzekomo niezłomnej wiary. Poleciał obojgu małżonkom stawić się nazajutrz w komisariacie, rzucił krótkie „do widzenia” i wyszedł.

Chodził od domu do domu i poznawał mniejsze lub większe przewiny mieszkańców. Jan Kukuczka przemycał papierosy i spirytus, a niejaki Kubica urządził sobie w lesie bimbrownię i produkował tam na skalę niemal przemysłową samogon, opatrując butelki naklejkami wydrukowanymi na starej igłowej drukarce. Zadziwiające było, że choć z daleka można było rozpoznać podróbkę, chętnych na ten wątpliwej jakości trunk nie brakowało, a rynek zbytu stale się powiększał. Z kolei Matusiak, przystojny czterdziestolatek o bystrych oczach i wesołym usposobieniu, wykorzystywał swoje stanowisko podleśniczego do wystawiania fałszywych zezwoleń na wywóz drewna. Kwity wykorzystywano kilkakrotnie, przekazując je z rąk do rąk.

Za każdym razem ludzie ci zostawiali ślad poprzez posługiwanie się pocztą elektroniczną bądź Messengerem, co dowodziło, że teoria

Diony była słuszna. Paweł Pisarek musiał zainstalować w ich komputerach jakiś program szpiegujący.

Dariusz Lipski poznał też nazwiska ofiar pedofilskich zakusów Piotra Rakowicza. Dominik Myszka, Łukasz Kukuczka i Hubert Jasień. Przekazał tę informację Marcinowi, zadowolony, że nie on musi babrać się w tej paskudnej sprawie.

Rozdział 13

Polowanie na księdza

25–28 lipca 2019

Informacje zebrane przez Dariusza Lipskiego jego syna bynajmniej nie zachwyciły. Przedtem łudził się jeszcze, że może filmy pochodzą z okresu, gdy Piotr Rakowicz pełnił posługę kapłańską z dala od Osin. Wystosował nawet do kurii kolejne pismo, w którym poprosił o podanie przyczyny przeniesienia Rakowicza na drugi koniec Polski, do małej, ubogiej wioski. Jak zauważył wcześniej, awans to raczej nie był. Odpowiedzi jednak dotychczas nie otrzymał i jak przypuszczał, nie otrzyma jej nigdy, a jeśli nawet, to zgodnie z przewidywaniami Rajmunda zapewne zostanie uraczony okrągłymi zdaniem, niezawierającymi żadnych konkretów. Wójcik miał rację – było, jak było, a oni nie mieli szans na wygraną tej potyczki

Zaangażowanie osoby czytającej z ruchu warg również nie przyniosło nic prócz ogromnego rozczarowania. Słowa księdza nie pomogły w identyfikacji człowieka odpowiedzialnego za zabójstwo, były jedynie poleceniami lub próbami wywierania nacisku na dzieci, niektóre zaś były wyznaniem, które z racji wywieranego na chłopców przymusu oraz ich wieku wzbudziły w Marcynie i tłumaczu jedynie obrzydzenie.

Lipski wiedział już, że ofiary księdza mieszkają w Osinach, a to sprawiło, że liczba osób podejrzewanych o zabójstwo Rakowicza gwałtownie wzrosła. Przedtem typował do roli zabójcy jedynie wikarego, teraz musiał wziąć pod uwagę również rodziny tych trzech

chłopców. A być może jeszcze kogoś, gdyż nie miał pewności, czy molestowanych dzieci nie było więcej. Na przykład taki Mateusz Zawodny...

Zaproszony na plebanię chłopiec uderzył księdza, gdy ten niespodziewanie zaczął go dotykać. Nieprzywykłego do sprzeciwu proboszcza do tego stopnia zaskoczyło zachowanie Mateusza, że na moment osłupiał. Chłopiec to wykorzystał i uciekł, lecz potem gnębiły go wyrzuty sumienia, podsycane jeszcze przez Rakowicza sączącego mu do uszu groźby o wiecznym potępieniu za podniesienie ręki na osobę duchowną.

Na kilka dni przed śmiercią proboszcz posunął się o krok dalej i stwierdził, że jeśli Mateusz nie przyjdzie na plebanię, by wspólną modlitwą przebłagać Boga, do piekła trafią także jego rodzice. Będzie to kara za to, że źle wychowali syna. Chłopiec nie mógł znieść myśli o tym i gotów był poddać się woli proboszcza, lecz właśnie wtedy Rakowicz został zamordowany. Można więc uznać, że zabójca go uratował.

Marcin przyjrzał się dokładnie rodzinie Zawodnych. Ufał opinii ojca, który na podstawie obserwacji wykluczył Damiana Zawodnego, lecz mimo to postanowił sprawdzić, co mężczyzna robił tamtej nocy. Okazało się, że Zawodni gościli wówczas rodzinę i siedzieli do trzeciej nad ranem, dyskutując zaciekle o polityce.

Rodziców skrzywdzonych chłopców wkrótce także musiał wykluczyć i tym samym znalazł się w punkcie wyjścia. Jednak coraz mniej skłaniał się ku teorii, że zabójcą jest Apoloniusz Marczak. Intuicja podszeptowała mu, że wysnuta wspólnie z Dioną hipoteza jest słuszna i wikary został zmuszony do napisania listu pożegnającego. Przez kogo? Tego niestety nadal nie wiedział.

Przyjrzał się dokładnie mężczyznom noszącym imię Aleksander, lecz zyskał tylko tyle, że kategorycznie wykluczył Aleksandra Myszkę, który przez cały luty przebywał w szpitalu w Wilkowicach na oddziale rehabilitacji. Oprócz niego w Osinach mieszkało jeszcze dwóch mężczyzn o tym imieniu, lecz żaden z nich nie miał motywu, by zabić Pisarka. Należeli do małego grona tych, którzy nie byli szantażowani.

Rozmyślania przerwało mu pojawienie się umundurowanych funkcjonariuszy, którzy doprowadzili na przesłuchanie zatrzymanego wczoraj bandziora. Marcin westchnął, odłożył teczkę z aktami śledztwa w sprawie zabójstwa księdza Rakowicza i sięgnął po inną.

Wspomniał przy tym słowa naczelnika Cichostępskiego, którymi ten zachwalał mu pracę w wydziale dochodzeniowym. „Tylko około pięćdziesięciu spraw na biegu”. Inspektor powiedział to w żartach i oczywiście przesadził, ale przeszacowanie nie było znowu aż tak wielkie. Mimo to Lipski wolał obecne zajęcie od obowiązków komendanta komisariatu, które pełnił przez blisko pół roku. Tu był policjantem, a tam urzędnikiem.

Szybko przejrzał cieniutką teczkę, z której zawartością nie miał dotąd czasu porządnie się zapoznać, i doszedł do wniosku, że przynajmniej w tym przypadku nie powinno być żadnych niespodzianek. Sprawa wydawała się oczywista.

– Co to, nie przyfarciło? – powitał zatrzymanego. – Za długo na wolności to sobie nie pobyłeś. Ale teraz wczasy będą dłuższe.

Sebastian Olech gościł w tym budynku nie pierwszy raz i z pewnością nie ostatni. Imał się różnych sposobów zdobycia pieniędzy, od włamań do piwnic i ogródków działkowych po kradzieże portfeli na targowisku i w autobusach. Tym razem poszedł o krok dalej. Wyrwał telefon z ręki przypadkowego przechodnia, a gdy mężczyzna usiłował odzyskać swoją własność, uderzył go pięścią w twarz, przewrócił i skopał.

Olech nie wydawał się przejęty słowami policjanta. Przybrał znudzony wyraz twarzy, poprawił się na krześle i założył nogę na nogę.

– Daruj se tę gadkę. Nic nie zrobiłem. Jutro i tak będziecie musieli mnie wypuścić.

– Chyba śnisz. Złapali cię na gorącym. Trzeba było spieprzać, póki miałeś okazję, a nie tracić czas na kopanie tego faceta.

– Na jakim gorącym? – oburzył się Olech. – Trochę się z gostkiem poszturchałem, a wy z tego robicie wielkie halo.

– Poszturchałeś – powtórzył Marcin w zadumie. – Ciekawe określenie dla kradzieży rozbójniczej.

– Co?! – Olech aż poderwał się z krzesła. – Nie wrobiecie mnie w coś takiego! Jestem niewinny i każdy sąd to uzna.

Policjant popatrzył na niego z rozbawieniem.

– Na twoim miejscu bym na to nie liczył. Masz w kartotece więcej zdjęć niż na Facebooku, a wczoraj doszło do kompletu jeszcze jedno. Trzeba mieć brokuły zamiast mózgu, żeby wyrywać facetowi telefon tuż przed kamerą monitoringu.

Tego Olech się nie spodziewał i mina mocno mu zrzędła. Zmarszczył brwi i mamrotał coś pod nosem. Widocznie wynik rozważań nie wyszedł po jego myśli, gdyż zaklął cicho, a następnie spróbował negocjacji.

– Mógłbym powiedzieć wam coś ciekawego, ale nie za darmo. Musielibyście zejść do zwykłej kradzieży.

Marcin uniósł brwi w wyrazie wystudiowanego zdziwienia.

– Ty tak na poważnie? Myślałem, że jesteś mądrzejszy. Wiesz, zaraz na początku mojej służby w policji przesłuchiwałem twojego ojca – powiedział gawędziarskim tonem. – To było wtedy, gdy jeden jedyny raz zaliczył wpadkę. Nie próbował mi ściemniać ani nie sypnął współników, a ja i tak zrobiłem, co w mojej mocy, żeby nastawić przychylniej prokuratora. A wiesz czemu? Bo cenię fachowców w każdej dziedzinie. On był prawdziwym wirtuozem i wierzę, że gdyby chciał, mógłby się dostać nawet do mennicy państwowej.

Złodziej wyprostował się dumnie, jakby pochlebna opinia o jego nieżyjącym już ojcu w jakiś sposób i jemu dodawała splendoru.

– Czyli co? Mnie też pan pomoże?

– Powiedziałem, że cenię fachowców, a ty jesteś zwykłym paprokiem. Dwadzieścia osiem lat i trzy odsiadki. Twój ojciec pewnie w grobie się przewraca i żałuje, że nie spuścił się na prześcieradło.

– Ty kutasie! – wysyczał Olech. Już nie był uprzejmy. – Mam w dupie ciebie, układy i prokuratora. Odsiedzę swoje i chuj. A wy będziecie sobie szukać tego księdza do usranej śmierci.

Marcin z trudem ukrył wrazenie, jakie na nim zrobiły ostatnie słowa przestępcy. Poszukiwali tylko jednego księdza. Zatem Olech

nie mógł mówić o nikim innym jak tylko o Apoloniuszu Marczaku.

Postanowił uczulić prokuratora na tę kwestię. Może Siczek wyciągnie z Olecha coś więcej? Pomiął milczeniem uwagę złodzieja, zadał mu jeszcze kilka pytań i zajął się sporządzaniem protokołu. Ignorowanie jego osoby wcale się mężczyźnie nie podobało. Chciał zabłysnąć, a nie dano mu ku temu okazji. Mruczał więc pod nosem niezbyt parlamentarne słowa, podające w wątpliwość moralne prowadzenie się matki policjanta, i łypał gniewnie spod zmarszczonych brwi. Marcin tylko się uśmiechnął.

– Co tam marudzisz? Chcesz ze mną wchodzić w układy, a jęczysz jak stara baba. Zresztą dobrze wiem, że księdza to ty widziałeś co najwyżej, jak niosłeś koszyczek ze święconym.

– Nie gadam z tobą, ty jebany psie! – Olech znów nie zdołał opanować wściekłości. – Gówno wiesz. Widziałem tego księdza, jak wyłaził z takiej jaskini niedaleko granicy. I co ty na to, miętki chuju?

– Mogę ci tylko podziękować za info. Widzisz, jak dobrze nam poszło? Pogadaliśmy sobie i układ okazał się niepotrzebny.

Mężczyzna ubrany w koszulkę z dumnym napisem „JP na 100%” niemal zawył z wściekłości, gdy uświadomił sobie, że dał się podpuścić jak małe dziecko, przez co stracił swoją jedyną kartę przetargową.

*

– A pani co tu robi?!

Diona wzdrygnęła się, nieprzyjemnie zaskoczona. Natychmiast rozpoznała głos nadkomisarza Ogińskiego, który zgodnie z zapewnieniem Darka miał cały dzień przebywać na naradzie w komendzie powiatowej. Gdyby wiedziała, że zmienił plany, w żadnym wypadku nie zgodziłaby się na spotkanie w komisariacie. Nie miała ochoty znowu wysłuchiwać obraźliwych uwag.

Przystanąła, wzięła głęboki wdech, szykując się do konfrontacji, i wolno zwróciła twarz w stronę drzwi prowadzących do pokoju

komendanta komisariatu. Stał tam i patrzył na nią surowym, nieprzychylnym wzrokiem.

– Dzień dobry, panie nadkomisarzu.

Posłała mu jeden z najbardziej ujmujących uśmiechów ze swojej bogatej kolekcji, ale coś musiało pójść nie tak, gdyż na twarzy mężczyzny odmalowało się ogromne zdumienie. Miał taką minę jak ona, gdy dawno temu wsiadła na zużłowy motocykl kolegi i zamocowany po prawej stronie hak zarył o ziemię. Przekonała się dosyć boleśnie, że prawdą jest, iż tym pojazdem powinno się skręcać tylko w lewo.

Ogiński zdołał się wreszcie opanować. Miejsce zdumienia znowu zajęła dezaprobata. Skinął lekko głową.

– Dzień dobry. Pytałem, co pani robi.

Diona nie byłaby sobą, gdyby nie wykorzystała sytuacji.

– Wychodzę.

Nadkomisarz nie dał się sprowokować. Spokojnie doprecyzował pytanie.

– Miałem na myśli, co pani robiła w komisariacie.

– Nic szczególnego. Weszłam, porozmawiałam, a teraz mam zamiar wyjść.

Uzupełniła wypowiedź obojętnym wzruszeniem ramion, dając tym samym do zrozumienia, że rozmowa zaczyna ją nudzić. Już dawno temu nauczyła się, że nic tak nie wyprowadza oponenta z równowagi, jak zlekceważenie tematu lub okazanie rozbawienia. Tym razem wybrała pierwszą opcję i chyba postąpiła słusznie, zauważyła bowiem, że Ogiński zacisnął szczęki.

– Nie ma pani za grosz przyzwoitości. Nieważne, że Lipski na zakończenie kariery zszarga sobie opinię, byleby pani miała swoje informacje.

Pogarda w jego głosie zaboląła tak bardzo, że na moment zabrakło jej tchu.

– Myli się pan, nadkomisarzu – odparła, siląc się na spokój. – To ja przekazałam Lipskiemu informacje, nie odwrotnie.

Po jego minie poznała, że nie uwierzył w ani jedno słowo, dlatego odpowiedź nie była żadnym zaskoczeniem.

– Taa, a ptaki rozmnażają się przez podział. Proszę stąd wyjść, zanim powiem pani coś przykrego.

Uśmiechnęła się smutno, z goryczą.

– Może być coś bardziej przykrego od tego, co usłyszałam? Już dawno by mnie tu nie było, gdyby pan mnie nie zatrzymywał. – Odwróciła się, żeby odejść, lecz naraz przystanęła. – Niech mi pan odpowie na jedno pytanie. Czemu mnie pan tak nienawidzi?

– Wcale pani nie nienawidzę, tylko panią gardzę.

Ogiński wszedł do pokoju, nie czekając na jej reakcję, i zamknął za sobą drzwi. Diona pożałowała, że w ogóle wdała się w tę rozmowę. Co innego wyczuwać czyjąś niechęć, a co innego usłyszeć o niej wprost. Poczucie krzywdy dławiło ją do tego stopnia, że miała ochotę się rozplakać jak mała dziewczynka. Gdybyż przynajmniej wiedziała, dlaczego nadkomisarz traktuje ją jak wroga. A nawet nie jak wroga. Jak śmiecia. To nie była normalna reakcja, nawet przy założeniu, że rzeczywiście była nieuczciwą policjantką. Musiało się za tym kryć coś więcej.

*

Dariusz Lipski analizował najświeższe wieści uzyskane od Diony. Rozpisał je sobie na kartce i właśnie oceniał wzajemne zależności, gdy do pokoju wszedł komendant. Od razu można było zauważyć, że jest w nie najlepszym humorze.

– Przekazujesz poufne informacje cywilowi. – Ogiński bez wstępów przeszedł do meritum. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że powinienem wdrożyć postępowanie?

Lipski uniósł głowę znad kartki, lecz myślami nadal błądził wśród domów rozsianych nad potokiem Osinka.

– Gdybym przekazywał takie dane, to oczywiście, że powinieneś. Na szczęście ja niczego takiego nie robię, więc nie masz problemu.

Znowu pochylił się nad kartką, zastanawiając się, czy hipoteza Diony nie jest sprzeczna z ustaleniami śledztwa. Naraz czyjeś silne

ręce odsunęły go wraz z krzesłem od biurka, a nad głową rozległ się wibrujący gniewem głos komendanta:

– Do jasnej kurwy, patrz na mnie, jak do ciebie mówię!

– Gdy do ciebie mówię – poprawił machinalnie.

Zaraz potem ugryzł się w język, ale było już za późno. Ogiński omal nie eksplodował. Lipski stwierdził, że jeszcze nie widział nadkomisarza tak wściekłego. Gorączkowo szukał słów mogących załagodzić sytuację, lecz jak na złość do głowy przychodziły mu jedynie głupawe odzywki rodem z internetowych memów.

– Jaja sobie robisz?! Miodek się, kurwa, znalazł!

– Sorry, szefie. – Dariusz podniósł pojednawczo ręce. – Zaczynam mieć obsesję na punkcie tych jaków i dlatego...

– Jakich znowu jaków? Zresztą nieważne, chyba nie chcę wiedzieć. Była u ciebie Remańska. Co jej sprzedałeś?

Lipski wytrzymał bez mrugnięcia surowe spojrzenie komendanta.

– Szefie, przecież już mówiłem, że Dionka to porządna dziewczyna. Przyniosła mi najświeższe wieści z Osin. To dzięki niej dowiedziałem się o tym, że Pisarek był szantażystą. Gdyby nie ona, dalej byłbym w lesie. – Urwał i zmarszczył brwi. – Choć właściwie wcale z niego nie wyszedłem – przyznał uczciwie.

Nadkomisarz przez kilka minut rozważał jego słowa.

– Rozumiem, co masz na myśli – powiedział z wolna. – Dalej masz dwie możliwe wersje. Jedna to taka, że mieszkańcy Osin mogli go zabić, żeby raz na zawsze skończyć z szantażem. A druga, że sprawa się wydała, więc uciekł przed ich zemstą.

– Dokładnie tak to wygląda – przyznał Dariusz. – Czyli w zasadzie jestem w punkcie wyjścia i jedyne, co udało mi się zyskać, to dołożenie sobie roboty. Bo teraz muszę wyłączyć te pierdolone grzeszki osiniaków i prowadzić jako odrębne sprawy.

Ogiński nie skomentował tej wypowiedzi; widać było, że myślami powędrował gdzieś daleko. Przyciągnął sobie krzesło stojące przy sąsiednim, pustym biurku i zacisnął usta w wąską kreskę, uświadomiwszy sobie, kto jeszcze niedawno je zajmował. Kierowca radiowozu staranowanego przez ciężarówkę już nigdy na tym krześle nie usiadzie.

Potarł bliznę przecinającą brew – jedyny widoczny ślad po tamtym wypadku – i spytał, nie patrząc na Lipskiego:

– Kumplowałeś się z nim? Z Małkiem – uściślił, zerkając znowu w stronę pustego biurka. Dariusz również na nie spojrział.

– Nie bardzo. Prywatnie nie mieliśmy o czym gadać, ale ogólnie gość był w porządku. I cholernie skuteczny w robocie.

– Ale Pawła Pisarka nie znalazł, a teraz twoja ulubienica zarzuca nam niekompetencję. Jakby nie wiedziała, że nie wszystkie sprawy da się łatwo rozwiązać. Wredna złodziejska szmata.

Lipski poczuł przyływ gniewu. Wstał. Wiedział, że wiele ryzykuje, ale nie mógł pozwolić, by w jego obecności obrażano niewinną kobietę. Liczył też, że komendant wykaże się rozsądkiem, którego na co dzień mu nie brakowało.

Zaczął od nieporozumienia, które Marcin ostatnio wyjaśnił.

– Rozmawiałeś z Wójcikiem, prawda? Szanowny pan prokurator powinien słuchać uważniej, co się do niego mówi.

– Co ma do tego Wójcik? – Nadkomisarz wyglądał na skonsternowanego. – Co z tego, że z nim gadałem? O co ci chodzi?

– Diona wcale nie przedstawiła mu swojej opinii, tylko zacytowała słowa Pisarkowej – wyjaśnił Lipski i opowiedział o rozmowie prokuratora z Marcinem. – Wójcik ma taki żal do prywatnych detektywów, że tego nie zauważył i właśnie jej przypisał ocenę naszych działań – zakończył, upił łyk herbaty i odstawił kubek.

– Hmm – mruknął Ogiński. – To całkiem możliwe. Wiem, że ma skrzywienie na tym tle – przyznał po namyśle. – Ale to nie zmienia faktu, że Remańska zhańbiła mundur. Powinni byli wywalić ją na zbity pysk, a nie pozwolić, żeby sama odeszła. Ona jest na wolności i udaje wielką panią detektyw, a za jej czyny odpowiedział niewinny człowiek.

Nadkomisarz ze złością uderzył pięścią w biurko, aż podskoczył stojący obok monitora kubek z herbatą, a drobinki cieczy upstrzyły teczkę z aktami. Dariusz wytarł je chusteczką higieniczną i zerknął na komendanta. Rozmyślał nad tym, co właśnie usłyszał. Gniew Ogińskiego sugerował osobiste zaangażowanie, a wzmianka

o niewinnym człowieku wskazywała wyraźnie, skąd pochodziły informacje szefa.

– Szefie, czy mówiąc o niewinnym człowieku, miałeś na myśli Kamila Kicka? – spytał ostrożnie.

Komendant spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem.

– Skąd wiesz? Znasz go? W takim razie nie rozumiem, czemu jej bronisz.

– A ty go znasz? – odparł pytaniem na pytanie. – Aż tak mu ufasz, że kupujesz wszystko, co ci sprzedaje?

Ogiński zmieszał się lekko. Zacisnął szczęki, wstał i zaczął przemierzać pokój szybkimi, nerwowymi krokami, a że małe pomieszczenie w niczym nie przypominało promenady, co rusz musiał robić nawrót. W myślach Dariusza zakiełkowała obawa, że jeszcze kilka takich zwrotów i komendantowi zakręci się w głowie, gdy obiekt jego troski zatrzymał się przy biurku i z rozmachem klapnął na krzesło.

– Wcale go nie znam – przyznał z pewnymi oporami. – Mam dobrego kumpla, znamy się od podstawówki. Jakiś czas temu kontakt się nam zluźnił, bo Jacek przeniósł się do Irlandii. Ale na początku miesiąca przyjechał na urlop i się spotkaliśmy. On ma siostrę. I żalił mi się, że Sabina miała faceta, który był gliniarzem, ale go wsadzili do pudła i ona została sama z malutkim dzieckiem. Pytał, czy nie mógłbym jakoś zadziałać, żeby go puścili.

Zafascynowany opowiadaniem Lipski bezwiednie włożył papierosa do ust i szczęką zapalniczką. Po chwili zorientował się, co robi, i popatrzył niespokojnie na komendanta. Ogiński nie znosił, gdy funkcjonariusze palili w komisariacie, i tępił to przyzwyczajenie z całą surowością. Teraz jednak w ogóle nie zwrócił uwagi na kłęby dymu, mało tego, sięgnął po papierosy i sam także zapalił. Potem kontynuował opowieść.

– Ze słów Jacka zrozumiałem, że facet siedzi w śledczym, więc jeśli nie był mocno umoczony, istniała szansa, że wyjdzie w zawiasach. Mieszać się w to nie chciałem, ale inny mój kumpel jest adwokatem i nazywają go mistrzem od spraw beznadziejnych. Ma tylu klientów, że z ulicy do niego nie wejdiesz, ale mnie by nie odmówił. Najpierw

jednak musiałem pogadać z Sabinką i dowiedzieć się, jakie zarzuty postawiono temu Kamilowi i czy w jakiejś części są zasadne.

– Co powiedziała? – spytał Dariusz, choć domyślał się, co usłyszy.

– Tego Kamila wrobiła policjantka. Koleżanka z komisariatu, która podczas przeszukań kradła pieniądze, biżuterię i różne fanty. Byleby były małe i wartościowe. A kiedy zaczęło się jej palić pod dupą, podłożyła mu do szafki jakąś lewą elektronikę i facet był ugotowany. Komendant mu nie uwierzył, że to nie jego fanty, chociaż ludzie z komisariatu dobrze wiedzieli, że to ona kradła.

– Ty oczywiście uwierzyłeś tej Sabinie? – bardziej stwierdził, niż zapytał Lipski.

– Nie mam powodu jej nie wierzyć. Jest załamana. Została bez środków do życia. W dodatku okazało się, że źle zrozumiałem opowiadanie Jacka. Kamil wcale nie siedzi w śledczym, tylko od roku przebywa w zakładzie karnym. – Ogiński dopiero teraz zorientował się, że pali, i ze wstrętem zgasił papierosa. – Domyślasz się, kim była ta dziewczyna z komisariatu?

Lipski także zgasił niedopałek, wrzucił oba do kosza i szerzej otworzył okno.

– Doskonale wiem, kim była. Za to ty chyba nie. – Zauważył minę komendanta i lekko się uśmiechnął. – No, szefie, powiedz, jak się nazywała.

Mina Ogińskiego świadczyła, że mężczyzna zwątpił w jego inteligencję.

– To chyba oczywiste – burknął. – Obaj wiemy, że chodzi o twoją ulubienicę, Dionizę Remańską.

– Kurwa mać! Szefie! – Teraz Lipski poderwał się z krzesła i podjął wędrówkę po pokoju, choć jeszcze przed chwilą zachowanie nadkomisarza wydawało mu się zabawne. – Nawet nie sprawdziłeś, czy ta twoja znajoma nie wpuszcza cię w maliny?!

– Czemu miałyby to robić? – Ogiński wzruszył ramionami. – To fakt, że nie znam jej zbyt dobrze, bo kumpłowałem się z jej bratem, a nie z nią, ale Jacek nigdy nie wspominał, że jego siostra ma skłonności do mitomanii. Zresztą, gdyby coś tam było nie tak, to adwokat od razu by to wyłapał.

Dariusz miał ochotę wznieść oczy do nieba. Nie spodziewał się podobnego zachowania po komendancie, który od początku objęcia we władanie komisariatu w Jodłowcu wykazywał się dokładnością i zważaniem na każdy szczegół.

– Ale adwokat nie sprawdził, bo sprawy już nie było – domyślił się natychmiast. – Podejrzewam, że Kamil Kicek nie życzył sobie podjęcia starań o kasację wyroku. Wiedział dobrze, że nie ma szans.

– Dalej nie wiem, o co ci chodzi.

Ogiński wyglądał na mocno zirytowanego, lecz Lipski tym się nie przejął. Gdyby z powodu tej rozmowy miało dojść między nimi do otwartego konfliktu, w każdej chwili mógł odejść na emeryturę. To nie on prosił o możliwość pozostania w służbie. Najpierw wskutek nalegań komendanta powiatowego zgodził się zostać jeszcze jakiś czas, a później o to samo poprosił go właśnie Ogiński.

– Chodzi mi o to, że w tamtym komisariacie nie służyła Dioniza Remańska, tylko Dioniza Kicek. Była wtedy żoną Kamila Kicka. Teraz kumas, szefie?

Zaskoczony nadkomisarz dość długo spoglądał na niego tępym wzrokiem, jakby ta informacja przerosła jego zdolność pojmowania. Wreszcie otrząsnął się z osłupienia i odparł niechętnie:

– O tym nie wiedziałem, ale nie sądzę, by ten fakt zmieniał jakoś szczególnie całą sytuację.

– Teoretycznie nie, ale w tym przypadku ma znaczenie. Szymon, przejedź się do tego komisariatu i pogadaj z komendantem. – Dariusz nie zdołał się powstrzymać, by nie dodać: – Szkoda, że tego nie zrobiłeś, zanim nazwałeś Dionę złodziejką. Oskarżać jest łatwo, przeproszać trudniej.

Wściekłe spojrzenie Ogińskiego powiedziało mu, że przesadził. Był pewien, że zaraz usłyszy kilka niezbyt miłych słów, lecz nadkomisarz tylko lekko skinął głową i wyszedł z pokoju. Lipski wziął głęboki oddech, otworzył szerzej okno i stanął tak, by chłodniejsze powietrze owiało mu plecy. Wzdłuż kręgosłupa spływały mu krople potu. Ale było warto. Czuł, że wygrał tę potyczkę, zatem mokra koszula stanowiła niewielką cenę za oczyszczenie Diony z zarzutów.

*

Obława ruszyła. Przewodnicy z psami tropiącymi szli przodem, za nimi funkcjonariusze rozciągnięci w tyralierę przeczesywali rzadki las, mocno przetrzebiony z powodu plagi korników. Zaglądali do każdego wykrotu, zerkali też w górę, sprawdzając, czy poszukiwany przez nich człowiek nie ukrył się wśród gałęzi. Niektórzy rozmawiali półgłosem, dyskutując nad sensem całej operacji, rzucali przy tym niezbyt przychylnie spojrzenia w kierunku starszego aspiranta Lipskiego, całkiem słusznie w nim upatrując sprawcę swoich męczarni.

Naczelnik Cichostępski był zdania, że wystarczy sprawdzić jaskinię, o której wspomniał Olech, a jeśli zbiega w niej nie będzie, przeszukać okoliczny las. Ale Marcin cały czas miał w pamięci słowa ojca, któremu pewna stara kobieta zwierzyła się ze swych obaw. Twierdziła, że pod jej nieobecność ktoś zakradał się do jej domu i podbierał jedzenie. Dlatego upierał się, by zacząć przeczesywanie terenu od lasu graniczącego ze stojącą na skraju osady chałupą Drzyzgowej, choć wiedział, że nie przysporzy mu to popularności u ekipy poszukiwawczej ani u naczelnika.

Chociaż Marcin był przeświadczony, że ksiądz Apoloniusz nie zabił Pisarka, nie miał tej pewności, jeśli chodzi o zamordowanie proboszcza. Tutaj miał mieszane uczucia. Nadal widział przed oczami zapiski Marczaka i wydawało mu się, że człowiek, który potrafił przelać na kartki papieru tak pełne miłości, tolerancji i zrozumienia myśli, nie byłby zdolny do takiego uczynku jak zabójstwo. Z drugiej jednak strony świadczył przeciwko niemu fakt, że zamiast zawiadomić policję o śmierci Rakowicza, spokojnie odprawił mszę. Na co w ogóle liczył? Chciał ukryć zwłoki i udawać, że o niczym nie wie?

Przeszli już mniej więcej połowę dystansu dzielącego ich od jaskini, a po księdzu nadal nie było nawet śladu. Do uszu Lipskiego coraz częściej dolatywały narzekania zgrzanych, spoconych

funkcjonariuszy. Sam też odczuwał już zmęczenie. Dzień był upalny i duszny, niesprzyjający wędrówkom po lesie, gdzie nawet najmniejszy powiew wiatru nie poruszał gałęziami. Odnosiło się wrażenie, że świat zamarł w całkowitym bezruchu, oczekując nadejścia burzy.

Przed czołem tyraliery pojawiła się grupa buków otaczających wysoką dagleźję, tę samą, u której stóp pijaczyna Pawlus znalazł porzucony zeszyt z listem pożegnalnym. Ci, którzy o tym wiedzieli, automatycznie spoglądali w tamtym kierunku, jakby w oczekiwaniu, że i tym razem wypatrzą tam coś, co pozwoli śledztwu ruszyć do przodu.

Szeroko rozstawionych ludzi było jednak zbyt mało, by mogli dokładnie przeczesać zarośla otaczające to miejsce, więc gdy jeden z psów wyraźnie skręcił w tamtym kierunku, Marcin gestem nakazał sąsiadującym z nim funkcjonariuszom, by rozstawili się szerzej, a sam opuścił linię i ruszył w kierunku daglezi. Wówczas w zaroślach coś zaszeleściło, krzaki poruszyły się gwałtownie, a już po chwili wyprysnęła stamtąd jakaś istota.

U podnóża strzelistego drzewa na moment zastygła, po czym zerwała się do biegu, z każdą chwilą zwiększając dystans dzielący ją od obławy. Ale te sekundy trwania w bezruchu wystarczyły, by Lipski i niektórzy z policjantów mogli dojrzeć, że uciekającym jest chudy, wysoki mężczyzna o zarośniętej twarzy, skołtunionych włosach i błyszczących gorączką oczach.

Marcin w biegu wydawał rozkazy, wskazując kierunek pościgu, i wysforował się, nie chcąc stracić uciekającego z oczu. Był szybki, ale i tak wkrótce wyprzedził go jeden z funkcjonariuszy. Sierżanta Laukera z Ognia Patrolowo-Interwencyjnego nie na darmo koledzy ochrzcili przydomkiem Laufer. Od dawna trenował biegi, brał udział w różnych zawodach, a na jego koncie zebrało się wiele zwycięstw. Lipski wiedział, że nie ma z nim żadnych szans i co ważniejsze, uciekinier również nie. A gdyby nawet zdołał mu się wymknąć, to z boku nadciągał przewodnik niemal wleczony przez śmigającego między krzakami psa.

Nie miał pojęcia, jak długo przedzierał się przez zarośla i omijał wykroty i zwalone, na wpół spróchniałe pnie, gdy daleko przed sobą usłyszał czyjeś krzyki. Miał nadzieję, że to Lauker wzywa zbiega do zatrzymania się; jednocześnie poczuł ulgę, że nie towarzyszył im odgłos wystrzałów. Potrzebował księdza żywego, w dodatku w formie na tyle dobrej, by mógł zeznawać.

Przyspieszył kroku, choć jeszcze przed chwilą wydawało mu się, że za moment padnie z wyczerpania. Ale jakimś cudem nogi nadal go niosły, a płuca pracowały jakby łatwiej. Wreszcie przekonał się, co oznacza sławetny drugi oddech.

Zobaczył ich po przebiegnięciu około stu metrów. Lauker był tuż za uciekającym mężczyzną, który jeszcze próbował poderwać się do szybszego biegu, lecz policjant z wysoko obalił go na ziemię.

Na chwilę stracił ich z oczu, a gdy znów ich ujrzał, zatrzymany siedział ze zwieszoną głową, z rękami skutymi kajdankami, a nad nim stał sierżant z dziwną, jakby zakłopotaną miną.

– Dobry jesteś – pochwalił Marcin zdyszczym głosem, podchodząc bliżej. – Prawdziwy Laufer.

Lauker lekko się skrzywił i odpowiedział bez śladu zadyszki:

– Złapać go to żaden wyczyn. Popatrz, jak on wygląda. Facet nie bardzo potrafi ustać na nogach. Nie wiem, jak mu się udało przebiec tyle metrów.

Lipski dopiero teraz popatrzył na siedzącego. Brudny i zarośnięty, o obszarpanym ubraniu, ksiądz Apoloniusz Marczak przedstawiał sobą żalosny widok, lecz mimo to bez problemu można było go rozpoznać.

Naraz Marczak podniósł głowę i wbił w Marcina spojrzenie błyszczących od gorączki oczu.

– Dobrze, że to już koniec. Chciałem sam się zgłosić, ale zabrakło mi odwagi. Okazałem się tchórzem.

Jego twarz wykrzywiła się w pełnym rozpacz grymasie i Lipski odniósł wrażenie, że księdza bardziej boli bycie tchórzem niż zabójcą.

– Niech pan wstanie – rzucił szorstko. – Pora ruszać.

Między drzewami pojawiły się sylwetki policjantów, słycać było podekscytowane okrzyki: „Mają go”, „Już jest w dybach” i wiele podobnych. Ksiądz wstał z trudem, lecz zachwiał się i byłby upadł, gdyby Lauker go nie podtrzymał. Marcin zauważył spękane od gorączki usta wikarego i zaklął cicho.

– Ma ktoś wodę? Dajcie mu pić.

Butelka wypitej łąpczywie mineralnej wyraźnie pomogła i ksiądz Apoloniusz odzyskał siły na tyle, by iść samodzielnie, lecz mu na to nie pozwolono. Ułożony na noszach niesionych przez funkcjonariuszy usiłował coś wyjaśniać, ale Lipski go powstrzymał. Potrzebował zeznań do protokołu, a rozmowa podczas marszu tylko niepotrzebnie nadwątliłaby siły Marczaka, którego przede wszystkim powinien zbadać lekarz. Teraz nie było już powodów, by się spieszyć.

– Przykryjcie go kocem razem z twarzą – polecił, uświadomiwszy sobie nagle, że za chwilę cała osada się dowie o ujęciu księdza Apoloniusza. Musiał temu zapobiec. – A pan niech nawet nie piśnie i nie rusza się, dopóki na to nie pozwolę. Zrozumiano? Dla mieszkańców osady jest pan martwy.

Rozdział 14

Żądza

28–29 lipca 2019

Diona zmierzała właśnie w stronę sklepu spożywczego, gdy zauważyła Martynę Zawodną opuszczającą w towarzystwie kilku dziewcząt pizzerię Leszka Hardego. Szły w stronę przystanku autobusowego. Pomachała jej nawet, ale nastolatka tego nie zauważyła, zajęta rozmową z koleżankami.

Szybko zrobiła zakupy, wróciła do samochodu i ruszyła w stronę domu. Gdy dojeżdżała do przystanku, dostrzegła, że Martyna rozmawia z Adrianem Koconiem. Towarzyszących jej przedtem koleżanek już z nią nie było. Diona wspomniała informację, że rok temu Koczeń napastował tę dziewczynę, i poczuła się zaskoczona, widząc tych dwoje razem.

– Coś podobnego – mruknęła, kręcąc głową z dezaprobatą.

Wiedziona ciekawością, szybko zjechała na pobocze, chcąc się przekonać, co z tego wyniknie. Zaparkowała nieprzepisowo na środku wjazdu na czyjaś posesję, stanowiącego doskonały punkt obserwacyjny. Teraz widziała ich jak na dłoni, gdy zbliżali się w jej stronę. Pora była już późna, a stojąca obok wiaty latarnia od wielu dni spoglądała na chodnik pustym oczodołem, toteż w okolicach przystanku panował półmrok, co mocno utrudniało widoczność. Ale mimo tej przeszkody bez trudu mogła zobaczyć, że nie są do siebie nastawieni zbyt przyjaźnie.

Martyna kilkakrotnie zrobiła ruch, jakby chciała się oddalić, lecz za każdym razem Kocoń powstrzymywał ją jakąś przemową wzmocnioną gwałtowną gestykulacją. Wreszcie złapał dziewczynę za ramię i pociągnął za sobą w boczną drogę prowadzącą do jego domu. Zaniepokojona Diona zjechała z podjazdu i nie włączając świateł, wolno ruszyła za nimi. Teraz widziała przed sobą tylko dwa niewyraźne cienie, ale to wystarczyło, by mogła zauważyć, że Martyna towarzyszy mężczyźnie wbrew swojej woli. Co kilka kroków przystawała i usiłowała wyrwać się z uścisku, a Kocoń szarpał ją i przyciągał do siebie.

Dochodzili już do jego domu. Nagle dziewczyna ponownie uwolniła ramię z uchwytu, pchnęła Koconia i pognęła w stronę przystanku. Mężczyzna stracił równowagę i ukląkł, lecz zaraz się podniósł i ruszył w pościg. Sądził wielkimi susami i Remańska w mig pojęła, że ucieczka nie może się udać. Jeszcze tylko kilka i metrów i już dopadł dziewczyny, na odlew uderzył ją w głowę, podtrzymał i obejmując w pół, powlókł w stronę furtki.

Diona nie czekała dłużej. Z całej siły dodała gazu, jednocześnie włączając światła. Silnik zaryczał na wysokich obrotach, a światła reflektorów omiotły szamoczącą się parę. Kocoń na moment zastygł z ręką wyciągniętą w stronę klamki, przypominając tym zajęcia stojącego jak słup soli na środku drogi do czasu, aż uderzy w niego rozpedzony pojazd. Zaraz jednak odzyskał zdolność ruchu, pchnął furtkę i pociągnął Martynę, lecz dziewczyna zaparła się i uczepiła kurczowo pochylonego, zniszczonego płotu. Wtedy mężczyzna uderzył ją pięścią, najpierw w twarz, potem w brzuch. Nie powinien był tego robić. Dziewczyna zgięła się w pół, a zjedzona niedawno pizza wylądowała na lśniących butach oprawcy.

Kocoń znów uniósł pięść i uderzył. Raz, drugi, trzeci...Widocznie furia zaślepiła go do tego stopnia, że przestał zważać na zagrożenie, gdyż w ogóle nie zwrócił uwagi na kobietę, która nie tracąc czasu na zgaszenie silnika, wyskoczyła z auta. Diona z wyskoku kopnęła go w pierś. Napastnik zatoczył się i zwałił na ziemię. Nie poświęciła mu nawet spojrzenia, tylko schyliła się nad leżącą i delikatnie odsunęła jej włosy z twarzy. Martyna na szczęście nie straciła przytomności,

ale i tak na widok rozciętego łuku brwiowego, krwawiącego nosa i oka podbiegającego opuchlizną Remańską zatrząsał gniew. Odwróciła się ku Koconiowi, lecz droga była pusta. Mężczyzna zniknął.

*

Dariusz Lipski z odrazą spoglądał na potwornie zapuszczoną kuchnię, gdzie z głową na stole spał brudny mężczyzna, śmierdzący przetrawionym alkoholem, moczem i starym potem. Nie obudziło go walenie pięściami w drzwi, brzęk szkła rozbijanej szyby ani też tupot nóg policjantów rozbiegających się po domu. Wilgotna plama na spodniach i cuchnąca kałuża u jego stóp nie pozostawiały złudzeń co do swojego pochodzenia.

– Jak ludzie mogą tak żyć? – Szymon Ogiński pokręcił głową i skrzywił się z odrazą.

Pytanie było czysto retoryczne, obaj bowiem niejednokrotnie bywali w podobnych, a nawet gorszych miejscach. Dziwiło jedynie, że Adrian Kocoń, zadbany i noszący się z pewną elegancją, nie zapobiegł zamianie budynku mieszkalnego w chlew. To określenie właściwie obrażało zwierzęta mieszkające w chlewie, czego komendant nie omieszkał zaznaczyć.

– Po zakończeniu przeszukania powinniśmy spędzić co najmniej tydzień w komorze dekontaminacyjnej – burknął Lipski. – Niepotrzebnie tu przyszedłeś. Wystarczy, że my musimy babrać się w tym gównie.

– Teraz to wiem. – Nadkomisarz uśmiechnął się krzywo. – Byłem ciekawy, co tu znajdziemy. Do głowy by mi nie przyszło, że facet paradujący w garniaku, białej koszuli i pod krawatem może mieszkać w takim syfie. To jednak prawda, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Podczas ich rozmowy śpiący mężczyzna nawet nie drgnął. Dopiero gdy Dariusz zaczął wysuwać szuflady szafki, zgrzyt prowadnic

musiał jakoś przebić się do przytępionej pijackim snem świadomości. Mężczyzna wymamrotał coś niezrozumiałego, uniósł lekko pośladek i głośno pierdnął, a po kuchni rozniósł się dojmujący smród.

– Noż kurwa, on się chyba zesrał!

Ogiński podciągnął koszulkę, zasłaniając usta. Wyglądał na tak zszokowanego, że Lipski parsknął śmiechem.

– Nigdy nie miałeś do czynienia z posrańcami? No tak, szefowie to całkiem inna liga – stwierdził złośliwie.

Mógł sobie na to pozwolić bez obawy, że nadkomisarz się obrazi. Wszyscy w komisariacie wiedzieli, że nowy komendant to nie żaden karierowicz windujący się w górę na plecach wysoko postawionych krewnych czy kolegów. Zaczynał jak każdy z nich od patrolu pieszego, by później stopniowo awansować.

– Miałem, i to nie raz. Najczęściej z takimi, co mają nasrane w głowie.

Wymowne spojrzenie wskazywało, kogo Ogiński miał na myśli. Starszy policjant docenił ripostę.

– Punkt dla szarży.

Nadkomisarz ponownie rozejrzał się wokół i naciągnął rękawiczki.

– Nie będę tu stał nad tobą jak ciul. Skoro już tu jestem, to wam pomogę – oznajmił w odpowiedzi na uniesione brwi Dariusza. – Nie bój się, jeszcze pamiętam, jak to się robi. Sprawdzałeś, co z dziewczyną?

Otworzył wiszącą nad zlewem szafkę i zaczął przekładać zakurzone, niedomyte naczynia, zaglądając do każdego z nich. W tym czasie Lipski zajrzał do przylegającego do kuchni pomieszczenia, w przeszłości zapewne spiżarki, o czym świadczyły stojące przy każdej ze ścian regały. Nic nie wskazywało, by ktoś ostatnio tam zaglądał. Wypełnione rupieciami półki zasnuwały pajęczyny, a podłogę zagracały opakowania po pizzy, puste puszki i butelki, wszystko rzucone na kupę i utrudniające dostęp do regałów. Tu na pewno nie było tego, co Dariusz miał nadzieję znaleźć, wrócił więc do kuchni i zajął się następną szafką, zerkając

jednocześnie na komendanta.

– Zadzwoń rano do szpitala. Wszystko w porządku, ale na wszelki wypadek chcą ją przetrzymać do jutra. Niepokoją ich trochę te wymioty.

– Głupi chujek.

Ogiński nie dodał nic więcej, lecz nie było to potrzebne; Dariusz doskonale wiedział, co szef miał na myśli, gdyż Martyna opisała mu przebieg zdarzeń.

Po rozstaniu się z mieszkającymi w Jodłowcu koleżankami usiadła pod przystankową wiatą, gdzie zauważył ją Kocoń. Natychmiast podszedł i zaczął namawiać dziewczynę, by poszła do niego pograć w Lords of the Underground.

Martyna ciągle miała w pamięci to, co zdarzyło podczas ich ostatniego spotkania. Nie chciała nigdy więcej mieć z nim do czynienia i nawet przestała grać z nim on-line, choć żaden inny gracz prócz Pisarka nie dorównywał mu umiejętnościami. Prócz tego niezbyt przyjemnie wspominała te kilka wizyt w jego domu. Gdyby wtedy nie towarzyszył jej Paweł, nie przekroczyłaby progu tego zapuszczonego do granic możliwości budynku, a na wspomnienie brudnego, śmierdzącego mężczyzny będącego ojcem Adriana wstrząsało nią obrzydzenie. Jeszcze bardziej od brudu przeraziły ją obleśne uwagi pijaka, które Kocoń zbywał śmiechem bądź lekceważącym ruchem ręki.

Odmówiła więc kategorycznie, lecz Adrian nie chciał przyjąć tego do wiadomości, a kiedy namowy nie poskutkowały, zagroził, że powie policji, kto go pobił. „Pójdiesz ze mną, inaczej twój tata skończy w pierdłu” – oznajmił jej, a gdy ujrzała jego pełny sadystycznego zadowolenia uśmiech, zrozumiała, że nie żartuje.

Martyna wiedziała, że ojciec pobił Adriana, ale nie miała pojęcia, iż sam przyznał się do tego czynu. Zawodni popełnili błąd, uznając córkę za zbyt młodą, by wtajemniczać ją w swe poczynania. W obawie o losy ojca zgodziła się pójść z Koconiem, lecz po drodze on także popełnił błąd. Był tak pewny jej uległości, że zaczął

rozwozić się nad tym, jak bardzo jej pragnie i co zamierza z nią zrobić.

Dziewczyna dopiero wówczas pojęła, że gra była tylko pretekstem. „Teraz twój stary mi nie przeszkodzi” – mówił, śmiejąc się urągliwie. „Głupi kutas, pożałował córce dobrego rżnięcia. Jak ja nie dam rady, to tata mi pomoże”. Wtedy stwierdziła, że nie jest w stanie tego znieść nawet za cenę wolności ojca i usiłowała mu się wyrwać.

– Dzięki temu Remańska domyśliła się, że coś jest nie tak, i pojechała za nimi – zakończył Dariusz. – Ale masz rację, że Kocoń to głupi chujek. Prędzej czy później musiałyby ją wypuścić, a wtedy...

Urwał i zastygł z dłonią wewnątrz szafki i oczami spoglądającymi przez Ogińskiego na przestrzał.

– Co wtedy? – przynaglił go nadkomisarz, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu.

Lipski zamrugał powiekami jak człowiek obudzony z głębokiego snu.

– Tak tylko głośno myślę. Tu nic nie ma, ale też wcale nie liczyłem, że schował to w kuchni. Chodźmy dalej.

Komendant przyjrzał się podwładnemu z namysłem.

– Nie żeby robiło mi to jakąś różnicę, ale masz nakaz?

– No wiesz? – Dariusz zrobił przesadnie zgorszoną minę. – Ja miałbym bez nakazu? – Poklepał kieszonkę na piersi. – Mam nakaz. Siczek podpisał bez gadania.

– Co mu ściemniłeś?

– Nie musiałem ściemniać. Analizowałem sprawę i wyszło mi, że Kocoń jest jedyną osobą dysponującą na tyle dużą znajomością komputerów, by włamać się do laptopa Pisarka i zdobyć materiał do szantażu. Siczek się z tym zgodził i klepnął nakaz.

Ogiński zamknął szafkę z odrobinę zbyt wielką energią. Drzwiczki stuknęły, lecz śpiący pijak nawet nie drgnął. Policjanci wyszli z kuchni, przez chwilę słuchali rozmowy funkcjonariuszy przeszukujących pokoje na parterze i skierowali się na piętro.

– Powiedz mi jedno, bo nie rozumiem. – Ogiński przystanął w połowie schodów i odwrócił się w stronę idącego za nim Lipskiego.

– Uważasz, że Kocoń zabrał laptop Pisarka? To po jaki chuj kazałeś ludziom szukać też pendrive'a?

Dariusz także przystanął i popatrzył w górę, by uchwycić spojrzenie komendanta.

– Pomyślałem, że mógł sobie to zgrać, a laptop zniszczyć, żeby nie został ślad. Uważam, że to on zabił Pisarka.

Nadkomisarz podjął przerwana wspinaczkę po schodach, a Lipski ruszył za nim. Na piętrze przystanęli i rozejrzeli się ciekawie. Podeszli do jedynych drzwi, lecz tu czekała ich niespodzianka. Te były zamknięte. Dariusz już przymierzył się do kopniaka, gdy Ogiński go powstrzymał.

– Nie wygłupiaj się, Darek. Starszy, poważny gość będzie kopać w drzwi jak jakiś patus? Odsuń się.

Zaciekawiony Lipski przesunął się w bok. Ogiński wydobył z kieszeni pęk wytrychów, pochylił się nad zamkiem i przymierzał coraz to nowe narzędzie. Rozśmieszył towarzysza opowiadaniem, że w nastoletnich latach marzyła mu się kariera włamywacza, stąd jego nietypowe umiejętności.

Po kolejnej próbie zamek ustąpił i mogli wejść do pomieszczenia, które okazało się sporej wielkości loftem. Panował tu zadziwiający porządek, mocno kontrastujący z bałaganem na dole, świadczący o tym, że Adrian Kocoń wprawdzie dzielił z ojcem dom, ale życie prowadził zupełnie inne.

Nie musieli długo szukać. Na dużym biurku z Ikei stały dwa laptopy. Dariusz od razu zauważył naklejony na obudowę jednego z nich symbol Polski walczącej i popatrzył z satysfakcją na komendanta.

– Szymon, widzisz tę naklejkę? Pisarkowa mówiła, że syn przykleił ten znaczek, bo jej dziadek walczył w oddziale „Bartka”. Paweł się tym szczycił, co nie podobało się sąsiadom, którzy wiedzieli z opowiadań starszych, że Wyklęci gnębili tutejszą ludność, siłą zabierając jej jedzenie i ciepłe ubrania. Bohaterowie, psia ich mać!

Ogiński odmruknął coś niezrozumiałego. Na temat Żołnierzy Wyklętych miał krańcowo różną opinię i w innych warunkach chętnie by o tym podyskutował, ale teraz ani czas, ani miejsce nie

sprzyjały politycznym dysputom. Popatrzył więc tylko na stojące obok siebie laptopy i spytał:

– Kończymy?

*

Apoloniusz Marczak nadal bardziej przypominał zombie niż żywego człowieka, ale był przytomny, a lekarz orzekł, że nie widzi przeszkód, by można było z nim porozmawiać. Oczywiście nie powinni przeciągać przesłuchania, gdyż pacjent jest jeszcze bardzo wyczerpany.

Marcin długo wpatrywał się w jego twarz. Pozbawiona zarostu, wychudła, przypominała mu oblicza męczenników, uwiecznione na malowidłach i rycinach.

– Jak się pan czuje?

Ksiądz wykrzywił wargi w bolesnym grymasie.

– Nie nadaję się do survivalu. Dobra kondycja to nie wszystko, gdy przyjdzie człowiekowi żyć pod gołym niebem, bez tych wszystkich udogodnień, których na co dzień nie doceniamy. Zgrzeszyłem pychą, uważając się za twardego faceta.

Autoironia zyskała Marczakowi jeszcze większą sympatię policjanta. Marcin poczuł żal, że już niedługo będzie musiał założyć mu kajdanki.

– Dlaczego zabił pan Rakowicza?

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach.

– Nie chciałem tego – wymamrotał. – Sam nie wiem, jak to się stało. Ogarnęła mnie taka furia, że przestałem nad sobą panować. Biłem go i biłem, i nie mogłem przestać, a kiedy się opamiętałem, on leżał nieprzytomny.

– Nieprzytomny czy martwy? – chciał wiedzieć Marcin.

Wydawało mu się nieprawdopodobne, by po doznaniu tak rozległych urazów proboszcz mógł jeszcze żyć. Widział przecież na

podłodze i narzędziu zbrodni odpryski kości czaszki i fragmenty mózgu.

– Na pewno wtedy jeszcze żył – potwierdził wikary. – Po chwili otworzył oczy i nazwał mnie skurwysynem. Nie wykazał nawet odrobiny skruchy, więc znowu się we mnie zagotowało. Dlatego nie wezwałem pogotowia, tylko poszedłem do swojego pokoju. Byłem tak roztrzęsiony, że zażyłem tabletkę dormicum. To mocne lekarstwo. Zasnąłem chyba już w trakcie kładzenia się do łóżka.

Marcin skinął głową, myśląc jednocześnie, że w ten sposób daleko nie dojdą. Odnosił wrażenie, że cały czas ślizga się po powierzchni, nie docierając do sedna.

– Czy między wami był jakiś konflikt? Niech pan może opowie wszystko od początku.

Ksiądz Apoloniusz sięgnął po stojącą na szafce szklanekę. Upił kilka łyków i otarł kawałkiem papieru toaletowego spękane wargi.

– Pod koniec grudnia ubiegłego roku ktoś przysłał kilka zdjęć na mój adres e-mail. Nie były zbyt dobrej jakości, ale dało się rozpoznać, kim są występujące tam osoby. Jedną był chłopiec z naszej osady, a drugą ksiądz proboszcz.

– Domyślam się, jakiego rodzaju były te zdjęcia – wtrącił się Marcin z grymasem odrazy. Wikary pokiwał głową.

– Obrzydliwe sceny, na których proboszcz zmuszał tego chłopca do seksu. Twarzy księdza nie było widać, ale rozpoznałem chłopca i nasz salon na plebanii. Na jednej fotografii mężczyzna stał tyłem, ale był w sutannie. Na innych stał za chłopcem w jednoznacznej pozie. Głowa na zdjęciu była częściowo ucięta, ale byłem pewien, że to proboszcz. Złapałem laptop i pobiegłem do niego z żądaniem, żeby się wytłumaczył, bo już wcześniej doszły mnie słuchy, że on lubi się zabawiać z ministrantami. Tak przynajmniej twierdzili wierni z jego poprzedniej parafii. Powiedziałem mu wtedy, że będę go miał na oku i jeśli tutaj znowu coś takiego zrobi, zabiję jak psa. Widzi pan – wikary wziął głęboki wdech – ja sam byłem kiedyś ofiarą pedofila. Dlatego kiedy zobaczyłem te zdjęcia, ogarnęła mnie rozpacz. Nie mogłem znieść myśli, że mieszkam z kimś takim pod jednym

dachem. Musiałem coś zrobić. Ale ksiądz Piotr wszystkiemu zaprzeczył.

Marcin nie oczekiwał innego zakończenia. Było raczej oczywiste, że proboszcz będzie się wybielał.

– Uwierzył mu pan? – spytał i zamarł ze zdumienia, ujrawszy łzy w oczach Marczaka.

– On mnie wyśmiał. Na zdjęciach była widoczna tylko lewa ręka księdza i na każdym z nich kciuk wyglądał normalnie, a Rakowicz miał lewy kciuk zdeformowany. Proboszcz mówił, że to pewnie zdjęcia jego poprzednika.

Marcin przywołał w myślach obraz ciała leżącego w salonie. Kciuk lewej ręki denata był skrzywiony i pozbawiony paznokcia. Taka deformacja z pewnością byłaby widoczna na zdjęciu.

– Mogło tak być – mruknął.

Ksiądz Apoloniusz usiadł gwałtownie i wbił w niego płonący rozpaczą wzrok.

– To ja okazałem się idiotą. Nie pomyślałem, że przy robieniu selfie uzyskuje się lustrzane odbicie. Ale wpadłem na to dopiero w lesie, choć na zdjęciach było widać wyraźnie, że proboszcz trzyma w ręce kijek do robienia selfie. Gdybym wtedy nie dał się ogłupić, ten chłopiec nie musiałby przez ponad pół roku przeżywać piekła.

– Co się stało drugiego lipca? Dlaczego zaatakował pan Rakowicza?

Marczak zwilżył usta kilkoma łykami wody i opadł na poduszkę. Oddychał z wyraźnym wysiłkiem. Lipski już sięgał w stronę przycisku alarmu, lecz chory go powstrzymał.

– Nie trzeba, już mi lepiej. To przez te wspomnienia.

Opowiedział o bezsenności, o chwilach spędzonych w ogrodzie i o tym, co zobaczył na tarasie, gdy zwabiły go tam żalosalne protesty dziecka. Marcin słuchał w milczeniu, z dłońmi zaciśniętymi tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało. Nie wiedział, czy byłby w stanie zachować spokój, gdyby to on był świadkiem takiej sceny. Wielce prawdopodobne, że zachowałby się podobnie jak wikary.

Ksiądz zakończył swoją spowiedź, lecz policjant nadal milczał, analizując w myślach jego słowa. W namalowanym tu obrazie czegoś brakowało. Czegoś bardzo istotnego. Lipski pochylił się ku leżącemu.

– Powiedział pan, że uderzył proboszcza witką w odsłonięte podbrzusze, a gdy upadł, tłukł go pan pięściami. A co z młotkiem?

Zdumienie wikarego było tak wielkie, że wręcz namacalne.

– Jakim młotkiem? Nie rozumiem...

– W jednym z kwietników znaleźliśmy młotek...

Marcin nie zdołał dokończyć. Marczak przerwał mu, wzruszeniem ramion oznajmiając niewiedzę.

– Nie mam pojęcia, skąd się tam wziął. Pamiętam dobrze, że poprzedniego dnia zostawiłem młotek na parapecie w salonie. Miałem odnieść go do piwnicy, ale zapomniałem. Może proboszcz go tam położył? Naprawdę nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Właśnie tym młotkiem zabito proboszcza – oznajmił Lipski, nie spuszczając wzroku z chorego.

– Jezu Przenajświętszy! – Wikary przeżegnał się szybko. – To on musiał to zrobić. Zemścił się za syna. Nieszczęsny człowiek.

– Ten, który zmusił księdza do napisania listu pożegnalnego? Niech mi pan teraz o nim opowie. Najbardziej ciekawi mnie ten brązownik. Dlaczego pan to napisał?

Ksiądz Apoloniusz spojrzał na niego z uznaniem.

– Domyślił się pan, co chciałem przez to przekazać. Zawsze uważałem, że polscy policjanci to bardzo inteligentni ludzie.

Marcin zmieszał się, słysząc tę niezasłużoną pochwałę. Już chciał wyjaśnić, że to nie on rozszyfrował mieszczącą się pod łacińskimi słowami informację, ale ostatecznie zrezygnował. Dla sprawy nie miało to znaczenia. Ważniejsze było, kim jest Aleksander.

*

Policyjny informatyk nastawił się na spore wyzwanie. Najpierw długo spoglądał na dwa laptopy, zanim zdecydował, że najwyższy czas je uruchomić. Włączył jeden, potem drugi, a gdy na ekranie pojawiło się żądanie hasła, zamyślił się głęboko nad wyborem dalszych kroków. Sięgnął po batonik, trącając przy tym kubek z kawą. Zaklął

i wykonał dziwny skręt ciałem, chcąc złapać naczynie, zanim dojdzie do katastrofy. Wsparł się przy tym łokciem na klawiaturze, po czym szybko cofnął rękę w obawie przed uszkodzeniem sprzętu. O tym, że łokieć trafił w enter, zorientował się dopiero wtedy, gdy na ekranie ujrzał pulpit z licznymi ikonami. Nie dowierzając własnym oczom, nacisnął enter drugiego laptopa i przekonał się, że w nim także nie ustawiono żadnego hasła.

– Jebaniutki – mruknął.

Zazwyczaj używał tego słowa jako pochwały, ale nie tym razem. Teraz znamionowało pogardę dla lenia, który dla własnej wygody zlikwidował hasło w laptopie Pisarka, pozostawiając cenne dane bez ochrony.

Otwierał foldery jeden po drugim i wkrótce stało się dla niego jasne, że Kocoń wprawdzie przejął laptop Pisarka, ale prawie pięć miesięcy zajęło mu złamanie hasła. Poczul żal, że został pozbawiony szansy sprawdzenia swoich umiejętności. Westchnął i zadzwonił do Dariusza Lipskiego.

Starszy aspirant pojawił się po dwóch godzinach. Wysłuchał sprawozdania informatyka i zajął się sprawdzaniem zawartości laptopów, co jakiś czas prosząc kolegę o objaśnienie jakiejś kwestii. Wreszcie zamknął urządzenia i włożył je sobie pod pachę.

– Dzięki za pomoc, choć zbyt wiele nowego się nie dowiedziałem.

Wieczorem odwiedził Dionę, by porozmawiać z nią o sprawie zaginięcia Pisarka. Ucieszył się, że zastał tam Marcina, gdyż część pozyskanych z laptopów informacji dotyczyła zabójstwa księdza. Rozsiadł się na ogrodowym krześle, przyjął z rąk gospodyni szklanekę z colą i zwrócił się do syna:

– W laptopie Koconia jest ewidentny ślad, że to on opublikował ten film na YouTube. Przykro mi.

Marcin spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Czemu jest ci przykro? Nie rozumiem.

– Wiem, że typowałeś go na zabójcę księdza. Ale to nie on.

Młodszy Lipski rzeczywiście przez jakiś czas rozważał taką hipotezę. Była prawdopodobna przy założeniu, że Kocoń zabił

Pisarka, a później niebacznie wypowiedział się przed proboszczem z tego czynu. Ale niemal natychmiast ją odrzucił jako absurdalną. Kogoś musiałby być idiotą, żeby zrobić coś takiego.

– Wiem, że to nie on. – Uśmiechnął się do ojca. – Rozmawiałem z księdzem Apoloniuszem i dowiedziałem się, co się stało na plebanii.

Diona zastygła z papierosem w jednej ręce i zapalniczką w drugiej, w pełnym napięcia oczekiwaniu.

– No powiedz wreszcie – ponagliła go, ciekawa, czy jej przypuszczenia są trafne. Marcin milczał nadal, więc wyraziła głośno to, co od pewnego czasu pojawiało jej się w myślach i nie dało się wypędzić: – Ksiądz Apoloniusz wcale nie zabił proboszcza. Mam rację?

– Oczywiście, że nie zabił – potwierdził. – Zmyliła nas jego ucieczka, tylko że on wcale nie uciekł.

– A ciało proboszcza? – dociekał Dariusz. – Jak mógł nie zauważyć trupa?!

– Spokojnie, tata, nie podniecaj się tak. Pamiętaj o ciśnieniu.

Po spojrzeniu, jakie ojciec mu posłał, uznał, że dalsza zwłoka może kosztować go zbyt wiele. Powtórzył więc opowiadanie księdza o grudniowej konfrontacji z proboszczem i o tym, co zaszło początkiem lipca na tarasie plebanii.

– Nie rozumiem – przyznała się Diona. – Wynika z tego, że proboszcz żył, gdy wikary opuszczał taras. Kto w takim razie go zabił?

Marcin sięgnął po papierosy, zapalił i upił łyk coli. Tym razem go nie poganiała. Rozumiała, że potrzebuje kilku minut na zastanowienie.

– Tego wikary nie wie, bo spał tak mocno, że rano omal nie zasnął na mszę. Nie wchodził do salonu, więc nie mógł widzieć zwłok. Ale kiedy był w kuchni, zauważył, że z salonu wychodzi Aleksander Drzyzga. Zapytał, w czym może mu pomóc, a Drzyzga odpowiedział, że rozmawiał już z proboszczem, ale dziękuje za zainteresowanie.

– Aleksander Drzyzga! To on zabił? – Dariusz aż poderwał się z krzesła, płosząc kociaka drzemiącego na kolanach Diony. – W ogóle

o nim nie myślałem. Należał do tych nielicznych, którzy nie byli szantażowani przez Pisarka. Wydawał mi się porządnym facetem. Pracuje na kolei, dba o rodzinę, opiekuje się babką i jej gospodarstwem. To właśnie jej Marczak podkradał jedzenie.

Marcin podniósł kotka, położył go sobie na kolanach i pogłaskał jedwabiste futerko.

– Nie wiem, czy on zabił, ale to on jest Aleksandrem określonym w liście jako brązownik. – Cierpliwie przeczekał okrzyki zdumienia, po czym wyjaśnił: – Ksiądz Apoloniusz doszedł do wniosku, że to on zabił Pisarka. Ale po kolei. Drzyzga zaczął wikarego zaraz po mszy i powiedział, że znalazł w lesie jakieś nietypowe drzewo. Dla nikogo w Osinach nie było tajemnicą, że Marczak jest wielkim miłośnikiem przyrody. Ciągle chodził po lesie i zachwycał się naturą, więc można było się domyślić, że połknie haczyk i da się namówić na wyprawę. I rzeczywiście zaraz poprosił, żeby Drzyzga zaprowadził go w to miejsce.

– Chciał się pozbyć świadka. – wtrąciła Diona. – Ten Aleksander. Zabił księdza... Nie, to nie pasuje. – Zdezorientowana, zmarszczyła brwi. – Wychodził z salonu rano, a proboszcz zginął wieczorem. Nic z tego nie rozumiem.

– Pociesz się, że ja też. – Marcin pociągnął ją za warkocz. – Mam nadzieję, że dowiemy się od Drzyzgi, jak to właściwie było z proboszczem. W każdym razie poszli razem na plebanię. Ksiądz przebierał się w swoim pokoju, a Drzyzga czekał w kuchni. Do salonu żaden z nich nie wszedł. Potem Drzyzga zaprowadził wikarego do drzewa, które faktycznie okazało się nietypowe. W naszych stronach daglezje nie są częstym zjawiskiem.

– Pozwól, że dokończę – poprosiła Diona. – Ksiądz oglądał drzewo, a w tym czasie Drzyzga wypakował z plecaka akcesoria niezbędne do upozorowania samobójstwa.

Marcin uśmiechnął się do niej z aprobatą. Zamierzała mówić dalej, lecz przeszkodził jej Dariusz, który też chciał mieć swój udział w rozmowie.

– Zagroził nożem Marczakowi i ksiądz nie miał innego wyjścia, jak napisać ten list. Mam rację?

Spojrzał pytająco na syna. Ten przytaknął i kontynuował relację. Ze słów Marczaka wynikało, że Drzyzga zaszedł go od tyłu, przyłożył nóż do gardła i zmusił do napisania listu. Dopiero wtedy wikary dowiedział się, że proboszcz nie żyje. Ale wzmianka o wykorzystywanych chłopcach sprawiła, że pogubił się w domysłach. Uznał, że Drzyzga dowiedział się o tym od Pisarka, doszedł więc do wniosku, że Pisarek także padł jego ofiarą. Stąd wzmianka o brązowniku. Liczył, że policjanci domyślą się związku Aleksandra z Pawłem.

– Bardziej już nie mógł tego zaszyfrować – prychnęła Diona. – Ale trudno mi się dziwić. Musiał napisać to tak, żeby tamten nie domyślił się sensu.

Niespodziewanie Marcin roześmiał się serdecznie. Popatrzyli na niego z takim zdziwieniem, że rozśmieszyli go jeszcze bardziej.

– Ten ksiądz ma niezły refleks – wydusił z siebie, próbując się opanować. – Wiecie, co odpowiedział Drzyzdze, gdy ten zapytał, co znaczą te słowa? Że jest to błogosławieństwo skierowane do mieszkańców Osin. No i później też sprytnie się wywinął.

Kiedy Marczak napisał list, Drzyzga sięgnął po sznur, na moment tracąc koncentrację. Ksiądz natychmiast to wykorzystał. Chwył rękę trzymającą nóż i odciągnął ją od swojego gardła, jednocześnie przekręcił się tak, by móc dosięgnąć napastnika. Celował w oczy, lecz nie trafił i tylko dotkliwie podrapał Drzyzgę. Zaczęli się szamotać. Ksiądz był młodszy i dużo sprawniejszy fizycznie, toteż szybko uzyskał przewagę. Kilka razy uderzył przeciwnika pięścią w twarz i zaczął uciekać. Drzyzga pognał za nim, ale od razu został daleko w tyle, a wikary tak długo kluczył wśród drzew, aż w końcu natrafił na jaskinię i uznał, że w niej przeczeka do wieczora.

Gdy jednak nastąpiły wreszcie ciemności, nie miał odwagi opuścić jaskini. Bał się, że pobłądzi lub wpadnie do wykrotu i dozna jakiegoś urazu. W dzień z kolei obawiał się wrócić do osady, siedział więc w skalnej grocie do czasu, gdy spotkał się twarzą w twarz z obcym mężczyzną. Wówczas uciekł i później błąkał się po lesie, nie mając pomysłu, co dalej robić. Dojrzewała w nim myśl, by zgłosić się na policję, lecz zanim wprowadził ją w czyn, ruszyła obława i został

schwytany. Nawet się z tego ucieszył, choć początkowo panika wzięła górę nad rozsądkiem, każąc mu rzucić się do ucieczki.

– Zawinałeś tego Drzyzgę? – spytała Diona, gdy Marcin zamilkł. Mężczyzna pokręcił głową.

– Zanim tam dotarłem, zdążył wyjść do pracy. Ma nockę. Nie było sensu robić zamieszania w miejscu pracy. Pojedziemy po niego rano. Nie wie, że ksiądz żyje, więc nie będzie próbować niczego głupiego. Powiedzcie lepiej, co z Koconiem. Macie coś na niego?

Popatrzył na ojca. Dariusz wolno odstawił szklanekę i wykrzywił wargi w ponurym grymasie.

– Z Koconiem kicha – mruknął. Po chwili rozwinął wypowiedź: – Niby mamy wszystko. Laptop Pisarka, motyw, do tego dochodzi napaść na Martynę Zawodną. Nie mamy tylko samego Koconia, bo skurczybyk jakby pod ziemię się zapadł. No i nie mamy ciała Pisarka, a bez tego trudno będzie postawić mu zarzut zabójstwa.

– Piwnica? – podpowiedział Marcin. – Ogród?

– Piwnica czysta, nie znaleźliśmy tam nic oprócz składu rupieci. A ogrodu tam nie ma, tylko mały placyk za domem.

– Ogród jest – zaoponowała Diona. – Tylko że został oddzielony sztachetami. Sąsiedzi mówili, że kiedy jeszcze żyła matka Adriana, hodowała kury. Kazała mężowi postawić płot, żeby nie srały po obejściu. A potem zmarła, stary się rozpił i kur już nikt nie hodował. Tylko płot został.

– Kur... – Starszy Lipski zmełł przekleństwo. – Pytaliśmy tego obsranego pijusa, ale równie dobrze można by gadać do muszli klozetowej. Trudno. Pojedziemy tam jutro.

Marcin poparł ten plan. Jemu także ogród jawił się jako jedyne miejsce nadające się do ukrycia zwłok, gdyż trudno było przypuszczać, że Kocoń zaryzykował przenoszenie ciała do samochodu. To, że zabójstwa dokonał w domu, było raczej pewne. W lofcie na piętrze ujawniono ślady krwawe w postaci wielkiej plamy na wykładzinie, którą wprawdzie dokładnie wyczyszczono, ale po spryskaniu ich preparatem bluestar forensic rozjarzyła się niebieskim światłem. Plama była zbyt rozległa, by mogła powstać od zwykłego skaleczenia.

– Mogę pojechać z wami?

Diona uśmiechnęła się przymilnie do Dariusza. Mężczyzna zastanawiał się przez jakiś czas, wystawiając tym samym jej cierpliwość na próbę. Nie poganiała go. Wiedziała, że tylko od niego zależy, czy zaraz po przeszukaniu ogrodu pozna odpowiedź na pytanie, co stało się z Pawłem Pisarkiem.

Rozdział 15

Ekshumacja

30 lipca–2 sierpnia 2019

Marcin gestem nakazał funkcjonariuszom, by zaczekali przed domem. Nie chciał zakuwać Aleksandra Drzyzgi w kajdanki na oczach dzieci, a wiedział, że mężczyzna nie będzie stawiać oporu. To nie był bandzior czy psychopata, tylko zwykły człowiek, któremu rozpacz odebrała rozsądek. Policjant podejrzewał bowiem, że mały Krzysztof Drzyzga był jedną z ofiar proboszcza.

Drzyzga spał po nocnej służbie, o czym poinformowała Lipskiego młoda kobieta o zmęczonej twarzy, karmiąca piersią niemowlę. Gdy Marcin poprosił, by obudziła męża, zamiast niej podniosła się starowinka siedząca na krześle przysuniętym do kaflowego pieca. Tuż obok, przytulona do jej boku, stała trzyletnia może dziewczynka, chowając wstydliwie buzię w fałdzistej, staromodnej spódnicy.

– Ja obudzę Olusia.

Ruszyła w stronę sieni, postukując kijem. Marcin poszedł za nią. W połowie drogi obejrzała się i pokiwała głową. Broda jej się trzęsała, gdy przemówiła tak cicho, że musiał się pochylić, żeby dosłyszeć szmer wypowiedzianych słów:

– Nie musi pan ze mną iść. On nie ucieknie.

– Wie pani, czemu tu jestem?

– Wiem – odpowiedziała jeszcze ciszej. – Domyśliłam się, że to on... proboszcza... – Słowa niknęły, jakby nie mogły wydostać się z ust. – Źle zrobił. Wziął na siebie ciężki grzech. Ale to dobry chłopiec.

„Chłopiec” był już co prawda po czterdziestce, ale dla babki nadal pozostał małym, tęskniącym za odrobiną miłości dzieckiem. Marcin to rozumiał, jednak nie mógł pozwolić, by sama poszła do wnuka.

– Przykro mi, ale muszę tam wejść. – Bez słowa ruszyła naprzód, jeszcze niżej pochylając głowę. Policjant westchnął i zdobył się na ustępstwo. – Poczekam przy drzwiach. To naprawdę wszystko, co mogę zrobić.

Obudzony z głębokiego snu Drzyzga w pierwszej chwili nie rozumiał, czego babka od niego chce. Wymruczał coś na odczepnego i ponownie wtulił twarz w poduszkę. Otrzeźwił go dopiero obcy męski głos. To Marcin postanowił interweniować.

– Proszę wstać, panie Drzyzga. Musi pan pójść z nami.

– Co jest?!

Mężczyzna usiadł, przetarł oczy dłonią. Na widok munduru lekko zbladł, potem popatrzył prosząco na babkę.

– Zadbasz o nich?

Stara kobieta westchnęła ciężko, lecz zaraz wyprostowała zgarbione plecy.

– Zadbam, Oluś. Przecież wiesz.

Drzyzga przytulił ją mocno i zaczął się ubierać. Nie stawiał żadnego oporu, gdy Marcin chwycił go za ramię i poprowadził do kuchni.

– Proszę się pożegnać. Daję panu pięć minut.

Został pod drzwiami, nie chcąc być świadkiem tej sceny.

W oznaczonym czasie Drzyzga wyszedł z kuchni. Był całkiem spokojny i gdyby nie zaczerwienione oczy, można by pomyśleć, że konieczność opuszczenia rodziny niewiele go obeszła. W drodze do komendy milczał, a Lipski nie próbował go zagadywać. Na rozmowę będzie czas później.

*

Zgodnie z zaleceniem Dariusza Diona stała przy furtce i zza płotu obserwowała poczynania policjantów. Było ich trzech, jeśli nie liczyć Lipskiego, i każdy trzymał w ręce szpikulec, którym co pół metra nakłuwał ziemię. Posuwali się wolno wzdłuż ogrodu, a po dotarciu do końca zawracali. I tak w kółko. Po godzinie Remańska żałowała, że nie zabrała ze sobą jakiegoś krzeselka, tak bardzo bolał ją krzyż. Minęła następna, a efektu pracy funkcjonariuszy nie było widać. Wówczas stwierdziła, że nie wytrzyma dłużej, i postanowiła posiedzieć kilka minut w samochodzie.

Właśnie dochodziła do auta, gdy zaczepiła ją kobieta z sąsiedniej posesji. Stojąc na palcach, usiłowała coś dostrzec ponad ligustrowym żywopłotem.

– Dzień dobry. Czego szukacie u Koconiów? Kradzionego? Stary to ochlaptus jakich mało, ale nie złodziej.

– A młody? – spytała szybko Diona.

Kobieta porzuciła punkt obserwacyjny i podeszła do siatki odgradzającej działkę od drogi. Wyglądała na zafrasowaną.

– Młody Kocoń? Nie, chyba też nie. Ale z nim to nigdy nie wiadomo. Niby grzeczny, bo i „dzień dobry” powie, i podwiezie od przystanku, ale czasem jak co rzuci, to człowiekowi aż w pięty pójdzie. Nie nastarczysz za nim.

– Nie wygląda na takiego. – Remańska udała zdziwienie. – Może źle pani zrozumiała? A może był chory? Kiedy człowieka coś boli...

– Jakie boli?! – oburzyła się kobieta. – Zaraz opowiem, jak to było, to sama pani zobaczy. Młody i przystojny, to dziewczyny go bronią. A ja mówię, że coś z nim jest nie tak, jak powinno. Posłuchaj pani...

Podczas gdy Diona z narastającym zaciekawieniem słuchała wynurzeń sąsiadki Koconiów, policjanci kontynuowali poszukiwania, krok za krokiem zbliżając się do odznaczającego się od reszty trawnika prostokąta, którego wymiary według szacunku Dariusza wynosiły dwa na trzy metry. Trawa na nim była jaśniejsza i pozbawiona chwastów, co świadczyło, że została zasiana dużo później. Prostokąt był za duży jak na grób, więc Lipski nie robił sobie większych nadziei.

Funkcjonariusze dotarli w odznaczające się miejsce, zaczęli je nakłuwać i naraz wszyscy jednocześnie poczuli opór.

– Coś tu jest! Mamy coś!

Okrzyki były całkiem zbędne, gdyż Dariusz już szedł ku nim, wydając po drodze rozkazy.

– Mario i Klema, idźcie po łopaty, a ty, Rojek, nakłuwaj dalej. Sprawdź, jak jest poza tym prostokątem.

Sam również złapał za szpikulec i zajął się najbliższym bokiem. Zanim oddelegowani po łopaty funkcjonariusze powrócili, zyskał już pewną jasność. Opór pojawiał się tylko tam, gdzie rosła świeża trawa.

Trzech młodych policjantów zabrało się z zapałem do pracy i wkrótce mogli się przekonać, że pod trzydziestocentymetrową warstwą ziemi znajduje się betonowa płyta. Dariusz kazał kontynuować usuwanie gleby, choć przeczuwał, że czeka ich rozczarowanie. Domyślał się, jaką budowlę odsłonią.

Istotnie po pewnym czasie jeden z policjantów zawołał:

– Tu jest jakiś właz!

Drugi ze złością cisnął łopatę na ziemię.

– Dokopaliśmy się do jebanego szamba. Panie aspirancie, chyba nie każe nam pan grzebać w gównach?

Dariusz podrapał się po niedokładnie ogolonej brodzie, spojrzał ponurym wzrokiem na odsłonięty właz i podjął decyzję.

– Zasypcie to kurewstwo z powrotem.

Odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył ku furtce. W ustach czuł gorzki smak porażki. Taki był pewien, że w ogrodzie znajdzie zwłoki Pawła Pisarka, a jedyne, co odnalazł, to stare, od dawna nieużywane szambo.

Zauważył zbliżającą się szybko Dionę i przystanął, choć najchętniej zamknąłby się w radiowozie, by nie musieć z nią rozmawiać.

– Znaleźliście go?! – wołała z daleka.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nic tu nie ma – powiedział, gdy do niego podeszła.

– A to? – Wskazała betonową płytę z włazem na środku.

– Szambo – odparł krótko, niechętnie.

Dioniza ponownie spojrzała w tamtym kierunku.

– Sprawdziliście w środku?

W Lipskim aż się zagotowało i z trudem zdobył się na wysięk, by nie zakląć.

– Posłuchaj, Diona. To jest nieużywane szambo. Sam mam takie w ogrodzie, więc wiem, co mówię. Kiedy trzy lata temu podłączyli nas do kanalizacji, opróżniłem zbiornik, wypełniłem kamieniami, gruzem i innym dziadostwem, a potem zasypałem ziemią. Wszyscy tak robili, więc wiem, że nic tam nie ma. Nie będę dla twojego widzimisieź kazał chłopakom szarpać się z ciężką pokrywą.

– W porządku. – Diona uniosła dłonie w pokojowym geście. – Nie musisz się na mnie wściekać. Tak tylko pytam, bo rozmawiałam z sąsiadką Koconiów. Babsko wścibskie jak cholera, ale powiedziała coś ciekawego. Jeszcze w ubiegłym roku to szambo nie było przysypane ziemią. Młody Kocoń zrobił to w połowie lutego. Baba nie pamięta daty, ale twierdzi, że wtedy była odwilż i zero śniegu. Kocoń zabrał się do tego nad ranem i tak tłukł łopatą o beton, że ją obudził. Rozdarła się przez okno, że obowiązuje cisza nocna, a on podobno kazał się jej zamknąć i siedzieć cicho, bo inaczej znajdzie na nią haka. Wiedziała, że gość pracuje w gminie, więc odpuściła.

Lipski zagryzł wargi, po czym odwrócił się w stronę policjantów, którzy zdążyli już zasypać spory kawałek. Na szczęście właz nadal pozostał nietknięty.

– Zostawcie to! – zawołał. – Odwalamy właz. – A ty, dziewczyno, pójdiesz ze mną – zwrócił się do Diony. – Jeżeli nic tam nie będzie, to powiem, żeby wyżyli się na tobie.

Z jego nieodgadnionej miny nie mogła się zorientować, czy mówił to poważnie, więc na wszelki wypadek zachowała milczenie.

Jeden z policjantów pobiegł do radiowozu po hak, dwóch pozostałych spoglądało na nią niezbyt przyjaźnie. Wiedziała dobrze, o czym myślą. Już byli pewni, że za moment skończą, a tu znalazła się mądrała, która wie lepiej. Podejrzewała, że „suka” jest najłagodniejszym z określeń, jakimi ją w myślach obdarzali.

Młody policjant wrócił z metalowym hakiem, włożył go w otwór włazu i jednym zgrabnym ruchem odciągnął w bok pokrywę.

- Ładnie ci poszło - pochwalił Dariusz. - Mógłbyś robić za kanalarza.

Zbliżył się do odsłoniętego włazu, spojrzął i nagle puściły mu nerwy.

- Kurwa twoja jebana w żeliwną pokrywę, betonowa, szambiarska mać!

Diona stłumiła śmiech i również podeszła do włazu. Szambo było zasypane ziemią.

- Nieżyły masz leksykonik - zwróciła się do Lipskiego, chcąc żartobliwymi słowami pokryć rozczarowanie.

- Co? - Mężczyzna zamrugał, wracając do rzeczywistości. - Przepraszam, że użyłem takich słów w twojej obecności.

- Nic się nie stało, przeżyję. Zresztą słyszałam już parę razy słowo „beton” i różne jego pochodne.

Przykucnęła na samym skraju włazu, zaczerpnęła dłonią ziemi i wolno przesywała ją przez palce. Lipski przyglądał się temu z zaciekawieniem. Złość już mu przeszła, skutecznie przepędziły ją słowa Diony.

- Co robisz?

- Tak się zastanawiam... - Urwała i znowu zagarnęła garść ziemi. - Żeby wypełnić takie szambo, potrzeba pewnie z dziesięć kubików. Skąd on to wziął w środku nocy? Ta kobieta mówiła, że w ogrodzie nie było żadnej usypanej przyzmy i zastanawiała się, jakim cudem nagle zdobył ziemię do zasypania szamba. Zasypania - powtórzyła dobitnie. - A na wypełnienie potrzebowałyby dużo więcej.

Dariusz nadal nie potrafił pojąć, do czego Dioniza zmierza, tak jak nie umiał znaleźć powodu grzebania w ziemi.

- I z tego powodu zamieniłaś się w kurę? Nie szkoda ci rąk?

- Szkoda, ale nie mam wyjścia, bo wiem, że ty tego nie zrobisz - burknęła gniewnie. - Pożyczysz mi ten szpikulec?

Policjant nawet nie drgnął.

- Uważasz, że on tu pochował Pisarka? Wybacz, ale jakoś nie wierzę. Brak ziemi w ogrodzie to żaden argument. Pewnie wypełnił to szambo od razu, tak jak większość ludzi w Jodłowcu.

– Darek, gdyby zrobił to trzy lata temu, ta ziemia nie byłaby taka sypka. Dlatego w niej grzebię. To niemożliwe, żeby przez taki czas ani trochę nie siadła.

Lipski nie odpowiedział. Kucnął obok niej i także zaczerpnął garść ziemi, starając się sięgnąć jak najgłębiej. Miała rację.

– Rojek, podaj mi szpikulec!

Wyprostował się, nakazał Remańskiej, by się odsunęła, a gdy stanęła z boku, ostrożnie nakłuł grunt. Prawie natychmiast poczuł opór. Starając się zapanować nad ekscytacją, ponowił próbę. Skutek był taki sam. Chciał dźgnąć po raz trzeci, gdy poczuł w nozdrzach delikatną nutkę obcego, lecz dobrze mu znanego zapachu i już wiedział, co kryje w sobie wewnątrz szamba. Taki odór mogło wydzielać tylko rozkładające się ciało. Lipski bez słowa się cofnął i przekazał młodemu policjantowi szpikulec.

Powiał lekki wiatr. Teraz także ci, co stali dalej, poczuli specyficzny smród i mimo starań, by zachować obojętność, nie zdołali ukryć podekscytowania. Przestało im zależeć na tym, by jak najszybciej opuścić ogród. Zzerała ich ciekawość, czy rzeczywiście w szambie znajdują się ludzkie zwłoki, ponieważ równie dobrze mogło zostać tam zakopane truchło jakiegoś zwierzęcia.

– Nie sprawdzimy tego? – spytał jeden z nich, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. – Panie aspirancie, ja bym mógł...

Lipski przerwał mu, ruchem ręki nakazując milczenie.

– Myślisz, Klemowicz, że gdyby to było takie proste, tobym odpuścił? Nie słyszałeś o ludziach, którzy zatruli się po wejściu do opróżnionego szamba? A tutaj nawet nie mamy pewności, czy zawartość została wybrana do końca. Ani myślę ryzykować. – Wyjął z kieszeni telefon i zaczął przeglądać kontakty. – Niech się strażacy tym zajmą. Oni są odpowiednio przeszkoleni i mają specjalistyczny sprzęt. My nie.

Po powiadomieniu straży pożarnej zadzwonił również do komendy powiatowej z prośbą o przysłanie techników. Nie widział powodu, dla którego mieliby tkwić obok szamba i wdychać opary rozkładającego się ciała i być może także siarkowodoru. Opuścili więc ogród i usiedli

na pryzmie desek zwalonych obok wejścia do domu, by tam oczekiwać na przyjazd odpowiednich służb.

Dioniza nie miała innego wyjścia, jak pogodzić się z faktem, że na odpowiedź przyjdzie im jeszcze długo czekać. Nic na to nie mogła poradzić. Za to na umilenie okresu oczekiwania na wsparcie owszem.

– Przywiozę wam kawy od Hardego. Jaką kto pije?

Po pomrukach zadowolenia i pełnych aprobaty spojrzeń poznała, że mocno zapunktowała u zmęczonych policjantów. Zebrała zamówienia i poszła do auta, zastanawiając się, w jaki sposób technicy wydobędą zwłoki bez rozerwania ich na kawałki. Na samą myśl o tym zrobiło jej się dziwnie niewyraźnie, czym prędzej więc przestawiła myśli na inny tor. Ciekawe, czego Marcin dowiedział się od Aleksandra Drzyzgi?

*

Prokurator Wójcik długo milczał, analizując słowa mężczyzny siedzącego z miną człowieka, który wreszcie zaznał spokoju. Właściwie było mu go żal.

Tamtego feralnego dnia dziesięcioletni Krzysztof Drzyzga wraz z kolegami poszedł po obiedzie nad Osinkę. Wprawdzie woda w górskim potoku była bardzo zimna, ale chłopcom to nie przeszkadzało. Pływali w niezbyt głębokiej wodzie zapory zbudowanej przez nich z kamieni i gałęzi, skakali po obślizgłych kamieniach lub z głośnym śmiechem opryskiwali się wzajem lodowatą wodą.

Pod wieczór zadzwonił do matki z pytaniem, czy może pójść do Mateusza Zawodnego, by pograć z nim i jego siostrą w scrabble. Lidia Drzyzga przykazała mu, by wrócił do domu najpóźniej o dwudziestej, po czym zabrała się do prac domowych. Teraz, gdy babka Drzyzgowa zamieszkała z nimi, było jej zdecydowanie łatwiej,

ale wówczas przy dwójce rozbrykanych starszych dzieci i wiecznie płaczącym niemowlęciu nieraz nie wiedziała, w co ręce włożyć.

Przed dwudziestą mała Marzenka rozpoczęła swój zwykły koncert, więc Lidia najpierw jakiś czas ją nosiła, a później przysiadła w fotelu, by dać wytchnienie zmęczonym nogom. Dziecko w jej ramionach nagle przycichło i zmrużyło powieki, a Lidia przytuliła policzek do pachnącej główki. Sama nie wiedziała, kiedy zapadła w głęboki sen.

Aleksander Drzyzga tego dnia miał dzienną zmianę, kończącą się o osiemnastej. Czekał właśnie na zmiennika i już szykował się do wyjścia, gdy zadzwonił naczelnik stacji. Oświadczył, że zmiennik miał po drodze kolizję samochodową, trochę więc potrwa, zanim pojawi się w pracy. Chcąc nie chcąc Aleksander musiał pozostać w pracy dłużej i wrócił do domu dopiero po dwudziestej drugiej.

W domu panowała cisza. Pomyślał, że widocznie mała Marzenka postanowiła choć raz pozwolić matce się wyspać, i uśmiechnął się na wspomnienie pyzatej buzi z zabawnym dołeczkiem w brodzie. Nie zapalając światła, usiadł w sieni na małym stołeczku, by rozsznurować buty, gdy nagle skrzypnęły drzwi wejściowe i w lekkiej poświacie sączącej się z kuchni zobaczył Krzysztofa. Miał zamiar zdrowo go objechać, podejrzewał bowiem, że chłopiec łąził gdzieś ze starszymi kolegami, lekceważąc oznaczoną godzinę powrotu do domu. Jednak po zapaleniu światła nie zdołał powstrzymać okrzyku grozy.

Krzysztof był w strasznym stanie. Na brudnej buzi łyzy wytyczyły jaśniejsze ścieżki, kolana miał rozbite i krwawiące, najgorsze jednak było paniczne przerażenie malujące się w oczach syna. Chłopiec cały się trząsał i długo trwało, nim zdołał wydobyć z siebie słowa tłumaczące zbyt późny powrót.

Kłamał jednak tak nieudolnie, że Aleksander ani przez moment nie uwierzył w biegające luzem wielkie, groźne psy. Widział lęk chłopca i przeczuwał, że stało się coś złego. Zaczął delikatnie podpytywać syna, cały czas zapewniał przy tym, że nie spotka go żadna kara, i w końcu chłopak wyznał prawdę. Opowiedział, co spotkało go na plebanii, gdy przyszedł tam skuszony obietnicą otrzymania gry

elektronicznej, która rzekomo znajdowała się w paczce z darami dla najbiedniejszych parafian.

Drzyzga wpadł w taką furję, że później nie pamiętał nawet, w jaki sposób znalazł się przed drzwiami plebanii. Nacisnął przycisk dzwonka i jednocześnie złapał za klamkę, a drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem. Wpadł do środka i pognał tam, skąd sączyło się światło. W salonie nie było proboszcza, ale zauważył jakiś ruch na tarasie. Ksiądz Piotr siedział wprost na kafelkach i jęczał głośno, przyciskając dłonie do twarzy, a spod palców sączyła się krew, ściekając na obnażone uda.

Buta jednak nadal go nie opuściła. Na widok Drzyzgi odjął dłonie od twarzy, wydobył z siebie dziwnie kraczący, urągliwy śmiech i rzucił jakąś uwagę o talencie chłopca do seksu. Wtedy Aleksander utracił resztę panowania nad sobą. Sam nie wiedział, kiedy leżący na parapecie młotek znalazł się w jego ręce. Opamiętał się dopiero wtedy, gdy z twarzy księdza została krwawa miazga. Wtedy spanikował. Przeciągnął zwłoki do salonu, gdyż wydawało mu się, że w ten sposób utrudni śledztwo. Młotek wrzucił do skrzynki z kwiatami, zamknął tarasowe drzwi i chyłkiem wymknął się na zewnątrz.

– Po co pan tam wrócił? – spytał prokurator po chwili milczenia.

– Rano zauważyłem, że nie mam zegarka. Szukałem wszędzie, ale nie znalazłem. Pomyślałem, że bransoletka musiała się rozpiąć, kiedy przesuwałem zwłoki. Musiałem tam wrócić i go odnaleźć, żeby nie było śladu. – Drzyzga przerwał i upił kilka łyków wody z postawionej przed nim butelki. – Ksiądz Apoloniusz zawsze pojawiał się w kościele na pół godziny przed mszą. Skąd miałem wiedzieć, że jak na złość tego dnia zaśpi? Zobaczył mnie, gdy wychodziłem z salonu, i nie miałem innego wyjścia. Musiałem się go pozbyć.

– Zawsze jest jakieś inne wyjście – wtrącił Marcin. – Za zabójstwo w afekcie dostałby pan na pewno niski wyrok. Ale za drugim razem zdecydował pan na zimno. Zabił pan niewinnego człowieka, żeby ratować własną skórę.

– Niewinnego?! – obruszył się Drzyzga. – Mieszkali razem, więc musiał wiedzieć o wszystkim. Pewnie był takim samym zbrodźcą jak tamten. Szkoda, że mi uciekł, byłoby kolejnego zwyrodnialca mniej.

Lipski popatrzył na niego, lecz nie skomentował tych słów. Pałeczkę znów przejął Rajmund Wójcik.

– W jakim celu przygotował pan tę scenerię w kuchni?

Na twarzy przesłuchiwanego pojawił się wyraz konsternacji, lecz po kilkudziesięciu sekundach Drzyzga zrozumiał sens pytania.

– Ma pan na myśli przewróconą butelkę i rozlaną whisky? Pomyślałem, że was zmył. Że uznacie, że ksiądz Apoloniusz po zabiciu proboszcza zalewał robaka. Zrobiłem to, kiedy przebierał się w sportowe ciuchy.

Prokurator zadał następne pytanie:

– Czemu nie wrócił pan po plecak i inne rzeczy?

Drzyzga zacisnął dłonie w pięści na wspomnienia tamtej chwili.

– Bo kiedy już dochodziłem do tego miejsca, zauważyłem Natalię Myszkę. Szła ze swoim chłopakiem. Przystanęli i się całowali, a potem usiedli pod drzewem akurat na wprost tej daglezji, więc na pewno by mnie zauważyli. A po powrocie do domu odkryłem, że mam posiniaczoną gębę. Nie mogłem pokazać się tak w osadzie.

– Przejdźmy teraz do Pisarka. Czy on pana szantażował?

– Mówiłem już, że nie! – obruszył się Drzyzga. – Nic na mnie nie miał.

– Sprawdźmy – odpowiedział Wójcik.

Chciał dodać coś jeszcze, lecz przerwał mu sygnał telefonu. Marcin rzucił okiem na wyświetlacz, przeprosił i wyszedł z pokoju. Po pewnym czasie wrócił i położył przed prokuratorem kartkę, na której widniało jedno zdanie: „W szambie Adriana Koconia znaleziono zwłoki mężczyzny. Prawdopodobnie to Pisarek”.

Wójcik wolno złożył kartkę na pół i zakończył przesłuchanie.

*

Robert Gredtke ucieszył się na widok niespodziewanego gościa. Natychmiast zaproponował kawę, wiedząc dobrze, czym sprawi Dionizie największą radość. Usiedli na ukwieconym tarasie i Diona znowu pozazdrościła mu ręki do roślin.

– Zdradzisz mi, jak to robisz, że rosną jak głupie? Mnie nawet kaktusy uschły.

– Mam supermoce – odpowiedział i dodał z dobroduszną kpina: – Kaktus to nie abstynent, czasem musi się napić.

Po kawie przedstawiła mu scenariusz filmiku, który mieli opublikować na YouTube. Słuchał uważnie. Później wniósł kilka poprawek, ale ogólnie zaakceptował plan.

– Potrzebujemy dobrej kamery. – Diona przeszła do kwestii technicznych. – Masz coś takiego?

Gredtke zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie mam. Należę do starego pokolenia, my się nie znamy na nowinkach technicznych.

– Starego! – prychnęła i ostentacyjnie zmierzyła go wzrokiem. – Założę się, że jeszcze dziś pokonałbyś na testach sprawnościowych niejednego dwudziestolatka. – Zamilkła, rozważając coś w myślach. – Masz laptop, prawda? A wejście USB?

Niespodziewanie Gredtke parsknął śmiechem.

– Dobra jesteś. Pytać esbeka, czy ma wejście u SB, to już są szczyty.

Odpowiedziała uśmiechem i przedstawiła swój pomysł, zaznaczając przy tym, że musi go skonsultować z fachowcem, gdyż nie ma ani dostatecznej wiedzy, ani umiejętności, by stwierdzić, czy jest wykonalny.

– Myślę, że nie ma się co spieszyć – oświadczyła na koniec. – Sezon letni to nie najlepsza pora, ludzie wyjeżdżają, grillują, chodzą na basen... Zaczekajmy do jesieni. Wtedy na pewno będzie większa oglądalność.

– Ty tu rządzisz.

Uśmiechnął się do niej i zapalił papierosa. Diona obserwowała go ukradkiem. Bardzo się zmienił od czasu, gdy była tu w zimie.

Zauważyła to już ostatnio, ale tym razem zmiany bardziej rzucały się w oczy. Z szarych oczu zniknęły ponure błyski, a twarz przestała przypominać maskę. Gredtke naprawdę odżył.

– Rozmawiałam ostatnio przez telefon z ojczymem – odezwała się, przerywając ciszę. – Prowadzi jakieś skomplikowane śledztwo i potrzebuje wsparcia. Nie chciałbyś do nas dołączyć?

Tak go zaskoczyła, że zakrztusił się dymem i upłynęło sporo czasu, nim zdołał odpowiedzieć:

– Ja? Chcecie mieć w zespole byłego esbeka?

– Chcemy mieć w zespole ciebie. – Wyraźnie zaakcentowała ostatnie słowo. – Policjantka z komisariatu, dochodzeniowiec i kryminalny. Mnie się wydaje, że to byłby świetny team. Wchodzisz w to czy zamierzasz do usranej śmierci siedzieć na dupie i użalać się nad swoim parszywym losem?

*

Maria Pisarek przenosiła wzrok z Dionizy na Dariusza Lipskiego i z powrotem. Nie uroniła ani jednej łzy, lecz twarz jej zastygła w bolesnym grymasie.

– Wiedziałam, że on nie żyje. Czułam to w sercu.

Diona i Dariusz spojrzeli po sobie. Oboje jednakowo nie znosili takich obowiązków jak ten, który przyszło im dzisiaj wykonać.

– Nie mamy stuprocentowej pewności – zaczął Lipski, lecz Pisarkowa mu przerwała:

– Ludzie w Jodłowcu gadali, że to na pewno on.

Policjant miał ochotę głośno zakląć. To ta kobieta z sąsiedztwa, wredne, wścibskie babsko, jak określiła ją Remańska! To ona musiała rozpowiedzieć, co widziała z okna na piętrze swojego domu. I oczywiście zamiast zaznaczyć, że przypuszczalnie znalezione w szambie ciało to zwłoki zaginionego Pawła Pisarka, ona rozpowszechniła tę informację, przedstawiając ją jako pewnik.

Prawdopodobieństwo, że tak jest w istocie, było naprawdę spore, ale kobieta nie mogła o tym wiedzieć. Nawet najbystrzejsze oko nie zdołałoby z tej odległości odczytać danych z dowodu osobistego znalezionej w plastikowym etui, które technik wydobył kieszeni nadgniłej kurtki mężczyzny pochowanego w szambie. Niestety zwłoki znajdowały się w zbyt zaawansowanej fazie rozkładu, by można było dokonać porównania twarzy denata z fotografią z dokumentu. Konieczne było przeprowadzenie badań genetycznych i z tego właśnie powodu Dariusz towarzyszył Dionie podczas tej wizyty. Musiał jej przekazać, że na identyfikację trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

Diona z kolei uznała, iż ma moralny obowiązek poinformować nieszczęsną matkę, że prawdopodobnie odnaleziono zwłoki jej syna. Nie przepadała za swoją klientką, ale nie chciała, by Pisarkowa dowiedziała się prawdy z plotek. A właściwie nie tyle prawdy, co bajek, plotki bowiem zdążyły przybrać tak absurdalną treść, że w zasadzie z prawdą łączyło je tylko nazwisko Pisarka.

– Musimy przeprowadzić badanie DNA – odezwał się Lipski. – Dopiero wtedy zyskamy pewność. Niestety to trochę potrwa.

Maria wolno skinęła głową. Ani trochę nie zmieniła wyrazu twarzy, bardziej przypominającej maskę niż oblicze żywego człowieka.

– Trudno – odparła ze spokojną rezygnacją. – Czekałam tyle czasu, to poczekam jeszcze trochę. Teraz będzie mi łatwiej, bo już wiem, czego się spodziewać.

Zabawili w domu Marii Pisarek jeszcze jakiś czas. Gdy zaczęli się żegnać, kobieta przytrzymała Dionizę za rękę.

– Niech pani chwilę zaczeka. Chciałabym się z panią rozliczyć.

Diona pokręciła głową.

– Na to jeszcze za wcześnie. Zapłaci mi pani, kiedy zyskamy pewność.

– Ja już mam pewność. Ale jak pani tak stawia sprawę, to zapłacę teraz połowę, a drugą później. Niech pani nie odmawia. Proszę. Gdyby nie pani...

Urwała i otarła oczy mocno wilgotną chusteczką, potem wcisnęła Remańskiej w dłoń kilka banknotów. Diona przeliczyła pieniądze i wypisała pokwitowanie.

Dariusz, który oddalił się dyskretnie, nie chcąc krępować ich swoją obecnością, czekał już w radiowozie. Ruszył, gdy tylko wsiadła. Długo jechali w milczeniu, dopiero gdy zbliżali się do Strzygomia, odezwał się nagle, zerkając na nią kątem oka:

– Uważaj na siebie. Kocień nadal jest na wolności.

Chciała zbagatelizować ostrzeżenie, lecz byłby to błąd. Gminny urzędnik udowodnił, że potrafi być niebezpieczny. Nie należało go lekceważyć.

*

Późnym wieczorem ułożyła się wygodnie na tapczanie z książką w ręce i kotem wtulonym w zgięcie jej szyi. Zwierzątko, ostatnio trochę zaniedbywane, głośnym mrużeniem wyrażało swoje zadowolenie. Książka okazała się nudna, a odgłosy wydawane przez kota brzmiały tak usypiająco, że Dionie zaczęły zamykać się oczy. Właśnie zasypiała, gdy zabrzmiał dzwonek do drzwi. Wzdrygnęła się i usiadła.

– Ki diabeł? – mruknęła, zdejmując kota z szyi. – Jak myślisz, Uszku, otworzyć czy udawać, że nas nie ma?

Kot nie odpowiedział, za to dzwonek zaterkotał ponownie. Dioniza westchnęła i poszła do przedpokoju, po drodze przyglądając zmierzwiłone włosy.

– Kto tam? – spytała i nadstawiła czujnie ucha. Przypomniała sobie ostrzeżenie Dariusza i zdecydowała, że jeżeli nie rozpozna głosu, to nie otworzy.

Głosu rzeczywiście nie rozpoznała, ale nazwisko było znajome.

– Szymon Ogiński.

Był ostatnim człowiekiem, którego wizyty mogłaby się spodziewać, wzruszyła więc tylko ramionami, choć trudno było przypuszczać, że mężczyzna posiadał zdolność przenikania wzrokiem przez drzwi.

– Halo? – zawołał, gdy się nie odzywała. – Jest tam pani?

– Po co pan tu przyszedł?

Nawet nie próbowała wysilić się na uprzejmość. Ogiński na to nie zasługiwał. Tym bardziej więc zaskoczyła ją jego odpowiedź.

– Przyszedłem przeprosić.

Diona zaniemówiła. Nie spodziewała się po komendancie, że będzie umiał przyznać się do błędu. Stała w milczeniu, niezdolna do żadnego ruchu, i dopiero po kilku minutach dotarło do niej, że za drzwiami panuje cisza. Przekręciła gałkę zamka i wyjrzała na zewnątrz. Mężczyzna był już przy furtce.

– Panie nadkomisarzu! – zawołała czym prędzej. – Niech pan zaczeka!

Ogiński zawrócił i wolno podszedł do stojącej w progu Dionizy. Na widok jadownicie żółtej piżamy w zielone króliczki zadrgały mu usta, lecz zdołał opanować rozbawienie.

– Nie jesteśmy w komisariacie. Szymon wystarczy. – Zza poły narzuconej niedbale na ramiona kurtki wyciągnął bukietik miniaturowych pachnących goździków. – Proszę. To od skruszonego grzesznika.

Wzięła podane jej kwiaty i wtuliła w nie twarz, wciągając w płuca ich zapach.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Odsunęła się od drzwi, by mógł przejść, i dopiero teraz uświadomiła sobie, w co jest ubrana. Aż jęknęła.

Ogiński natychmiast zwrócił się w jej stronę.

– Co się stało?

– Nic, naprawdę. Proszę wejść i się rozgościć, a ja za moment do pana wrócę.

Nadkomisarz udowodnił, że jego stopień nie wziął się z powietrza. Zmrużył oczy, ponownie przyjrzał się piżamie i odpowiedział, tłumiąc śmiech:

– Te króliczki są fajne. Takie wesolutkie. Niech zostaną z nami.

Rozbroił ją tymi słowami do tego stopnia, że zapomniała o urazie. Uśmiechnęła się i zrezygnowała ze zmiany garderoby na bardziej oficjalną. Zresztą Ogiński nie zabawił długo. Zwięźle wyjaśnił powody swojego zachowania, przeprosił za chamskie uwagi i wstał.

– Nie będę zabierać pani więcej czasu. Mam nadzieję, że będzie nas pani odwiedzać. Darek opowiedział mi o pani roli w odnalezieniu ciała w szambie. Dziękuję w imieniu służby.

Gdy wyszedł, Diona długo siedziała z uśmiechem na ustach. Głaszcząc machinalnie małego Uszka, rozmyślała o słowach nadkomisarza. Zawsze twierdziła, że nie zależy jej na pochwałach, a jednak była w błędzie. Miło jest być chwalonym.

Epilog

14 sierpnia 2019

– Koniec – oznajmił Marcin, gdy tylko przekroczył próg. – Dzisiaj przysłano wynik badań. Pisarkowa może wreszcie pochować syna.

– Nie bardzo koniec – zaproponowała Diona. – Kocóż...

Przerwał jej machnięciem ręki.

– Prędzej czy później wpadnie. Jak nie u nas, to za granicą. Raczej u nas. Na wszelki wypadek wystawiliśmy europejski nakaz aresztowania, ale nie sądzę, żeby wyjechał z Polski. Bez pieniędzy i dokumentów dużo nie zwojuje.

Musiała przyznać mu rację. Podczas przeszukania okazało się, że dowód osobisty i prawo jazdy Koconia leżą na komodzie. Oprócz nich w etui znajdowały się karty płatnicze i trzy tysiące złotych w gotówce, a po sprawdzeniu rachunku bankowego stwierdzono na nim tylko wykorzystany do granic limitu debet. Jeśli zbiegły mężczyzna w ogóle miał przy sobie jakiś pieniądze, z pewnością nie była to duża kwota.

– Chcesz kawy? – Dioniza przypomniała sobie o gościnności.

– Nie teraz. Jadę do Osin i przyszedłem zapytać, czy nie przejechałabyś się ze mną.

Uśmiechnął się zachęcająco i wskazał na widoczny z okna radiowóz.

– Po co tam jedziesz? Do Pisarkowej?

– Pisarkowa to sprawa ojca, nie będę mu wchodzić w kompetencje. Chcę zajrzeć na plebanię i sprawdzić, czy nie ma tam gdzieś

schowanego jeszcze jakiegoś filmu. Albo zdjęć. W przyszłym tygodniu ktoś ma się zgłosić po klucze i nie chciałbym, żeby wpadły mu w ręce.

Doskonale to rozumiała. Kto wie, jaki zrobiłby z nich użytek?

Nad wycieczką do Osin nie musiała się długo zastanawiać. Śledztwo było zamknięte, a strzelnica nadal nieczynna, nie miała więc żadnych pilnych obowiązków.

– Pojadę, ale pod jednym warunkiem. – Uśmiechnęła się na widok uniesionej lewej brwi Marcina. Nadal nie wiedziała, jak on to robi. Próbowwała przed lustrem, lecz zawsze unosiły się obie. – Chciałabym zobaczyć tę daglezię. Nigdy nie widziałam takiego drzewa.

Mężczyzna przyklasnął temu pomysłowi. Sam wprawdzie już daglezię widział, i to nawet dwukrotnie, ale zbyt był zajęty obowiązkami służbowymi, by przyglądać się drzewu. Teraz nadarzała się doskonała okazja.

*

Kazimierz Pawlus z taką furią naciskał pedały starego roweru, że sam nie wiedział, kiedy pokonał dystans dzielący Osiny od Jodłowca. Złość aż w nim kipiała. Wracał właśnie z Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Jodłowcu, dokąd udał się w nadziei uzyskania zapomogi.

Był pewien, że ją dostanie, ponieważ poprzednim razem urzędniczka nie stwarzała żadnych problemów i po krótkim wywiadzie środowiskowym oraz sprawdzeniu dochodów wydała pozytywną decyzję. Zobowiązała wprawdzie Pawlusa do zaprzestania picia alkoholu i wizyty w poradni leczenia uzależnień, ale kto by się tym przejmował. Pił dziadek, pił ojciec, a nikt ich się nie czepiał.

Tym razem jednak było inaczej. Młoda dziewczyna za biurkiem nie była nastawiona tak przyjaźnie jak jej poprzedniczka. Otworzyła właściwą teczkę, przerzuciła stronicę i surowym głosem oznajmiła, że zapomoga Pawlusowi się nie należy, gdyż wiarygodne źródła

twierdzą, iż niedawno wyprawił córce huczne wesele. A skoro stać go było na taki wydatek, oznacza to, że sytuacja materialna Pawlusów wcale nie jest tak zła, jak usiłował to przedstawić.

– Lewacka pisowska pizda! – mamrotał, mocniej naciskając pedały przy wjeździe na most nad Osinką. – Zastrana esbecka gówniara! Co ona wie o życiu?

Nie zastanawiał się nad absurdalnością wyzwisk. Słyszał je w telewizji i teraz zaadaptował do swoich potrzeb. O tym, że niezbyt ze sobą konwenują, nawet nie wiedział, gdyż w większości nie rozumiał ich znaczenia.

Ujechał jeszcze ze sto metrów, gdy naraz zahamował i zeskoczył z roweru. Przyszło mu właśnie do głowy, że nie powinien spieszyć się z powrotem do domu, gdyż tam czeka go tylko jazgot i wyrzekanie. Lepiej będzie przeczekać do wieczora, a potem szybko położyć się do łóżka i udawać śpiącego.

Zostawił rower na poboczu, sam zaś przeskoczył przydrożny rów i zaległ pod pobliskim świerkiem. Z przepastnej kieszeni spodni wydobył kupioną w Jodłowcu butelkę nalewki, odkręcił nakrętkę i przytknął szyjkę do ust. Zagulgotało, grdyka poruszała się miarowo.

Pawlus obtarł wargi wierzchem dłoni, sprawdził, ile pozostało życiodajnego płynu, i stwierdził, że resztę dopije w pobliżu domu. Zaraz jednak poczuł nieprzepartą ochotę na jeszcze kilka łyków. Tak już miał, że dopóki trunek znajdował się w butelce, nie mógł przestać o nim myśleć.

– A chuj z tym – mruknął. – Jeszcze zwietrzeje. – I dopił resztę.

Ułożył się wygodniej na miękkiej ściółce i zasnął.

*

Mężczyzna przemykał chyłkiem między drzewami. Był czujny jak dzikie zwierzę i tak samo nieuchwytny. Już dwa tygodnie minęły od

nieudanego ataku na Martynę i późniejszej ucieczki, a policja nadal nie wpadła na jego trop.

Znając tych debili, pewnie szukają mnie w miastach, rozmyślał, wykrzywiając wargi w pogardliwym uśmiechu. Nie miał zbyt wielkiego wyobrażenia o inteligencji i umiejętnościach stróżów prawa. Przez tyle już lat spotykał ich na jodłowieckim rynku. Czasami zamienił z którymś kilka słów, czasem witał się tylko skinieniem głowy. Ale widywał ich niemal codziennie, a żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że to on jest odpowiedzialny za zniknięcie Pawła Pisarka.

Paweł... Kto by pomyślał, że ten wyalienowany chłopak nagle postanowi odegrać rolę rycerza w lśniącej zbroi, broniącego dziewczęcej cnoty? A jednak gdy podochocony drinkami Adrian zwierzył mu się, że nie potrafi wybić sobie z głowy Martyny Zawodnej i zamierza zwabić ją do domu i przetrzymywać tak długo, aż się nią nasyci, Paweł nazwał go zboczonym debilem. Dodał też, że chyba to u nich rodzinne, gdyż starego Koconia nikt nie mógłby nazwać normalnym.

Adrian nienawidził ojca jak zarazy, ale nie zamierzał puścić płazem obraźliwych słów i odpowiedział równie ostro. Przerzucali się coraz cięższymi obelgami, aż Adrianowi puściły nerwy i rzucił się na młodszego kolegę. Przez jakiś czas okładali się bezładnie pięściami, nie robiąc sobie przy tym większej krzywdy. Tak było do czasu, gdy niespodziewanie celny cios w podbródek posłał Pawła wprost na biurko. Pisarek uderzył czołem w kant mebla i padł nieprzytomny.

Na ten widok Adrian najpierw się przeraził. Poskoczył ku leżącemu, żeby go ocucić, gdy jego wzrok zahaczył o laptop kolegi, zawierający bezcenne dane, i zawahał się, nie mogąc się zdecydować. W głowie dźwięczały mu słowa podpitego Pawła, przechwalającego się swoim geniuszem i operatywnością.

Pisarek wyśmiał Koconia, gdy ten pochwalił się, że bez cienia skrupułów bierze wręczane mu przez niektórych petentów koperty.

– Też mi biznes, koperty z setką albo góra dwiema wręczane raz na rok przez kilku starych dziadków. Tu trza mieć poukładane – postukał się znacząco w głowę – wtedy się robi prawdziwe pieniądze.

I opowiedział Adrianowi o wymuszeniach, z których zrobił sposób na życie. Pochwalił się też, że ma w planie rozszerzyć działalność na Kalety, lecz na razie nie znalazł pretekstu, by dostać się do komputerów mieszkańców tej wsi.

– Mógłbyś wymyślić jakąś gminną akcję. Darmowe czyszczenie z wirusów czy coś – mówił do Adriana. – Odwdzięczę się. Nie wierzysz? To spytaj wikarego. Całkiem gratis posłałem mu na mejla zdjęcia, na których proboszcz zabawia się z małymi chłopcami. Myślałem, że coś z tym zrobi, bo ten cały ksiądz Piotruś coraz bardziej mnie wkurwia. Ale jak na razie cisza, więc pewnie speniał.

Mówił i mówił, a w Koconiu budziła się coraz większa zazdrość, że ten freak zdobył sobie bez wysiłku źródło utrzymania, a on, Adrian, musi siedzieć w zatęchłym biurze i słuchać poleceń jakiegoś niedouka.

Dlatego stojąc nad nieprzytomnym kolegą, nie potrafił zmusić się do udzielenia mu pomocy. Zerkał to na leżącego, to na laptop, aż wreszcie podjął decyzję. Zbiegł na parter, wyminął leżącego na podłodze, kompletnie pijanego ojca, zabrał z półki w spiżarni nie wiadomo po co tam leżący ciężki klucz francuski i szybko wrócił na górę.

Już od progu posłał niespokojne spojrzenie w stronę biurka, ale na szczęście nic się nie zmieniło. Pisarek nadal tam leżał. Naraz poruszył się, jęcząc cicho, i teraz Kocoń już się nie wahał. Doskoczył, wziął solidny zamach i upuścił klucz na głowę kolegi. Ciało leżącego zadrgało, potem się wyprężyło. Adrian nie był pewien, czy Paweł na pewno jest martwy, toteż na wszelki wypadek uderzył jeszcze kilka razy.

Tym samym kluczem zniszczył telefon i kartę SIM i rzucił je na rozpostartą folię malarską. Później przeciągnął na nią ciało, przepatrzywszy uprzednio kieszenie. Zabrał błyszczący nowością powerbank i wszystkie pieniądze, a resztę zostawił, choć przez moment korciło go, by wziąć także kartę bankomatową do konta Marii Pisarek. Uznał to jednak za niepotrzebne ryzyko.

Zawinał dokładnie zwłoki w folię, a w nocy przeniósł je do ogrodu i wrzucił do szamba, które trzy lata wcześniej wypełnił rupieciami,

starymi szmatami, kamieniami i ziemią. Przez ten czas wypełnienie zbiornika opadło, stało się bardziej zwarte, przez co u góry powstała dość spora pusta przestrzeń. Kocoń przytargał z za domu worki z ziemią, leżące tam od czasu, gdy jeszcze żyła matka, i wsypał je do szamba, przykrywając dokładnie ciało Pisarka.

Przeżył chwilę grozy, gdy posłyszał zrzędlawy głos sąsiadki, i celowo odpowiedział ostro, w nadziei, że kobieta się wystraszy. Potem zabrał się do rozszyfrowywania hasła w laptopie, lecz okazało się to dużo trudniejsze, niż myślał. Dni mijały, a on na przemian klął i płakał, nie mogąc złamać skomplikowanego zabezpieczenia.

Udało się dopiero pod koniec czerwca, a wówczas wpadł w euforię i postanowił natychmiast wykorzystać zawartość laptopa. Zaczął od żądania pieniędzy od proboszcza, ale ten w ogóle nie zareagował. Kocoń nie mógł wiedzieć, że Rakowicz już rok temu zmienił adres e-mail i ten z laptopa od dawna nie był aktualny. Wściekły, że ksiądz go zlekceważył, zagroził opublikowaniem jednego z kompromitujących proboszcza filmów na YouTube, lecz adresat znowu nie odpowiedział. Wobec tego spełnił groźbę i dopiero później dowiedział się, że oddał ten strzał w próżnię, gdyż Rakowicz już wtedy nie żył.

Szybko skasował film, a po kilku dniach wysłał wiadomość do Aleksandra Myszkę. Liczył na to, że majątni Myszkowie bez wahania zapłacą dwa tysiące w zamian za milczenie, ale i tu spotkała go przykra niespodzianka. Mieszkańcy Osin jak jeden mąż wyznali swoje grzechy przed policjantem, wytrącając tym samym Adrianowi broń z ręki. Pliki Pisarka stały się bezużyteczne.

Chęć zemsty przesłoniła mu zdrowy rozsądek, kiedy zobaczył Martynę. Pragnął jej od tak dawna, że przerodziło się to w obsesję, poza tym ona była mieszkanką tej przeklętej osady. Przestał zważać na własne bezpieczeństwo i spróbował zwabić ją do domu, mało tego, powiedział wprost, jakie ma wobec niej plany. W dodatku zlekceważył tę detektywkę, o której mówiono, że była kiedyś policjantką. No i co z tego? Baba to baba, nadaje się tylko do jednego.

Za ten błąd w ocenie przyszło mu drogo zapłacić. Musiał uciekać do lasu, tak jak stał, bez dokumentów i bez pieniędzy. W ogóle bez niczego. Ale policjanci nie przewidzieli, że trafili na mądrzejszego od siebie. Myśleli, że plomba na drzwiach będzie dla niego przeszkodą. Tymczasem on już jako dziecko odkrył, jak otworzyć okno w sieni. Zakradł się wieczorem, kilka razy poruszył okiennym skrzydłem, a wtedy haczyk opadł.

Zabrał z domu cały zapas jedzenia, ze schowka w spiżarni wyjął rulon banknotów, wziął też zapałki, koc i kurtkę przeciwdeszczową. Wyszedł z domu tą samą drogą, którą wszedł, przymknął okienko i pognął z powrotem do lasu. Długo szedł przed siebie, aż znalazł się w pobliżu Kalet. Tam się zatrzymał, chcąc przeczekać kilka dni. Nie sądził, by ewentualna obława zapędziła się aż tutaj, więc czuł się bezpieczny.

Wreszcie postanowił ruszyć dalej, najpierw do granicy ze Słowacją, a potem do Austrii. Zatoczył koło, by ominąć wioskę, i wyszedł na drogę tuż przed mostem nad Osinką. Idąc przez most, już z daleka widział leżący na poboczu rower i automatycznie rozejrzał się za właścicielem.

Mężczyzna leżał na wznak pod świerkiem, tuląc w czułych objęciach butelkę po nalewce. Adrian skrzywił się z odrazą i ruszył naprzód. Nagle pewna myśl zaświtała mu w głowie. Przebiegł czujnym wzrokiem po okolicy, a gdy nie dostrzegł nikogo, zawrócił pędem i podniósł rower.

– Będiesz mieć nauczkę, głupi bucu – mruknął w stronę śpiącego, wsiadł na rower i popedałował co sił w nogach.

Mocno pochylony nad kierownicą, szybko jechał przez wioskę, chcąc jak najszybciej wydostać się poza obręb ludzkich siedzib. Odetchnął z ulgą, gdy minął ostatni dom i wjechał w las. Zwolnił odrobinę, wiedząc, że największe niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Teraz zostało mu tylko dotrzeć do granicy i na przejściu wmieszać się w grupę ludzi zmierzających do pracy. W okolicach wielu pracowało po słowackiej stronie.

Kocion był tak zaabsorbowany snuciem planów, że w ogóle nie zwracał uwagi na to, co dzieje się obok niego. Dlatego nie zauważył

krażącej na skraju lasu chmury owadów. Głośnego bzyczenia też nie posłyszał, gdyż za nim ryczał silnik zbliżającej się ogromnej ciężarówki. Nagle chmara os się rozproszyła i pojedyncze egzemplarze dopadły Koconia, żądłąc go dotkliwie. Usiłował odganiać je prawą ręką, lewą zaś kurczowo ścisnął kierownicę, usiłując utrzymać kurs.

Tuż obok przemykał rozpędzony TIR. Użądłony w kark Adrian bezwiednie ściągnął kierownicę w lewo, gdy prawą ręką zganiał owada. Natychmiast uzmysłowił sobie niebezpieczeństwo i chciał zmienić tor jazdy, ale było już za późno. Róg naczepy zahaczył o rower, odrzucił go daleko w bok, a lecący w powietrzu człowiek uderzył głową o przydrożne drzewo i znieruchomiał.

Kierowca ciężarówki niczego nie zauważył. Przy masie ponad trzydziestu ton odczuł to nie bardziej, niż gdyby w naczepę uderzył kamyczek.

Mężczyzna był w doskonałym humorze. Do granicy nie było już daleko, zatem długi dzień jazdy wreszcie dobiegnie końca. „Tę pszczołkę, którą tu widzicie, zowią Mają”[5], zaśpiewał na całe gardło, gdy kilka owadów rozmazało się na szybie, pozostawiając po sobie żółtawą plamę.

Jechał zbyt szybko, by dostrzec, jak osy przy drodze zataczają łuk nad martwym ciałem Adriana Koconia i wracają do towarzyszek. Nagle owady zmieniły szyk i przez krótkie mgnienie otoczyły unoszącą się nad ziemią niewyraźną kobiecą postać w staromodnej, długiej sukni. Ale nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć.

*

Marcin i Diona właśnie zamierzali opuścić Osiny, gdy ich uszu doszła wiadomość o tragicznym wypadku przy drodze za osadą. Kilka minut później przyglądali się zwłokom wyglądającym jak porzucona szmaciana lalka i zastanawiali się, co mogło się tu wydarzyć. Leżący opodal ciała stary rower ze scentrowanym kołem

i pogiętą kierownicą podpowiadał prawdopodobny scenariusz, lecz liczne ślady użądleń i zapuchnięta twarz denata niezbyt z nim korespondowały.

– Zostaniesz tu? Muszę zabezpieczyć ślady na drodze, bo te głupki zaraz wszystko zادةpczą. – Marcin wskazał gromadzący się tłumek ciekawskich.

Gdy odszedł, Diona oparła się o pień buka, tyłem do zwłok, by nie musieć spoglądać na nabrzmiąłą, groteskowo wykrzywioną twarz martwego mężczyzny. Gdzieś tutaj osy musiały mieć swoje gniazdo, ale nie czuła lęku. W przeciwieństwie do Koconia nie chciała skrzywdzić mieszkańców wioski.

A Pisarek? – przemknęło jej przez myśl i zaraz znalazła odpowiedź na to pytanie. *Pisarek także był miejscowym, więc podlegał ochronie Osy. Nie mogła go zaatakować.*

Naraz roześmiała się głośno, tak absurdalne wydały jej się wcześniejsze rozważania.

– Idiotka – prychnęła pod swoim adresem. – Za chwilę zobaczysz krasnoludki.

Mimo to odetchnęła z ulgą, gdy wraz z Marcinem znaleźli się w samochodzie. Ktoś przecież kiedyś powiedział, że w każdej legendzie tkwi ziarnko prawdy.

KONIEC

[5] Fragment piosenki „Pszczółka Maja”. Autor tekstu: Florian Cusano (niemiecki); Henryk Roztworowski (polski), kompozytor: Karel Svoboda, wyk. Karel Gott, Zbigniew Wodecki.

Spis treści

Prolog

Rozdział 1. Pierwsza poważna klientka

Rozdział 2. Trup, którego nie było

Rozdział 3. Jak z nieba

Rozdział 4. Bez śladu

Rozdział 5. Śmierć nie pyta

Rozdział 6. Skrajem nieba, skrajem piekła

Rozdział 7. Wróg i przyjaciel

Rozdział 8. Osa

Rozdział 9. Zło powraca

Rozdział 10. Taka gmina

Rozdział 11. Człowiek z lasu

Rozdział 12. Brązownik

Rozdział 13. Polowanie na księdza

Rozdział 14. Żądza

Rozdział 15. Ekshumacja

Epilog